

# Czas na potop

ALAN DEAN FOSTER



calibre 0.7.3

**ALAN DEAN FOSTER**

## CZAS NA POTOP

Tytuł oryginału: The Deluge Drivers

Trylogia: Tran-ky-ky tom 3

Przełożyła: **Anna Wojtaszczyk**

**Data wydania polskiego: 1998**

Data wydania oryginalnego: 1987

TMN

## ROZDZIAŁ 1

Najgorsze wcale nie było to, że Ethan czuł, jak kostnieje z zimna. Najgorsze było to, że kostniał tak na własne życzenie.

Nagość nie cieszyła się szczególnymi względami nawet okrytych gęstym futrem miejscowych tranów, ale pojawienie się na Tran-ky-ky gołego człowieka mogło świadczyć tylko o jego zachwianej równowadze umysłowej. A przecież Ethan wcale nie usiłował popełnić samobójstwa. Po prostu uczestniczył w odbywającej się właśnie uroczystości, chociaż trudno mu było nawet udawać, że dobrze się bawi, skoro powoli siniał i narażał się na to, że gęsia skórka, która wyskoczyła mu na rękach, nogach i innych częściach anatomii, stanie się nieodłącznym już rysem topografii jego naskórka.

Wcale go nie pocieszało, że w niedoli nie był osamotniony; Skua September także marzył. No, może pożartymi fragmentami twarzy i szyi, które pokrywała mu gęsta, brązowo-siwa broda. Stary olbrzym obydwie ręce mocno przyciskał do żeber. Był jeszcze jeden problem – oto wystawiał się nie tylko na działanie żywiołów, ale i na zaciekawione spojrzenia. To niemądre, że czuję się zażenowany, powtarzał sobie Ethan. W końcu w tej królewskiej sali Asurdunu byli ze Skuą jedynymi człowieczymi istotami, całkiem więc to naturalne, że ich nagie postacie przyciągają uwagę, a zwłaszcza ich płaskie stopy, pozbawione podobnych do łyżew szifów, bezdenne ręce i niemal gołe ciała.

Moussoka, który był drugim oficerem na kliprze lodowym *Slanderscree*, wyraził opinię, że według niego bardzo im do twarzy z tą delikatną zmianą koloru skóry. Kiedy jednak został spiorunowany wzrokiem, szybko nabrał przekonania, że nie była to zmiana dobrowolna i nie wspominał o tym więcej.

Najtrudniej było zachować milczenie. Ceremoniał dopuszczał dygotanie, natomiast mamrotanie i wydawanie innych odgłosów – nie. Nie zważając na to Skua pochylił się, żeby szepnąć do swojego towarzysza:

– Nie jest tak źle, mój chłopcze. Po jakimś czasie odrętwienie tak jakby uśmierza poczucie zimna.

– Zamknij się. Po prostu się zamknij, dobrze? – Ethan pochylił się do przodu, wyjrzał zza pleców najbliższego członka gwardii honorowej i popatrzył w kierunku kopuły. – Przecież chyba już prawie skończyli?

Pod zawile rzeźbioną kopułą z kłów stawanera trzech starszawych asurduńskich uczonych mężów wygłaszało właśnie słowa tradycyjnego obrządku małżeńskiego. Nad ich głowami wyginały się w łuk

kamienne ściany i sufit królewskiej sali Asurdunu, państwa-wyspy, której skorumpowanego landgrafa obalili niedawno Ethan, Skua i ich trańscy przyjaciele. Nowy, młody władca, Sev Gorin-Vloga, wcześniej już udzielił swego błogosławieństwa nowożeńcom *in spe* i nalegał, żeby złożyli ślubowanie w zamku Asurdunu. W starożytnym, nieogrzewanym zamku, myślał sobie Ethan i usiłował nie szczekać zębami.

Bohaterami tego niskotemperaturowego romansu byli sir Hunnar Rudobrody i Elfa Kurdagh-Vlata. Elfa była córką i dziedziczką landgrafa Sofoldu, a Hunnar pierwszym tranem, z jakim Ethan i Skua się zetknęli, kiedy całe wieki temu przeżyli awaryjne lądowanie na tym świecie. Ethan był zachwycony, że może uczestniczyć w ich szczęściu, ale wszystko oddałby za możliwość odwołania wcześniej wyrażonej zgody na udział w samej ceremonii. Nie chodzi o to, że czuli się osamotnieni w swojej nagości. W końcu porozbierali się zarówno gwardziści, jak i widzowie; w ubraniach pozostali tylko państwo młodzi. Tyle że kocio-niedźwiedzich tranów okrywało gęste futro i panujący w zamku chłód był dla nich czymś normalnym. Niestety, Ethan i Skua nie mieli takiej naturalnej ochrony.

– Słuchaj no, Ethanie – szepnął Skua – kiedy w naszym imieniu przyjmowałem zaproszenie na ten wieczorek towarzyski, nie miałem pojęcia, że do tradycji należy rozbieranie się do rosołu. Ten kapitan gwardzistów tłumaczył mi, że pojawienie się w obecności najdroższych bez żadnego ubioru świadczy, iż obdarzamy ich całą naszą przyjaźnią i uczuciem, bez żadnych zastrzeżeń. Niczego nie zachowujemy dla siebie. To oznaka szacunku dla szczęśliwej pary. Niczego się w ich obecności nie ukrywa.

– To chyba nie ulega najmniejszej wątpliwości – warknął Ethan.

Skua miał minę pełną namysłu.

– Nie jest to takie głupie i z innego powodu. Pewnego dnia Hunnar będzie landgrafem, władcą Wannome. Jakiś potencjalny morderca mógłby uznać, że dobrze byłoby uderzyć w takim momencie, kiedy wszyscy są w radosnym nastroju i świętują, ale trudno przemycić do środka broń, kiedy nie ma jej pod czym ukryć.

– Cholernie szkoda, że trudno. Nawet wiem, przeciw komu bym ją zwrócił, gdybym ją miał przy sobie.

September rozłożył swoje olbrzymie dłonie.

– A cóż ja mogłem na to poradzić, mój chłopcze? Odrzucić zaproszenie na ślub naszego przyjaciela? I to królewskie zaproszenie? Zwłaszcza, że zbieramy się, by tę lodową kulkę raz na zawsze opuścić. Nie mamy tu nic więcej do roboty. Od kiedy połączyły się na północy Sofold i Asurdun, a na południu Poyolavomaar i Moulokin, tranowie wkroczyli na drogę prowadzącą do wyrwania się z feudalnego błędnego kręgu państw-miast i ustanowienia rządu planetarnego. Reszta niezależnych państw będzie się musiała przyłączyć, ponieważ w żaden sposób nie zdołają się oprzeć takiej sile.

Jeden z gości, sądząc po postawie jakiś szlachcic asurduński, zwrócił im uwagę, żeby byli cicho. Wszystko jedno, czy jest się bohaterem, szaraczkiem czy przybyszem z obcego świata, rozmawianie

podczas świętej ceremonii oznacza brak szacunku. Czyżby nie byli świadomi, jak szczególny zaszczyt ich spotkał? Chociaż człowiecza placówka naukowa od lat stoi na zachodnim brzegu Asurdunu, nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby jakiś nie-tran na własne oczy zobaczył ten uroczysty, tradycyjny obrządek, który łączył ślubem trańskiego mężczyznę i kobietę.

Tymczasem Ethan z przyjemnością zrezygnowałby z tej rozkoszy; zamilkł tylko ze względu na Hunnara i Elfę. Ceremonia zaślubin składała się z całego mnóstwa podrygów i pojękiwań i stanowczo nadmiernej ilości słów. Gdyby nie to, że dwie pierwszoplanowe postacie to jego bliscy przyjaciele, byłby oznajmił wszem i wobec, że mu to zimno nie odpowiada i miałyby gdzieś jakiegokolwiek konsekwencje. Usiłował sobie wmówić, że wcale nie kostnieje z zimna, ale jego ciało nie dało się na to nabrać. Zaczął więc myśleć o przyjemniejszych wydarzeniach, które stanowiły wstęp do tej ciągnącej się w nieskończoność uroczystej udręki: pochód przez miasto, wejście do zamku, zaprzysiężenie szlachty, a nawet uroczyste rozdzwianie się z szat, które miało miejsce na zewnątrz tej sali, przy czym z ubrań ułożono dwa stosy, pomiędzy którymi przeszedł orszak ślubny.

Czy pozostanie w bieliźnie naprawdę zakrawałoby na bluźnierstwo?

Nie powinien narzekać. A gdyby tak tradycja wymagała, by ceremonia odbywała się nie w obrębie zamku, ale na zewnątrz, na nagich równinach Asurdunu? We wnętrzu budynku przynajmniej temperatura utrzymywała się w okolicach zera, na dworze, na równinach, opadała daleko poniżej wartości, przy której woda mogła się swobodnie poruszać. Tylko ogień płonący w kilku kamiennych misach dawał odpór arktycznemu klimatowi. Jeden buzował nawet niedaleko. Niestety, gdyby Ethan wypiął swój nagi zadek lub jakiegokolwiek inny fragment anatomii w pobliże ciepłego kamienia, popełniłby niewybaczalne wykroczenie przeciw etykietce. Ale wkrótce będzie musiał coś zrobić. Z dreszczy i gęsiej skórki można się było jeszcze nabijać, z odmrożeń już nie.

– Nie wytrzymam tego długo.

– Skup się na ceremonii, na gestach. Czyż to nie piękne?

– Niewiele mogę usłyszeć przez podzwanie zębami – odparł Ethan.

– Czyż to nie wspaniałe, że w końcu tych dwoje ślubuje sobie nawzajem?

– Tak, tak, oczywiście. – Może jak Hunnar ożeni się z Elfa, to w końcu pozbędzie się swoich bezpodstawnych podejrzeń, że odczuwa ona jakiś perwersyjny pociąg do Ethana. – Na sercu robi mi się od tego ciepło, ale tyłek dalej mi marznie.

– No to grzej się myślą.

– Łatwo ci mówić.

Skua przyjrzał mu się z wyrzutem.

– Nie, wcale nie jest mi łatwo mówić, mój chłopcze. Jest mi tak samo zimno jak tobie. Po prostu ty nie dość się starasz i tyle. Pomyśl o czymś innym. Pomyśl o – tu nagle się rozmarzył – pomyśl o przyszłym tygodniu, kiedy przyleci następny statek z zaopatrzeniem i będziemy mogli opuścić ten

świat.

O tym to warto pomyśleć, przyznał Ethan: o powrocie do cywilizacji po niemal dwóch latach spędzonych wśród mających jak najlepsze intencje barbarzyńców obcej rasy, o nowoczesnym, czystym, ciepłym salonie na nowym statku o napędzie KK, nawet o pracy. Czas pozostawić przygody za sobą i wrócić do spraw życia codziennego. Przynależna mu porcja codzienności od dawna już była spóźniona.

September skinął głową w kierunku śpiewających tranów w starszym wieku.

– Coś mi się zdaje, że zbliżają się do zakończenia, mój chłopcze.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

September pokazał na tych, którzy stali po drugiej stronie prowadzącego środkiem sali pustego przejścia.

– Widzisz te tranki tam, po drugiej stronie? Starsze rangą damy dworu, jak sędzę. Przez ostatnie trzydzieści minut stały jak drzewa, a teraz zaczynają plotkować.

Przypuszczenia Septembra były słuszne. Końcowy monolog zamknął się dudniącą, gardłową kodą o rosnącej intonacji, zebrani szlachetnie urodzeni wydali trzy głośnie okrzyki. Łapy uniosły się w górę i zaczęły wymachiwać tam i z powrotem. Na skutek tego ruchu w przód i w tył zaczęły poruszać się dany tranów, te przypominające skrzydła membrany, które wyrastały im z rąk i boków. W efekcie na szczęśliwą parę runęła lawina słów i wiatr. Ethan i September na szczęście stali z boku i ominął ich główny impet sztucznego huraganu.

Kiedy tłum falą ruszał do przodu gratulować dopiero co połączonej parze, starszyzna ruszyła do wyjścia, a Hunnar unosząc obydwie łapy poprosił o ciszę.

– Świeżo odkryci przyjaciele i sojusznicy, dzięki wam za waszą życzliwość i gościnność. – Skłonił głowę w kierunku starszyzny. – Dzięki wam również za tę wspaniałą ceremonię, którą dla nas odprawiliście. – Teraz odwrócił się twarzą do młodego Gorin-Volgi. – Bądź pewien, że stosownie do nowego traktatu, który zawarły nasze narody, obywatele Asurdunu będą mile widziani w naszym sofoldzkim domu, jak również w portach naszych sojuszników, Poyolavomaaru i Moulokinu. – Zrobił krok w tył, a do przodu wysunęła się Elfa.

– Wielkie czasy nadeszły dla nas, przyjaciele – zaczęła, a jej mocny głos echem odbijał się po sali. – Dzięki naszym przyjaciółom, podniebnym ludziom, mają miejsce cudowne wydarzenia. – Pokazała gestem w kierunku dwóch dygocących mężczyzn; zaskoczony Ethan usiłował wyglądać na tyle godnie, na ile pozwalały na to okoliczności. – Dowiedzieliśmy się, że istnieją światy inne niż nasz, światy tak liczne, jak państwa-miasta na Tran-ky-ky. Chcąc, by ich chwała i potęga stały się naszym udziałem, musimy zrezygnować po części z naszych starodawnych sposobów postępowania. Tranowie nie mogą już dłużej żyć z dala od siebie, walczyć przy rozstrzygnięciu najprostszych różnic i rozbieżności. Musimy połączyć się w przyjaźni, żeby zyskać na sile, byśmy mogli, kiedy dołączymy do naszych przyjaciół, podniebnym ludzi, zrobić to z głową wysoko uniesioną do góry i szeroko

rozpostartymi danami. Jako wojownicy i jako lud dumny z tego, kim jest, a nie jako podopieczni jakiegoś większego państwa. Łączymy się w dążeniu do równości. Jałmużna jest nie dla tranów!

Podniosły się gromkie owacje zebranych, grzmiotem rozległy się w królewskiej sali. Elfę i Hunnara niemal z nóg zwały uściski i gratulacje. Dźwięki te przypominały Ethanowi czas karmienia w zoo. Ruszył za Skuą, kiedy olbrzym swoim masywnym ciałem torował sobie drogę przez tłum.

– Ja również mam coś do powiedzenia, Sir Hunnarze – usłyszał Ethan prośbę olbrzyma.

– O co chodzi, przyjacielu Skuo?

Ethan czuł się jak karzeł w tłumie wyższych, potężniej zbudowanych tranów, ale wiedział, że nie ma się czego bać. Za dobrze ich znał. Poza tym tyle kudłatych ciał tłoczyło się wokół niego, że zaczynało mu się robić cieplej.

– Chodzi o nasze ubrania.

– Ach, przejęty tą chwilą przestałem myśleć. Żyliście wśród nas tak długo, że niekiedy zapominam, iż nie odpowiada wam nasz klimat. Ta ceremonia musiała nadwerężyć siły twoje i Ethana. – Pokazał na niewielką górę ubrań ułożoną na prawo od wejścia. – Sądzę, że tam znajdziecie wasze odzienie. Odzież bliskich przyjaciół i krewnych zawsze układa się po prawej. Chodźcie, pomożemy wam. – Wziął Elfę za rękę i poprowadził ich przez składający gratulacje tłum.

– Obawiam się, że wasze dziwne ubranie będzie leżało gdzieś na spodzie – zauważyła Elfa.

Ethan przypatrzył się stosowi trańskiej odzieży.

– To bez znaczenia. Wcale mi to nie przeszkadza, że trzeba go szukać. Tam pod spodem musi być cieplej niż tu na zewnątrz.

Zanim obydwaj ze Skuą odzyskali i nałożyli bieliznę i swoje srebrzyste kombinezony ochronne, wielu z ważniejszych szlachciców i rycerzy Asurdunu zdążyło już po złożeniu nowożeńcom gratulacji wyjść. Gdzieś w innej części zamku rozpoczęło się oficjalne przyjęcie. Do królewskiej sali dochodziły okrzyki i urywki na wpół melodyjnej, na wpół syczącej piosenki.

Skua radośnie rzucił się w wir hałaśliwej uroczystości, Ethan natomiast był mniej zadowolony. Nie mogli wrócić do thranludzkiej placówki w Dętej Małpie, dopóki załoga Hunnara, żeglarze i żołnierze z lodowego klipra *Slanderscree* nie przestaną się bawić. Zabawa jednak skończyła się szybciej, niż się spodziewał. Chociaż nie powinno go to dziwić. W końcu Sofoldycy wyjechali ze swojego rodzinnego miasta Wannome ponad rok temu. Wielu z ich przyjaciół i krewnych musi teraz już zastanawiać się, czy wielki statek lodowy nie popadł w jakieś tarapaty i czy z jego załogi, z ich ukochanych, nie zostały same rozsypane po lodzie kości. Nie tylko Ethan i Skua od dawna już powinni być w domu.

Później tego wieczoru, kiedy uczta zbliżała się do końca, Hunnar odciągnął Ethana i Septembra na bok. Usadowili się przy niewielkim stoliku z dala od gwaru głównej uroczystości.



– Żałuję, że nie mogę przekonać was i przyjaciela Williamsa, żebyście zatrzymali się na trochę dłużej wśród nas. Jeszcze tak wiele musimy się nauczyć.

– Millikenowi przykro było, że nie mógł uczestniczyć w ślubie – odparł Ethan, zazdroszcząc równocześnie nauczycielowi, który zdecydował, że nie pójdzie na wesele i zostanie w Dętej Małpie.  
– Jestem pewien, że jest mu równie przykro jak nam dwóm, że musimy odjechać, ale po prostu nie jesteśmy odpowiednio zbudowani, żeby przeżyć na takim świecie jak Tran-ky-ky.

– Powiedziałbym, że całkiem dobrze wam to szło. Jesteście równie zaradni jak tranowie.

September pociągał ze swojego kufła i zostawiał prowadzenie rozmowy Ethanowi.

– Pochlebiasz nam – Ethan uśmiechnął się do Hunnara – ale nawet gdybyśmy byli w stanie tu przeżyć, chcemy wracać do naszych domów, tak samo jak twoi bracia chcą wrócić do Wan-nome. Już czas. Nie jestem z zawodu badaczem ani poszukiwaczem przygód. Przecież ta cała sprawa, to nasze przybycie na wasz świat, to był czysty przypadek.

– To fakt – powiedział Skua. – On jest komiwojazerem, bez dwóch zdań, a to najmniej przygodowa profesja, jaką może uprawiać podniebna osoba.

– Chcesz zrezygnować z pozycji, jaką zdobyłeś sobie wśród nas? – Hunnar wpatrywał się w Ethana szeroko osadzonymi, żółtymi oczami. – Mógłbym dopilnować, żebyś został szlachcicem wśród mego ludu. Mogłyby ci przypaść w udziale wielkie połacie ziemi. *Slanderscree* byłaby na twoje usługi, jakbyś tylko palcem skinął.

Ethan łagodnie się uśmiechnął. Jak na trańskie standardy oferta Hunnara była wielkoduszna, ale nie mogła zrekompensować braku ogrzewanych łazienek.

– Dzięki, ale w tej chwili nie chcę widzieć nic, poza wielkim miastem, jarzącym się rozrzutnie od światła i pełnym naiwnych klientów o przepastnych kieszeniach.

– A co z twoim zamiarem uprawiania handlu wśród nas; kiedyś mówiłeś, że po to cię tu przysłano?

– Bez urazy, ale jakoś straciłem zapał do pracy na tym terytorium. Pozwolę, by ten honor przypadł w udziale jakiemuś innemu reprezentantowi mojej kompanii. Jak widzisz, zakładam, że wciąż jeszcze nie wyleciałem z pracy. Większość kompanii ma za złe swoim pracownikom, jeżeli biorą sobie parę lat urlopu bez żadnych wyjaśnień.

– Ale chyba kiedy powiesz już swojemu... – Elfa borykała się, żeby znaleźć właściwe słowo – ...panu co się stało, okaże zrozumienie i pozwoli ci wrócić.

– Nie pan, tylko pracodawca – powiedział Ethan z irytacją; żałował, że nie może podrapać się w brodę, ale nic miał ochoty uchylać osłony hełmu. – Chociaż, gdybym mógł po rozmawiać z samym wielkim szefem, pewnie zdołałbym mu to wytłumaczyć. Natomiast kto jak kto, ale mój kierownik okręgowy zrozumienia nie okaże.

Elfa skierowała swój przenikliwy wzrok na towarzysza Ethana.

– A co z tobą, przyjacielu Skua? Wojownik taki jak ty mógłby mieć pod swoim dowództwem całą armię. Nie wszystkich da się przekonać samymi słodkimi słowami, żeby dołączyli do Unii. Twoje talenty byłyby mile widziane przez naszych generałów.

– Kochana jesteś, Elfo. – Ethan niepewnie spojrzał na Hunnara, ale ten tylko szeroko się uśmiechnął, pokazując ostre kły. September pofolgował sobie, popijając lokalne trunki. – Nie będę wam jednak potrzebny. Połączonymi siłami będziecie w stanie pokonać najbardziej nawet odporne miasto-państwo. Nalejecie im oleju do głowy bez mojej pomocy. Przeszkadzałbym tylko, odbierał chwałę jakiemuś ambitnemu tranowi. Nie chcę deptać niczyjej kariery. Zrobiłem to kiedyś, raz w życiu, i nie daje to mi spokoju do dziś. Poza tym mam swoje własne sprawy, którymi muszę się zająć.

Ethan rzucił mu ostre spojrzenie.

– Jakie sprawy? Nigdy mi nie mówiłeś, żebyś miał jakieś interesy, do których musisz wracać.

– A ty myślałeś, że co mam zamiar robić, mój chłopcze? Iść na emeryturę? – Oko mu zabłyśło. – Pewna dama, moja długoletnia przyjaciółka, dostała grant na przeprowadzenie badań na jednym z tych peryferyjnych, niedawno odkrytych światów, w ramieniu galaktyki. Fuspin – nie, Alaspin, tak się to miejsce nazywa. Ona jest archeologiem. Od lat mnie już prześladowuje, żebym wybrał się z nią na którąś z wypraw. Powinna tam gdzieś jeszcze siedzieć, grzebiąc się w różnych takich i owakich, nabijając sobie brudu pod ładne paznokietki. Mówiła mi, że ten Alaspin to świat dżungli. A po okresie spędzonym tutaj pociąga mnie parna pogoda i sptywanie potem. To tam się udam, jak tylko będziemy mogli odlecieć z tej planety. – Uśmiechnął się do Elfy. – Powtarzam, nie ma w tym nic osobistego. Wasz świat to bardzo orzeźwiający miejsce, a dla nas, ludzi, nawet ciut za bardzo. Zrozumiesz więc, dlaczego wyjeżdżamy.

– Będziemy się usilnie starali zrozumieć. – Położyła ciepłą łapę na przedramieniu Septembra. – Możemy zaproponować wam wiele rzeczy, ale nic w zamian za dom.

Dom, pomyślał Ethan. Czy on sam ma jakiś dom? Różne miasta na różnych światach, w kółko Macieju to samo. Jeżeli w ogóle ma gdzieś dom, to chyba w tej długiej pustce między gwiazdami. Nicoś jest moim domem, pomyślał z pozorną nonszalancją i złapał się na tym, że rozważając tę sprawę na serio zaczyna czuć się niewyraźnie. Podróż, podpisanie kontraktu, podróż dalej. Trudno mu było nawet przypomnieć sobie świat, z którego pochodził. A jeżeli stracił pracę i nie będzie mógł jej odzyskać? Co wtedy? Udać się na najbliższy cywilizowany świat i szukać zatrudnienia? Nie, wciąż jeszcze ma pracę, jest reprezentantem handlowym Domu Malaiki. Musi działać dalej w oparciu o to założenie. To jego jedyne zabezpieczenie. Może Elfa ma rację. Może jego przełożeni okażą zrozumienie. Jednego mógł być pewien: nikt jeszcze nigdy w taki sposób nie usprawiedliwił swojej nieobecności w pracy.

\* \* \*

Kiedy *Slanderscree* rzucała cumy w porcie Dętej Małpy, Ethan zastanawiał się właśnie, czy jego próbki wciąż jeszcze tkwią w magazynie celnym. Kliper lodowy miał zaczekać, aż jego czcigodni

człowieczy pasażerowie odlecą znowu w kierunku gwiazd w jednej ze swoich podniebnych łodzi. No i trzeba było zaopatrzyć wielki statek na długą podróż powrotną do domu. Jedną decyzję Ethan już podjął. Jeżeli wylali go z pracy, miał zamiar zażądać swoich skromnych towarów i podarować je Hunnarowi i Elfie. I niech mu kompania wytoczy proces o koszty – jeżeli go znajdzie. Nowoczesny ogrzewacz kosmiczny na pierwiastkach obojętnych wart będzie dla tranów tyle, co okup za landgrafa.

Podczas ich ostatniej podróży do Moulokinu inżynierowie kosmiczni otrzymali i zainstalowali aparaturę łącznościową dalekiego zasięgu kosmicznego, tak więc po raz pierwszy od założenia placówki jej obywatele mogli bezpośrednio porozumiewać się z resztą Wspólnoty; nie musieli już czekać, aż przyleci zgodnie z rozkładem raz w miesiącu statek z zaopatrzeniem i przy wiezie wiadomości. Trudność, na jaką natknął się Ethan przy próbach nawiązania kontaktu ze swoimi przełożonymi, polegała na tym, że pasmo zostało już z góry zarezerwowane na całe miesiące przez do tej pory anielsko cierpliwych, anielsko cichych biurokratów i badaczy. Pozbawieni dotychczas regularnej łączności z resztą cywilizacji poprzez zerową przestrzeń kosmiczną, nadrabiali teraz stracone lata wykorzystując przekaźnik przez całą dobę na okrągło. Oficjalnie wszystko to były sprawy służbowe, w rzeczywistości po prostu sobie chcieli pogadać.

Rozwiązanie problemu dostępu do przekaźnika i pokrycia kosztów rozmowy było jedno. Inaczej nie miał nawet co myśleć o połączeniu się z główną siedzibą kompanii. Skua poszedł razem z nim do lśniącego, podziemnego centrum łączności. Razem przyglądali się grupie funkcjonariuszy rządowych i naukowców zebranych na zewnątrz konsoli transmisyjnej. Sam ekran wraz z oprzyrządowaniem pomocniczym otoczony był kopułą z przydymionego akrylu. Jak tylko czyjeś połączenie dobiegało końca, pod kopułę wchodził następny. Zmniejszającą się grupkę zasilał natychmiast stały strumień pełnych nadziei optymistów. Liczba czekających na skorzystanie z przekaźnika wzrastała i opadała, ale nigdy poniżej tuzina. September przypatrywał się ogonkowi pełnych nadziei petentów.

– Jak ty masz zamiar tam się wkręcić? A jak już ci się to uda, czym zapłacisz? Wykorzystasz swój fundusz emerytalny? Wiesz, to kosztuje trochę więcej niż telefon do cioci na imieniny.

Ethan uśmiechnął się z niezachwianą pewnością siebie.

– Masz rację, ale poradzę sobie. A przynajmniej tak sędzę.

Poprowadził Septembra do przodu, przepraszając i przepychając się przez tłum poirytowanych, zaintrygowanych członków miejscowej społeczności, aż stanęli tuż przy wejściu do kopułki transmisyjnej.

– Hej, ty – warknął jeden z kolejkowiczów – tu się stoi w kolejce.

– Przepraszam. – Ethan błysnął swoim najbardziej przekonującym uśmiechem. To był uśmiech komiwojażera, uśmiech fachowca; dobrze wyćwiczony, stale powtarzany, subtelnie skuteczny. – Wiadomość najwyższej wagi.

Na twarzy jakiegoś średniego urzędnika, który stał następny w kolejce, pojawił się uśmieszek wyższości.

– Najwyższej wagi? Nie poznaję cię. Nie jesteś ani z rządu, ani od naukowców. Czy ty masz w ogóle zielone pojęcie, ile kosztuje wiadomość najwyższej wagi? Żaden kuchcik nie byłby w stanie za coś takiego zapłacić, nawet gdyby cała załoga zrobiła zrzutkę z rocznej pensji. – Obrzucił ich obu powątpiewającym spojrzeniem. Po spędzonym na lodowych pustkowiach czasie byli tak sponiewierani, że Ethan musiał przyznać mu rację; prawdopodobnie nie wyglądają z Septembrem na to, by stać ich obu było nawet na jedno krótkie zdanie. Uśmiechnął się tylko do mężczyzny.

– Zobaczymy. Jeżeli ma pan rację, to wejdziemy i za pół minuty wylecimy stamtąd, prawda?

Biurokrata oddał mu przesadny ukłon i wykonał wielkoduszny gest prawą dłonią.

– A więc nie traćmy niepotrzebnie czasu, dobrze?

Stojąca za nim kobieta odwróciła się do swojej przyjaciółki i zachichotała. Jak tylko funkcjonariusz, który był wewnątrz, doprowadził swoje sprawy do końca, Ethan i Skua weszli do środka. Może jacyś stojący z tyłu ogonka ludzie mieli ochotę kwestionować prawo Ethana do tego, by próbował szczęścia nawet przez te kilka sekund, ale nikt nie wydawał się skłonny do wdawania się w dyskusję z osobą o posturze Septembra. I to właśnie dlatego Ethan zabrał go ze sobą. Mężczyzna obsługujący przekąznik kończył już swoją zmianę i był zmęczony, ale nie na tyle, żeby nie obrzucić nowo przybyłych zaciekawionym spojrzeniem. Miał jasne włosy, bladą cerę i Ethanowi przyszło na myśl, że jego przodkowie bardziej niż wszyscy inni ludzie mogliby się czuć na Tran-ky-ky jak u siebie.

– Z jakiego wy dwaj jesteście wydziału? Nie widzę waszych plakietek.

– Z żadnego. – Usiłując ukryć zdenerwowanie Ethan wsunął się w fotel przekąznika, jak gdyby ten już do niego należał. – Proszę o rozmowę prywatną, wiadomość najwyższej wagi.

Technik w średnim wieku potarł swojego blond jeża. Z jego przekłutego prawego ucha zwisał długi, srebrny kolczyk.

– Prywatna rozmowa? Najwyższej wagi? To oznacza wyczyszczenie linii pomiędzy nami a tym miejscem, do którego pan chce dzwonić.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Czy pan wie, ile to będzie kosztowało? Ile na to potrzeba czasu i energii? Nawet gdyby miał to być Drax IV, a to najbliższy świat ze stacją odbiorczą, w grę wchodzi ilość przekązników, która...

– Nie chcę rozmawiać z Draxem IV. Chcę rozmawiać na paśmie zamkniętym z Domem Malaiki, który znajduje się w Drallarze, na Moth. Czy potrafi pan ustawić to połączenie?

Technik poczuł się chyba nieco dotknięty.

– Jestem w stanie ustawić każde połączenie, jeśli wy będziecie w stanie za nie zapłacić. Nawet przez Santos, Dis i dalej na Ziemię. Mówi pan, przyjacielu, o nieliczej ilości parseków.

– Do diabła z parsekami. Niech pan ustawia. Technik potrząsnął głową.

– Nawet pierwszego guzika nie dotknę, dopóki nie otrzymam jakiegoś potwierdzenia finansowego. – Jego dłoń zawisała nad oprzyrządowaniem, które nie miało nic wspólnego z pogwarkami w zerowej przestrzeni kosmicznej.

Ethan przełknął ślinę.

– Proszę wprowadzić kod dwadzieścia dwa RR, CDK. Technik z rezerwą wprowadził tę informację.

– Cóż to za krótki kod. To chyba nie jest żaden kawał, co? Mariannę i chłopaki na pewno są do tego zdolni.

Minęło kilka chwil, a potem w pobliżu łokcia operatora na małym ekraniku trójwymiarówki pojawiły się słowa „kredyt nieograniczony”. Brwi technika podjechały do góry. Gapił się na te dwa słowa, ale nie pojawiło się nic więcej, żadne omówienia, żadne wyjaśnienia. Tylko „kredyt nieograniczony”.

– Jak wyście zdobyli dostęp do takiego konta? September wydał z siebie tak trąskie warknięcie, że zabrzmiało to groźnie.

– Czy jest pan gliną, czy operatorem pasma? Mężczyzna wzruszył ramionami i odwrócił się do swoich aparatów.

– Cholerna odległość – burczał. – Będę musiał podłączyć się pod co najmniej pięćdziesiąt stacji.

– Podobno jest pan w stanie ustawić każde połączenie, pamięta pan? – szydził z niego łagodnie Ethan.

September pochylił się i szepnął:

– A skąd ty właściwie wzięłeś ten kod?

– Colette du Kane – uśmiechnął się Ethan. – Pamiętasz ją? Powiedziała, że jeżeli kiedykolwiek bym czegoś potrzebował, mam skorzystać z tego kodu.

– Lubię takie kobiety. – September nie zapomniał pulchnej córki przemysłowca, która w ich towarzystwie utknęła na Tran-ky-ky. Oświadczyła się nawet Ethanowi, ale on jej propozycję odrzucił.

– Nie nabijajmy się z niej pod jej nieobecność – zbeształ Ethan swojego przyjaciela. – Zwłaszcza, że to ona płaci.

Pomimo wcześniejszych przechwałek operator potrzebował aż dziesięciu minut, żeby połączyć rozmowę. Na zewnątrz kopułki przekaźnika urzędnicy, którzy wcześniej kpili z Ethana, czekali i czekali bez końca, usiłując bezskutecznie zajrzeć pod nieprzezroczystą, plastikową kopułę. Wreszcie

pełen szumów ekran przed Ethanem nieco się wyczyścił i poprzez szumy przefiltrowały się pierwsze dźwięki. Były zniekształcone i niezrozumiałe i nie było w tym nic dziwnego, skoro musiały pokonać taką odległość. Operator regulował swoje instrumenty i kłął cichutko pod nosem. Wiązki fal dalekiego zasięgu kosmicznego przemieszczały się w tym tajemniczym obszarze, który znany był pod nazwą zerowej przestrzeni kosmicznej, podczas gdy statki o napędzie KK brnęły przez tak zwaną przestrzeń plus. Pomiędzy jedną a drugą, jak pasztet w kanapce, tkwiły w obszarze zwanym normalną przestrzenią gwiazdy, mgławice i ludzie. Do końca swego życia okryty byłby sławą i opływał w dostatki ten fizyk, któremu udałooby się znaleźć sposób umożliwiający podróżowanie statków w przestrzeni zerowej. Odkrycie to zredukowałoby czas podróży między gwiazdami z tygodni do minut. Niestety, jeżeli coś ośmieliło się zapuścić w ten obłąkany region, wychodziło z niego wymieszane jak jajecznica. Zwierzęta doświadczalne wysłane poprzez przestrzeń zerową dotarły na miejsce przeznaczenia w postaci zupy. To przygasiło entuzjazm potencjalnych ochotników-ludzi. Do tej pory obywatele Wspólnoty zdołali tylko znaleźć metodę poskładania z powrotem poszatkowanych obrazów i słów, niczego więcej.

Ekran wyczyścił się i pojawiła się na nim postać równie masywna jak September, chociaż nawet w przybliżeniu nie tak wysoka, siedząca za biurkiem z twardrewna. Mężczyzna cerę miał hebanową, a broda spływała mu po piersi jak fale po plaży. Chociaż swoją posturą zajmował niemal cały ekran, Ethanowi udało się dostrzec za jego plecami kilka szczegółów. Oprócz biurka z intarsją z rzadkich gatunków drewna zobaczył przeszkloną ścianę, a w oddali miasto, jarzące się od świateł. Drallar. Do tej chwili była to dla niego tylko nazwa na dokumentach kompanii; nie było wszak żadnych powodów, żeby jakiś prowincjonalny komiwojazer odwiedzał Moth. Właściwie to słyszał, że jest to nieco zacofany świat, w dużej części niezaludniony, cieszący się wzięciem wyłącznie z powodu swojego nadzwyczaj liberalnego nastawienia do handlu. W rezultacie cały szereg poważnych domów handlowych miał tam swoje siedziby główne, a wśród nich znajdował się również Dom Malaiki.

Maxim Malaika przyglądał się swojemu rozmówcy poprzez odległość jakichś siedmiuset parseków. Ta przerażająca otchłań zredukowała jego grzmiący głos do szeptu.

– *Faida*, cóż za niespodzianka. Nie zwykłem przyjmować telefonów od prowincjonalnych przedstawicieli niższego stopnia, no, ale na ogół nie dzwonią oni z takiej odległości. – Przerwał i zerknął na monitor, którego ekran ukryty był przed polem widzenia czujników. – Tran-ki-ki, czyż nie?

– Tran-ky-ky. – Ethan delikatnie poprawił jego wymowę.

– I nigdy nie zdarza się, żeby prowincjonalny przedstawiciel niższego stopnia dzwonił do mnie na swój koszt? Czuję się zaintrygowany, panie Fortune. Co skłoniło pana do tak niezwykłego kontaktu? Chyba musiał pan zawrzeć jedną albo i dwie nieliczne transakcje, to by usprawiedliwiało tę transmisję.

– Mówiąc szczerze, proszę pana, od niemal dwu lat nie sprzedałem ani jednej rzeczy.

Malaika nie powiedział nic, nie zmienił się też wyraz jego twarzy. Przyzwyczajony był do otrzymywania wyjaśnień. Teraz czekał na jedno z nich.

Ethan opowiedział mu więc, jak podczas swojej długiej podróży w drodze z Santosa V na

Dustdune został wplątany w porwanie dziedziczki Colette du Kane i jej ojca, jak uporali się z porywaczami, jak rozbili się na świecie o nazwie Tran-ky-ky, jak potem udało im się nawiązać przyjacielskie stosunki z niektórymi tubylcami i jak spędzili prawie dwa lata po prostu usiłując przeżyć.

Wyjaśniał, że nie tylko udało im się przeżyć, ale zapoczątkowali też proces jednoczenia zacieklej w swej niezależności miast-państw i w ten sposób skierowali Tran-ky-ky na drogę prowadzącą do utworzenia planetarnego rządu, który będzie mógł wystąpić o udzielenie jej statusu planety stowarzyszonej we Wspólnocie. Tranowie okazali się inteligentni, chętni do nauki, gotowi do przyjmowania nowych koncepcji. Dopóki uda się trzymać z daleka od nich skorumpowanych urzędników, takich jak Jobius Trell, powinni się szybko rozwijać.

– Miło mi to słyszeć – powiedział z aprobatą Malaika. – Rozwijająca się rasa to rasa konsumpcyjna.

Ethan zawahał się.

– Więc wciąż jeszcze mam moją posadę?

– Czy ma pan swoją posadę? Oczywiście, że tak. Zrobił pan to, co musiał pan zrobić. Jestem pewien, że nie rozbił się pan na tym świecie naumyślnie. Nie mam zwyczaju wyrzucać z roboty kompetentnych ludzi tylko dlatego, że popadli w sytuację, na którą nie mieli wpływu. Jestem pod wrażeniem pana zaradności i umiejętności utrzymywania się przy życiu. Jestem pod takim wrażeniem, że nawet nie mam zamiaru potrącić panu pensji podstawowej za ostatnie dwa lata. Oczywiście przez ten czas nie zdobył pan dla nas żadnych zleceń, ale na to już żaden z nas nic nie poradzi.

Ethanowi mowę odebrało. Było to więcej, niż miał się jakiegokolwiek prawo spodziewać. Malaika pochylił się do przodu, daleki czujnik wypełnił się obrazem jego twarzy.

– A kim jest ten potężny dżentelmen w hurtowym wymiarze, który stoi obok pana, panie Fortune?

– To mój przyjaciel. Skua...

– Davis – powiedział September. – Skua Davis.

– Miło mi pana poznać, panie Davis. – Malaika zmarszczył brwi. – Ta twarz. Już kiedyś widziałem tę twarz. Czy zawsze nosiłeś brodę, przyjacielu?

– Nie zawsze. – September cofnął się o kilka kroków, co spowodowało, że jego twarz nieco się rozmazała.

Ethan lekko się skrzywił. Przyjacielowi już kilka razy zdarzyło się robić aluzje do swojej burzliwej przeszłości, ale kiedy prosił go, żeby podał jakieś szczegóły, zaczynał mówić na inne tematy. No cóż, prywatne życie Skuy było jego sprawą i jako przyjaciel miał obowiązek to uszanować.

– Nie wiem, jak mam panu dziękować.

– Ależ bardzo proszę, bardzo proszę. – Malaika niechętnie skupił się znowu na swoim pracowniku. – W niedalekiej przyszłości przed Domem Malaiki rysują się wielkie perspektywy, młody człowieku, wielkie perspektywy. Ten ubiegły rok bogaty był w niezwykle wydarzenia. Osobiście wybrałem się kilka razy w podróż, wszedłem na nowe rynki, nadzorowałem ekspansję kompanii. Spotkałem też to niezwykle dziecko, a właściwie młodego dorosłego człowieka, pod pewnymi względami mądrego ponad swój wiek, a pod pewnymi będącego kwintesencją naiwności. – Wzruszył ramionami. – Ale po co obciążać pana szczegółami mojego życia, kiedy pana życie w oczywisty sposób było o tyle bardziej interesujące.

– Nie z mojego wyboru, zapewniam pana.

– Rozumiem.

– Dziękuję panu. No więc to chyba już wszystko. *Spindizzy* powinna wejść na orbitę w przyszłym tygodniu, będę na jej pokładzie. Skontaktuję się z reprezentantem dla mojego okręgu, jak tylko to będzie możliwe. Nie sądzę, żeby to się na coś przydało, gdybym miał z dwuletnim opóźnieniem podjąć moją rutynową trasę w miejscu, gdzie ją przerwałem. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby moje próbki były o rok przeterminowane. Czy Langan Ferris jest wciąż jeszcze moim kierownikiem na tym terenie?

– Tak, Ferris wciąż jest gdzieś tam w pana okolicy – powiedział obojętnie Malaika. – Ale skąd ten pośpiech? Czemu tak się pan spieszy, żeby się stamtąd wydostać?

– Czemu tak się spieszę? – Na moment Ethan zapomniał, z kim rozmawia. – Proszę pana, ugrzązłem na tej lodowej kuli ponad rok temu. Chciałbym znów wrócić do cywilizacji. Chciałbym sobie pogadać po terangielsku, zamiast po trańsku i nacieszyć się jakimś cywilizowanym towarzystwem.

– Niech pan tylko pomyśli, jak się pan sam ustawił, Fortu ne. Niech pan pomyśli o tym! Wnioskuje z tego, co mi pan powiedział, że udało się panu w niecodzienny sposób doskonale poznać tubylców oraz ich zachowania. Ich kulturę i pragnienia, ich potrzeby. Wspaniale pan się nadaje, żeby doradzać Stałemu Komisarzowi, jak ma postępować z tymi tranami.

Jeżeli ta konfederacja, czy unia, czy co to tam jest, będzie nadal dojrzewała i rozrastała się, w bardzo krótkim czasie ci tranowie będą gotowi, żeby wystąpić o status planety stowarzyszonej ze Wspólnotą. Jeżeli zostaną przyjęci, będzie to oznaczało, że ich świat awansuje z objętej restrykcjami Klasy IVB do IVA. Może nawet zakwalifikują się do szczególnej Klasy II. A to oznacza, że otrzymają zgodę na dostęp do stosunkowo wyrafinowanych towarów i usług. Towarów i usług, które oferować będą koncerny z zewnątrz. – Ethan usiłował wtrącić jakieś słowo zastrzeżenia, ale Malaika podniósł dłoń i pospiesznie mówił dalej. – Zdobył pan sobie zaufanie tych ludzi. Nie muszę panu mówić, jak ważne jest zaufanie, kiedy stara się człowiek coś komuś sprzedać. Zna pan tubylców i wie pan, czego mogą potrzebować. Mógłby pan służyć w tej mierze radą nowemu Stałemu Komisarzowi.

– Chwileczkę, proszę pana. – Ethan uświadomił sobie, że sływa potem. Było jasne, do czego zmierza Malaika i Ethan rozpaczliwie zastanawiał się, jak by się tu wykręcić. – Każdy z reprezentantów kompanii potrafiłby zrobić to, co ja. Z chęcią będę służył informacją temu, kogo pan



się tu zdecyduje przysłać. Co do mnie, tęsknię już, żeby z powrotem popaść w moją starą rutynę.

– Stara rutyna. Określenie samo się definiuje. – Malaika rozparł się znowu w fotelu. – To dla przeciętnego, umiarkowanego kompetentnego, pozbawionego wyobraźni komiwojżera.

– Ależ, proszę pana, to tym właśnie ja jestem.

– Pana skromność przynosi panu zaszczyt, panie Fortune. Nawet nie potrafiłbym zaproponować człowiekowi takiemu jak pan, który przeżył to, co pan przeżył, żeby miał wracać do otepiającej, nudnej harówki, do odwiedzania w kółko tych samych miejsc i do rozmów wciąż z tymi samymi klientami. Nigdy bym się na to nie odważył.

– Bez obaw. Proszę mnie o to zapytać.

Malaika ciągnął dalej, jak gdyby tego ostatniego nie usłyszał. Może rzeczywiście nie usłyszał, chociaż Ethan wątpił. Jak dotąd dyrektorowi Domu nie umknęło nic.

– Zazdroszczę panu, Fortune; tak, szczerze panu zazdroszczę. Pana udziałem stały się przeżycia, którymi nie tylko mógł się pan cieszyć, ale z których mógł pan również czerpać mądrość i wiedzę, a to jest coś, co większość z nas, przykutych do swoich komputerów, może sobie tylko wyobrażać. Życie objazdowego komiwojżera to nie dla pana, nie, wyraźnie widać, że to nic dla pana.

– Proszę pozwolić, że się z panem nie zgodzę. Nie mam w sobie ani odrobiny zamiłowania do przygód. Wszystko to, co się stało, to czysty przypadek, a zmęczony już jestem przypadkowym życiem.

Malaika skinął głową.

– Rozumiem, naprawdę pana rozumiem, Fortune. Zmęczony jest pan takimi wędrówkami bez celu, zmęczony jest pan tym, że kozłuje się panem jak piłką po takim zacofanym, prymitywnym świecie. Potrzeba panu trochę stabilizacji, chciałby pan wiedzieć, dokąd pan zmierza z dnia na dzień. Chciałby pan mieć znowu jakiś stały rozkład zajęć, chciałby pan mieć gwarancję, że jutrzejsza praca jest pewna i że nie będzie się radykalnie różniła od tego, co pan robił dzisiaj.

Ethan odrobinę się odprężył. Przez chwilę miał obawy, że nie uda mu się przekonać swojego pracodawcy.

– Tak, to jest dokładnie to, czego bym chciał, proszę pana. Jeżeli nie proszę o zbyt wiele.

– Oczywiście, że nie. A więc się zgadzamy. Ethan wyprostował się na krześle.

– Zgadzamy się?

– Ależ oczywiście. Jeżeli uwzględnię wszystko, co pan powiedział, nie pozostaje mi nic innego, jak mianować pana na stanowisko przedstawiciela nadzwyczajnego i pełnomocnego, reprezentującego Dom Malaiki na Tran-ky-ky. Będzie pan nadzorował zapoczątkowanie i rozrost operacji handlowych na pełną skalę. Inne wielkie domy jeszcze nie zdążą zwietrzyć potencjalnych

możliwości tej planety, a my będziemy już mieli niemal całkowity monopol na handel z tubylcami. Zakładam, że planeta ma potencjał?

– Tak, proszę pana, ale co do konieczności stałego przedstawiciela...

– Stały przedstawiciel powinien znaleźć się na każdym świecie, nawet takim, który dopiero co został otwarty dla operacji handlowych. Los się do mnie uśmiechnął, że już na miejscu mam kogoś, kto dobrze się na to stanowisko nadaje! – I znowu Ethan spieszył, żeby przedstawić swoje argumenty i znowu Malaika zbył rodzące się protesty.

– Naturalnie taki awans i wzrost odpowiedzialności pociąga za sobą ogromną podwyżkę pensji. Może pan spodziewać się lepszej i wcześniejszej emerytury, Fortune. Będzie pan miał podwładnych, którymi będzie pan kierował. Już nie musi się pan martwić utraconymi zleceniami czy nieregularnym dochodem.

– Mimo to, proszę pana...

– Niech mi pan nie dziękuje, nie trzeba. Zapracował pan sobie na to. Taka okazja nieczęsto zdarza się komuś w pana wieku. Zwykle trzeba służyć dwadzieścia do trzydziestu lat, zanim zostanie się przedstawicielem nadzwyczajnym. A kiedy nasz monopol będzie już zabezpieczony, a pan wyćwiczy solidną kadrę nowych pracowników, którzy zajmą się tą robotą, Dom zastanowi się nad przeniesieniem pana na inny świat. Powiedzmy na Paryż, czy Nową Riwierę.

Ethan zawahał się. Sam awans i podwyżka pensji nie wystarczyłyby, żeby miał poważniej myśleć o dłuższym pobycie na Tran-ky-ky, ale perspektywa, że otrzyma i jedno, i drugie, a do tego będzie mógł się potem przenieść na jakiś rajski świat, warta była zastanowienia. Przedstawiciel nadzwyczajny na świecie takim jak Riwiera mógł zbić fortunę, pracując jednocześnie w najsympatyczniejszym otoczeniu, jakie miała do zaoferowania Wspólnota. A mimo to w jego umyśle dużo bardziej świeże były wspomnienia przejmującego do szpiku kości arktycznego chłodu, nieustannego wiatru i innych, bardziej prozaicznych niebezpieczeństw na Tran-ky-ky niż trójwymiarowe filmy o ciepłych plażach na nigdy nie widzianych światach. Ostatecznie miał wybór: mógł przyjąć awans i obietnicę, albo mógł je odrzucić, wsiąść na następny statek na Draxa IV i zacząć szukać sobie nowego fachu. Drax IV był miłym, cywilizowanym światem, ale nie należał do najważniejszych. Mogło tam nie być łatwo trafić na jakąś pracę.

– Proszę mi nie dziękować – powiedział znowu Malaika. – Podejmę kroki, żeby na imię kompanii utworzono rachunek, z którego będzie pan mógł czerpać. Za, powiedzmy, kilka tygodni oczekuję obszernego raportu o naszych perspektywach na tym świecie. Muszę dowiedzieć się, jak według panu powinniśmy na początek podejść do sprawy, jaka pomoc będzie panu potrzebna, jakie wyposażenie biura, jakie towary są dopuszczalne przy obecnym statusie planety. Tego typu rzeczy. Mam do pana pełne zaufanie, że wykona pan robotę dokładnie i rzeczowo. Podwyżka pana pensji zostanie wprowadzona do komputerów kompanii natychmiast. Sądzę, że to już wszystko. – Wyciągnął rękę, żeby przerwać połączenie, zatrzymał się. – Jeszcze jedna sprawa. Jak w ogóle udało się panu zapłacić za to połączenie?

– To był prezent od przyjaciela – wymamrotał Ethan oszołomiony.

– Aha. Wspaniały przyjaciel. No cóż, ogromną przyjemność sprawiła mi nasza rozmowa, tak, ogromną. Może któregoś dnia okoliczności pozwolą panu złożyć wizytę na Moth i wtedy będziemy mogli spotkać się osobiście. To śliczne miejsce. Wszystkie udogodnienia, a żadnych towarzyszących im ograniczeń i mnóstwo miejsca, żeby człowiek mógł pogimnastkować tak nogi, jak i umysł.

– Oczywiście. – Pewno, sam nie chcesz narażać się na ryzyko odmrożenia swojego cennego tyłka przyjeżdżając tutaj, pomyślał Ethan. Gdyby znał lepiej Maxima Malaikę, może by tego nie pomyślał. A zresztą... Był wściekły: na Malaikę, na siebie.

– A więc do widzenia, Fortune. *Kwa heri*. Będę z niecierpliwością czekał na ten pana raport.

Ekran wypełniły szумы, potem obraz znikł. Operator pomajstrował przy paru instrumentach, wreszcie obrócił się razem z krzesłem i popatrzył na nich obu.

– Transmisja przerwana z tamtej strony. Coś jeszcze? Ethan nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, tylko wstając potrząsnął głową. A jemu wydawało się, że to on jest wcale dobrym sprzedawcą. Operator rozszczelnił kopułkę, wypuścił ich. Kiedy wielkimi krokami szli w stronę korytarza, czekający w kolejce urzędnicy wytrzeszczali na nich oczy.

– No, mój chłopcze, wszystko będzie dobrze. – September pocieszająco objął Ethana za ramiona.

– Pewno, że tak. Dla Malaiki.

– A te pieniądze?

– Pieniądze nie kupią szczęścia, Skuo.

– Wiesz co, chłopcze, wydaje się, że mamy różne poglądy na tę sprawę. Powinieneś podziwiać twojego szefa. Zrobił to tak, że cała sprawa w równym stopniu wyglądała na pomysł twój, co jego. W rzeczywistości ani razu nie dał ci możliwości wyboru.

Korytarz zakręcił, a oni razem z nim.

– Ta podwyżka i awans dają mi satysfakcję, pewnie. Żałuję tylko, że nie zaoferowano mi ich na chociaż trochę bardziej przyjaznym świecie. – Machnął głową w kierunku jednego z zaizolowanych okien, pokazując na wieczny śnieg i lód na zewnątrz.

– Cóż to? Czyżbyś nie kochał już poczciwej starej Tran-ky-ky? Sądziłem, że teraz będziesz się tutaj czuł jak w domu, mój chłopcze. Przecież nie wygląda na to, żebyś przez następne kilka lat miał jeździć po lodzie na *Slanderscree*. Będziesz miał podwładnych, którzy za ciebie odwalą robotę terenową, podczas gdy ty będziesz sobie siedział tutaj, w budynku kupieckim, w swoim sympatycznym, ciepłym biurze, wgapiał się w rozrywkowe trójwymiarówki i czytał dobre książki. Skoro już zainstalowali to pasmo dalekiego zasięgu kosmicznego, nie musisz się czuć odcięty od tego, co będzie się działo w reszcie Wspólnoty. Będziesz otrzymywał wieści i przyjmował nowych gości – może uda ci się nawet zaangażować kilka kompetentnych, młodych dam do pomocy – i za kilka lat, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, dasz się wynieść na orbitę do jakiegoś Paryża czy innego komfortowego miejsca.

– W twoich ustach to wszystko brzmi tak rozsądnie i zachęcająco. Jesteś pewien, że po cichu nie pracujesz dla Malaiki?

– Mało prawdopodobne, chłopcze. A jeżeli tranowie otrzymają status stowarzyszonych, będziesz mógł korzystać z lodolotu chcąc skontrolować swoich ludzi w terenie. Twój awans wyjdzie na dobre i tobie, i naszym przyjaciółom.

– Jeżeli to wszystko jest takie cudowne, czemu nie zadzwonisz do Malaiki i nie zaproponujesz mu, że sam weźmiesz to stanowisko?

Oczy Septembra rozszerzyły się.

– Co ty, myślisz, że zwariowałem, czy co? Odlatuję stąd najbliższym statkiem!

## ROZDZIAŁ 2

Jeżeli w jakimś budynku placówki miało dochodzić do spotkań ludzi z tranami, budynek taki wyposażano w salę przejściową, Czyli pomieszczenie, w którym temperaturę obniżano do paru kresek powyżej zera. Tranowie przekonali się, że są w stanie wytrzymać takie tropikalne warunki, z kolei ludzie mogli tam rozmawiać bez obciążenia w postaci kombinezonów ochronnych; taki mikroklimat, w którym różne rasy żyjące w różnych temperaturach mogły zejść się ze sobą. Właśnie w takiej sali mieli się spotkać z Hunnarem Rudobrodym. Czekali na niego na korytarzu.

Może Skua ma rację. Decyzja została podjęta. Niczego nie zyska, bocząc się i oplakując swój los. Było mnóstwo ludzi, którzy z wielką chęcią zamieniliby się z nim na miejscami szansę. A jeżeli zmieni zdanie, zawsze może zrezygnować. Pewnie, że może. Wystarczy rzucić pracę, karierę, swoje wyższe stanowisko W Domu i, jak to trafnie ujął Malaika, życiową szansę dla kogoś W jego wieku.

– Przynajmniej będę miał jednego starego przyjaciela, który mi dotrzyma towarzystwa.

– Och, nawiązesz tu mnóstwo znajomości – ochoczo zgodził się September. – Niemożliwe, by były tu same takie nadęte sztywniaki, jak ta banda w łączności. Zaprzyjaźnisz się z całą masą ludzi, jak tylko zaczniesz się spotykać z personelem.

– Nie mówiłem o nowych znajomościach.

– Co takiego? – Olbrzym spojrzał na niego z ukosa. – Prr, mój chłopcze, na to nie licz. Kiedy *Spindizy* usadzi się na orbicie, zbieram się, odlatuję na Alaspin i już. Na Alaspin i do ciepłych krajów oraz troskliwej i pełnej zrozumienia przyjaciółki.

– A cóż to mówiłeś o wspaniałych szansach Tran-ky-ky i jej zachwycającej ludności?

– Samą prawdę, mój chłopcze, samą prawdę; pomyśl tylko, ile pychoty pociągniesz z tej szklanki. Z radością bym został i dotrzymał ci towarzystwa, gdyby nie moje wcześniejsze zobowiązania.

– Jakie zobowiązania? Obietnica sprzed dwóch i pół roku, że przyłączysz się do jakiejś archeolożki na jakimś dalekim świecie? Ona pewnie tymczasem już o tym kompletnie zapomniała.

– Ach, mój chłopcze, tu właśnie się mylisz. Ci, którzy zetkną się ze starym Skuą, nie zapominają go tak szybko, a obietnica jest obietnicą, nawet jeżeli wypełniam ją z pewnym opóźnieniem.

Zdegustowany Ethan pokiwał głową.

– A więc to tak? Po prostu mnie porzucasz?

– No, no, chłopcze. – September sprawiał wrażenie dotkniętego. – Wcale cię nie porzucam. Po prostu zdecydowałaś się tutaj zostać. Przecież wciąż jeszcze możesz wyjechać ze mną, jeżeli tylko zechcesz.

– Chyba, że mogę.

– Chyba, to właściwe słowo. Czy naprawdę chciałbyś mi odebrać możliwość wyboru, tak jak ją sobie odebrałeś? Przecież ja nawet nie mam tu żadnej pracy.

– Mogę ci dać pracę. W końcu mam tu rządzić, pamiętasz? Mógłbyś zostać jednym z moich kierowników. Jestem pewien, że udałoby mi się załatwić ci dobrą pensję.

– To za mało, mój chłopcze. Ten oto stary Skua niezbyt kocha stałe zatrudnienie. Bardziej mu leży przenoszenie się z miejsca na miejsce, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

Ethan odwrócił się od niego.

– No to w porządku, ruszaj stąd, odejdz, zapomnij o tym. O mnie też zapomnij. Zobaczysz, czy się tym przejmę.

– Miałem nadzieję – powiedział Skua cicho – że kiedy przyjdzie czas na nasze ostateczne rozstanie, pożegnamy się bardziej serdecznie. Zbyt wiele przeżyliśmy przez ten ostatni rok, a nawet dłużej, żeby mówić sobie „żegnaj” bez uśmiechu, mój chłopcze. – Ethan nie odpowiedział. – Pozwól, że ujmę to inaczej. Czy poprosiłbyś kogokolwiek innego, żeby tu został, gdyby nie musiał tego robić?

Młody człowiek zastanowił się, potem ciężko oparł się o ścianę.

– Nie. Nie. Masz rację, niech cię wszyscy diabli. Nie mam prawa oczekiwać, że zostaniesz tu tylko po to, żeby mnie było lżej. Wleciesz ze sobą już dość bagażu emocjonalnego, żebyś jeszcze ja miał na ciebie zwałać dodatkowe poczucie winy. -

Udało mu się uśmiechnąć. – Może to mi przyniesie ulgę, gdy sobie pomyślę, że chociaż jeden z nas dobrze się gdzieś bawi, Odpoczywając i wylegując się na słońcu.

– Coś mi się zdaje, że masz fałszywe wyobrażenie o tym, o co chodzi w archeologii, mój chłopcze. Z tego co słyszałem, ten Alaspin jest prymitywny jak mało który świat. Nie sądzę, żeby tam już zmontowali pasmo dalekiego zasięgu kosmicznego. Ale jeżeli istnieje możliwość telepatycznego przekazywania ciepła, zrobię, co będę mógł, żeby się nim z tobą podzielić. Może któregoś dnia spotkamy się w bardziej sprzyjających okolicznościach. – Obydwie ściany zamykające salę przejściową były przezroczyście; Skua ominął wzrokiem Ethana i patrzył na zewnątrz. – Odłóżmy teraz na bok podjęte już decyzje. Oto nadchodzą nasi przyjaciele.

Ethan odwrócił się. Z dworu nadchodzili Hunnar i jego dwaj giermkowie, Suaxus dal-Jagger i Budjir. Zatrzymali się przy Wejściu do sali, potem wkroczyli do środka machając do swoich Człowieczych przyjaciół. Nie mogli wejść dalej, ponieważ przy panującej wewnątrz placówki temperaturze po piętnastu minutach powaliłby ich udar cieplny. Kiedy Ethan i Skua przeszli do lali spotkań, podmuch zimnego powietrza uderzył w ich odkrytą skórę. Wyjście z przyjemnych,

zamkniętych pomieszczeń placówki to zawsze był szok, a przecież wcale nie opuścili budynku. Na zewnątrz, na lodzie, termometr w południe wahał się pomiędzy dwudziestoma a trzydziestoma stopniami mrozu – i to w bezchmurny dzień. W pobliżu biegunów byto tak zimno, że gdyby nie stała cyrkulacja powietrza, pewnie nawet ono zamarłoby i spadło jak kurzawa na ziemię. Hunnar chyba trochę utył, dumiał Ethan. Już było widać wpływ małżeństwa. Wymienili powitania.

– No i cóż, przyjacielu Ethanie, czy udało ci się porozmawiać poprzez noc ze swoim landgrafem? – Widocznie mina Ethana była niezwykle wyrazista, bo głos trana przybrał zatroskane brzmienie. – Źle poszło?

– Nie, nie żeby źle. Tylko że... zdecydowano, że mam tu zostać i kontynuować swoją pracę.

– Tutaj? – Suaxus nastawił swoje szpiczaste uszy. – Z nami? Ależ to wspaniałe wiadomości, Sir Ethanie!

– To wspaniale – Hunnar zgodził się z giermkim. – Rozumiem, że nie będziesz mógł wrócić razem z nami na Sofold, ale ponieważ mamy teraz *Slanderscree*, będziemy w stanie cię odwiedzać.

– Tak, a któregoś dnia ja przyjadę do was lodolotem.

Wbrew temu, co powiedział Malaika o zleceniu podwładnym wykonywania prac terenowych, Ethan wiedział, że nie można przecież wypuścić grupy bezbronnych nowicjuszy na powierzchnię Tran-ky-ky bez osobistego dozoru. Nie przetrwaliby nawet miesiąca. Tranowie żywcem by ich zjedli, może nawet dosłownie.

– Wiem, że nie odpowiada ci nasz klimat i niektórzy z moich pobratymców – powiedział spostrzegawczy Hunnar – i może wciąż chciałbyś wrócić do swojego domu, ale zawsze i wszędzie, gdzie tylko się da, będziemy ze wszystkich sił starali się stworzyć dla ciebie dom tu, wśród nas.

– Nie będzie tak źle – zapewnił go Ethan, mówiąc tyleż do siebie, co do swoich przyjaciół. – Dla komiwojażera dom jest tam, gdzie włączy swój monitor z listą zamówień.

I mam tu już przyjaciół, pomyślał. Kiedy się zaprzyjaźnisz z tranem, masz przyjaciela na całe życie, nie tak jak z ludźmi. Klepnął po ramieniu Hunnara, poczuł pod czułą rękawicą kombinezonu ochronnego gęste, szpeciniaste futro.

– Chodźmy zobaczyć, jak posuwa się naprawa *Slanderscree*. Teraz, kiedy mam tutaj oficjalne stanowisko, będę wam w stanie dużo więcej pomóc. Rzeczy potrzebne kapitanowi Ta-hodingowi, jakieś zawiasy, kleje czy sworznie, wszystko będę mógł zarekwirować z magazynów placówki i obciążyć tym konto kompanii. Mogę to wszystko podciągnąć pod instruowanie klientów.

Narzucił kaptur, ale nie uszczelnił osłony. Może sam sobie pomóc nie zdoła, ale, kurczę, przyjaciołom pomóc może.

– Tak trzymać, mój chłopcze. – September zawahał się. – Kiedy wy pójdziecie zlustrować *Slanderscree*, ja pobieram do kupy to, co posiadam z rzeczy osobistych. Wahadłowiec *Spindizzy*

powinien już całkiem niedługo przylecieć, a nie chciałbym się spóźnić.

Ethan odwrócił się i szeroko uśmiechnął do swojego przyjaciela.

– Wiesz, jakie są te towarowe wahadłowce. Niektóre z nich nie są duże. – September miał sześć stóp dziesięć cali wzrostu i zbudowany był jak czołg. – A co zrobisz, jeżeli nic będą mieli wystarczająco szerokiego fotela dla ciebie?

– W takim przypadku, chłopcze, każę nadzwyczajnemu przedstawicielowi Domu Malaiki zamówić dla mnie specjalną skrzynię i wyślę się jako przesyłkę towarową. – Puścił oko. – Tak się składa, że osobiście znam tego przedstawiciela i winien On mi jest jedną czy dwie przysługi.

\* \* \*

Faktem jest, że September nie całkiem był jeszcze gotów do Odlotu, kiedy Ethan nacisnął brzęczyk osadzony w drzwiach przydzielonego olbrzymowi mieszkania. Minęło kilka dni i wahadłowiec *Spindizzy* spoczywał już w hangarze placówki, wciąż jeszcze przyjmując na pokład ładunki i pocztę.

Drzwi się rozsunęły i ukazał się widok, jaki napotkało dotąd niewiele ludzkich oczu, niewielu zresztą miałoby na to ochotę – Skua September odziany w samą bieliznę.

– Wejdz, mój chłopcze, wejdz. Jeszcze tylko chwilka do odjazdu i przyjdzie czas, kiedy przypomnisz sobie to wszystko, co mi chciałeś powiedzieć, a nie powiedziałaś. – Przykrył dłonią kontrolkę zamknięcia, ale Ethan wciąż stał na korytarzu.

– Mam nadzieję, że nie masz zamiaru odjeżdżać w tym stanie.

– Nie na tym świecie. W hangarze jest i tak zimno. Wejdziesz wreszcie, zanim narazimy na wstrząs jakiegoś przygodnego technokratę.

– Obawiam się, że nie mogę, Skuo. To ty będziesz musiał wyjść.

Olbrzym ściągnął swoje krzaczaste brwi.

– Nie baw się ze mną w zagadki, mój chłopcze. Nie teraz. Nie ma już żadnych spraw, które wymagałyby mojej obecności.

– Niestety ktoś jest innego zdania.

– A któż to może być?

– Nowy Stały Komisarz.

September popatrzył spode łba na drzwi.

– Jak to? Jeżeli potrzebne jest im ode mnie jakieś zeznanie czy oświadczenie, mogą mnie łapać na



Alaspinie – jeżeli uda im się wytropić stanowisko Isili.

– To nie takie proste, Skuo. Ona oznakowała twoją kartę pokładową.

– Cudownie – wymamrotał Skua. – Jeżeli jakaś biurwa sądzi, że uniemożliwi mi wejście na ten wahadłowiec, to się zdziwi tym, co ją czeka.

– Ona wie, co ją czeka. Wizyta twoja i moja. – Spojrzał na swój chronometr. – Dokładnie mówiąc za dwadzieścia minut. W jej biurze.

– O co tu chodzi? – September nie starał się ukryć irytacji. – Już wprowadziliśmy do oficjalnych raportów wszystko, co się stało pod Moulokinem.

– Nie podniecaj się – doradził mu Ethan. Od podnieconego Septembra nawet jego przyjaciele usiłowali trzymać się z daleka. – Jestem pewien, że to tylko jakaś formalność. W pięć minut będzie po wszystkim, wyjdiesz stamtąd i ruszysz w drogę. Nawet nie wiemy, z jakiego powodu ona chce nas widzieć. Może chce się tylko przywitać, a w twoim przypadku pożegnać.

– Ciebie też chce widzieć, hmm? Ethan skinął głową.

– Zanim się doprowadzisz do rozstroju nerwowego i całkiem wyjdiesz z siebie, chodźmy tam po prostu i zobaczymy, czego ona chce. Poza tym, czy nie jesteś ciekaw, kogo Wspólnota przysłała na miejsce tego cwaniaka Trelła? To niezwykle ważne dla przyszłości tranów.

– No tak, chociaż nie dla przyszłości Septembra. – Skua westchnął z rezygnacją. – Ale jeżeli ona oznakowała moją kartę pokładową, to nie mam wyboru. Zaczekaj, tylko znajdę coś do włożenia. Może, jeżeli jest młoda i niedoświadczona, musi porozmawiać sobie ze starym Skuą, żeby się dowiedzieć, o co właściwie na tym świecie chodzi?

– A co z twoim wahadłowcem?

– Na ważne rzeczy w życiu zawsze znajdzie się czas, mój chłopcze.

\* \* \*

Biuro Stałego Komisarza zajmowało wierzchołek trójkątnej budowli, w której mieściła się duża część lokalnego kompleksu administracyjnego Wspólnoty. Z samego czubka rozciągał się szeroki widok na placówkę Dętej Małpy, skromną społeczność tranów, która naokoło niej wyrosła i leżący za nią port, który przypominał fiord. Trańskie statki lodowe stały przycumowane do niskich, kamiennych doków, szukając ochrony przed wiatrem, który dął od otwartego lodowego oceanu.

Zarówno niepokój Ethana, jak i oczekiwania Skuy okazały się nie na miejscu. Nowy Stały Komisarz Tran-ky-ky był sympatyczną, przystojną damą w wieku siedemdziesięciu kilku lat. Miała ona na sobie surowy, jasnoniebieski spodniem i pasujące kolorem insygnia Wspólnoty. Dwa pasemka w dokładnie tym samym odcieniu błękitu tworzyły równoległe pasy w jej srebrzystych włosach. Mimo wieku nie wyglądała na niczyją babcie. Ruchy miała powolne, a głos ciepły. Nazywała się Millicent Stanhope.

– Siadajcie, panowie.

– Niech no pani posłucha – zaczął September nie czekając, żeby mu udzielono głosu. – Nie mogę tu zostać na dłużej. Mam rezerwację na *Spindizy*, jak pani wie, i nie chcę się spóźnić. Już i tak utknąłem na tym świecie zbyt długo.

– Spokojnie, panie September. Czytałam pana oficjalny raport. Wiem, że zależy panu na odlocie. Nie zatrzymam pana długo. – Przeniosła spojrzenie na Ethana. – A pan, panie Fortune, jak rozumiem, zostanie z nami jeszcze na jakiś czas. To dobrze. Będę chciała wykorzystać pana unikalne doświadczenia.

– Z chęcią udzielę pani pomocy, kiedy tylko będę mógł – zapewnił ją Ethan, równocześnie uświadamiając sobie, jak prawdziwe były zapewnienia Maxima Malaiki.

September nie miał nastroju na miłe słówka.

– Jeżeli czytała pani nasze sprawozdania, skąd konieczność tego spotkania?

– Proszę, niech pan dołoży starań i spróbuje się odprężyć, panie September. Przysięgam panu, że nie spóźni się pan na swój lot.

September opadł na oparcie fotela, ale nie przestawał niedwuznacznie zerkać na ścienny chronometr, chociaż do planowego odlotu wahadłowca pozostawało aż nadto czasu.

– Jest ta sprawa śmierci mojego poprzednika, pana Jobiusa Trella. – Ethan poprawił się niespokojnie na fotelu. – Zgodnie z panów raportem został zabity, kiedy posługując się nowoczesną bronią usiłował siłą narzucić miejscowej ludności nielegalny i zdierczy monopol handlowy.

– Tak jest – potwierdził Ethan.

– Niejasne w panów opisie są szczegóły dotyczące jego śmierci. Zastanawiałam się, czy mogliby ponownie omówić to szerzej.

Ethan rzucił okiem na Septembra, który wpatrywał się w sufit z pełnym skupieniem i natężeniem. Niezręczne milczenie przedłużało się.

– Widzicie, panowie, mam powód, żeby o to pytać – powiedziała im w końcu Stanhope. – Spędziłam w służbie dyplomatycznej czterdzieści trzy lata. Za sześć miesięcy idę na emeryturę i nie chcę, by cokolwiek, dokładnie cokolwiek popsuło mi moje akta. Nie szukam ani kozłów ofiarnych, ani morderców. Po prostu nie chcę żadnych niespodzianek. To wszystko. Przysięgam, że to, co mi panowie powiecie, zatrzymam dla siebie i nic nie wyjdzie poza naszą trójkę, ale jeżeli nie mam utrzymywać stosunków z tubylcami na ślepo, muszę wiedzieć o wszystkim, co się dzieło.

Nie zwracając uwagi na milczący protest Septembra, Ethan zrelacjonował wydarzenia, które doprowadziły do śmierci poprzedniego Stałego Komisarza, opowiedział o jego perfidnym sojuszu z byłym Landgrafem Asurdunu i o tym, jak manipulował on obłąkanym byłym Landgrafem Poyolavommaru. Kiedy zakończył opowiadanie, Stanhope z wdzięcznością rozparła się w swoim

fotelu.

– Dziękuję panu, panie Fortune. Doceniam pańską otwartość. To słowo rzadko używane przedstawicieli korpusu dyplomatycznego.

– Powiedziała pani sześć miesięcy. – Ethan usiłował zmienić temat. – Proszę nie wziąć tego za złe, ale jestem zaskoczony, że w podobne miejsce wysłano kogoś tak bliskiego emerytury.

Pani komisarz cicho się roześmiała.

– Och, ja prosiłam o to stanowisko. Na to September przestał się dąsać.

– Prosiła pani, żeby tu panią wysłano?

– Owszem. Na tym świecie jest tylko ta jedna placówka, formalnie nie jest to nawet kolonia, dla kogoś z moim stażem pracy trudno byłoby znaleźć coś o niższej klasyfikacji. Nic się tu nie dzieje. Raz na miesiąc zatrzymuje się statek o napędzie KK, który jeździ z Santosa V na Draxa IV. I tyle. Dla dyplomaty posada na Tran-ky-ky jest nieciekawa, a praca nudna i nieprestżowa. I właśnie dlatego zależało mi, żeby tu przyjechać. – W jej głosie pojawił się stalowy ton, uśmiech stał się nieco bardziej mroczny. – Sześć miesięcy, panowie. Pozostało mi sześć miesięcy. Chcę, żeby upłynęły tak spokojnie i bez zakłóceń, jakby ich wcale nie było. Przyjechałam tu, żeby zapomniano o mnie na pół roku. Potem będę mogła udać się na emeryturę do mojej kwatery na Praxitelesie i pracować nad rzeźbą laserową.

– A co ma pani zamiar zrobić w sprawie tranów? – zapytał ją Ethan.

– Prawdę mówiąc, słodkie stworzenia z tych waszych tranów.

September ryknął śmiechem.

– Mniej więcej takie słodkie, jak kanibale na łyżwach.

– Niewykluczone. Ale ponieważ dzięki waszym filantropijnym wysiłkom wydają się ślicznie rozwijać sami z siebie, nie mam zamiaru robić absolutnie nic. Po prostu nie będę im wchodzić w drogę. Zresztą nikomu, mam nadzieję, nie będę wchodzić w drogę. Jeżeli pojawią się jakieś sprawy, które będą wymagały mojej uwagi, spodziewam się, że moi asystenci i zaangażowani cywile, tacy jak pan, panie Fortune, zwrócą mi na nie uwagę. W zamian za tę radę zrobię co w mojej mocy, żeby panu również nie wchodzić w drogę.

Wiem, że ma pan zamiar założyć tu oficjalną gałąź domu handlowego Malaiki. Dołożę starań, żeby ułatwić panu pracę, jak najmniej obciążając sprawami biurokratycznymi. W zamian za to będę oczekiwała, że pan i inni będziecie działali jak moje oczy i uszy wśród tubylców. Co do mnie, uznam mój służbowy pobyt tutaj za zakończony sukcesem, jeżeli uda mi się krokiem nie ruszyć z tego biura, poza posiłkami i spaniem. Mam nadzieję, że wyraziłam się zupełnie jasno.

Ethan kiwnął głową.

– Całkowicie, pani Stanhope.

Pani komisarz zerknęła na Septembra.

– I oczekuję, że przez co najmniej sześć miesięcy zachowają panowie milczenie w sprawie kłopotów, jakie tu panowie mieliście, zwłaszcza, że dotyczą one świętej pamięci pana Trella.

September przybrał pełen godności wyraz twarzy.

– Zapewniam panią, że wywnętrzanie się przed oficjelnymi rządowymi znajduje się niemal na samym końcu listy moich priorytetów. Ruszam w drogę w świat, w porównaniu z którym ten tu, robiłby wrażenie zaawansowanego, i na rok czy dwa mam tam zamiar zagrzebać się w dżungli.

– A więc wszyscy się zgadzamy co do kierunku, w jakim na przyszłość będziemy podążać. Dobrze. – Pani komisarz wstała. Oznaczało to pożegnanie. – Panie Fortune, wyobrażam sobie, że ma pan mnóstwo pracy. Panie September, pewnie ma pan jakieś ostatnie sprawy do zakończenia przed odlotem.

September podszedł do biurka i ujął ją za rękę. Jej dłoń zniknęła w jego masywnej łapie.

– Dobrze wiedzieć, że przyszłość Tran-ky-ky znalazła się w takich troskliwych rękach, przynajmniej na pół roku.

– Jest pan rycerski, panie September. – Pani komisarz odzyskała swoje palce, znowu usiadła. – A teraz, jeżeli wybaczycie mi panowie, mam całe mnóstwo niczego do zrobienia i nie mogę się doczekać, żeby już zacząć.

Gdy jechali windą na parter, mina Septembra wyrażała wyraźne zaskoczenie.

– Intrygująca staruszka. Żałuję, że nie znałem jej ze dwadzieścia lat temu.

– Trochę za sztywna jak na mój gust – powiedział Ethan.

– Nie bądź zbyt pochopny w sądach, mój chłopcze. Nigdy nic nie wiadomo z takimi stalookimi typami. Pod tą twardą skorupą zewnętrzną bije pewnie serce z czystego betonu.

Drzwi windy rozsunęły się i niemal potknęli się o pogrążonego w myślach Millikena Williamsa.

Podczas porwania zamożnych du Kane'ów malutki nauczyciel, podobnie jak Ethan i Skua, znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze i podobnie jak oni został wbrew swojej woli przewieziony na powierzchnię Tran-ky-ky. Był kompletnie bezpretensjonalny i ciągle za coś przeproszał, chyba że akurat zapoznawał tranów na przykład z prochem strzelniczym czy kuszą, czy robił coś innego w tym rodzaju. Ethan miał wrażenie, że nauczyciel jest zmartwiony. Taki był zresztą zazwyczaj stan umysłu Williamsa. Zawsze się martwił tym, że coś pójdzie źle, a kiedy wszystko szło dobrze, martwił się, dlaczego tak jest.

– Właśnie po was szedłem. – Przeniósł wzrok z jednej twarzy na drugą. – Czy moglibyście

poświęcić mi chwilę?

September zaczął przewracać oczami.

– Każdemu potrzeba minutkę czasu starego Skuy. Kończą mi się już minutki, Millikenie.

– Proszę was. To strasznie ważne.

– A co nie jest strasznie ważne? No dobrze. – Rozejrzał się, z rezygnacją wskazał w kierunku bufetu administracji. – Mógłbym coś przegryźć, zanim wsiądę na wahadłowiec.

Była pora między posiłkami i sala świeciła pustkami. Trańskie futra i rękodzieła ozdabiające ściany nadawały trochę charakteru temu skądinąd mdłemu pomieszczeniu. Automaty z jedzeniem stały wzdłuż jednej ze ścian. Po zewnętrznej stronie opływowych okien z potrójnymi szybami tworzyły się abstrakcyjne wzory, kiedy wiatr roztrzaskiwał cząsteczki lodu o szkło. Zamówili sobie jedzenie i picie i usadowili się w kabinie w pobliżu okna.

– Skuo – zapytał poważnie Williams – jak bardzo jesteś zdecydowany odlecieć z Tran-ky-ky?

September nie powiedział nic, siedział tylko i gapił się na niego.

– Czy tutaj zawiązano jakiś spisek, a stary Skua nic o ni – czym nie wie? Najpierw ty, mój chłopcze, a teraz ten nasz malutki, przeuczony przyjaciel.

– Nie istnieje coś takiego jak przeuczenie – odpowiedział Williams sztywno. – Zadałem ci całkowicie niedwuznaczne pytanie. A jeżeli mamy już wymieniać uwagi na temat rozmiarów, to pozwól sobie powiedzieć, że dziesięć razy wolę mieć swój wzrost, niż być groteskową odmianą makrocefala, jak niektóre znane mi osoby.

– Masz na myśli makromózgowca – sprostował September. – Zresztą wszystko jedno. Tyle tylko, że nie jesteś pierwszy w kolejce.

– Co się dzieje, Millikenie? – zapytał go Ethan.

– Wygląda na to, że mamy niewielki problem. Właściwie to więcej niż niewielki. Bardzo znaczny problem.

– Co to za problem? – Ethan potrafił okazać nauczycielowi cierpliwość. Milliken miał zwyczaj krążyć dookoła tematu, zamiast przechodzić do sedna sprawy i trzeba go było popędzać, żeby rozmowa nie grzęzła wśród rzeczy nieistotnych.

– Chodzi o Tran-ky-ky.

– Tyle sam się domyśliłem. Nie chciałbym, żeby to brzmiało, jakbym cię przynagłał, Millikenie, ale Skua musi zdążyć złapać wahadłowiec.

– Jeszcze mnóstwo czasu do startu. Wiem. Sprawdziłem rozkład lotów. Zastanawiałem się tylko,

czy zechcielibyście wysłuchać pełnego omówienia tego problemu.

– Cokolwiek, żeby tylko z tym skończyć. – September jednym kęsem pochłonął resztę kanapki.

– Mówiłeś, że chodzi o Tran-ky-ky – przypomniał Ethan nauczycielowi. – W czym rzecz?

– Nie jesteśmy pewni. Cała planeta może być narażona na niebezpieczeństwo.

Ethan powoli sączył swój napój.

– Słońce nie ma zamiaru zmienić się w supernową, czy coś w tym rodzaju?

– Nie, nie, nic tak nagłego ani dramatycznego. Tylko że, no, jest taka anomalia klimatyczna, której nikt nie potrafi przyzwoicie wytłumaczyć i to doprowadza personel meteorologiczny do obłądu. Członkowie miejscowej społeczności naukowej dowiedzieli się już wszystkiego o nas trzech i o naszych do – świadczeniach. Wiedzą, że nasza znajomość Tran-ky-ky nie jest teoretyczna, że poznaliśmy kawałek świata poza Dętą Małą i to osobiście, na własnej skórze.

– Na własnej skórze i własnymi rękami, nie ma gadania – - powiedział September. – Nie wiem tylko, czy udział w spuszczeniu manta wrogim tubylcom kwalifikuje nas na ekspertów naukowych w jakiegokolwiek dziedzinie.

Na twarzy Williamsa nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

– To poważna sprawa, Skuo.

– Niech nas bogowie bronią od poważnych spraw. To, co mówisz, oznacza, że jacyś ludzie chcą nam zadać parę pytań, prawda?

Williams skinął głową.

– Millikenie, jesteś jedynym z nas, który ma za sobą coś, co można by nazwać naukową edukacją. Byłeś wszędzie tam gdzie Skua i ja. Czemu oni nie porozmawiają z tobą? – dopytywał się Ethan.

– Po pierwsze dlatego, że nikt jeszcze nie ma całkowitej pewności, czy ta sprawa jest czysto naukowej natury, a po drugie, ponieważ część personelu powątpiewa w swoje własne wnioski. Rozpaczliwie poszukują jak największej ilości możliwych wyjaśnień. Obawiają się śmieszności. A ponieważ my trzech objechaliśmy tu kawał świata i wiemy, jaka jest Tran-ky-ky, mają nadzieję, że nie będziemy się z nich wyśmiewać. Kłócić się i dyskutować, tak, ale nie wyśmiewać.

September odepchnął się od stołu.

– Niech nie będą tacy pewni. Zabierajmy się do tego.

– Czy musimy wyjść na zewnątrz? – Ethan wpatrywał się w zawieję śnieżną, która rozpełtała się właśnie za oknami bufetu.

– Do głównego centrum naukowego można dojść podziemnymi korytarzami, ale szybciej byłoby, gdybyśmy wyszli na zewnątrz i poszli na skróty.

– Z ochotą przejdziemy tych kilka dodatkowych metrów – zapewnił go Ethan.

## ROZDZIAŁ 3

Podczas dotychczasowych krótkich pobytów Ethana i Skuy w Dętej Małpie nie było żadnych powodów, żeby któryś z nich miał odwiedzać centrum badawcze. Mieściło się ono w najstarszej grupie budynków w Dętej Małpie i było głównym powodem, dla którego placówka w ogóle powstała: w pierwszym rzucie patrole, potem naukowcy, na końcu urzędnicy. Podobnie jak większość zabudowań placówki, centrum w dużej części wkopane było pod lód i wieczną zmarzlinę.

Duża sala konferencyjna, do której prowadził ich Williams, znajdowała się kilka poziomów pod powierzchnią Asurdunu. Kiedy weszli do środka, z pół tuzina zaciekawionych twarzy odwróciło się w ich stronę i patrzyło na nich badawczo. Z całego tego kipiącego od inteligentnych spekulacji gremium wychynęła jakaś kobieta, nawet jeszcze niższa niż nauczyciel. Miała na sobie jaskrawoniebieski kombinezon z zielonymi i białymi oznakami i łatami. Ethan był rozczarowany, spodziewał się białego fartucha laboratoryjnego. Jej włosy proste, kruczoczarne, obcięte były równo tuż nad ramionami. Mogła mieć lat trzydzieści, albo sześćdziesiąt, nie potrafił określić. Energicznie uściśnęła im rękę.

– Nazywam się Cheela Hwang. A oto moi współpropagatorzy kryzysu. – Po kolei przedstawiała swoich kolegów. – Jeśli wam Milliken nie powiedział, to jestem kierownikiem wydziału meteorologii w Dętej Małpie. Znacie Tran-ky-ky, możecie więc być pewni, że stanowimy tutaj całkiem spory zespół.

– Pogoda to niemal jedyna rzecz, jaką na tym świecie warto studiować – skomentował September – oczywiście poza tubylcami.

Hwang zadarła głowę i próbowała spojrzeć mu w oczy.

– Milliken uprzedzał mnie, jakie pan ma i nastawienie, i poczucie humoru, panie September.

Olbrzym lekko wyszczerzył zęby.

– Postaram się zachowywać w cywilizowany sposób i nie zjeść żadnego z pani podwładnych.

– Cóż to za problem, którym się tak przejmujecie? – zapytał Ethan.

– Proszę tutaj.

Poprowadziła ich pod przeciwległą ścianę, obracając w palcach małego pilota, którego wyjęła z kieszeni swojego kombinezonu. Ściana rozblęśta światłem. Była scalonym ekranem trójwymiarowym, co wyjaśniało, dlaczego na niej jednej w całym pokoju brakowało obrazów,



fotografii czy zasłon.

– Może poznaje pan to, panie Fortune.

– Wystarczy tylko Ethane. – Wbił wzrok w ścianę zapełnioną po brzegi spiralami i zawijasami. Kolory były jaskrawe, kontury regularne. – Zdjęcia w podczerwieni, ale czego?

– Ziemia, na której stoimy, mój chłopcze. – September gestem pokazał na ścianę. – Ten kleks tam w górze to Asurdun. Te mniejsze plamki przedstawiają miasto Landgrafa, Dętą Małpę i temu podobne.

– Bystre ma pan oko. – W głosie Hwang słychać było aprobatę.

September wzruszył ramionami.

– Mam trochę doświadczenia w rozpoznawaniu cech terenu fotografowanego z lotu ptaka. Dlaczego w podczerwieni? Dlaczego nie zwykłe, satelitarne zdjęcia?

Jeden z kolegów Hwang odezwał się z odrobiną rozgoryczenia w głosie.

– To tylko pomniejsza placówka. Nie zaliczamy się do tych, którym należy się satelita patrolowy z pełnym wyposażeniem. Żadnych kamer o wysokiej rozdzielczości. Tylko najprostsze oprzyrządowanie.

Ethan miał ochotę zapytać swojego przyjaciela, gdzie to nabył on doświadczenia w „rozpoznawaniu cech terenu z lotu ptaka”, ale Hwang już ich popędzała i kiedy obraz się zmieniał, za pomocą wbudowanej w pilota wskazówki obrysowywała różne rzeczy na ścianie.

– Czy poznajecie to? – Środek obrazu był intensywnie pomarańczowy.

– Wygląda jak Sofold – odważył się wypowiedzieć Ethan. – Rodzinna wyspa naszych przyjaciół tranów. Nie można się pomylić co do tego wulkanu na samym środku.

– Słusznie. A to? – Dwaj mężczyźni wpatrywali się w obraz bez wyrazu. – Nic dziwnego – powiedziała im Hwang. – Nie ma sposobu, żebyście to poznali, bo nie byliście tam. Nikt z ludzi nie był. To miejsce leży daleko na południowy wschód od Asurdunu. – Wyświetliła na ścianie szybką sekwencję podobnych obrazów.

– Macie tutaj podczerwoną mozaikę tego dużego, południowego kontynentu. – Jej wskazówka pełzła po obrazach jak jakiś dwuwymiarowy owad. – Zwróćcie uwagę na te miejsca. Te wielkie chmury i – tu wskazówka zjechała niżej – ten ciepły cień na lodowym oceanie.

– A co w nich ciekawego? – zapytał Ethan.

– Nie powinno ich tam być. – To powiedział Gerald Frazer, asystent. – Są całkowicie nie na miejscu. Studiujemy klimat Tran-ky-ky już od dłuższego czasu. Od lat już наносimy go na mapy, a od chwili powstania tutejszej placówki prowadzone są intensywne badania klimatyczne. Nie mieliśmy

żadnych większych niespodzianek. Wszystko, co związane z pogodą, dawało się dość dokładnie przewidzieć i było bardzo spójne. A teraz to. – Machnął ręką w kierunku ściany. – To tak, jakbyście znaleźli kawałek węgla w porcji lodów.

– Gerry ma rację. – Wskazówka Hwang poruszyła się. – Te chmury i ten cień na lodzie są całkiem nie na miejscu. Byłyby może na miejscu na Kansastanie, ale nie na Tran-ky-ky.

– No dobrze, są nie na miejscu. – Ethana zaczynało to intrygować. – Jakie to ma znaczenie? Na co to wskazuje?

– Na zmianę klimatu.

Ethan i Skua wymienili spojrzenia.

– Nie rozumiem – powiedział jej Ethan. – Zamarza mniej czy więcej, co za różnica?

– W tym miejscu nie zamarza.

Ethan przymrużył oczy.

– Przepraszam, co pani powiedziała?

Wpatrzył się od nowa w obraz w podczerwieni starając się zobaczyć to, czego tam nie było. Tymczasem wskazówka Hwang nie przestawała trzepotać się nad ścianą.

– Ten niewielki obszar radykalnie odbiega pod względem temperaturowym od swojego bezpośredniego sąsiedztwa. Oprócz niewytłumaczalnego wzrostu temperatury analiza spektralna wskazuje na radykalną zmianę składu atmosfery bezpośrednio nad tą częścią płaskowyżu kontynentalnego.

– Działalność wulkaniczna – powiedział natychmiast September. – Na Tran-ky-ky jest tego pełno. Nie rozumiem, na czym polega problem.

Hwang uśmiechnęła się.

– Pełen jest pan niespodzianek, panie Skuo. Tak, na tym świecie jest wiele wulkanów, a wystarczająco intensywna aktywność wulkaniczna mogłaby być odpowiedzialna za to, co widzimy na tym terenie, a jednak nie sądzimy, żeby przyczyną miały być wulkany. Nawet przy tak niskiej rozdzielczości nasz satelita jest w stanie rozróżnić stosunkowo niewielkie szczegóły na powierzchni; nic nie świadczy o tym, żeby gdziekolwiek w pobliżu tej anomalii pojawił się jakikolwiek krater.

– A co z otworami termicznymi? – zapytał September. Ethan spojrział na niego zaskoczony, a September odpowiedział mu uśmiechem. – Kiedyś się trochę babrałem w geologii, mój chłopcze.

– O tym również pomyśleliśmy. Braliśmy nawet pod uwagę Czysto spekulacyjne i fantastyczne rozwiązania. Żadne z nich nie pasuje do skali obserwowanego przez nas zjawiska. Gdybyśmy mieli naprawdę przyzwoitego satelitę, z kamerami o wysokiej rozdzielczości na pokładzie... – głos jej na

chwile zamarł. – Ale nie mamy. Nasz satelita orbitalny został zaprojektowany do pomiarów atmosferycznych i prognozowania pogody. Mam zamówioną lepszą aparaturę, ale możecie sobie wyobrazić, jak trudno jest otrzymać kosztowne instrumenty do pracy na tych zacofanych światach.

– Lepiej żeby Hunnar Rudobrody nie usłyszał, jak nazywa pani Tran-ky-ky zacofanym światem – uprzedził Ethan. – Może i tranowie nie są wyrobieni i dojrzały pod względem technologicznym, ale nie są też głupi, a dumni są jak wszyscy diabli.

– Nie musi pan stawać w ich obronie – powiedział któryś z pozostałych badaczy. – My jesteśmy tu po to, żeby spróbować im pomóc, a nie żeby ich obrażać.

– Podejrzewamy działalność wulkaniczną – ciągnęła dalej Hwang – ponieważ na niczym innym nie możemy się oprzeć. Wiemy, że pod nieobecność otwartych przestrzeni wodnych pogodą steruje tutaj wewnętrzne ciepło planety. Moglibyśmy odłożyć całą sprawę, aż przyleci nowe wyposażenie. Ale martwi nas to.

Wysoki geofizyk, o mało prawdopodobnym imieniu Orvil Blanchard, machnął w kierunku ściany kościstą dłonią.

– Proszę nie zapominać, że nie potrafimy znaleźć w tym regionie żadnych cech naturalnych, które tłumaczyłyby, co tam się dzieje. Mimo to zmiany w atmosferze przez cały czas się nasilają. Wydzielanie gazów wulkanicznych zwykle ulega dramatycznym zmianom. Nie wzrasta ze stałą, możliwą do zmierzenia szybkością, jak ta anomalia. A przynajmniej nigdy się z takim wydzielaniem nie spotkałem. To zupełnie tak, jak gdyby w głębi planety ktoś przekreślił kurek.

Hwang wyłączyła ukryty rzutnik trójwymiarówki.

– Możemy tak czy inaczej przypisać to działalności wulkanicznej, ale chcielibyśmy mieć pewność. Ponieważ nasz skromny satelita badawczy nie jest w stanie rozwiązać tego problemu w sposób, który by kogokolwiek mógł zadowolić, nie pozostaje nam nic innego, jak przeprowadzić badania na miejscu. A to stawia nas przed pewnym problemem. Ograniczenia jakie dotyczą stosowania zaawansowanej technologii na światach klasy IVB takich jak Tran-ky-ky sprawiają, że nie mamy dostępu do samolotów ani lodolotów. Zgodnie z założeniem wszystkie potrzebne nam do kontynuowania badań informacje powinniśmy otrzymywać poprzez satelitę. Normalnie to by nam wystarczało.

– Administracja miała lodolot, przewidziany do użytku w sytuacjach awaryjnych, ale jak się zdaje, został on zniszczony, kiedy były komisarz popadł w konflikt z jakimiś wrogo nastawionymi tubylcami. A przynajmniej na to wskazuje wasz raport, z którym nota bene wszyscy się tutaj zapoznali.

– Widziałem na zewnątrz placówki skutery lodowe. A może z nich by skorzystać? – zapytał Ethan.

– Do wykorzystania wyłącznie na krótkie odległości – powiedział Blanchard. – Moglibyśmy zapakować dodatkowe akumulatory, może nawet tyle, żeby odbyć podróż tam i z powrotem, ale nie dalibyśmy rady zabrać ze sobą wystarczającej ilości zapasów. A z tego, co wiemy na temat pogody

tam, na zewnątrz, na oceanie, wiatr mógłby zepchnąć coś tak niewielkiego jak skuter o dwa kilometry do tyłu na każdy kilometr jazdy w przód.

– Poza tym – ciągnęła dalej niecierpliwie Hwang – nikt z nas nie zapuszczał się dalej od Dętej Małpy niż na brzeg wyspy. Geolodzy objechali ją dookoła i nanieśli na mapy, kiedy zakładano tę bazę. I to mniej więcej tyle, jeśli chodzi o nasze badania dalekiego zasięgu. Każdy jest tu jeszcze nowicjuszem na tym świecie. To dlatego wprost pożeraliśmy wasz oficjalny raport. Był wręcz bezcenny dla wszystkich wydziałów. Ale nie mamy żadnego osobistego doświadczenia ani wiedzy o tym, jak tam jest na oceanie. Na przykład nikt z nas, mieszkańców placówki, nigdy nie widział tych zdumiewających stworzeń, które tubylcy nazywają stavanzerami. Podróżowalibyśmy jak ślepi ignoranci i to bez możliwości otrzymania wsparcia samolotów czy lodolotów. Wszyscy chyba zgodzicie się, że byłoby to niezmiernie ryzykowne, a nawet ryzykanckie, by ludzie tacy jak my, nie mający waszego doświadczenia, podejmowali tego typu wyprawę na południowy kontynent.

– Mogę się tu tylko z panią zgodzić – powiedział pogodnie September, ignorując to, co się za tymi słowami kryło.

Kiedy zawiodły subtelne sposoby, Hwang przedstawiła swoją prośbę bezpośrednio.

– A więc niewątpliwie rozumiecie, że potrzebujemy waszej pomocy.

Ethanowi zaświtało nieco wolniej.

– Och, nie. To znaczy z chęcią pomożemy wam w przygotowaniach i będziemy służyć radą i proponować rozwiązania, prawda, Skuo?

Skua niedwuznacznie spojrział na swój chronometr.

– Niewątpliwie, mój chłopcze, o ile nie zajmie to więcej niż kilka godzin. Tylko wybuch supernowej mógłby mi nie pozwolić wsiąść na ten wahadłowiec. Nic innego mnie nie powstrzyma.

Hwang odwróciła się i popatrzyła poważnie na Ethana.

– A pan, panie Fortune? Milliken mówi, że i tak pan tu zostaje.

Ethan rzucił gniewne spojrzenie w kierunku nauczyciela. Spiorunowany wzrokiem Williams nie odwrócił oczu. Czemu właściwie miałby denerwować się na Millikena, zapytał sam siebie Ethan. Co prawda, to prawda.

– Tak, osiadę tu na jakiś czas. Ale jestem odpowiedzialny przed Domem Malaiki. Muszę zorganizować oficjalną placówkę handlową. Obecnie składa się ona z mojej osoby i kilku skrzynek z próbkami, które prawdopodobnie zamarzły na kość w magazynach. Muszę załatwić budowę albo wynajem biur i przestrzeni magazynowej, nająć sobie pomocnika z administracji i zacząć poszukiwania odpowiednich pracowników na innych światach. Trzeba zająć się wypełnianiem i katalogowaniem formularzy, sam nie wiem, od czego mam zacząć.

– W tym możemy panu pomóc – powiedział inny z meteorologów. – Mamy do czynienia z tutejszą

administracją od lat.

– Z naukowego a nie handlowego punktu widzenia – argumentował Ethan. – Muszę też zorganizować jakąś kwaterę dla siebie.

– Możemy panu tu znaleźć stałe mieszkanie. – Blanchard uśmiechnął się szeroko. – Może nie całkiem najwyższy standard, ale kilka miesięcy temu wyjechała para geologów. Może pan mieć dwa mieszkania, jedno dla siebie, a drugie na tymczasowe biura. Lepsze to niż kwatery, jaką by panu przydzieliła administracja.

Ethan czuł się tak, jakby wspinał się na drabinę, żeby uciec przed stadem drapieżników. Gwałtownie zaczynało brakować mu szczebli.

– Słuchajcie, doceniam wasze propozycje i rozumiem sytuację, w jakiej się znaleźliście, ale nie mam nawet minuty czasu dla siebie, muszę odwalić całe tony roboty i nie mogę tak sobie po prostu zniknąć na kilka tygodni. Dopiero co wróciłem do cywilizacji. Jeżeli chodzi wam o statek lodowy, mogę się dla was skontaktować z miastem Asurdun. Możecie wynająć transport do Poyolavomaaru. Jak się już tam znajdziecie, jestem pewien, że uda się wam wynająć statek i załogę, żeby zawiozła was dalej na południe.

– Tam, gdzie my musimy się udać, są białe plamy na mapie. To długa podróż z tego Poyolavomaaru, który opisujecie w swoim raporcie. Nie znamy tubylców ani ich sposobu bycia.

– A czemu nie mielibyście poczekać, aż przyjdzie ta nowa aparatura satelitarna? Otrzymacie wtedy wszystkie odpowiedzi, które wam będą potrzebne, siedząc bezpiecznie i wygodnie w swoich biurach.

– W tej akurat chwili nie chodzi nam o nasze bezpieczeństwo i wygodę – wyjaśniła Hwang. – Chodzi o bezpieczeństwo tych tubylców, tranów. Widzicie, chociaż wasze doświadczenia nie były naszym udziałem, mamy kontakty z tubylcami tu, w Dętej Małpie. Znamy wielu z nich po imieniu i, podobnie jak wy, polubiliśmy ich i zaczęliśmy ich szanować. Nie chcielibyśmy dopuścić do tego, żeby im się coś stało.

– Zaraz, zaraz, chwileczkę. – September wyglądał, jak gdyby się pogubił. – Rozmawialiśmy o niewyjaśnionym zjawisku meteorologicznym, mającym wpływ na część południowego kontynentu. Nikt nic nie mówił o żadnej katastrofie na skalę planetarną.

– Trudno jest o coś takim mówić nie mając konkretnych dowodów – wtrącił się inny z naukowców. – To dlatego tak zależy nam, żeby pojechać i na własne oczy zobaczyć, co się tam dzieje. Wierzmy, że nie zagraża żadna katastrofa – na skalę planetarną czy nawet kontynentalną – ale musimy tam pojechać i przekonać się. I musimy zrobić to jak najszybciej. Nie możemy czekać na dane zaawansowanej aparatury obrazotwórczej, która może przyleci, a może i nie. Prawdopodobnie przesadzamy w naszych reakcjach, ale musimy dowiedzieć się, co się tam dzieje, panie September.

– No tak. – Ethan usiłował trzymać swoje emocje na wodzy. – Sprawdzić to możecie jedynie wynajmując statek, który was zabierze do Poyolavomaaru, a potem pojedziecie stamtąd dalej na

południe. Bo nie ma żadnego innego sposobu, żeby dojechać na obszar, o którym mówicie. Właśnie sami wyliczyliście wszystkie możliwości. To za daleko na skutery lodowe, a nic macie pod ręką żadnego lodolotu ani samolotu.

– A ten niezwykły statek, który wyście zbudowali? – zapytała go Hwang.

– Myśmy niczego nie zbudowali – powiedział Ethan nieco ostrzej, niż zamierzał. – Tranowie sami zbudowali każdy jego metr bieżący.

– Przepraszam. Statek, który zaprojektowaliście. Jest dużo mocniejszy i szybszy niż wszystko, co tu na miejscu widzieliśmy. I sprawdził się na długich dystansach. Gdybyśmy mogli...

– Wykluczone. – Uderzyło go, że głównym celem tego spotkania było otrzymanie zgody na skorzystanie ze *Slanderscree*. On i Skua wcale się nie liczyli. – *Slanderscree* ma wyznaczony kurs i prowadzi on na zachód. Nie na wschód, na południowy wschód, ani nigdzie w tamte okolice. Minie wiele czasu, zanim dojedzie do domu, bo będzie musiała halsować pod wiatr.

Załoga wyjechała z domu ponad rok temu. Tranowie mogą mieć membrany między nadgarstkiem i talią, mogą mieć pionowe źrenice zamiast okrągłych, ale to też są ludzie. Już dawno powinni byli wrócić do swoich rodzin, przyjaciół, do swojego życia, a nie wrócili z naszego powodu.

– Świadomi jesteście ich trosk. – Hwang mówiąc to wykonała łagodzący gest ręką. – Mamy dla nich wiele współczucia, podobnie jak dla pana i pana Septembra. Czytaliśmy wszystko, co napisaliście o Hunnarze Rudobrodym i jego pobratymcach. Ale ta sprawa w większym stopniu dotyczy ich niż nas. To ich świat może być w niebezpieczeństwie. Musicie ich przekonać, żeby nam pomogli.

Ethan potrząsnął głową.

– Moglibyśmy pójść do nich na golasa, robić sztuczki i wywijać salta w powietrzu, dopóki nie zamrzlibyśmy w pół skoku, a to i tak nie miałyby znaczenia. Hunnar jest teraz dziedzicem tronu w Wannome. Istnieją polityczne i osobiste powody, dla których powinien wrócić. Są naszymi przyjaciółmi, ale nadal my jesteśmy obcymi, a oni tranami. Nic nam nie są winni. Wręcz przeciwnie – to Skua, Milliken i ja mamy wobec nich dług wdzięczności, bo uratowali nasze życie. Żebyśmy nie wiem ile gadali, nie przekonamy ich, żeby odłożyli swoją podróż do domu na następne sześć czy ile tam miesięcy. I to tylko po to, by pomóc wam rozwiązać kwestię jakichś zakłóceń pogodowych o setki kilometrów na południowy wschód od Asurdunu.

Hwang wbiła wzrok w podłogę.

– Rozumiem. Pan też musi zrozumieć, że musieliśmy poprosić. Milliken uprzedzał, że to będzie trudne. Zwariowana sytuacja, pomyślał Ethan. Czemu ja tu stoję i słucham? Jakie to ma znaczenie, co powoduje ten wzrost temperatury daleko na południu? Sami przyznali, że prawdopodobnie winę za to ponosi działalność wulkaniczna.

Ale jeżeli to nie jest działalność wulkaniczna, to co jest za to odpowiedzialne?

To nie jego sprawa. On jest handlowcem, komiwojazerem, a nie naukowcem. To nie jego sprawa wstawiać się do tranów za Cheelą Hwang i jej kolegami. Ma dość własnych problemów, którymi musi się martwić.

Ale Cheela jeszcze nie skończyła.

– Nie mamy ani prawa, żeby was zmuszać, ani siły. Wiemy, że pan i pan September przecierpieliście wiele przez ostatnie kilka miesięcy. Nie będziemy wam się już więcej narzucać. Ale musieliśmy was poprosić. – Rozłożyła bezradnie ręce. – Musieliśmy, ponieważ nie mieliśmy żadnego innego wyjścia.

Cóż za fantastyczny sposób nawiązania stosunków z resztą stałego personelu placówki, pomyślał Ethan. Nie żeby kiedyś miała mu być potrzebna ich pomoc. Gdyby tylko nie przyjmowali swojej porażki z taką gracją! Czemu nie pokrzyczą trochę i nie zaczną kłąć? Czego się u diabła spodziewali? Gdyby nawet doznał chwilowego zaćmienia umysłu i zgodził się z nimi pojechać, czy nie rozumieją, że po prostu w żaden sposób nie uda mu się przekonać Hunnara, kapitana Ta-hodinga i reszty załogi *Slanderscree*, żeby zrobili to samo? A to dlatego, że Hunnar i jego przyjaciele muszą wracać do domu. Nawet jeżeli Hunnarowi nie spieszno przyoblec się w szaty dziedzica Landgrafa i nawet gdyby on i jego ludzie byli zainteresowani badaniem jeszcze jednego nieznanego dotąd regionu swojego świata, z formalnego punktu widzenia jest to jego miesiąc miodowy. Czy tranowie miewają miesiące miodowe? A może zgodnie ze zwyczajem nowożeńcy powinni ruszyć na wyprawę i zarządzić jakiegoś drooma, czy zrobić coś innego, równie podniecającego?

Wszystko jedno. Muszą wrócić na Sofold chociażby po to tylko, żeby zanieść swoim przyjaciołom i rodzinom informację, że wciąż jeszcze istnieją. Inaczej ojciec Elfy Kurdagh-Vlata może uznać, że jego córka nie żyje, a wraz z nią nie żyje załoga *Slanderscree*, że wielki statek roztrzaskał się, a kości załogi pogryzły padlinożercę. Niezależnie od tego, jak osobiście zareagowałiby na prośbę Cheeli Hwang, obowiązani byli powrócić do domu, chociażby po to, by zameldować, że przeżyli. Wszak obywatele Sofoldu nic jeszcze nie wiedzą, że zostali członkami wielkiej i stale rosnącej unii miast-państw. Hunnar i Balavere Longax mają obowiązek poinformować ich o ich własnej przyszłości. Trzeba podnawiać znajomości, wyśpiewać pieśni, opowiedzieć o osiągnięciach. Nie mają w tej sprawie wyboru.

Powiedział to wszystko Cheeli Hwang i jej kolegom mając nadzieję, że ich to usatysfakcjonuje i zakończy całą sprawę w sposób, który na przyszłość zapobiegnie jakiegokolwiek potrzebie bronięcia się lub obwiniania z jego strony. Zapomniał jednak, że ma do czynienia z ludźmi, którzy nawykli wyprowadzać wnioski ze skąpych danych. Zanim Ethan zdążył przeprosić i wyjść, Blanchard zapytał:

– A więc jeżeli dobrze zrozumiałem co pan mówi, to nawet gdyby pan ich przekonał, żeby nas zabrali, powstrzymałaby ich konieczność zameldowania się w domu.

Ethan energicznie kiwnął głową.

– Okoliczność, na którą nie mam wpływu ani ja, ani Skua, ani nikt inny.

Blanchard sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Chyba nie. Ile osób minimum powinna liczyć załoga takiego statku jak wasz kliper lodowy?

– Nie wiem – powiedział Ethan zaskoczony. – Nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiałem. Byłem tylko pasażerem. Jeżeli mówi pan o żeglowaniu, z pewnością nie potrzeba aż tylu, ilu normalnie miała na pokładzie *Slanderscree*. Jeżeli jednak mówi pan o przeprowadzaniu badań nowych regionów planety i obronie podczas wykonywania tych badań, to całkiem inna sprawa.

– To byłaby czysto naukowa podróż – argumentował Blanchard. – Nie przewidujemy konieczności walki.

– Człowiek nigdy tego nie przewiduje – roześmiał się Ethan – ale Tran-ky-ky nie jest ściśle rzecz biorąc łaskawym światem. Jest na niej mnóstwo nieprzyjaznej fauny, nie licząc tranów, z którymi nie nawiązano jeszcze kontaktu.

– Pojechalibyśmy odpowiednio wyposażeni – wtrącił się inny z uczonych. – Żadnej nowoczesnej broni, ponieważ to jest surowo zakazane, ale moglibyśmy zabrać inne wyposażenie, które może okazać się przydatne. A jeżeli chce pan nas nastraszyć, to traci pan czas. Przedyskutowaliśmy to już między sobą i wiemy, na co się narażamy. Podróżowaliśmy po Asurdunie i naokoło tej wyspy. Nie jesteśmy tak całkiem nieświadomi tego, co grozi na tej planecie.

Ethan nie zawracał sobie głowy tłumaczeniem, że kilkudniowa przejażdżka naokoło stosunkowo stabilnej, cywilizowanej wyspy takiej jak Asurdun nie przypomina w niczym wielotygodniowej podróży w niezbadane rejony nieprzyjaznego świata. Szkoda czasu. I tak nigdzie nie pojedą. Ale Blanchard jeszcze nie skończył.

– Moglibyśmy zrobić coś takiego: wynająć jakiś statek kupiecki, żeby zabrał z powrotem na Sofold tych, którzy czują się zmęczeni, są ranni lub bardzo tęsknią za domem. Mamy w swoim budżecie pewne fundusze dyspozycyjne. Wiemy też, jak bardzo tranowie spragnieni są metalu. Jestem pewien, że znaleźlibyśmy kapitana, który by się podjął tej podróży. Ci z waszych przyjaciół, którzy obstawaliby przy powrocie, nie musieliby w drodze powrotnej pracować ani walczyć. Mogliby się odprężyć. W końcu zapracowali sobie na to. A nam zostałyby jeszcze aż nadto funduszy, żeby wynająć wasz kliper lodowy.

Temu najstarszemu rangą żołnierzowi, Balavere Longaxowi, o którym pisaliście w swoim raporcie, można by powierzyć dowodzenie tranami, którzy będą chcieli wracać – dodała Hwang. – Jego meldunek, meldunek szanowanego członka dworu Wannome, zostanie przyjęty z wiarą, a on sam otoczony czcią. Kto wie, czy nawet nie byłoby lepiej, by to on złożył taki raport, a nie ten młodszy rycerz, którego nazywacie Rudobrodym. Tymczasem reszta załogi mogłaby pożeglować z nami na południowy kontynent.

– Niech ten cały Longax – ciągnął dalej Blanchard – zapewni pozostałych w domu pobratymców, że wszystko jest w porządku. Może powiedziec im o tej unii, do której ich nakłoniliście, o bohaterskich wyczynach waszych towarzyszy i przyjaciół, i o tym królewskim ślubie, na którym ostatnio byliście. Może również wyjaśnić, dlaczego powrót *Slanderscree* się opóźnia i jak ważna jest ta podróż, w którą musimy wyruszyć. Co do zapłaty... co cóż, chcielibyśmy mieć pewność, że nie obrazimy tego Rudobrodego.



– Jeszcze się taki tran nie urodził, który miałby opory przed przyjmowaniem pieniędzy – powiedział September – ale nie uda się wam wynająć *Slanderscree* i jej załogi za parę kawałków żelaza.

Hwang uśmiechnęła się.

– Placówka ma swoją własną, niewielkich rozmiarów hutę, panie September. Głęboko pod Asurdunem są rudy, z których tubylcy nie mogą zrobić użytku, ale my możemy. Ta huta jest tu po to, żebyśmy mogli wykonywać i naprawiać wyposażenie placówki. Nie oznacza to, że nie możemy w niej wyprodukować sztab, krat, rur, gwoździ i sworzni, mieczy i grotów strzał i wszystkiego, co mogłoby zadowolić pańskich tranów. Możemy napełnić ładownię wynajętego przez nas statku na podróż powrotną. Niech nam tylko podadzą szczegółową listę, a wszystko dostarczymy.

Tym samym Hwang złożyła ofertę nie do odrzucenia dla trana. Handel skomplikowanymi towarami, takimi jak aparatura elektroniczna, wciąż jeszcze był zakazany na Tran-ky-ky, wolno było sprzedawać tylko kilka prostych przyrządów, które i tak musiały się w krótkim czasie popsuć. A gwoździe i miecze wystarczały na długo na świecie, który stał ceniał wyżej niż złoto. Nawet ktoś tak stęskniony za domem jak Hunnar miałby trudności z odrzuceniem tego typu propozycji.

– Może im pan także powiedziec – ciągnął dalej Blanchard – że poszerzą wiedzę o swoim własnym świecie, wyciągną pomocną dłoń do innych narodów i będą mogli zaproponować im wstąpienie do unii.

Apel Blancharda skierowany był w tym samym stopniu do niego, co i do tranów, z tego Ethan zdawał sobie sprawę. Zabierając się z nimi będzie mógł robić interesy, zawierać nowe kontrakty, może znajdzie jakieś nowe towary, które będzie chciał kupić. W cywilizacji takiej jak Wspólnota, gdzie elektronika, towary i usługi dostępne były za tanie pieniądze i bez żadnych trudności, egzotyczne rękodzieło i sztuka plasowały się wśród najcenniejszych nowych towarów.

A czemu by nie, do diabła? Przecież i tak musi tu tkwić.

– Wciąż jeszcze nie mam pewności, czy to dobry pomysł i czy nie lepiej, żeby rozwiązał tę kwestię jakiś zdalny pojazd

badawczy, ale przedstawię waszą propozycję Hunnarowi i jego ludziom. Powinni mieć prawo sami wam odmówić.

– O nic więcej nie prosimy. – Hwang zerknęła w górę na Septembra. – A pan?

– Pan życzy wam wszystkim jak najwięcej szczęścia, ale jego statek startuje z orbity o ósmej zero zero jutro rano. Pomacham wam, jak będę wylatywał z tego układu gwiazdowego. Już wystarczająco długo było mi zimno.

Hwang była wytrwała i uparta.

– Teren, na który się wybieramy, jest cieplejszy. Na tym polega problem.

– Wasz problem, a nie mój. Ja wybieram się tam, gdzie ciepło jest przez cały czas. Może pożałuję, że nic skorzystałem z waszej propozycji – za jakiś rok czy dwa.

Hwang odwróciła się do Ethana. Dla niej September tak jakby już odjechał.

– Jestem pewna, że przedstawi pan naszą propozycję swoim trańskim przyjaciołom równie otwarcie i uczciwie, jak my przedstawiliśmy ją panu. Żałuję tylko, że nie potrafię dać im do zrozumienia, do jakiego stopnia ważne jest to, żeby jak najszybciej upewnić się co do przyczyn tego meteorologicznego zakłócenia. Zaistniały krytyczne sprzeczności, które wymagają natychmiastowego wyjaśnienia. Proszę, niech pan spróbuje to przekazać swoim przyjaciołom razem z propozycją napełnienia ładowni i zagwarantowania przejazdu do domu dla tych, którzy nie pojedą z nami.

– Zrobię, co będę mógł, żeby wyjaśnić im wszystkie szczegóły. A dlaczego nie pojedzie pani ze mną, jeżeli tak pani jest tym przejęta? Niech im to pani sama opowie.

Hwang potrząsnęła głową.

– Nie umiem rozmawiać z tranami i nie znam ich języka. Nikt z nas go nie zna. W tym przypadku nasza aparatura tłumacząca to takie elektroniczne protezy. Rozmowa osobista jest dużo bardziej skuteczna niż mówienie przez transformator. Poza tym, to są pańscy przyjaciele. W pana ustach zabrzmiałoby to dużo lepiej. Jeżeli zgodzą się nam pomóc, to może będę potrafiła uważać ich również za naszych przyjaciół.

Wśród naukowców podniósł się pełen aprobaty szmer.

– Zobaczymy – powiedział Ethan – ale nie mogę nic obiecywać. Trudno będzie ich przekonać, że sprawa jest pilna.

– Tym ja się zajmę – powiedział Williams spokojnie, ale z pewnością siebie. – Ty ich ułagodzisz, Ethanie, a ja zakończę dyskusję.

Ethan nie krył wątpliwości.

– Jak zacznę przekonywać Hunnara i kapitana Ta-hodinga, że jeszcze nie czas wracać do domu, to samo łagodzenie nie wystarczy.

\* \* \*

– Od naszego wyjazdu minęło już wiele czasu.

Kiedy Hunnar kończył swoją małą przemowę, jego słowom przytakiwali inni, obecni w pokoju tranowie. Był wśród nich Balavere Longax, najstarszy stażem wojownik w załodze *Slanderscree*; Ta-hoding, jej kapitan, Elfa Kurdagh-Vlata, córka Landgraфа Sofoldu, Hunnar oraz jego dwóch giermków. Ethan i Milliken Williams przemawiali w imieniu personelu stacji naukowej, a nasepiony Skua September siedząc w kącie popatrywał na wszystkich spode łba. Ethan poprosił go, żeby dołączył do nich, a ponieważ start jego wahadłowca został przełożony na wczesny ranek następnego dnia, Skua nie bardzo mógł odmówić. Ale wcale nie był z tego zadowolony. Z powodu tych

przedłużających się negocjacji ludziom potrzebne były kombinezony ochronne, dla tranów jednak w sali przejściowej panował łać tropikalny upała, zaledwie kilka stopni poniżej zera. Kiedy Hunnar usiadł, nad plastikowym stołem pochylił się Ta-hoding.

– Oni chcą, żebyśmy ich zawieźli dokąd, przyjacielu Ethanie?

Williams rozwinął mapę, którą przygotowała Cheela Hwang i jej koledzy. Odbitki sporządzono na podstawie satelitarnych zdjęć w podczerwieni. Ciekaw był, jak zareagują na nie tranowie, którzy nigdy przedtem nie widzieli swojego świata z lotu ptaka. W nawigacji posługiwali się wiatrem i gwiazdami, punktami orientacyjnymi w terenie i tradycją. Ale jeżeli ktoś z nich miał sobie poradzić z tym przeskokiem umysłowym, to na pewno znajdował się on na tej sali. Sama koncepcja map była im znana, ale zdjęcia z powietrza to było coś całkiem nowego.

Tranowie mierzyli odległości w jednostkach zwanych saczami, Ethan kazał więc kartografowi placówki wszystkie pomiary na tej uproszczonej mapie podać w tych znajomych im jednostkach. To pomogło. Elfa patrzyła na mapę niepewnie.

– Nikt nie zapuszczał się jeszcze tak daleko na wschód i południe. Ten region jest nam nieznan.

Ethan pomyślał, że Elfa wspaniale wygląda w swoich futrach i skórkach. Egzotyczna, bardzo kobieca na kocią modłę, i w pełni pozaziemska. Znowu antropomorfizujesz, ostrzegł sam siebie.

– Dopóki nie odbyliście tej podróży na *Slanderscree*, również nikt nigdy nie był tak daleko na wschodzie. – Jechał teraz palcem po mapie. – Skierujemy się na południe, do Poyolavomaaru. Ta część terytorium jest nam znana i zdołamy tam uzupełnić zapasy, jeżeli będzie trzeba. Potem zmienimy kurs i będziemy jechali na południowy wschód, aż minie równikowy wał ciśnieniowy – ten „wygięty” ocean, jak wy go nazywacie – gdzieś w tej okolicy. A potem to już prosto aż na skraj południowego kontynentu. W tym miejscu płaskowyż kontynentalny biegnie niemal prosto ze wschodu na zachód i będziemy mogli jechać mając stale wiatr w żagle. Wątpię, czy trafimy na coś, z czym się dotychczas nie spotkaliśmy.

– Takie przypuszczenia często okazywały się fałszywe – zazartował Budjir cicho.

Ethan znowu zwinął mapę. Sekcja wydawnicza oddziału badawczego przygotowuje laminowane kopie, zanim kliper lodowy odjedzie.

– Przecież Hwang i jej ludzie nie proszą was, żebyście ich zawieźli na biegun południowy. I dzięki nim ta podróż wam się opłaci. Każdy tran z klipra lodowego będzie miał swój udział w zyskach, do zrealizowania po powrocie do domu na Sofold.

– A co z tymi, których zostawiliśmy i którzy niespokojnie czekają na wieści o naszym tak bardzo już opóźnionym powrocie? – zapytał Balavere Longax. Futro mu się zrobiło srebrzyste, a broda siwa, nie rudawa.

– Ci ludzie mają zamiar wynająć najlepszy statek, jaki się da, żeby zabrał część załogi *Slanderscree* z powrotem do Wannome. Oni będą mogli złożyć raport za wszystkich.

– Żaden kupiecki statek nie odbył dotąd takiej podróży. Przed naszym przyjazdem w to miejsce lud Sofoldu nie słyszał nigdy o Asurdunie, ani oni o nas – zwrócił uwagę Ta-hoding.

– No właśnie. Teraz, kiedy szlak został przetarty, a jedną podróż już mamy ze sobą, inni tranowie powinni się tu zapuszczać i to z ochotą. Właściciele statku, który wynajmiemy, zostaną sownie wynagrodzeni.

– My mieliśmy przez cały czas wiatr w żagle.

– Podróż powrotna wymaga więcej czasu, ale pociąga za sobą mniej niebezpieczeństw, ponieważ przeszkody są już teraz znane. Ci członkowie twojej załogi, którzy zdecydują się wracać, będą jechali wygodnie. To inni będą stawiali żagle i gotowali jedzenie. Kiedy wkroczyte razem do wielkiej sali w Wannome, żeby opowiedzieć o naszych przygodach, zostaniecie otoczeni czcią. A jeszcze więcej honorów czekać was będzie, kiedy *Slanderscree* w końcu powróci, uginając się pod ciężarem pełnej metalu ładowni.

Rozmawiałem z metalurgiem, który kieruje tutejszą kuźnią. Z chęcią zrealizuje wasze zamówienie na groty włóczni, gwoździe, niewielkie narzędzia i rury. Na wszystko, co tylko zechcecie. Ludzie, którzy chcą was zaangażować, zapłacą za wszystko. Dzięki temu jednemu ładunkowi Wannome wysunie się daleko w przód przed swoich sąsiadów, jeśli chodzi o bogactwo i prestiż. Ułatwi to umacnianie nowej unii. Kiedy ludność Ayhas i Mckleven zobaczy, jakie korzyści może nieść ze sobą członkostwo, pędem się będą chcieli przyłączyć.

– Kusisz nas, przyjacielu Ethanie – powiedział Balavere. – Wielce nas kusisz. Gdyby nie to, że trzeba przekazać wieści naszym ukochanym i naszemu Landgrafowi o tym, że wciąż jeszcze szifujemy po oceanach tego świata, sam byłbym skłonny z wami zostać. A o takim ładunku, jaki opisałeś, nikt nawet nigdy nie marzył. Chciałbym być tym, który go odsłoni.

– Jak mówi przyjaciel Ethan, nikt nas przecież nie prosi, żebyśmy żeglowali dookoła świata. – Suaxus dal-Jagger najwyraźniej nie miał żadnych wątpliwości, jaką drogę postępowania powinni wybrać. – To, co proponują jego przyjaciele, to podróż nie dłuższa niż droga stąd do Moulokinu. Te krainy również były nam nie znane, dopóki ich nie odwiedziliśmy. A dzięki temu, że tam pojechaliśmy, zdobyliśmy sobie sojuszników i wie – dzę. Dlaczego ta podróż nie miałaby się okazać równie korzystna? – Giermek szeroko się uśmiechnął, ukazując ostre jak brzytwa kły. – A jeżeli zdarzy nam się po drodze jakaś bitwa, a może i dwie, no cóż, przynajmniej nie zawita do nas nuda. A to jedyne towarzystwo, jakiego się lękam.

– Sądziłabym, że starczy ci już przygód, żeby się nie nudzić do końca życia. – Elfa przeniosła spojrzenie z kipiącego entuzjazmem giermka z powrotem na Ethana. – Podsumowując, twoi uczeni przyjaciele oferują zapłatę równą okupowi za miasto, żeby ich kawałek przewieźć. Chociaż tak dawno mój ojciec mnie nie widział, wiem, co by mi doradził.

Hunnar przyglądał się bacznie swojej lewej łapie, wysuwając i wciągając pazury. Teraz podniósł wzrok i popatrzył tam, gdzie Skua September opierał się o drzwi, które prowadziły z powrotem do zabudowań placówki.

– Co myślisz, przyjacielu Skuo? Czy powinniśmy przyjąć tę propozycję?

– Tak, co ty o tym myślisz? – zapytał Balavere. September rzucił okiem na ludzi, na tranów.

– Myślę, że wszyscy jesteście idioci. Niektórzy idioci mają futro, niektórzy gładką skórę, ale wszyscy gorącą krew i fiksum dyrdum. Myślę, że Ethan jest idiotą, bo naraża się na ryzyko podczas jeszcze jednej podróży po waszym świecie w niezbadane jego regiony. A reszta z was to idioci, bo nie wracacie prosto do domów.

– Wiemy, czego się spodziewać, Skuo – powiedział Williams poprawiając okulary. – Rozczarowałbym się, gdybyśmy podczas takiej wyprawy nie zetknęli się z czymś całkiem nowym.

– Ja nie martwię się niczym nowym. Niespodziankami też się nie martwię. Martwię się tym, że prędzej czy później szczęście musi się od człowieka odwrócić. Pechowi nie trzeba pomagać. Po jego stronie stoi już sam los. Co do mnie, to przez większość mojego życia na paluszkach chodziłem po krawędzi nad przepaścią. To, że jeszcze nie spadłem, nie oznacza, że mam zamiar zacząć tańczyć. Chyba nie powinniście jechać, tak mi się wydaje.

Williams odwrócił się do czujnych tranów.

– Niewątpliwie mogą czekać nas jakieś zagrożenia, którym trzeba będzie stawić czoło. To jest wasz świat. Wierzę

Cheeli Hwang i jej kolegom kiedy tłumaczy, że może mu grozić niebezpieczeństwo. Ten typ niebezpieczeństwa, dla którego oceany i kontynenty nie stanowią przeszkody. Szukamy wyjaśnienia, ponieważ wydarzenia, których się nie da wyjaśnić, mają to dō siebie, że powracają i nie dają człowiekowi spokoju. Musimy dowiedzieć się, co dzieje się z pogodą na skraju południowego płaskowyżu kontynentalnego.

– W jaki sposób coś takiego mogłoby nam zagrażać na dalekim, odległym Sofoldzie? – chciał się dowiedzieć Budjir.

Williams usiłował go przekonać.

– Zdaję sobie sprawę, że wciąż jeszcze usiłujecie objąć umysłem koncepcję świata jako jednego miejsca, pojedynczego domu. Moim pobratymcom zrozumienie tego zajęło nawet jeszcze dłużej, z uszczerbkiem dla nich. Świat jest jak żyjący organizm. To, co dzieje się po drugiej stronie globu, może mieć wpływ na nas tutaj, w Asurdunie. Pomyśl o świecie jak o organizmie żywym. Jeżeli jakieś miejsce zostanie zainfekowane i nie wyleczy się go w porę, infekcja może rozszerzyć się i zabić całe ciało. Musimy dowiedzieć się, czy nie jest to infekcja tego rodzaju.

– Ten uczony mąż mówi prawdę. Zgadzam się z nim – powiedział Balavere.

Hunnar i Elfa wymienili spojrzenia. Elfa powoli skinęła głową. Ostateczna decyzja jednak nie należała do nich. Nie tutaj, nie w tej sprawie. To nie była sprawa państwowa. Hunnar odwrócił się do kapitana *Slanderscree*.

– Co ze statkiem? Jakich napraw należałoby dokonać, zanim wyruszy się w taką podróż?

– Żadnych, Sir Hunnarze. Statek jest w porządku. Chociaż sam raczej wolałbym wrócić do domu, myśl o następnej podróży nie przeraża mnie. Nasz statek jest solidny. Dobrze by mu zrobiło, gdyby go porządnie wyczyścić, ale czy istnieje taki statek, któremu by się to nie przydało?

Pomysł, żeby żeglować tak daleko na południe z mniej niż połową załogi nie napawa mnie szczególną radością, ale da się to zrobić. Nie ma żadnego powodu, żeby trzydziestu ludzi nie miało poradzić sobie dostatecznie dobrze ze statkiem, zwłaszcza jeżeli nie będziemy się spieszyć, a kotwice będziemy zarzucali wcześniej.

– Chcielibyśmy do tego miejsca dojechać jak najszybciej – poinformował Williams – ale w zasadzie szybkość będzie zależała od ciebie. To coś, co by to nie było, co tam wpływa na klimat, nie zmieni się na pewno ani w te, ani we w te jeszcze przez dzień czy dwa.

Ta-hoding miał zadowoloną minę.

– A więc skoro nic nas nie będzie naglić, nic widzę żadnego powodu, żeby nie odesłać połowy, a nawet więcej naszej załogi do domu. Niech pocieszą tych, których tam zostawiliśmy. Poznaliśmy już dobrze nasz kliper lodowy, a żeglarze, którzy zostaną na tę podróż jako jego załoga, to będą ochotnicy. Jeżeli tym, którzy się na to zdecydują, obieca się większy udział w przyrzeczonej ładunku, nie przewidują trudności i zapewnieniem sobie chętnych marynarzy.

– Naturalnie udział kapitana będzie proporcjonalnie większy – skomentował September ze swojego kąta.

Ta-hoding kaszlnął, zrobił nieco zażenowaną minę.

– Nie ma w tym nic nienaturalnego. Zgodnie z tradycją takie są te opłaty.

– Oczywiście wszyscy otrzymają hojną zapłatę. – Hunnar potrząsnął masywną łapą w kierunku Williamsa. – To będzie Ostatnie miejsce, w którym przycumuje *Slanderscree*, zanim zobaczymy swoje bramy portu Wannome. Absolutnie ostatnie!

Lamenty mojej rodziny głośno mi rozbrzmiewają w uszach. Williams skinął głową, że się zgadza.

– Przyrzekam ci. Po tej wyprawie wszyscy możecie jechać do domu, nie tylko bogatsi, ale mądrzejsi.

– A więc załatwione – powiedziała Elfa. Podniosła oczy na Ethana. – Ale chcę coś wyjaśnić: robimy to nie dla fortuny, którą nam przyrzekł wasz czarodziej-metalodziej, ani też z przyjaźni, która ma swoje granice. Robimy to, ponieważ prosi nas o to Milliken Williams. Ponieważ jesteśmy jego dłużnikami, a nasz dług nie został spłacony.

– Prawda! – zaintonował głośno Balavere Longax. Ethan wiedział, do czego nawiązują. Gdyby nauczyciel nie zastosował pewnej starodawnej wiedzy praktycznej, ponieśliby porażkę w obydwu bitwach, o Wannome i o Moulokin. Elfa, Hunnar i cała reszta tranów zawdzięczała Williamsowi nie

tylko niezależność, ale i życie.

– No, niby tak... – Nauczyciel spuścił wzrok, ściszył głos i usiłował zapaść się pod ziemię. – Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo. Tak się po prostu złożyło, że znalazłem się na właściwym miejscu o właściwej porze.

– Tego każdego to ja nie znam – powiedział Hunnar. – Millikena Williamsa znam. Nadmiernie jesteś skromny. W ten sposób chcemy ci się odpłacić. My, tranowie, nie lubimy zostawiać długów porozrzucanych w nieładzie dookoła, gdzie nocą może się o nie potknąć sumienie.

– A więc jesteśmy wszyscy zdecydowani. – Ethan odepchnął krzesło do tyłu. – Millikenie, bądź tak dobry i pójdz przekazać pomyślne wieści Hwang, Blanchardowi i innym. Jestem pewien, że ogryzli sobie paznokcie do kości zastanawiając się, jaka będzie odpowiedź naszych przyjaciół.

– Z największą przyjemnością. Przez minutę czy dwie będą zachwyceni. Potem zabiorą się do roboty, przygotowując się do odjazdu.

– Tak, przygotowania – powiedział Ta-hoding. Nie zaczął zacierać łap, ale był tego bliski. – Kiedy będą przygotowywać zapasy, ja mogę spotkać się z waszym czarodziejem-metalodziejem i omówić z nim, jaki to ładunek chcielibyśmy powieźć ze sobą w drodze powrotnej na Sofold. W ten sposób może on być gotowy i czekać na nas, jak tylko wrócimy.

Elfa uśmiechała się.

– Dobrze będzie wrócić do domu i mieć dla naszych pobratymców coś poza opowieściami.

\* \* \*

Jaskrawe jak laserowe światło słońce Tran-ky-ky obrysowało o wschodzie skalistą sylwetkę wyspy Asurdun. Cząsteczki lodowe bombardowały szyby okien na poziomie widokowym na piętrze; za nimi rozciągał się pas startowy. Ethan przyglądał się, jak wahadłowiec wynurza się ze swego podziemnego hangaru niczym mumia z grobowca. Ten lśniący kształt o deltoidalnych skrzydłach opierał się na szerokich, niebieskich, lodowych płozach, a jego rufa upstrzona była wylotami otworów spalinowych i odrzutowych. Będzie przyspieszał gwałtownie wzdłuż gładkiego pasa startowego, dzięki standardowym silnikom odrzutowym uniesie się w górną atmosferę, a tam przejmą napędzanie strumieniowe silniki odrzutowe zwiększając jeszcze jego szybkość. Poza otoczką lodowatego powietrza spowijającego Tran-ky-ky, napęd przejmą rakiety i wypchną go na orbitę, gdzie dogoni go statek macierzysty. Kiedy pasażerowie i ładunek zostaną już rozmieszczeni, włączy się napęd KK i odholuje międzygwiazdny pojazd z systemu Tran-ky-ky w ten osobliwy region znany pod nazwą przestrzeni-plus, gdzie możliwa jest podróż z szybkością Większą od szybkości światła. Kiedy Ethan wpatrywał się w wahadłowiec, rufa tego ostatniego rozjarzyła się i ożyła. Grube szkło w oknach tłumiło grzmiący ryk silników odrzutowych. Statek zaczął sunąć do przodu. Najpierw powoli, stopniowo nabierał prędkości, pod jego ogromną masą płozy przebijały się przez lód aż do stelamentu pod spodem. Za plecami Ethana inni Członkowie personelu placówki już się podwracali. Comiesięczny odlot wahadłowca nie był taką nowością, żeby dłużej przyciągać ich uwagę.

Gawędzili ze sobą swobodnie, odprężeni, myślami byli już przy swoich zajęciach na ten dzień. Tymczasem myśli Ethana podróżowały wahadłowcem, towarzyszyły potężnie zbudowanemu, niezwykle mężczyźnie, który przez rok a nawet dłużej, kiedy to usiłowali utrzymać się przy życiu na tym zamrażającym świecie, był jego bliskim towarzyszem i przyjacielem. Na drugim końcu pasa startowego wahadłowiec uniósł się w górę na kolumnie przegrzanego powietrza. Ethan ścigał go wzrokiem, dopóki statek nie zniknął mu jak zagubiony liść na idealnie czystym, niebieskim niebie. Nie przestawał wpatrywać się w dal, dopóki echo grzmotu silników małego stateczku nie zamarło mu w uszach. Wtedy odwrócił się od okna.

Miał przed sobą tyle roboty. Zorganizowanie oficjalnej stacji handlowej będzie wymagało ogromnej ilości papierów i dokumentów, nawet jeżeli nowy Stały Komisarz istotnie okaże się niezwykle czynną osobą. Jeżeli natychmiast się do tego zabierze, może uda mu się chociaż zacząć pracę, zanim *Slanderscree* odjedzie na południowy kontynent. No i trzeba pozamawiać specjalistyczne oprogramowanie komputerowe, założyć katalogi, ułożyć listę personelu. Gdy dopisze mu szczęście i wszystko, co jest mu potrzebne, będzie w sensowny sposób dostępne, może za trzy lub cztery miesiące zdoła się odprężyć. Jeżeli uda mu się wdrożyć chociaż kilka programów, podkomendni Malaiki uznają, że wziął się do roboty. Będzie to samotna praca. Administrowanie i nadzór wymagają czytania, a nie ściskania dłoni czy innych wypustek. Najbardziej rozrywkowy program komputerowy był słabym substytutem bliskiego towarzysza.

Był tak zaabsorbowany planowaniem, że niemal wpadł na potężną postać, która tkwiła na drugim końcu korytarza. Osobnik opierał się o futrynę drzwi, ręce miał skrzyżowane, a na twarzy gniewny wyraz. Ethanowi opadła szczęka.

Odwrócił się gwałtownie, żeby popatrzeć w kierunku okna widokowego. Nie, wahadłowiec nie wrócił, nie wyobraził też sobie tylko jego odlotu. Podobnie jednak realna była ta masywna, dobrze znajoma postać, która zagradzała mu przejście przez drzwi.

Na szczęście September odezwał się pierwszy; Ethan nie mógł wykrztusić ani słowa.

– To wszystko twoja wina, mój chłopcze.

Takiego oskarżenia nie można było zostawić bez odpowiedzi.

– Moja wina? O czym ty mówisz, jaka moja wina? Co jest moją winą? – Pokazał bezradnym ruchem na okno.

Za oknem na pas startowy wyjechały ekipy naziemne w małych, indywidualnych pojazdach i zaczęły już przygotowania do przylotu wahadłowca na przysły miesiąc.

– Dlaczego nie jesteś na wahadłowcu?

– Nic jestem na wahadłowcu, bo jestem tutaj. Nie mogę być w dwóch miejscach równocześnie, prawda?

– Nie wiem, o czym ty mówisz, Skuo.



– Naprawdę? Wydawało mi się, że wyrażam się dostatecznie jasno. Mówimy o tym, że fakt, iż tutaj jestem, to twoja wina. To nie jest nadmiernie skomplikowane, prawda? – Wyciągnął się na całą swoją nadnaturalną wysokość, stanął prosto. – Wszystko przez to twoje cholerne, archaiczne poczucie odpowiedzialności i obrzydliwie przymilną osobowość. Niewiniątko takie, psiakrew. Cholerny świat, jakbym teraz wyciągnął spluwę i odstrzelił ci ten twój łeb z przyklejonym głupawym uśmiechem, to w swoich ostatnich słowach pewno byś mnie przeprosił za kosztą prochu. Kiedy wreszcie odczepicie się i przestaniecie wzbudzać we mnie poczucie winy, ty i ta karzełkowata kopalnia tajemnych błahostek, i te kłęбки futra o tygrysy zębach, roszczące sobie jakieś pretensje do cywilizacji?

– Nikt nie może u kogoś innego wywołać takiego poczucia winy, Skuo. Udało ci się to zrobić we własnym zakresie.

– Och, cóż za treściwe kazanie. Nastawiłem się już cały i przygotowałem, żeby ruszać w drogę, a ten skarłały Williams musiał wziąć i powlec nas na to cholerne spotkanie. Niebezpieczna anomalia meteorologiczna, na mój zad! I oto jestem, dalej się nie mogę urwać z tej podłej, skostniałej planety, ponieważ ktoś tam, o parę tysięcy kilometrów stąd zobaczył we mgle jakąś anomalię.

Ethan wiedział, że nie jest to właściwy moment, żeby się uśmiechać, ale nie mógł się powstrzymać. Było jasne, że Skua wścieka się nie na niego, swojego przyjaciela, tylko na siebie.

– Skuo, to nie jest jeszcze najgorsza rzecz pod słońcem, przyznanie się do tego, że jesteś przyzwoitym człowiekiem.

– Właśnie o to chodzi, mój chłopcze. Ja wcale nie jestem żadnym przyzwoitym człowiekiem. Nigdy nie byłem przyzwoitym człowiekiem. Mógłbym ci podać dowody na to.

Ethan usiłował uspokoić olbrzyma.

– Wszystko ci się pomieszało, to dlatego.

– Pomieszało, do diabła. Jestem wściekły, jestem sfrustrowany, ponieważ sam nie wiem, co tutaj robię. – Gwałtownym gestem pokazał na sufit. – Podczas gdy powinienem znajdować się tam, odprężony, w ciepłe i w drodze gdzieś w dal.

– Czego byś tu nie robił, to będziesz to robił jeszcze przynajmniej przez miesiąc, dopóki nie przyleci następny wahadłowiec. A co z tą twoją przyjaciółką-archeolożką?

– Z kim? Aha, z Isili. Isili Hasboga. – Skua wzruszył ramionami. – Spóźniłem się już o dwa lata, nie przypuszczam więc, żeby miała wpaść w furję, jeżeli nie pokażę się w przyszłym tygodniu. Szczerze mówiąc, to mam wrażenie, że nawet by jej to do głowy nie wpadło. Ale ja, to coś całkiem innego. – Odwrócił się i olbrzymimi krokami pokonywał przestrzeń.

– Ostrzegam cię co do jednej sprawy, Ethanie, i przekaz to dalej. Kiedy się już znajdziemy tam, na lodzie, lepiej żeby żaden z tych zasmarkanych naukowców nie przyłaził do mnie z podziękowaniami, że jadę z nimi, bo jak przyjdzie, to natychmiast wróci do Asurdunu i to ślizgając się na własnym

tyłku.

– Więc pojedziesz z nami?

– Nie – warknął Skua. – Nie poleciałem tym wahadłowcem tylko po to, żeby móc tu przycupnąć i pogapić się spode łba na automaty. Oczywiście, że jadę z wami.

Ethan usiłował powstrzymać szeroki uśmiech.

– To miło. Wiem, jakim szacunkiem darzą cię Hunnar, Elfa i reszta tranów i jestem pewien, że wystarczy twoja obecność, by ich podnieść na duchu.

– Jeszcze jeden dowód na to, jakie to prymitywy i ile jeszcze mają drogi przed sobą – wymamrotał September. – Okazywać szacunek takiemu idiocie jak ja. Bo chyba już nie masz wątpliwości, że jestem idiotą. Znowu mi się tego udało dowieść.

– Przestań już porykiwać. A poza tym wcale mnie nie przekonałeś, że jestem w jakimkolwiek stopniu odpowiedzialny za twoją tutaj obecność.

– Czy to nie oczywiste, mój chłopcze? Jak mogłem z czystym sumieniem wyjechać, wiedząc, że uparliście się gdzieś popędzić i dać się pozabijać. I z pewnością udałoby się to wam, gdyby mnie tu nie było, żeby się o was troszczyć. W końcu gdyby nie stary Skua, już byś pewno z tuzin razy zginął w ciągu ubiegłego roku.

To pewnie prawda, musiał się zgodzić Ethan. Ale prawdą też było, że spłacił ten dług ocalając Septembra co najmniej tyle samo razy, co September jego, powstrzymywał się jednak przed zwróceniem mu na to uwagi. Znadto był zadowolony, że podczas czekającej ich podróży będzie miał znowu u boku przyjaciela, by go atakować za pomocą logiki.

– A czemu to myślisz, że znajdę się w takiej sytuacji, w której mógłbym zginąć? Słyszałeś Hwang i innych. Nieskomplikowana, niewielka wyprawa badawcza, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda. Nic więcej. Żadnej barbarzyńskiej Hordy, z którą trzeba by walczyć. Żadnych egzotycznych miast o bliżej nieznanym przekonaniu, które trzeba by namawiać do unii. Czemu mielibyśmy mieć jakieś kłopoty?

– Ponieważ wciąż jeszcze może nas zaskoczyć sama Tran-ky-ky. Cholernie mało wiemy o niej nawet po ponad rocznej żegludze po jej lodach. Nie, na pewno byście zginęli, gdybym z wami nie pojechał, żeby wyciągać was ze szponów katastrof, mój chłopcze. Zbyt jesteś grzeczny, zbyt uczuciowy i zbyt tolerancyjny jak na ten interes. A ja z kolei jestem twoim przeciwieństwem. Tak więc wciąż żyję, chociaż powinienem umrzeć z dziesięć razy na każde minione czterdzieści lat.

A jeżeli mimo mojej obecności przyjdzie ci ochota popełnić samobójstwo, to przynajmniej będę pod ręką i zatroszczę się o to, żebyś miał przyzwoity pogrzeb, kremację czy jakąś inną formę ostatecznego wyprawienia na tamten świat miłą dla twojej duszy.

– Twoja troska o moje szczęście jest doprawdy wzruszająca, Skuo.

– Na pewno. – Olbrzym popatrzył ponad jego głową w głąb korytarza. – Nie wspominaj tylko o

tym nikomu innemu, dobrze? Wyrobiłoby mi to w pewnych kręgach złą opinię. Chodźmy coś przekazać.

Ruszył korytarzem, który prowadził do centralnej części zabudowań placówki. Ethan musiał się spieszyć, żeby mu dotrzymać kroku.

– A co mam powiedzieć, kiedy ktoś zapyta, dlaczego zdecydowałeś się zostać?

– Powiedz, że zasnęłam – powiedział Skua gniewnie.

Dopiero później przyszło Ethanowi na myśl, że jego przyjaciel mógł mieć jakieś inne powody, żeby nie zdążyć na odlot *Spindizy*. W końcu September wielokrotnie sam mówił, że jego przeszłość jest barwna i nie zawsze godna pochwały. Coś mogło sprawić, że uznał, iż pozostanie na osamotnionym, nie odwiedzanym świecie jeszcze przez miesiąc czy trochę dłużej będzie w jego własnym, najlepszym interesie. Może na statku o napędzie KK był ktoś, kogo Skua nie miał ochoty spotkać. Może nie chciał już teraz jechać tam, dokąd się udawał. Może, może...

Zbyt wiele tych może dla kogoś, czyje myśli były już przy planach nowej stacji handlowej i oczekującej ich ekspedycji. Jeżeli September czuł się załamany niemożnością opuszczenia Tran-ky-ky, to ten zamarznięty świat dostarczy olbrzymowi licznych okazji, żeby pozbyć się tego uczucia. Tego Ethan był pewien.

## ROZDZIAŁ 4

Dzięki temu, że placówka naukowa miała otwarty rachunek kredytowy, ładowanie zapasów na *Slanderscree* i przygotowania statku do odjazdu posuwały się żywo naprzód. Po kilku dniach kliper lodowy zapchany był zapasami. Dopiero zażenowanie Hunnara położyło ostatecznie kres nie kończącym się prośbom Ta-hodinga o jeszcze trochę żywności, o jakieś dodatkowe olinowanie i żagle. Rycerz bał się, że jeżeli wkrótce nie odjadą, sprytny i zachłanny kapitan przeładuje statek, tak że nie zostanie na nim miejsca dla załogi. I rzeczywiście, kiedy już byli gotowi do odjazdu, kliper lodowy niemal pękał w szwach.

Ci z tranów, którzy zgłosili się na ochotnika jako załoga *Slanderscree*, pożegnali swoich przyjaciół i krewnych; mieli oni na wynajętym statku handlowym pojechać z powrotem na Sofold. Podczas minionego roku Ethan i Skua zaprzyjaźnili się z wieloma członkami załogi i teraz tradycyjne trańskie gesty pożegnania wzbogaciły się o uściski dłoni i poklepywanie po plecach.

Cheela Hwang, Blanchard i czterech innych naukowców, których wytypowano do udziału w wyprawie, zajęci byli sprawdzaniem ekwipunku. Oprócz Hwang i geofizyka znalazł się wśród nich jeszcze meteorolog, glaciolog, geolog i ksenolog. Mowarego, ostatniego członka grupy naukowców dołączono nie ze względu na pomoc, jakiej mógłby udzielać przy ustalaniu przyczyny anomalii klimatycznej, ale dlatego, że jak sam stwierdził, okazja dłuższego wyjazdu z aż nadto dokładnie przebadanego Asurdunu była zbyt cenna, żeby ją przepuścić. Oznajmił, że ma zamiar robić zdjęcia i osobiście badać wszystkich, których spotkają w trakcie podróży.

– Tylko niech pan nie bada ich ze zbyt bliska – doradził mu September. – Z tranami nigdy nic nie wiadomo. W jednej chwili mogą z panem jak najbardziej przyjaźnie gawędzić, a w następnej przejechać panu nożem po gardle. A są tacy, co by panu flaki wypruli za sam metal, jaki pan ma w swoim zestawie przy pasie.

Ethan usłyszał te słowa i podsunął się, żeby stanąć obok swojego wysokiego przyjaciela.

– Daj spokój, Skuo, sam wiesz, że to nieprawda.

– Czy aby? To, że spędziliśmy wśród nich kilka miesięcy nie oznacza, że naprawdę ich znamy. Znamy ich język, zwyczaje i kulturę kilku z nich, nastawienie niewiele większej ich liczby, ale nie znamy ich samych. Pomimo tych wszystkich radosnych „hej, hej” i „cześć” wciąż jeszcze są to obcy. Nie są ludźmi. Nie są nawet antropoidami. – Odwrócił się i sztywno odmaszerował.

Moware był najstarszym członkiem ekipy naukowców; podobnie jak pozostali był zaintrygowany Septembrem. Odsunął teraz osłonę hełmu i z zainteresowaniem obserwował plecy oddalającego się

olbrzyma.

– Nie znam twojego wielkiego przyjaciela zbyt dobrze, ale tak mi się zdaje, że wszędzie, gdzie się uda, niesie ze sobą jakieś ciężkie brzemie. Żarty są w jego słowach, ale nie ma ich w jego oczach. – Obejrzał się na Ethana. – A jednak jesteście dobrymi przyjaciółmi.

– Bardzo dobrymi, przynajmniej tak mi się zdaje. – Ethan poszukał wzrokiem Septembra, ale olbrzym już zniknął. – On jednak ma rację. Tak naprawdę, to my nie znamy tranów.

Tak naprawdę to nie znam i ciebie, prawda, przyjacielu Skuo September?

Spacerkiem ruszył w tę stronę, gdzie Hunnar i Elfa ostatecznie żegnali się z członkami załogi, którzy nie jechali z nimi.

– Wkrótce spotkamy się w Wannome i będziemy pili i wieczerali przy wielkim ogniu w Sali Landgrafów. – Hunnar objął starego wojownika za obydwa ramiona, a Balavere Longax oddał mu uścisk. Potem Longaxa objęła Elfa.

– Niech cię dobre duchy mają w opiece, księżniczko, i przyprowadzą cię bezpiecznie z powrotem. Twój ojciec poczuje się rozczarowany, kiedy nie znajdzie ciebie wśród nas.

– Mój ojciec poburczy trochę i wróci do swoich spraw – odparła Elfa z uśmiechem. – Jestem pewna, że kiedy w końcu będziemy wjeżdżali do portu Wannome, ty nadal będziesz snuł swe opowieści, bo wrócimy, zanim zaschnie ci w gardle i zawiedzie cię wyobraźnia.

Potem przyszła kolej na Ethana. Kiedy ceremonia się zakończył, Longax powiódł oczami po krzątającym się tłumie.

– Czy wielki September nie przyjdzie się z nami pożegnać?

– Boczy się – wyjaśnił Ethan. – Ostentacyjnie pokazuje, jak bardzo wytrąciło go z równowagi to, że z nami jedzie.

Longax wykonał gest zrozumienia.

– Ten September bardzo jest podobny do małego zwierzaka o nazwie toupek. Ten mięsożerca jest samotnikiem, poluje w pojedynkę, łączy się z innymi ze swojego gatunku tylko po to, żeby się parzyć, ryczy jak grzmot, a jest tylko tej wielkości. – Rozpostarł łapy na odległość jednej stopy.

– Sam nie wiem. Skua mówi, że was nie znamy. A ja niekiedy mam wrażenie, że ciebie, Hunnara i Elfę znam lepiej niż jego.

– Dziwny jest ten twój potężny przyjaciel – zgodził się Longax uroczyście – nawet jak na człowieczą istotę. Sądzę, że woli on żeglować pod wiatr.

– Czemu miałyby mu to przeszkadzać? – Dopiero po chwili Ethan zorientował się, że właśnie zażartował w sposób, który zrozumieć mógł tylko drugi tran. Po przetłumaczeniu żart dla kogoś

takiego jak Cheela Hwang nic by nie znaczył. Chyba rzeczywiście przebywa na tym świecie już od dawna.

Grupa Longaxa zeszła z klipra i stanęła szeregiem na kamiennym obrzeżu. Podmuch mroźnego zimna uderzył Ethana w twarz, zapiął więc osłonę kombinezonu ochronnego. Przyglądał się przez spolaryzowane szkło, jak generał i jego towarzysze kłaniają się posępnie statkowi. Ta-hoding zajął pozycję za kołem i wyryczał rozkazy. Ten wiatr, który dźgnął zimnem Ethana, kapitanowi ani trochę nie przeszkadzał. Tranowie wspięli się na olinowanie i na ruchome reje. Żagle utkane z włókien pika-piny zaczęły się rozwijać.

Całkiem spory tłumek zgromadził się, żeby popatrzeć, jak kliper lodowy będzie odjeżdżał. Wielu ludzi ze stacji naukowej stało z włączonymi magnetofonami, półgłosem mamrocząc komentarze do fonoczuJNIKÓW. Trójmasztowy statek lodowy o kształcie grotu strzały osadzony na pięciu potężnych płozach wykonanych z metalu odzyskanego ze zrujnowanej szalupy ratunkowej, która na samym początku przyniosła Ethana, Skuę i Millikena Williamsa na ten świat, ta ich *Slanderscree* zawsze i wszędzie zadziwiała wszystkich, którzy ją zobaczyli. Tak tranów, jak i ludzi. Nigdzie, na całej planecie nie było niczego, co mogłoby się z nią równać. Jej protopłaści przewozili kiedyś herbatę, porcelanę i pasażerów przez dwa wielkie oceany na Ziemi; Milliken Williams dopasował projekt do potrzeb Tran-ky-ky i jej zamrożonych oceanów.

Wykorzystując ze zręcznością flecisty podmuchy wiatru, Ta-hoding wycofał olbrzymi pojazd z doku. Przyglądający się ludzie zbyt byli zajęci nagrywaniem i robieniem notatek, żeby wiwatować, a przyglądający się tranowie nie widzieli żadnego powodu, żeby to robić. Oficjalne pożegnania zostały zakończone. Balavere'a Longaxa i stojących z nim tranów, ich przyjaciół i towarzyszy rejsu, nie było już widać.

Pod dowództwem Ta-hodinga kliper lodowy obrócił się zręcznie wokół swojej piątej płozy, steru rufowego, który służył do kierowania statkiem. Kiedy ustawiono ruchome reje, wiatr wypełnił żagle. Nabierając szybkości *Slanderscree* ruszyła wzdłuż wąskiego, wypełnionego lodem fiordu, który tworzył port Dętej Małpy.

Znowu ruszamy w drogę, dumął Ethan przyglądając się, jak prześlizguje się obok nich zamrożona ziemia. Znowu w drogę i wciąż jeszcze nie do domu.

Spodziewał się, że Hwang i jej ludzie nie będą opuszczali swoich kabin; pokład *Slanderscree* pod pełnymi żaglami nie był miejscem, gdzie miałyby się ochotę wypoczywać. Ale nie miał racji. Badacze, których podróże po Tran-ky-ky ograniczały się dotychczas do jednej jedynej wyspy, zachwyceni byli, że wreszcie wyjechali na wielką taflę lodową. Wdali się w nie kończący się cykl przeróżnych działań i eksperymentów, do tego stopnia, że ich nocne pomiary zaczęły kolidować z normalną rutyną na statku.

– Spałem sobie głęboko, kapitanie – tłumaczył Ta-hodingowi drugi oficer, Mousokka, podczas gdy Ethan i Hunnar się przypatrywali – dopilnowawszy wcześniej zarzucenia kotwic lodowych na noc, kiedy nagle słyszę na pokładzie nad głową odgłos wielu stóp. Zbyt wielu, jak na nocną wartę i do tego w niewłaściwym miejscu. Więc podnoszę się z ciepłego hamaka i wykradam na pokład, żeby wyśledzić, co się dzieje. Już sobie myślę, że może nas zaatakowali i poderżnęli gardła nocnej

warcie, a wszystko co zobaczyłem, to te pozbawione futra istoty – bez urazy, Sir Ethanie – które grasowały po pokładzie i rozstawiały jakieś dziwaczne, metalowe rury. I gapiły się przez nie. No to ja też popatrzyłem w tym samym kierunku, ale nie zobaczyłem nic prócz lodu.

– Oni przyglądali się fosforyzującym algom, które rosną na lodzie – wyjaśnił Ethan z pewnym niepokojem; wcześniej sam zapoznał się już z tym szczególnym doświadczeniem. Drugi oficer i kapitan patrzyli bez zrozumienia, a Hunnar sprawiał wrażenie po prostu rozbawionego. – Eorvin – powiedział im, przypomniawszy sobie prawidłową trańską nazwę.

Mousokka przypatrywał mu się zmrużonymi oczami.

– Patrzyli na corviny? W środku nocy? W mroźnych ciemnościach?

Ethan kiwnął głową; gest ten to samo znaczył dla tranów, co i dla ludzi. Drugi oficer przemyślał sprawę, potem odpowiedział.

– Uprzedzę naszych, że muszą bacznie uważać na waszych przyjaciół, żeby w swoim zapatrzeniu, mając na oku tylko jeden cel, nie powypadali za burtę albo nie pospadali z olinowania.

– To niezły pomysł, ale oni nie są aż tak zwariowani, na jakich wyglądają.

– To czarodzieje. – Zamiast kropki na końcu uwagi Hunnara pojawiło się chrząknięcie. – Prawie na jedno wychodzi.

Jak Ethan wiedział, słowa „naukowiec” nie dało się przetłumaczyć na trański i tubylcy zdecydowali się korzystać z najbliższego odpowiednika.

– Nie mnie o tym sądzić – powiedział Mousokka. – Jestem prostym żeglarzem.

– Pilnuj tylko, żeby ci nie wchodzili w drogę – poinstruował go Hunnar. – Nie chcemy, żeby przeszkadzali w normalnych, rutynowych działaniach, czy zrobili sobie jakąś krzywdę. – Zerknął na Ethana, żeby upewnić się, czy jego przyjaciel to aprobuje.

– Nie róbcie tego w sposób zbyt jawny, a wszystko będzie w porządku. Wątpię, czy oni w ogóle zauważą, że ktoś ich ma na oku. Za bardzo są pochłonięci swoją pracą. Musicie zrozumieć, że z powodu przepisów Wspólnoty siedzieli stłoczeni w Dętej Małpie od chwili założenia tej placówki. Teraz wypuszczono ich na zewnątrz, mogą zobaczyć więcej waszego świata i nie chcą uronić ani jednej rzeczy. Chcą zobaczyć wszystko.

– Eorviny. – Mousokka odszedł mamrocząc coś jeszcze pod nosem.

Działalność człowieczych naukowców pozostawała dla tranów tajemnicą, ale przynajmniej żeglarze i żołnierze byli na tyle wyrobieni, że nie przypisywali wszystkiego, co robiła Hwang i jej ludzie, czarom i magii. Dużo prościej było wytłumaczyć sobie, że po prostu wszyscy uczeni są trochę pomyleni. Dowodem były choćby wydarzenia tego ranka, kiedy głód popędził zamorzone stado drapieżnych snigaraków do ataku na statek. Obserwator wypatrzył je i podniósł alarm, kiedy właśnie zataczały łuk nad statkiem i przygotowywały się do ataku. Zanim zanurkowały w dół, nie uzbrojony

personel zdążył już schronić się pod pokładem, a żołnierze stali gotowi na ich spotkanie. Strzały i bełty zestrzeliwały po jednym zębate, latające stwory. Jeden z nich upadł w pobliżu stóp Ethana. Od czubka nosa do ogona miał dwa metry długości i szeroko rozwartą paszczę z szeregiem szpikulców. Nie były to zęby, ale ostry, poszarpany skraj dwóch płytek rogowych, tworzących szczęki. Jak każda udana forma życia na Tran-ky-ky, snigaraki pokryte były wspaniałym futrem. W przeciwieństwie do futra tranów ich szczecina była pusta w środku, żeby oszczędzać na wadze przy równoczesnym maksymalnie dużym zachowaniu ciepła. Skrzydła miały krótkie i szerokie, bardziej przypominające skrzydła sokoła niż orła. Charakterystyczne były ich ogony, każdy z nich bowiem miał dwa, a trzymały je pionowo, a nie poziomo.

Ku zaskoczeniu tranów Moware siedział wysoko w olinowaniu i filmował bitwę, spokojnie dodając informacje uzupełniające tam, gdzie to było konieczne; nie zważał na to, że dookoła błyskały ostre wyrostki i chwytne szpony. Tranowie wrzeszczeli, żeby zszedł na dół, ale ignorował te krzyki, chociaż możliwe, że wcale ich nie słyszał. Dwa snigaraki mogłyby go z łatwością wyrwać z sieci i unieść ze sobą, mogłyby go też strącić z jego grzędy na pokład albo na lód. Wyglądało na to, że Moware trwa w błogiej nieświadomości, co mu grozi. Twarz mu się marszczyła w pełnym zachwyty uśmiechu, kiedy nagrywał ten atak dla potomności, żeby już nie wspomnieć o przyszłych studiach.

Tego samego dnia później, po odparciu napowietrznego ataku, ksenolog wyświetlił swoje nagranie dla kolegów-naukowców. Siedzieli zbici w kupkę naokoło kamery, robili uwagi, zadawali pytania i jakby nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa na jakie w oczywisty sposób narażał się Moware. Było to całkowicie nieistotne w porównaniu z uzyskaną informacją. Kiedy atakujący snigarak runął w dół na Mowarego i zabójcze szczęki na chwilę wypełniły soczewkę kamery, jedyne komentarze, jakie dało się słyszeć, dotyczyły budowy szczęk: czy są to prawdziwe szczęki czy też giętki dziób?

Narzekania na niezrozumiałą i niepokojącą działalność naukowców osiągnęły jednak punkt kulminacyjny, kiedy jeden z nich zapytał trzeciego oficera Kilpita, czy nie mogliby poszukać jeszcze jednego stada tych napowietrznych zabójców, żeby ukończyć dokumentację dotyczącą metody ataku snigaraków.

– Możemy przewozić tych obcych na nieznaną łód – oświadczył Kilpit Ta-hodingowi – ale rozmyślnie narażać się na niebezpieczeństwo po to, żeby zaspokoić ich dziwaczne i niewytłumaczalne chęci?

– Czy ktoś został ranny podczas ataku? – zapytała Elfa oficera.

– No, nie, pani. – Kilpit grzebał w futrze w poszukiwaniu czegoś, co go uporczywie gryzło i miał niewyraźną minę.

– Czy ktoś odniósł obrażenia z powodu czegoś, co zrobili ci ludzie?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Więc nie masz powodów do skarg. Hunnar okazał więcej zrozumienia.



– Niektórzy członkowie załogi nie wiedzą, co o tym myśleć. To co nowe i odmienne jest zawsze niezrozumiałe. Porozmawiam z uczonymi.

W rzeczywistości postąpił inaczej; przekazał swoje rozterki Ethanowi, który zgodził się pogadać z grupą Cheeli Hwang.

– Nie dziwcie się – powiedziała, kiedy jej już przekazał, co niepokoi tranów – że trudno jest nam powstrzymać się od entuzjazmu. Latami tkwiliśmy w biurach, a tu nagle mamy cały świat do zbadania. – Mówiła oficjalnie, ale nie sztywno.

– Ja to rozumiem – odparł Ethan – i zrozumie Hunnar, a także prawdopodobnie Elfa i Ta-hoding, ale nie rozumieją tego zwykli żeglarze i żołnierze. A to, czego nie rozumieją, wyprowadza ich z równowagi. Przyglądają się, jak przeprowadzacie swoje doświadczenia i wdajecie się w jakieś niewytłumaczalne działania, a potem wymyślają sobie przeróżne zabobonne bzdury.

– Za mało się udzielamy. Ty, Milliken i September poruszacie się wśród nich swobodnie i to już od dłuższego czasu, więc was i wasze indywidualne nawyki akceptują. – Blanchard oparł brodę na lewej dłoni. Wygląda tak, jakby się na swoje wąsy zdecydował po fakcie, dumął Ethan. – Nie jesteśmy siłaczami, ale po ponad dwóch latach pobytu na tym świecie osiągnęliśmy chyba niezłą formę. Trzeba sobie zapracować na to, żeby człowieka zakwalifikowali na taki świat, jak Tran-ky-ky. – Podniósł wzrok na Ethana. – Nasza umowa, która obejmowała odesłanie wielu tranów do domu, spowodowała, że załoga statku jest teraz ograniczona do minimum.

– Tak jest. – Ethan skinął głową. Blanchard przyjrzał się swoim kolegom.

– Wszyscy już pracowaliśmy w kombinezonach ochronnych, mamy więc doświadczenie. Może moglibyśmy jakoś pomóc na statku.

– Nie, nie – powiedział mu Ethan. – Ta-hoding wygląda na jowialnego, niefrasobliwego typu, ale w sprawach dotyczących statku wcale taki nie jest.

– Nie bralibyśmy się do czegoś, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić. – Alner Jacalan, geolożka, napięła mięśnie w ręce. – Jesteśmy na tyle inteligentni, że wiemy, co możemy, a czego nie możemy robić.

– Proszę naszą propozycję przedstawić kapitanowi – zaproponowała Hwang. – To może być dobra zabawa. – Od strony jej kolegów dobiegł pomruk aprobaty.

– Pewnie. – Jacalan roześmiała się na tę perspektywę. – W końcu mogę ciągnąć za linę z pikapiny z najlepszymi spośród nich, a przynajmniej mamy pewność, że nie każą nam zmywać pokładów. Niczego tu na tym świecie nie można myć na zewnątrz, bo każda ciecz natychmiast zamarza. Poza tym – dodała – załoga powinna wiedzieć, że jakby przyszło co do czego, to może liczyć na naszą pomoc.

– Zaproponuję to. – W głosie Ethana słychać było powątpiewanie.

Był więc prawdziwie zaskoczony, kiedy Ta-hoding się zgodził.

– Dodatkowe ręce, czy to okryte futrem, czy nie, będą mile widziane. A jakże, niech się uczeni zapoznają z obsługą *Slanderscree*. Nie trzeba być doświadczonym żeglarzem, żeby pomagać przy wyciąganiu kotwicy.

Spełniło się życzenie Blancharda. Dzięki temu, że ludzie pracowali razem z załogą, tranowie mogli poznać każdego z nich z osobna. Stopniowo pozbyli się lęku i podejrzeń i nie upłynęło wiele dni, a z entuzjazmem pokazywali wszystkie czynności, od regulacji rei aż do czyszczenia żagli. Zdołali się odprężyć, bo każdy z nich wiedział, że to tylko tymczasowy układ. Wezmą na pokład więcej doświadczonych ludzi w Poyolavomaarze.

Kiedy ustąpiło napięcie, wszyscy powitali to z ulgą i nadziwić się nie mogli, jak szybko zaczyna się rozwijać poczucie koleżeństwa. Niektórzy z naukowców wykorzystywali ten układ i zaczęli robić tranom krótkie wykłady z geologii i klimatologii. Po tych lekcjach żeglarze nie kryli niechętnego podziwu, a naukowcy przestali patrzeć na swoich futrzastych, wielkookich towarzyszy jak na prymitywnych dzikusów.

Tymczasem *Slanderscree* trzymała zygzakowaty kurs na południe do Poyolavomaaru, jako że Ta-hoding umiejętnie wykorzystywał nieustannie wiejący wiatr.

Nie tak dawno temu jechali po tym samym spłachetku lodu. Ethan myślał sobie, że powinien rozpoznawać teren, ale nie był tranem. Lód to lód. Ta-hoding, czy ktokolwiek z jego załogi potrafiłby pokazać im charakterystyczne pęknięcia w tafli lodowej, potrafiłby zidentyfikować poszczególne sfałdowania czy delikatne odbarwienia. Pasma i prążkowania były dla trana równie czytelne, jak dla człowieka linie na mapie drogowej. Tu dro – gowskazami były gwiazdy, kierunek wyznaczał wiatr. Ethan zastanawiał się, na ile uczestnictwo we Wspólnocie zmieni jego przyjaciół. Cywilizacja przytępiła zmysły.

Snigaraki otrzymawszy nauczkę trzymały się z dala od klipra lodowego. Podobnie postępowała reszta śmiercionośnych form życia Tran-ky-ky, chociaż napotkali rzadkość o nazwie dyella. Ethanowi przypominała ona gigantycznego węża, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie jest to możliwe; żadne zimnokrwiste stworzenie nie przetrwałoby na tyle długo na Tran-ky-ky, żeby wydać potomstwo. Beznoga dyella miała dwadzieścia metrów długości, pokrywała ją wspaniałe, bordowo-różowe futro. Jej boki i grzbiet były zaokrąglone, a ślizgała się na spłaszczonej Stronie spodniej; specjalne gruczoły wydzielają gorący, śluzowaty smar, który pozwalał jej sunąć szybko po lodzie. Niemal wzdłuż całego grzbietu biegły bliźniacze jakby fałbanki albo żagielki. Dyella wykręcała je i obracała, żeby złapać wiatr i żeglowała po lodzie równie skutecznie jak *Slanderscree*.

Kilku żeglarzy próbowało namówić Ta-hodinga, żeby skręcił ostro na prawo, tak żeby metalowe płozy przecięły drapieznika na pół, ale człowiecza załoga ani słyszeć o tym nie chciała. Moware jak szalony usiłował naładować kamerę, a Jacalan i nie specjalizująca się w biologii reszta naukowców dwoiła się i troiła, chcąc nakręcić własne filmy. Jeśli chodzi o koloryt i rozmiar, dyella była stanowczo najbardziej imponującą formą życia ze wszystkich, jakie dotychczas spotkali. Niespodziewanie stworzenie zahaczało głosem przypominającym groźne pomiaukiwanie i nieco odsunęło się na bok; cały czas sunęło równoległe do kursu klipra lodowego w odległości jakichś trzydziestu czy czterdziestu metrów. Nie atkowało jednak ani się nie wycofywało.

– Jedno niewielkie ukąszenie... – powiedział Ta-hoding stając przy poręczy i przyglądając się tej nieproszonej eskorcie. Przesunął czubkami pazurów po dłoni drugiej łapy. – Trup nieboszczyk. Taka jadowita.

Ethan popatrzył w przód. Moware i jego koledzy niemal wypadali za burzę, żeby tylko zdążyć zrobić ujęcia z bliska.

– Nie mów tego uczonym. Zaraz zechcieliby pobrać próbkę jadu. – Wrócił spojrzeniem znowu do dyelli, zafascynowany jej giętkim, pozornie nie wymagającym wysiłku sposobem poruszania się. Nie miała żadnych kłopotów, żeby dotrzymać tempa *Slanderscree*.

– Czym one się tutaj żywią? To duże zwierzę, a do zjadania pika-piny jad nie jest potrzebny.

Ta-hoding pochylił się do przodu i stęknął, kiedy poręcz wbiła mu się w brzuch. Po kilku chwilach pokazał ostrym gestem na południowy wschód.

– Tam, achivary!

Stado, na które zwrócił uwagę kapitan, wkrótce stało się lepiej widoczne, a Ethan uświadomił sobie, że dyella wcale nie podąża śladem klipra lodowego, tylko ściga roślinożerców. Każdy achivar był mniej więcej wielkości świni. Oprócz futra pokrywały go metrowej długości kolce, na czubku każdego z nich znajdowała się mała, przypominająca skrzydełko błona. Podnosząc i opuszczając kolce i ustawiając je w różny sposób, achivary mogły łapać wiatr i skutecznie żeglować po lodzie, podobnie jak dyella, *Slanderscree* i dziesiątki innych mieszkańców lodu.

Kliper wjechał w stado, nie przejeżdżając ani jednego zwierzęcia. Nawet młodziki okręcały się i zataczały łuki z niewiarygodną zręcznością, a liczne kolce połyskiwały w świetle słońca. Archivary miały wielkie, jaskrawoczerwone oczy, małe głowy mocno osadzone na pozbawionych szyi tułowiach i szerokie, płaskie stopy, które przekształciły się w śliskie poduszeczki. Dyella postawiła swoje długie żagielki i usiłowała przechwycić cały dostępny wiatr, aby odciąć stadu drogę i zablokować wiatr wiejący mu w kolce. Podobnie postępowali żeglarze na starodawnych, pływających po ziemskich morzach okrętach wojennych, starający się przechwycić wiatr wrogiego żaglowca, żeby pozbawić go szybkości i zdolności manewrowania. Taktyka konsumpcyjna zamiast strategii wojennej, dumął Ethan. Dyelli wcale nie szło łatwo. Achivary były równie szybkie jak ona i dużo bardziej zwinne. September dołączył do Ethana i razem przyglądali się przedstawieniu.

– Jeżozwierze na łyżwach – burknął zerkając na Ta-hodinga, kiedy kapitan ryknął od niechcienia jakiś rozkaz do sternika. – Czy te kolce są równie ostre, na jakie wyglądają?

– Ani odrobinę mniej – odparł Ta-hoding. – Pomimo tych łapaczy wiatru. Sztuka polowania na achivary polega na zaskoczeniu ich podczas odpoczynku, albo kiedy się pasą i ich kolce są złożone.

– Przyszedłem przekazać prośbę Moware'a – September pokazał na dziób. – Chcieliby złapać sobie jakiś okaz i zabrać go do Dętej Małpy. Usiłowałem wytłumaczyć i jemu, i całej reszcie, że nie pójdziesz na to.

– Te achiwary w tej chwili ani nie śpią, ani się nie pasą, a gdybyśmy się zatrzymali, dyella mogłaby dojść do wniosku, że milej będzie zapolować na jakiegoś bezkolccgo trana niż na szybkiego, kolczastego achiwara. Tak więc nic z tego. Musisz przekazać swoim uczonym ode mnie słowa przeprosin.

– To nie mój pomysł. Ja się z tobą całkowicie zgadzam. Ethan dał krok w tył od poręczy.

– Ja im powiem. W końcu to im się spieszy, żeby dojechać na południowy kontynent. Przypomnę, że robisz tylko to, o co cię sami prosili.

Ta-hoding z aprobatą skinął głową. Kiedy kliper lodowy zostawiał za sobą stado achiwarów i dręczącą je dyellę, Moware aż kipiał z wściekłości, ale musiał zadowolić się obrazami i dźwiękami, które uchwycił swoją kamerą. Dużo później sfrustrowany ksenolog odciągnął Ethana i Skuę na bok.

– Kto płaci za tę podróż?

September tylko wyszczerzył zęby, odwrócił się i nadal prowadził obserwacje szeregu dalekich, granitowych zrębów, które Wystawały z lodu.

– Zapytaj o to Hunnara albo Ta-hodinga, albo któregokolwiek innego ze szlachetnych tranów, a będziesz miał okazję przekonać się, jak ciasnym łukiem potrafi zawrócić ten statek.

– Chyba by im to nie zepsuło planów, gdybyśmy od czasu do czasu zatrzymali się, żeby pobrać próbki.

– To wam się spieszyło, nie pamiętasz? Tranowie zgodzili się zawieźć was na południowy kontynent tak szybko, jak tylko się da. I to właśnie robią. Nie zmienia się planów w środku podróży. To nie ich sposób postępowania. W końcu odłożyli o kilka jeszcze miesięcy spotkanie ze swoimi przyjaciółmi i ukochanymi tylko po to, żeby wam pomóc. Cieszcie się, że w ogóle jesteście na tym statku. Nie przeciągajcie struny, żeby się dobra passa nie skończyła. Tranowie są popędliwi i pamiętliwi. Jak ich teraz wyprowadzicie z równowagi, będziecie mieli diabelne kłopoty z otrzymaniem od nich pomocy na przyszłość. Moware rozważał radę Septembra.

– No dobrze, skoro tak uważasz, chociaż wcale mnie to nie cieszy.

– Nikt nie mówił, że coś ma cię cieszyć.

Moware nastroszył się, ale stał na spalonym, o czym September dobrze wiedział. Koledzy owszem, mogą mu współczuć, ale nie narażają się na ryzyko utraty sympatii tranów, tylko po to, żeby popierać jego żądania. Meteorologowie muszą dostać się na południowy kontynent, a geospecjaliści, tacy jak Jacalan i Blanchard, w ogóle nie mieli czego badać na lodzie. Na pewno nie będą obstawać przy objazdach i nie zaplanowanych badaniach terenowych.

Następnego dnia wjechali na pierwsze obszerne pole pika-piny i Moware już ani pisał, bo pogrążył się w szczegółowych badaniach tej potężnej kopalni flory. Zbyt był zajęty filmowaniem nowych cudów, żeby się kłócić o przystanki. A zebranie próbek wystarczających na tydzień badań nie sprawiało żadnych trudności – po prostu na dziesięć minut wystawiał za burtę rozpędzonego klipra

swoją siatkę na okazy.

Ta-hoding kierował statkiem po nie kończących się polach zieleni, unikając większych, gęstszych skupisk pika-pedanu. Metalowe płozy klipra rozcinały czysto pełną wody zieleń, zostawiając za sobą miazgę, różne inne organiczne szczątki i natychmiast strzelające w górę nowe pędy.

– Czy zauważyłeś tu ostatnio coś nowego, mój chłopcze? – September przyłączył się do Ethana i teraz obydwaj gapili się nad bukszprytem.

– Nie wiem, co masz na myśli. – Ethan leniwie zerknął na termometr wbudowany w przegub kombinezonu ochronnego. Tego ranka było tylko dziesięć stopni mrozu. Nie tak źle, jeżeli wziąć pod uwagę, że tuż przed wschodem słońca temperatura opadła do minus sześćdziesięciu.

– Chodzi o naszego zacnego przyjaciela Williama.

– No, co tam? – Ethan z zaciekawieniem popatrywał na Septembra zza osłony hełmu swojego kombinezonu.

Olbrzym machnął głową w kierunku czwórki naukowców, którzy zebrali się na śródkręciu. Ethan natychmiast poznał

Williama po jego sponiewieranym kombinezonie, tak różnym od lśniącego, nieskalanego stroju jego towarzyszy.

– Nie odstępuję naszej przyjaciółki Hwang.

– No to co? Razem prowadzą obserwacje. Wcale nie czuję się tym zaskoczony. Przez rok usiłowałem nawiązać jakiś dialog z takimi prostaczkami jak ty czy ja, więc można się było spodziewać, że będzie chciał jak najwięcej czasu spędzać z ludźmi o podobnych ciągotach intelektualnych.

– Nic nie robią, tylko razem obserwują. Od chwili kiedy wyjechaliśmy z Asurdunu.

– Nie chcesz chyba dać do zrozumienia, że w ich wzajemnym stosunku pojawia się coś więcej niż profesjonalizm?

– Och, nie skądże znowu, mój chłopcze.

– To czemu ci ani trochę nie wierzę? – Ethan przyglądał się, jak Williams przybliżyła swoją osłonę do twarzy Hwang. Całkiem naturalna czynność, biorąc pod uwagę ograniczony zasięg membran głosowych kombinezonów. – Nie jestem pewien, czy naszą przyjaciółkę Hwang interesuje coś więcej poza sprawami zawodowymi.

– Nie daj się zwieść jej zachowaniu, mój chłopcze. Nawet stal może się zacząć tlić, jeśli tylko warunki będą właściwe.

– Przepraszam. Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, żeby takim właściwym warunkiem miał być nasz Milliken.

– Nie potrafisz? Zmień no perspektywę patrzenia, mój chłopcze. Dla tamtej grupki Milliken wybija się ponad przeciętną i wcale nie mam na myśli jego wzrostu. Widział rzeczy, o których te kury domowe mogą tylko pomarzyć, wiele przeżył i może o tym opowiedzieć. A poza tym dla tranów jest bohaterem z krwi i kości. Nie sądzę, że nasi wyrachowani przyjaciele czegoś takiego nie dostrzegają. Jak ktoś taki jak on przybywa do Dętej Małpy na statku zaprojektowanym przez siebie samego, z załogą tranów, którzy z jego pomocą stali się sojusznikami ludzi, wszelkie wymyślne stopnie naukowe odpływają ze ściekami w dal. Czy nie rozumiesz, jak bardzo taka osoba może być interesująca dla kogoś takiego jak Hwang? – W głosie Septembra zdecydowanie słychać było rozbawienie.

– Może i tak, ale przez cały ten czas, który spędziliśmy na lodzie, miałem tak jakby wrażenie, że może Milliken jest... no wiesz.

– Myślałem podobnie, mój chłopcze, a to sprawia, że rozwój wydarzeń jest jeszcze bardziej intrygujący. Jak się jednak nad tym zastanowić, to wszystko do siebie wspaniale pasuje. Nasza przyjaciółka Cheela ma nieco skłonności do despotyzmu, chociaż taka z niej niepozorna drobinka i...

– Czy nie mógłbyś sobie znaleźć jakiegoś ciekawszego tematu dla swoich spekulacji? – zapytał Ethan z niesmakiem.

– Pewno, że nie – odpowiedział wesoło September. Machnął ręką w kierunku przemykającego pod nim lodu, w kierunku rozległej, monotonnej równiny pika-piny. – Dopóki jesteśmy tutaj, to nie. Ciekaw byłem właśnie, co powiedzieliby tranowie o tym, co się tu wyprawia. Gatunek nie gra roli, w końcu jesteśmy wśród żeglarzy. A żeglarze to zawsze żeglarze, obojętnie jakiego kształtu mają źrenice czy stopy.

– Zatrzymaj to tylko dla siebie, Skuo. To, co ciebie bawi, oni mogą uznać za bluźnierstwo albo za pecha, albo coś jeszcze innego. Nie wiemy, jakie jest ich nastawienie do pokładowych romansów.

– Tranowie nie są tacy, ale co do jednego masz rację, mój chłopcze. Powiniennem zamknąć tę moją wielką gębę. – Kiwnął głową w kierunku czwórki naukowców. – Chociaż nie będzie tego łatwo utrzymać w tajemnicy, zważywszy na to, jak tych dwoje się zachowuje. Czy ty sobie zdajesz sprawę, że oni wczoraj...?

Nad pokładem z nagłym porykiem przeleciał wiatr i zagłuszył resztę słów oddalającego się Septembra. Wystarczyło, że Skua poddał mu tę myśl, a Ethan przekonał się, że Williams i Hwang przyciągają jego wzrok jak magnes opiłki żelaza. Niech diabli wezmą Septembra za zawracanie mu głowy błahymi sprawami. Nikt nie powinien mieszać się do tego, co się tam między tamtymi święci. Jeżeli jednak to prawda, to cieszył się z powodu Millikena. I nagle zdał sobie sprawę, że się szeroko uśmiecha.

Następnego popołudnia trafili już nie na zwykłe stado achivarów, ale na prawdziwą kolczastą armię, sunącą w ich stronę z południa. Brązowe i niebieskie kolce ciągnęły się aż po horyzont. Samice i młode zręcznie omijały płozy *Slanderscree*, a samce od czasu do czasu usiłowały ukłuć metalowe podpory przednimi kolcami. Kliper lodowy żegłował przez ocean powiewających na kolcach chorągiewek.

– Musi ich być ze sto tysięcy? – wrzasnął w ekstazie Moware, usiłując się bezskutecznie zdecydować, w którą stronę ma wycelować swoją kamerę.

Hunnar i Elfa przypatrywali się temu zdumiewającemu widowisku stojąc ramię w ramię.

– Nigdy nie widziałam ani nie słyszałam o migracji na taką skalę. To nie jest właściwa pora roku.

– Może w tej części świata one mają inne zwyczaje – podsunął Ethan.

Hunnar tylko machnął łapą.

– Być może. Ale wydawałoby się oczywiste, że powinny się zatrzymać na terenach obfitujących w ich pokarm, a przecież wytrwale pchają się na północ. Wygląda, jakby przed czymś uciekały.

## ROZDZIAŁ 5

– Poyolavomaar na horyzoncie!

Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku kosza obserwatora na topie głównego masztu, a po chwili załoga i pasażerowie popędzili do przodu i wyteżyli wzrok, chcąc ujrzeć to potężne państwo-miasto, które zawarło sojusz z Sofoldem po bitwie pod Moulokinem. Naukowcy aż palili się, żeby na własne oczy zobaczyć siedem wysp, o których im opowiadano, a Ethan, September, Williams i tranowie ciekawi byli, jaki to rząd utworzono podczas ich nieobecności. Czy wciąż jeszcze zostaną powitani jako przyjaciele, nie mówiąc już sojusznicy?

W godzinę później znaleźli się pośród zewnętrznych wysepek, przypominających niewielkie wzgórza o płaskich wierzchołkach i stromych zboczach, których szczyty wystawały nad zamarznięty ocean. Pocięte na schludne terasy zbocza pagórków usiane były domkami z obrobionego kamienia. Z wysokich kominów unosił się dym. Siedem najważniejszych wysp, na których mieszkała większość ludności Poyolavomaaru, leżało wprost przed nimi.

Ethan wodził spojrzeniem po zboczach w poszukiwaniu jakichś śladów wojny czy konfliktu i pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi, kiedy żadnych nie znalazł. To, że zrzucili z tronu byłego, morderczego Landgrafa, nie wywołało podczas ich nieobecności wojny domowej.

– Dosyć tu spokojnie. September przytaknął.

– Ktoś przejął władzę i to wcale nie ciężką ręką. Na elewacjach niektórych budynków i pomostów widać dekoracyjne rzeźby. Ciemniezeni ludzie nie zajmują się sztuką zdobniczą. Ciekawe, kto jest nowym Landgrafem. Może ten młody oficer, T’hosjer T’hos, który wykończył Rakoszę.

– Niewykluczone, chociaż sędzę, że szlachta wybrałaby raczej kogoś bliżej powiązanego z tronem, jeżeli udałoby im się znaleźć jakiegoś dalekiego krewnego, byle nie tak szalonego jak Rakossa. Wkrótce się już dowiemy.

Niewielkie tratwy lodowe zawracały z kursu, ustawiały się równolegle do *Slanderscree* i eskortowały ją. Na Tran-ky-ky nie można było się pomylić i wziąć klipra lodowego za jakiś inny statek. Ci Poyolavomaarczykcy, którzy byli obecni, kiedy *Slanderscree* przejeżdżała tędy w drodze do legendarnego Moulokinu, poznali ją natychmiast. Obywatele miasta-państwa tłumnie wdrapywali się na olinowania i stawali szeregiem przy poręczach swoich dużo mniejszych pojazdów, pogwizdując i pokrzykując na powitanie.

Jakaś lśniąca łódź lodowa o wysoko osadzonych żaglach podjechała do burty tratwy na tyle



blisko, że jeden z jej żeglarzy mógł dokonać bohaterkiego wyczynu akrobatycznego, na który nawet zahartowani żeglarze z Sofoldu zareagowali wiwatami. Wykorzystując swoje mocne pazury, żeby utrzymać się na drewnie, żeglarz wpełził na prawy wysięgnik statku, aż przycupnął dokładnie nad pojedynczą rufową płożą z tyłu. Potem podniósł jedną łapę na tyle, żeby pomachać do sternika. Ten zaczął delikatnie manewrować żaglami i wiatrem i prawy wysięgnik lodowej łodzi uniósł się powoli nad lód, a ona pędziła z przechyłem, sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, tylko na jednej przedniej i jednej tylnej płoży. O włos więcej na prawo i łódź przeturla się, rozstrzaskując siebie i swoją załogę o lód. Zbyt gwałtowny powrót na lewo, a uderzenie z pewnością strąci ryzykancko utrzymującego równowagę jeźdźca, który rozbije się na dole o lód, albo zmasakrują go masywne płoży *Slanderscree*.

Nie stało się ani jedno, ani drugie. Łódź przechyliła się tak daleko na prawą burtę, jak tylko to było możliwe, a młody śmiałek zebrał się w sobie i skoczył, wbijając ze wszystkich sił pazury i palce w drabinę wbudowaną w bok klipra. Bezwzględnie jego własna łódź opadła z powrotem na lód. Kilku żeglarzy ze *Slanderscree* wydało ryk aprobaty. Inni wyciągnęli chętne łapy, żeby pomóc mu wdrapać się na pokład. Żeglarz był wysokim, gładkowłosym mężczyzną, który dopiero co wyrósł z wieku dojrzewania. Jego futro lśniło młodością, a oczy błyszczały z podniecenia, kiedy usiłował wszystko równocześnie objąć wzrokiem. Przestały się poruszać dopiero wtedy, kiedy napotkały spojrzenie Ethana i Septembra.

– To wy pomogliście nam wyrwać się z tyranii Rakossy i odzyskać wolność. Wróciliście do nas.

– Tylko przejazdem – powiedział September. – A co do odzyskiwania wolności, zrobiliście to sami.

– Kto rządzi teraz w Poyolavomaarze? – zapytał Ethan.

– T’hosjer T’hos, ten, który obalił tyrana.

– Wybrali właściwego osobnika, zamiast właściwej linii krwi – powiedział półgłosem September. – Rozsądni są ci nasi tranowie.

– Z przyjemnością spotkamy się z waszym nowym Langrafem – powiedział Ethan gościowi.

– A on rad będzie was powitać. Noszę imię Neravar Bład-Kagenn, żołnierz Gwardii Wyspiarskiej. Będę zaszczycony, mogąc wam towarzyszyć do zamku.

– Cieszymy się goszcząc cię na pokładzie. – September popatrzył ponad ramieniem młodego wojownika. Jego mały stateczek szybko się oddalił, prawdopodobnie żeby zameldować o przybyciu *Slanderscree*.

Bład-Kagenn wodził spojrzeniem po coraz to innej części ogromnego klipra lodowego.

– Niemalże mógłbym powiedzieć, że się raduję.

– Czy jest jakiś powód, żeby tak nie było? – Ethan nie krył zaciekawienia.

Bład-Kagenn zwrócił na niego swoje żółte oczy.

– Ponieważ świat został dotknięty obłądem, oczywiście. Czy nic nie słyszeliście tam, w północnych krainach?

– Chyba nie.

– O czym jest mowa? – Hunnar dołączył do nich w samą porę, żeby dosłyszeć ostatnią uwagę wojownika. Zachowanie Rudobrodego było bardziej oficjalne niż dwóch ludzi, chociaż nie wrogie. Bład-Kagenn przyciszył głos, chcąc okazać starszemu rangą rycerzowi szacunek.

– Świat został dotknięty obłądem, a przynajmniej tak powiadają. Może to nic więcej, jak tylko pogłoski.

Hunnar zerknął na Ethana.

– Czy powinniśmy to zbadać?

Ethan wzruszył ramionami.

– Za wcześnie o tym mówić. Mamy swoje sprawy, którymi musimy się zająć. Jeden kryzys na raz wystarczy. – Skierował znowu uwagę na Bład-Kagenna. – Opowiedz nam o waszym nowym Landgrafie. Spotkaliśmy się z nim tylko przelotnie, kiedy przejeżdżaliśmy przez wasze terytorium, a w tamtych czasach był on tylko żołnierzem, a nie władcą.

Bład-Kagenn opowiedział im, jak oficjalnie obalono ród Rakossy i jak szlachetnie urodzeni chcąc, żeby szybko zapanował pokój, zdecydowali oddać władzę w ręce młodego żołnierza. Nikt nie rozpacział, dowiedziawszy się o śmierci Tonxa Ghina Rakossy. Jego obłąd i zdeprawowanie, którego nic dawało się utrzymać w całkowitej tajemnicy, od wielu już lat były zarówno powodem wstydu, jak i poczucia zagrożenia ludności. Szpiegzy Rakossy byli wszędzie, ale kiedy T'hosjer ukręcił potworowi łeb, ciało bezzwłocznie się rozpadło.

*Slanderscree* wjechała tymczasem pomiędzy siedem głównych wysp. Ta-hoding przyhamował statek, żeby nie przejechali któregoś z pomniejszych pojazdów kursujących po lodzie. Przy centralnej wyspie znowu witały ich wiwaty, chociaż Ethanowi zdawało się, że okrzyki i porykiwania są dziwnie stłumione.

Bład-Kagenn dumnie eskortował ich po porcie i w górę po stromym zboczu, które prowadziło do zamku Poyolavomaaru. T'hosjer T'hos wciąż wyglądał tak samo: wysoki i jak na trańskie standardy smukły tran, którego Ethan z trudem sobie przypominał z ich ostatniej wizyty. Pozdrowił Ethana i Skuę jak przyjaciół, objął Elfę i Hunnara, swoich niedawno pozyskanych sojuszników w Unii Lodostanów. Dworscy dostojnicy patrzyli na to z aprobatą. Dobra rzecz, ten sojusz. Nie było żadnych nerwowych poszeptywań czy spojrzeń z ukosa, które zwykle towarzyszyły takim spotkaniom. Zniknęli pochlebcy i płaszczący się ochroniarze, którzy otaczali Rakoskę. Z przodu ustawiono krzesła. Były tak szerokie, że wygodnie mogły się w nich pomieścić złożone, przypominające skrzydła dany, czy luźny kombinezon ochronny. Razem z kronikarzem dworskim, który miał zapisywać wszystko, co

zostanie powiedziane pomiędzy Land-grafem a gościem, pojawiły się napoje.

– Nie spodziewałem się kogokolwiek z was tak prędko zobaczyć – powiedział im młody landgraf.

– My ciebie też nie – odparta Elfa.

T'hos poprawił dan i pochylił się do przodu.

– Tak mi się zdaje, że wolę wojaczkę od administracji, ale nie mogłem odrzucić takiego wyróżnienia dla mojej rodziny. Powiedzcie mi teraz, jakie zmiany na północy? Co widzieliście, gdzie byliście i jak rozwija się Unia?

– Unia jest solidna jak ze skały i rozrasta się i umacnia z dnia na dzień – powiedziała mu Elfa. – Co do tego, jakie zaszły zmiany – tu z afektowaną skromnością popatrzyła na Hunnara – wzięłam sobie małżonka.

T'hos szeroko uśmiechnął się do sofoldyjskiego rycerza.

– Oznacza to, że nie będę mógł wzmocnić Unii przez małżeństwo pomiędzy naszymi dwoma krajami.

Hunnar skinął głową, udało mu się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Na Sofoldzie jest wiele szlachetnie urodzonych młodek w stosownym do zamążpójścia wieku. – Przybrał znowu poważny ton. – Od naszego ostatniego lądowania w Poyolavomaarze wiele widzieliśmy i dowiedzieliśmy się wystarczająco wiele, żeby ciekawskiemu żołnierzowi starczyło mu całe życie i to kilka razy. – Kiwnął głową w kierunku Ethana i Skuy. – Nasi nowi przyjaciele mają statki, które latają po niebie, i przyrządy, które pozwalają im rozmawiać na odległość większą niż sacze dzielące od siebie Sofold i Poyolavomaar. Jak tylko nasza unia wystarczająco się wzmocni i będziemy mogli przyłączyć się do tej większej unii, którą oni nazywają Wspólnota, nam też zostaną udostępnione takie cuda.

T'hosowi zjeżyły się wąsy.

– Muszę dożyć tej chwili, żeby to zobaczyć! Rozesłałem emisariuszy do Warrecku i Vem-Hobar z prośbą, żeby dołączyli do naszej Unii. Zareagowali podejrzliwością i unikami, czyli można powiedzieć normalnie. Mam nadzieję, że skaptujemy ich sobie razem z kilkoma mniejszymi, leżącymi dalej państwami-miastami. Moglibyśmy zmusić ich do udziału siłą naszej broni, ale – tu zerknął spod oka na Ethana – mówicie, że wasz rząd woli, żeby unia nie była tworzona w taki sposób.

– Raczej nie.

To niezupełnie prawda, pomyślał Ethan. W rzeczywistości Wspólnota nie dbała o to, w jaki sposób dzikusy tworzą swoje planetarne rządy. Podbój był równie do przyjęcia jak argumentacja, ale tranowie sami z siebie byli dostatecznie wojowniczy. Nie dając żołnierzom takim jak T'hos wyboru, Ethan miał nadzieję zachować życie i majątek mieszkańców. Z im mniejszym rozlewem krwi powstanie Unia, tym będzie mocniejsza.

– Kontynuujcie negocjacje.

– To właśnie robimy – zapewnił go T’hos. – Jestem pewien, że koniec końców rozsądek przeważy. To tylko kwestia czasu. Sęk w tym że ja osobiście z niecierpliwością czekam, żeby uzyskać prawa do tych wszystkich korzyści, o których mówiliście, kiedy poprzednim razem zatrzymaliście się wśród nas. – Przez moment miał zaintrygowany wyraz twarzy. – Czy źle was wtedy zrozumiałem? Zdawało mi się, że nie będziecie tu wracać?

Elfa lekko pochyliła głowę i ostro spod oka spojrzała na swoich człowieczych towarzyszy. Ten podwójny gest obfitował w sugestie, z których nie wszystkie Ethan rozumiał, chociaż już od tyłu miesiący żył wśród tranów.

– Jak się zdaje, Sir Ethan i Sir Skua tak upodobali sobie nasze towarzystwo, że postanowili jeszcze pozostać jakiś czas wśród nas.

– Możesz się o swoje wasy założyć, że nie – warknął September nie troszcząc się o to, że połowa zorganizowanego na Tran-ky-ky rządu może się obrazić. – Ja się przyłączyłem tylko po to, żeby tego tu uchronić od popadnięcia w tarapaty i to jest jedyny powód. – Kiwnął głową w kierunku Ethana.

– Dobrze wiemy, jaka z ciebie szorstka i nieczuła osoba – powiedział ironicznie Hunnar.

T’hos popatrzył za nich w kierunku wysokiego okna, które wychodziło na port leżący poniżej.

– Czy chcielibyście wiedzieć, o czym myślę w każdy dzień i w każdą noc, odkąd wyjechaliście? Żeby przejechać się jedną z waszych podniebnych łodzi i zobaczyć mój świat z lotu ptaka, tak jak go widzą długoskrzydłe urlusy. Wspiąłem się już na wszystkie najwyższe szczyty w Poyolavomaarze, ale zdaje mi się, że to nie to samo. – Rozłożył ramiona, żeby pokazać żyłkowane dany. – Te płachty skóry powodują, że szifowanie staje się rozkoszą, ale nie pozwalają nam nawet szybować.

– Obiecuję ci – powiedział mu Ethan na przekór wszelkim odnośnym zarządzeniom – że jak tylko Unia zostanie zaakceptowana przez mój rząd, jakoś wprowadzę cię jako reprezentanta tranów na pokład lodolotu albo wahadłowca. Będzie mi potrzebny powietrzny busik, żeby wykonywać tutaj moją nową pracę; przyprowadzę go do Poyolavomaru, żebyś mógł się przelecieć.

– Cudownie, cudownie! – Młody Landgraf klasnął w łapy jak kocię. – Jeżeli tylko nie nastąpi koniec świata, zanim to się stanie. Niektórzy powiadają, że świat został dotknięty obłędem.

– Słyszałem tę pogłoskę – zauważył September. – Może mógłbyś nam powiedzieć coś więcej, co właściwie...

– Przepraszam, że przerywam. – Ta-hoding stał cierpliwie z boku i czekał, aż nie mógł już tego dłużej wytrzymać. – Mamy problem, który opiera się na faktach, a nie na pogłoskach, mój zacny Landgrafie. Ponieważ wielu członków naszej załogi pragnęło wrócić do swoich domów, żeglowaliśmy tutaj z minimalną załogą. Moi ludzie są wyczerpani i potrzebują zmienników. Nasi człowieczy pasażerowie pomagali tyle, ile mogli, ale doświadczonymi żeglarzami lodowymi to oni nie są. – Pokazał na Williamsa, Cheelę Hwang i resztę zespołu naukowców, którzy tymczasem bez

ogródek przyglądali się gobelinom na ścianach i kamiennym rzeźbom zdobiącym salę Landgraфа. – Są chętni, ale niekiedy przysparzają więcej kłopotów, niż warte są ich jak najlepsze intencje i wysiłki.

September ochoczo przytaknął.

– Wdziałem, jak Jacalan usiłowała postawić żagiel przy wichurze siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Mamy szczęście, żeśmy jej nie utracili.

– Powiedz mi, czego wam trzeba – powiedział T’hos bez wahania.

– Wiemy, że Poyolavomaar jest domem wielu wspaniałych lodowych żeglarzy. Chcielibyśmy niektórych z nich zabrać ze sobą, żeby pomogli nam w podróży. Nasza wyprawa na południowy kontynent przebiegłaby dużo sprawniej.

– Na południowy kontynent? A czemu mielibyście tam się wybierać? Czy tak szybko powracacie do waszych przyjaciół w Moulokinie?

– Nie. Wybieramy się w całkiem innym kierunku; nie na południowy zachód, tylko na południowy wschód.

T’hos zmarszczył brwi.

– Będziecie żeglować po pustym lodzie. Chociaż to daleko od szlaków, po których kursują nasi handlarze, mówi się, że przez tysiące kijatów nie ma w tym kierunku nic. Ani miast, ani miasteczek, nawet nagich wysp, do których ktoś rościłby sobie prawa. Paru pośredników handlu futrami i metalem zapuściło się daleko w tamte strony i donieśli nam, że nie ma powodów zapuszczać się dalej.

– Tym niemniej tam właśnie się udajemy – powiedział mu Ethan.

– Nie powinniście. – Landgraf wyglądał na zatroskanego. – To właśnie o tej części świata powiadają, że ogarnął ją obłęd.

– Powinienem był się domyślić – zamruczał September. Ostрым gestem pokazał na naukowców-podróżników. – Nasi uczeni towarzysze nie są jedynymi, jak się zdaje, którzy sądzą, że dzieje się tam coś niezwykłego.

– Wędrowcy, którzy opisywali ten obłęd, słyszeli o nim od kogoś, o kim powiadali, że sam prawdopodobnie na wpół oszalał – mówił niespokojnie, półgłosem T’hos. – Trzeba w takich sprawach zachować ostrożność. Łatwowierni aż nazbyt ochoczo wierzą we wszystko, co im się powie. Jako Landgraf muszę być bardziej rozważny. Ale to całkiem co innego mieć do czynienia z kimś obłąkanym, tak jak był Rakossa, a co innego zastanawiać się, co tamci mają na myśli mówiąc, że szaleństwo dotyka cały świat. – Uniósł się na wpół ze swojego fotela i pokazał łapą na prawo.

Tran, który podchodził właśnie do nich powłócząc nogami, starszy był nawet od Balavere’a Longaxa. Swoich szifów używał tak długo, że starły się niemal aż do grubych poduszczek na stopach. Już nie dla tego staruszka długie godziny szifowania po lodzie. Podobnie jak ci biedni

ludzie, na których padło jego spojrzenie, zmuszony był do chodzenia. Pochylony był lekko na lewo, jak drzewo na stałe przygięte przez wiatr. Długa laska, na której się opierał, zakończona była ostro jak kijek narciarza.

Jego grzywa i włosy na twarzy posiwiały aż do śnieżnej bieli. Powieki miał tylko na wpół otwarte, co nadawało mu wieczyste zaspany wygląd. Pomimo zniedołężnienia udało mu się złożyć tak ze dwie trzecie pełnego szacunku ukłonu.

– Pozdrawiam naszych przyjaciół z Sofoldu i z nieba. Pamiętam was z waszej poprzedniej wizyty, chociaż oficjalnie nas sobie nie przedstawiono. – Uśmiechnął się; patriarcha, który przeżył swego dręczyciela. – Nie cieszyłem się łaskami Tonxa Ghina Rakossy. Mam przykry zwyczaj mówienia tego, co myślę.

– I za każdym razem nadziewa się człowiek na sztych. – September wyraźnie rozumiał sytuację trana.

T'hos znowu usiadł.

– To jest Moak Stonetree, mój najbardziej szacowny doradca. To on właśnie pierwszy dowiedział się o tych pogłoskach, o których osobiście chcecie się przekonać.

– Co mają znaczyć te wszystkie bzdury, że świat zwariował? – September nigdy nie okazywał większego przywiązania do protokołu, nie dbał też zbytnio o subtelności.

Stonetree upewnił się, czy szpic jego laski jest wbity w szparę pomiędzy dwoma gładkimi kamieniami posadzki. Przymrużył oczy i skupił spojrzenie na wysokim człowieku.

– Dowieść pogłoski, to pokrzyżować plany kłamstwu. Prawda utrzymuje się w chwiejnej równowadze pomiędzy nimi dwoma. Przekazałem tylko dalej to, czego się dowiedziałem od innych.

– Traperzy i włóczykije wszystko powiedzą, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę – parsknęła pogardliwie Elfa. – Im więcej wierzy się w te ich przesadne opowieści, tym bardziej ochoczo je ubarwiają. Bawi ich straszenie tych, którzy siedzą spokojnie i bezpiecznie w swoich miastach, wymyślnymi opowieściami o świecie za wiatrem.

Stonetree z szacunkiem skinął głową.

– Wszystko, co mówisz, jest prawdą. Ale tak niesamowita i osobliwa jest ta szczególna opowieść, że pozostaje tylko podziwiać fantazję tego, kto ją pierwszy wyrecytował. I ma ona tę niezwykłą zaletę, że pozostaje niezmieniona, kiedy ją opowiadają inni.

– Niewiele to znaczy – zauważył Ta-hoding. – Czym by się nie wymieniali tacy podróżnicy daleko na lodzie, robią to z wielką uwagą, obojętne czy przedmiotem wymiany będą pieniądze, skóry czy opowieści. Jeżeli tak wymyślona historia zachowa spójność, będzie tylko bardziej skuteczna i lepiej będzie bawić za każdym następnym razem, kiedy ją opowiedzą.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – powiedział Stonetree uroczyście. – Mam nadzieję, że nie jest

to nic więcej, jak bajka do straszenia dzieci. Ale chociaż od mojego dzieciństwa minęło już sporo czasu, okazało się, że wystarczyła i mnie.

– Czy ta historia nie mówi o niczym poza tym – zapytał go Ethan – że obłąd dotyka świat? Czy są jakieś szczegóły albo opisy? W jaki sposób świat może ogarnąć szaleństwo?

Stary doradca zwrócił swoje przenikliwe spojrzenie na niższego człowieka.

– Opowieść mówi, że w pewnej części południowego kontynentu lód zmienił się w trupa.

Ethan musiał poprosić starca, żeby powtórzył. September też nie miał pewności, czy wyraźnie zrozumiał. Olbrzym rozejrzał się szukając wyjaśnienia u towarzyszących im tranów, ale Ethan uprzedził wszystkich.

– Nie znam tego wyrażenia. Co to znaczy, że lód zamienił się w trupa?

Zamiast odpowiedzieć, Stonetree podniósł na wpół opróżniony puchar i demonstracyjnie odwrócił go do góry dnem. Woda wylała się na kamienie i pociekła w szpary w podłodze.

– Czy teraz rozumiesz?

September bez zrozumienia potrząsał głową.

– Nigdy nie miałem zamiłowania do skomplikowanych wyjaśnień.

– Woda – powiedział Ethan. – Kiedy lód umiera, zmienia się w wodę. To jest ten trup.

– Niech ci będzie, kupię to. Ale wciąż jeszcze nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby sądzić, że świat tam jest ogarnięty obłądem.

– Tak nie powinno być – powiedział mu stanowczo Stonetree. – Robimy lodowe trupy, żeby móc pić. To jest naturalne. Ale znaleźć lodowego trupa w miejscu, gdzie się go nie zrobiło, to nie jest naturalne. To perwersja. To jest... szaleństwo.

– Czekał no chwilę – powiedział Ethan. – Czy mówisz o otwartych wodach? O dziurze w pokrywie lodowej?

– Dokładnie tak – powiedział Stonetree z ulgą, że podniebni ludzie wreszcie zrozumieli, o co chodzi.

– To niemożliwe. Nawet na równiku nie jest to możliwe. Stary doradca miał zmęczony głos.

– Dokładnie tak.

Ethan z trudem przełknął. W najcieńszym punkcie pokrywa lodowa, która okrywała Tran-ky-ky od bieguna do bieguna, miała trzydzieści metrów grubości. Z powodu zakłóceń ruchu orbitalnego jeszcze przez co najmniej kilka tysięcy lat regiony równikowe nie nagrzeją się dostatecznie, żeby na ich

powierzchni tworzyła się stojąca woda.

– To musi być aktywność wulkaniczna, tak jak sugerowali Milliken, Jacalan i cała reszta. – September wpatrywał się z natężeniem w podłogę, jak gdyby w szparach szukał odpowiedzi. – Nic innego nie dałoby rady spowodować takiego topnienia lodów. Nic!

– Jakiej wielkości jest według podróżników ten lodowy trup? – zapytał Ethan mędrca.

– Tutaj opowieść staje się nierzetelna. Niektórzy twierdzą, że jest nie większy niż niewielka sadzawka, jaką mogliby wytopić myśliwi, którzy rozpalili sobie ognisko na lodzie. Inni są zdania, że rozległa jest na całe kijaty. Nie ma dowodów, ponieważ nikt nie chce tam jechać. Demony potrafią z równą łatwością zrobić trupa z trana, jak z lodu.

Ethan usiłował wyobrazić sobie, jak zareagowałyby grupa nieuświadomionych tranów, gdyby niespodziewanie trafili na spory obszar otwartej wody. A co pomyśleliby starożytni Polinezyjczycy na Ziemi, gdyby tropikalne morze otaczające ich rodzinne wyspy nagle zaczęło zamarzać na kość?

– Nikt ze mnie trupa nie robi, przynajmniej dopóki ja żyję – powiedział September z rozbajającym uśmiechem. – Sprawdźmy, co się tam dzieje, ponieważ tam właśnie się wybieramy.

– Jeżeli kryje się w tym zbyt wiele prawdy, obawiam się, że nie wrócicie. – Stonetree zmienił pozycję, żeby ulżyć swoim starym nogom. – A szkoda, bo wiele dobrego zrobiliście dla Poyolavomaaru i wszystkich tranów. – Pokiwał kościstym palcem. – Jedną dam wam radę: jeżeli traficie na demony, zostawcie je w spokoju. Pozwólcie im zabrać sobie cały lód, jaki będą chciały. Może będą rościły sobie prawo tylko do niewielkiego terenu i pozwolą, żeby reszty świata nie ogarnął obłąd.

Ethan pokazał na naukowców, którzy skończyli zwiedzać królewską salę i rzucali teraz niecierpliwe spojrzenia w kierunku rozmawiających.

– Nasi uczeni towarzysze mają instrumenty pozwalające zmierzyć się z każdym demonem. Kto z nami pojedzie, nie musi się obawiać.

T'hosjer zastanowił się.

– Znajdę dla was żeglarzy, którzy nie obawiają się opowieści podróżników. Dam wam także przewodnika, który pomoże zaprowadzić was do tego miejsca, gdzie zdają się ważyć losy.

– Nie jest nam potrzebny... – zaczął mówić Ethan i miał właśnie zamiar wyjaśnić, że Hwang oraz instrumenty grupy i satelitarne pomiary rozpoznawcze zaprowadzą ich prosto do wzmiankowanego regionu, kiedy przerwał mu September.

– Będziemy wdzięczni za przewodnika i całą twoją pomoc, T'hosjerze. Jeżeli ktoś okaże dość śmiałości, żeby poprowadzić wyprawę obcych do krainy demonów, chętnie go będę widział przed sobą. O ile tylko twoich żeglarzy nie będzie kusiło, żeby wywinąć się z tego, kiedy sytuacja zacznie się robić poważna.



T'hosjer wyprostował się na całą swoją wysokość.

– Żeglarze Poyolavomaaru robią, jak im nakáže ich Landgraf, nie dbając o własne uczucia. Nie musicie obawiać się dezercji. Stonetree wszystko zorganizuje.

Kiedy Landgraf odwrócił się i ostro wydawał rozkazy swojemu doradcy, September pochylił się i szepnął do Ethana:

– Musisz bardziej uważać na to, co mówisz, mój chłopcze. T'hosjer już nam zaproponował, że uzupełni naszą załogę. Jeżeli odmówimy zabrania jego przewodnika, który równocześnie będzie pewnie jego osobistym szpiegiem, może to być dla niego nieco obraźliwe.

Ethan się speszył.

– Pozwoliłem, żeby mnie poniósł entuzjazm. Czasami zapominam, że tranowie nie są naprawdę ludźmi.

– Co do tego masz rację. Od cholery są lepsi niż prawdziwi ludzie. Jak na komiwojżera kiepski z ciebie dyplomata.

– Przepraszam. To nie zawsze idzie w parze. – Usiadł wygodnie, kiedy T'hosjer znowu skierował na nich uwagę.

– Stonetree porozmawia z Orunem Malc-Viergiem, który jest marszałkiem floty. Znajdzie on dla was ochotników wśród swoich najbardziej śmiałych i doświadczonych żeglarzy. Podróżując z wami można sobie zdobyć sławę i wiele się nauczyć. Nie sądzę, żeby były jakieś kłopoty z zaspokojeniem waszych żądań. Żeglarze floty to nie przesądni traperzy. Co do waszego przewodnika, będzie nim ktoś z mojego własnego dworu, wykształcony, śmiały i bliski mi.

Odwrócił się i skinął w kierunku milczących dworzan. Z gracją i siłą lwicy podjechała do nich niesłychanie atrakcyjna i niespodziewanie młoda tranka. Według trańskich standardów była nawet ładniejsza od Elfy Kurtlagh-Vlaty, ale nic nie wskazywało, żeby była choć odrobinę wydelikaccona. Przemknęła po nich spojrzeniem, zachowując niemal władcą postawę. Milcząco rzucała wyzwanie po kolei każdemu z nich, jakby liczyła, że zakwestionują wybór T'hosjera.

– To jest Grurwelk Seesfar, Bystrooka – powiedział T'hosjer przedstawiając ją. – Jako dziecko badała ten sam daleki ląd, do którego wy teraz dążycie, w towarzystwie swojego ojca, dobrze znanego i szanowanego podróżnika. – Skinął jej głową. – Będziesz miała zaszczyt zaprowadzić naszych sojuszników do tego regionu.

– Przysłuchiwałam się całej waszej rozmowie. Za dużo gadaniny. Ale cieszy mnie to, że zostałam wybrana, by pomagać naszym podniebnym przyjaciółom.

– Masz partnera? – zapytał od niechcienia September. – A jeżeli tak, czy twój partner też będzie z nami jechał?

Grurwelk popatrzyła ostro na olbrzyma. Jeszcze musi zamrunąć, zwrócił uwagę Ethan. Wśród

tranów brak gestu mógł mieć istotne znaczenie. Powstrzymywanie się od mrugania przez dłuższy czas można było rozumieć jako milczący bunt.

– Miałam partnera. Owdowiałam. Mój partner i mój ojciec zniknęli ponad rok temu podczas wyprawy myśliwskiej na te same tereny, na które wy się wybieracie. Od tego czasu podejmowałam daremne próby, żeby znaleźć kogoś, kto byłby skłonny towarzyszyć mi w ich poszukiwaniu. Wszystko wina tych dzieciennych bajeczek. Gotowa już byłam wyruszyć sama, a teraz opatrność przywiodła was i waszą ciekawość do Poyolavomaaru. Z radością będę wam towarzyszyć, a z jeszcze większą radością przyjmę waszą pomoc.

– Hola, hola – powiedział September. – Jedziesz, żeby pomagać nam, pamiętasz?

Grurwelk zignorowała go i zwróciła swoje lodowate spojrzenie na Ethana.

– Wiem, że macie osobliwą broń i przyrządy, które potrafią poradzić sobie nawet z demonami. Jestem tego pewna, bo wiem, co zrobiliście, żeby zniszczyć tyrana-Rakosę, poza tym słyszałam, co tu mówiliście. Jeżeli to demony uwięziły mojego małżonka i ojca, zniszczycie je dla mnie!

– Nie mamy pewności, że zaangażowały się w to jakieś demony – powiedział spokojnie Ethan.

– A właśnie, że tak! – Światło zaśniło na jej powiekach. – Ukradły mi ojca i małżonka. Znajdę ich i sprowadzę z powrotem. – Powiedziawszy to określiła się na szfite i pojechała w tłum, nie czekając, aż Landgraf oficjalnie pozwoli jej odejść. T’hos po prostu tolerancyjnie się uśmiechnął.

September popatrzył na władcę Poyolavomaaru.

– To nie jest dobry pomysł. Fakt, że przemawia twardo i wygląda twardo, jestem też pewien, że tak jak mówisz zna ten obszar, ale włączyła się w to, bo chce wziąć pomstę na kims lub na czymś, co prawdopodobnie nie istnieje.

– Ona postąpi, tak jak obiecała – zapewnił go T’hosjer.

– Może poprzysiąć, że będzie lojalna po tysiąc razy, ale nie tego rodzaju gwarancji szukamy.

– Zadziwia mnie wasze przekonanie, że tam, gdzie się udajecie, nie przebywają żadne demony. Jeżeli to nie demony, co powoduje, że lód tam umiera?

– Nie wiemy, co się tam dzieje – przypomniał mu Ethan. – Istnieje pewien system wewnętrznego ogrzewania, który...

Na twarzy Landgrafa zaczął pojawiać się taki wyraz, że Ethan urwał, odwrócił się i kiwnął na Millikena Williamsa. Nauczyciel zrobił, co w jego mocy, żeby jak najprościej wyłożyć T’hosjerowi podstawy wulkanologii, geofizyki i tektoniki płyt kontynentalnych. Było rzeczą niemożliwą zorientować się, ile z tego zrozumiał młody władca. W końcu wtrącił się September.

– Szukamy przyczyny. Czy są nią wulkany, demony, gorące źródła, czy cokolwiek innego, nie wiemy. Dlatego tam się wybieramy. Co by to nie było, znajdziemy to i to szybko. – Rozparł się na

krześle. – Muszę złapać następny statek. – Kiwnął głową w kierunku tłumu dworzan, który pochłoniął ich przyszłą przewodniczkę. – I wciąż jeszcze wolałbym, żeby drogę wskazywał nam ktoś, kto nie jest osobiście i to tak emocjonalnie, zainteresowany wynikiem naszej podróży.

– Seesfar jest w gorącej wodzie kąpana – przyznał T’hosjer – ale jest jedyną osobą, jaka podróżowała po regionie, który chcecie odwiedzić.

– A więc ustalone – powiedział Ethan szybko, zanim September zdążył wymyślić następne zastrzeżenie. – Jestem pewien, że będzie bardzo pomocna.

T’hosjer T’hos podniósł się.

– Dopilnuję, żeby zaopatrzone was we wszystko, co będzie wam potrzebne. – Ta-hoding próbował coś mówić, ale Hunnar z pośpiechem uciszył zachłannego kapitana. – Dodatkowa załoga, o którą prosiliście, stawi się na waszym doku nie później niż dziś wieczorem, żebyście mieli czas poinstruować ich przed odjazdem. Chodź, Stonetree. Chciałbym jeszcze porozmawiać o tej sprawie.

Staruszek doradca ukłonił się znowu, opierając się mocno na swojej lasce. Wyszli. Ethan złapał Septembra za nadgarstek.

– Zlekceważyłeś swoją własną radę. Tłumaczyłeś mi przecież, że powinniśmy byli przyjąć propozycję przewodnika, bo inaczej możemy urazić naszego gospodarza.

Olbrzym miał niewyraźną minę.

– Spodziewałem się kogoś zainteresowanego topografią, a nie zemstą. Może nami źle pokierować, szukając swoich krewniaków.

– Użyjże swojej głowy, Skuo. Wystarczy, że uprzejmie wysłuchamy jej sugestii, przytakniemy z aprobatą, a potem pojedziemy tam, dokąd poprowadzą nas nasze mapy i pomiary.

September powoli pokiwał głową.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz mój chłopcze. Co się stało, to się nie odstanie. Ale widywałem już ten wyraz twarzy i słyszałem ten ton zarówno u ludzi, jak i nie-ludzi i powiadam ci, że jeżeli ta krewka mała tranka zobaczy coś, co dla niej będzie ważne, wykorzysta *Slanderscree* i resztę z nas, żebyśmy to dla niej zdobyli.

– Możliwości i determinacja niekoniecznie chodzą w parze, Skuo. Poradzimy sobie z nią.

– Może i tak. – Oczami wciąż przeszukiwał tłum, nie znajdując tej głowy ze zmierzwioną grzywą, której szukał. – A może, jeżeli ona jest przekonana, że to demony porwały jej ojca i męża, to znajdzie sposób, żeby nas wykierować prosto do piekła.

– Widziałeś wydruki satelity badawczego – przypomniał mu spokojnie Ethan. – Z jakiego to powodu sądzisz, że już nie wjechaliśmy na tę drogę?



## ROZDZIAŁ 6

Przygotowując się następnego dnia do odjazdu odnosili wrażenie, że połowa obywateli miasta-państwa zebrała się, żeby im się przyglądać. Poyolavomaarczycy porozsiadali się na obrzeżach doków, poustawiali wzdłuż muru portowego i szifowali po lodzie, a młodziki popisywały się, żeby zobaczyć, który z nich zdoła wykonać najbardziej zawiły i ryzykancki manewr. Kilku żeglarzy z klipra lodowego z energią wdało się w handel towarami, które przywieźli ze sobą z Asurdunu, będącego wciąż jeszcze niewiele więcej jak samą nazwą dla większości mieszkańców wysp. Ta-hoding narzekał, że w przyspieszonym tempie zmienia się z kapitana żeglarzy w kapitana kupców i że *Slanderscree* tak została obładowana różnym towarem, że nie będzie chciała słuchać steru. Ale chociaż tak narzekał, zasłużenie miał opinię człowieka tolerancyjnego. Pozwalał na handel do chwili, kiedy kucharz statku usiłował wnieść na pokład rozebrany na części, wymyślnie rzeźbiony poyolavomaarski dom, za który dał kilka beczek suszonych jarzyn z zapasów statku. Na ten widok Ta-hoding tak rozpuścił język, że jego ludzie rozpierzchli się, usiłując usunąć mu sprzed oczu swoje nabytki, zanim zdoła je powyrzucić za burtę. Następny żeglarz, który będzie próbował wymienić chociażby guzik, zostanie przywiązany do rufy klipra lodowego i będzie wleczony za statkiem jak bagaż przez całą drogę na południowy kontynent, ryczał Ta-hoding.

Załoga burczała niezadowolona, ale wróciła na stanowiska i do swoich zajęć. Ta-hoding mógł być opasły i mieć nieco zabawny wygląd, ale cieszył się wielkim autorytetem i wymagał od swoich podwładnych bezwzględnego posłuszeństwa, a w tym nie było już nic do śmiechu. Ze swojej strony Poyolavomaarczycy oklaskami nagradzali każdą z inwektyw pomstującego kapitana i usilnie namawiali go, by błysnął jakimś jeszcze bardziej wymyślnym słowno-anatomicznym dowcipem. Najlepiej podsumował to September:

– Nie ma to jak drobna wymiana kulturalna, żeby scementować przyjaźń między nowymi sojusznikami, chłopcze.

Podczas trwania tego handlu wymiennego, tak na słowa, jak i na towary, uczepiona olinowania przedniego masztu Grurwelk Seesfar kpiała ze swoich przepychających się kolców-żeglarzy. Komentarze Septembra przerwał Suaxus dal-Jagger, starszy giermek Hunnara, który przeprosił, że przeszkadza, ale ma coś do powiedzenia.

– Może zechcielibyście panowie wspomóc nas swoją mądrością w niewielkim problemie.

– Co to za problem – westchnął Ethan. Z jakiegoś niewiadomego powodu tranowie przekonani byli, że posiada wielką moc przekonywania i godzenia ludzi.

– Właściwie to dwa problemy; są tuż za panami.

Mężczyźni odwrócili się. Członkowie załogi statku zajmowali się swoimi sprawami, chowali do składów ostatnie zapasy, czyścili pokład, wylewali wodę, żeby powstały nowe ścieżki lodowe, i za pomocą lampy rozmrażali zamrożone liny z pika-piny. Kilku udzielało rekrutom z Poyolavomaaru instrukcji, dotyczących co bardziej precyzyjnych aspektów działania klipra lodowego. Ethan miał się właśnie odwrócić z powrotem do dal-Jaggera, kiedy uwagę jego zwrócił jakiś ruch w pobliżu jednej z głównych ramp towarowych. W pierwszej chwili przemknęło mu przez myśl, że wśród nowej załogi znalazły się dwa karły. Kiedy jednak postacie zatrzymały się i zobaczył ich puciołowate buzie, zorientował się, że to kocięta. W samej ich obecności nie było nic dziwnego, wszędzie, gdzie cumowali, kocięta uwielbiały bawić się naokoło wielkiego statku, szifować wokół jego wielkich, metalowych płóz i wspinać się na powrozy, które zabezpieczały kotwice lodowe. Zaskakujące było to, że znalazły się na pokładzie. Zapracowani członkowie załogi na ich wygłupy reagowali raczej powarkiwaniem niż uśmiechem.

– Wchodzą w drogę – skomentował Ethan. Dal-Jagger z aprobatą przytaknął. – No, to może by je przegonić?

– W tym właśnie problem, Sir Ethanie. To jest potomstwo tej Seesfar, którą nam narzuć... nam przydzielił Landgraf Poyolavomaaru. To wykracza poza ramy umowy. – Wyraźnie było widać, że giermek jest wytracony z równowagi. – Podobnie jak większość rozumiem, że musimy ją przyjąć, ponieważ odmowa stanowiłaby obrazę dla naszych nowych sojuszników, ale przekracza to granice zdrowego rozsądku, żeby przyjmować z nią całą jej rodzinę. *Slanderscree* to nie żłobek.

– A może by to tak zostawić? – zaproponował September. – Co złego mogą zrobić dwa kociaki? Wyprawa na pewno poszerzy ich horyzonty.

– *Slanderscree* nie jest też szkołą. Ani pasażerskim środkiem transportu. Załoga już się skarży.

– Bzdura. Za chwilę jeszcze mi powiesz, że kobiety na pokładzie przynoszą pecha.

Dal-Jagger dziwnie na niego popatrzył.

– Czemu miałbym coś takiego powiedzieć, przyjacielu Skuo? Jeżeli ktoś żegluje, to wie, że jest wprost przeciwnie, że fortunnie jest mieć mieszaną załogę. Nie wspominając już o tym, że przyjemniej dla wszystkich, których to dotyczy. Ale ty nie jesteś tranem.

– Nie. Pewnie każda rasa ma swoje własne przesady.

– To nie ma nic wspólnego z przesadami. Chodzi o to, co jest praktyczne i rozsądne – powiedział stanowczo dal-Jagger. Pokazał w kierunku rampy towarowej. – A te kociaki już kilka razy naraziły paru żeglarzy na spadnięcie.

– Nie potrzeba nam ani jednego chłopca pokładowego, to masz na myśli. Tradycje również mamy różne. Aha. – W jego tonie pojawiła się satysfakcja. – Widzę, że powiadomiono już kapitana. Chodź no, mój chłopcze. To powinno okazać się ciekawe.

Grurwelk nie było widać spoza masywnej postaci kapitana, chociaż kiedy się zbliżali, usłyszeli

jej zdecydowany głos.

– Oni jadą ze mną, ponieważ jestem wszystkim, co im zostało. Oni są moją rodziną.

– Kiedy jesteś na moim statku, twoją rodziną jest załoga – odpalił Ta-hoding. – T’hos jest władcą w Poyolavomaarze. Tutaj, na lodzie, władcą jestem ja. Musimy ich zostawić.

– Zabieram ich ze sobą – zawarczała Grurwelk – żeby mogli jak najszybciej zobaczyć swojego ojca, jeżeli on jeszcze żyje.

W tej chwili coś wpadło na Ethana od tyłu niemal zbijając go z nóg. Kiedy odwrócił się, zobaczył w dole szeroką, futrzastą buzię. Jej właściciel zrobił krok w tył, potknął się i zderzył ze swoim bratem. Obydwaj wywrócili się na pokład. Pełne czci spojrzenia przenosiły się z Ethana na Septembra i z powrotem. Kocię wypuściło z pyszczka z osobliwym sapnięciem mały obłoczek zimnego powietrza, jak widoczny wykrzyknik. Ethan wiedział, że jest to trański odpowiednik okrzyku „o rany”.

– Patrz – sapnęło kocię – to wielcy lordowie z nieba!

– Żadni wielcy lordowie – poprawił go Ethan.

Para malców pozbierała się na nogi.

– Tak nas uczono. Jesteś, panie, równie skromny, jak wielki.

Wchodzą w wiek dojrzewania, zdecydował Ethan, przyglądając im się bacznie. Trudno byłoby znaleźć bardziej rozkoszne dzieciaki. Kiedy patrzył na nich, obydwaj zgięli się w pół i oparli łapy na pokładzie.

– Jesteśmy zaszczytzeni – powiedzieli unisono.

– Uroczy smarkacze – zauważył September. Zerknął na Ta-hodinga. – Kapitanie, jesteś pewien, że będą przeszkadzali?

Zacny kapitan miał niewyraźną minę, ale upierał się przy swoim.

– Gdybyś to ty był pilotem czy jechał na patrol, Sir Skuo, wiedziałbyś, jak nie na miejscu są kocięta na okręcie wojennym.

– Okręt wojenny? – Seesfar bezzwłocznie podchwyciła to stwierdzenie. – Nie widzę żadnych przygotowań do wojny. Tylko do podróży i do badań.

– Nie jedziemy walczyć, ale musimy być na to przygotowani. W przeszłości zdarzało się, że musieliśmy to robić.

– Mówisz, że moje potomstwo będzie wam wchodziło w drogę. A jak nazwiesz tych niemądrych ludzi, którzy ciągle pędzą to tu, to tam i wpadają na siebie zupełnie jak moje dzieci?

– To są uczeni. A uczeni często są roztargnieni, ponieważ nieustannie rozmyślają o uczonych sprawach. Akurat jeśli chodzi o to, wśród podniebnych ludzi jest tak samo, jak wśród nas.

– Czyż potrafiłbyś więc znaleźć jakieś lepsze miejsce dla pary kociąt niż wśród tłumu uczonych? Pomyśl, ile mogliby się nauczyć.

Ta-hoding błysnął danami w jej stronę.

– Nie wyprowadzę statku z portu z tymi niemowlętami na pokładzie!

Zwarli się oczami. Żeglarze udawali, że nie przestają robić tego, co do nich należy. Kiedy przyszedł koniec, wszyscy poczuli się zaskoczeni. Seesfar skinęła głową, jeden jedyny raz.

– To jest twój statek. Dopóki na nim przebywam, dostosuję się do twoich decyzji.

Ta-hoding niepewnie się odprężył.

– No cóż, ja... masz rację. Wielką rację. A więc postanowione.

– Tak. Postanowione. – Objęła opiekuńczo danami obydwą kocięta. – Chodźcie, synowie Seesfar. Moje ciało odjedzie, ale serce zostanie na tym lodzie. – Wszyscy gapili się, jak sprowadza kocięta w dół rampy i ze statku.

– Widzisz, jaka jest posłuszna? – zapytał Ethan zadowolony.

September odprowadzał wzrokiem oddalającą się przewodniczkę.

– Albo jaka przebiegła.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Każdy tran, który kiedykolwiek żeglował na jakimkolwiek statku wie, że obecność kociąt na pokładzie jest niepożądana. – Pokazał głową na dok. – Ona zdawała sobie z tego sprawę, kiedy je wprowadzała na pokład. Była również świadoma, że mamy co do niej wątpliwości. A jeżeli przyprowadziła je tylko po to, byśmy mogli się przekonać, jaka potrafi być uległa, kiedy zostanie przyparta do muru? A jeżeli całe to starcie było pozorne, wyreżyserowane, żeby miała okazję zademonstrować nam, jaka potrafi być „chętna” do współpracy? Żeby przytłumić drzemiaczy w nas jeszcze niepokój?

– Nie pomyślałem o tym. Zbyt wiele upłynęło czasu, odkąd przestałem zajmować się handlem. – Ethan zastanowił się i w końcu powiedział: – Może powinniśmy trzymać się od niej z daleka, nawet za cenę urażenia T’hosa?

September potrząsnął głową.

– Na to już jest za późno. Poza tym ktoś tak sprytny... jeżeli rzeczywiście jest taka sprytna, a ja nie przypisuję jej działaniom motywów, których tam nie ma... zdecydowanie może okazać się cennym



nabytkiem w czasie takiej podróży. Nie mogę opędzić się od myśli, że uśmiechała się w środku przez cały ten czas, kiedy się kłóciła z Ta-hodingiem.

– Skuo, zdecydujże się! Czy chcesz, żeby ona była na statku, czy nie? – Ethan nie krył lekkiej irytacji.

– Uczciwie ci mówię, nie wiem, mój chłopcze, i to jest prawda. Wystarczająco trudno jest rozszyfrować zagadkowy charakter w przypadku człowieka, a tu...

Ethan odszedł, potrząsając głową, a September ciągle jeszcze wpatrywał się w tłum. Nagle zrozumiał, co go tak niepokoi. Chociaż Grurwelk Seesfar przypominała kocico-niedźwiedzicę, Skua z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że charakterem jest bardzo podobna do niego.

\* \* \*

Kiedy *Slanderscree* opuściła Poyolavomaar i skręciła w kierunku równika, Ethan rzadko widywał Grurwelk Seesfar. Jeżeli akurat nie udzielała Ta-hodingowi rad w sprawach stanu lodu i pogody, pozostawała pod pokładem w swoim hamaku, cicha i nie naprzykrzająca się nikomu. Łatwo byłoby zapomnieć, dumając, że jest na pokładzie, tak rzadko pokazywała się na górze. I może właśnie o to jej chodziło.

Wielka tafla lodowa przesuwała się pod płozami *Slanderscree*. Niezamieszkanne wysepki wytykały swoje łebki poprzez białą posadzkę po prawej stronie, a wielkie pola pika-pedanu, olbrzymiego krewniaka pika-piny, dominowały na zachodnim horyzoncie. Chociaż opowieści o tym, jak to statki grzęzły na takich polach, były chlebem powszednim w tradycji żeglarskiej, w rzeczywistości podobne tragedie rzadko się zdarzały. Nie przeszkadzało to Ta-hodingowi objeżdżać gdzie tylko się dało, szerokim łukiem tego lasu górujących nad nimi sukulentów. Czworonożne krunility pomykały w dół i do góry po roślinach, pogryzając ich miękkie boki, a para oro'ów z obficie nadmuchanymi pęcherzami na grzbietach unosiła się od jednej korony do drugiej. Oglądanie fauny pika-pedanu było pouczające – na odległość. Ethan nie zapomniął i był pewien, że nigdy nie zapomni tego dnia, kiedy podczas podróży do dalekiego Moulokinu niewiele brakowało, a zostałby wciągnięty pod lód i pożarty przez kossiefa. Tafla lodu była domem nie tylko dla rozległego układu korzeniowego pika-piny i pika-pedanu, ale także dla różnego rodzaju stworzeń.

Co wieczór Ta-hoding parkował kliper lodowy z rufą wystawioną w kierunku zachodniego wiatru, zarzucano kotwice lodowe i wszyscy poza nocną wartą układali się do głębokiego, niezmaconego snu. Cheela Hwang i jej towarzysze spali równie mocno, jak załoga *Slanderscree*. Samo zimno było wyczerpujące.

\* \* \*

Ethan nie wiedział, co go obudziło. Widział wyraźnie swój oddech, błądzący obłoczek w rozświetlonym księżycowym światłem powietrza kabiny. Tutaj, w pobliżu równika Tran-ky-ky, temperatura w nocy spadała nie niżej niż do jakichś minus czterdziestu czy pięćdziesięciu stopni. Rozejrzał się w ciemnościach i usiłował uświadomić sobie, co zakłóciło mu sen. W pobliżu leżał jego kombinezon ochronny. Niektórzy z uczonych zdecydowali się sypiać w kombinezonach, ale on i

September dawno już z tego zrezygnowali. Na noc zagrzebywali się pod niewielkimi pagórami ciepłych futer; nie tylko było to bardziej wygodne, ale pozwalało nieco przewietrzyć kombinezony.

Na wszelki wypadek wyciągnął rękę i dotknął włącznika na rękawie kombinezonu, żeby ogrzać wstępnie jego wnętrze. Równocześnie wrażenie powtórzyło się: ruch. Nie powinno być żadnego ruchu. Liczne kotwice lodowe blokowały kliper na miejscu, a na zewnątrz panowała niezwykle bezwietrzna pogoda. Nagłe nocne wichury nie były czymś nieznanym, ale to było coś innego. Miał już doświadczenie jeśli chodzi o ruch wywoływany przez wiatr. To nie było to. Trzeci raz, teraz był już całkiem pewien. Nie ruch na prawo czy lewo, w stronę dziobu czy rufy. Bardziej robiło to wrażenie, jakby osiadali.

– Skuo? Skuo, obudź się.

Po drugiej stronie kabiny potężna postać poruszyła się pod lawiną kocy.

– Hy... co tam?

– Poruszamy się, Skuo. Statek się poruszył. Kilka razy.

– No to co? Wszystko na tym świecie się porusza. Już wiatr o to dba.

– Nie, to jest coś innego. To bardziej tak jakby...

*Slanderscree* znowu się wstrząsnęła. Chwila niepewności zanim ruch ustał, a potem September odwrócił się na bok, żeby popatrzeć uważnie na swego towarzysza. Białe włosy załśniły w księżycowym świetle.

– To rzeczywiście nie robi wrażenia czegoś normalnego, chłopcze. Niech mnie cholera, twoje słowa są w porządku, ale coś innego nie jest.

– Nie rozumiem. Jeżeli coś jest nie w porządku, nocna warta powinna była już ogłosić alarm.

– Jeżeli wciąż jeszcze może go ogłosić.

September wyciągnął rękę i przełączył kombinezon na wstępne ogrzewanie. Tymczasem Ethan wziął głęboki oddech i wyslizgnął się spod masy futer. Zimno ukłuło go w nagie ciało, a potem znalazł się bezpiecznie wewnątrz kombinezonu ochronnego. Nasunął osłonę hełmu i uszczelnił ją przy kołnierzu. Termostat w kombinezonie natychmiast zaczął podnosić temperaturę wewnątrz odzienia do przyjemnej wysokości.

Dwaj mężczyźni szybko przekonali się, że Ethan nie był ani pierwszym, ani jedynym, którego obudził ten osobliwy ruch. Na korytarzu na zewnątrz ich kabiny tłoczyli się już członkowie załogi, rekruci zwerbowani w Poyolavomaarze i inni. Ethan przyglądał się, jak Elfa Kurdagh-Vlata podchodzi w kierunku schodni równocześnie starając się nałożyć na siebie kamizelę ze skóry hessavara. Nawet tutaj, w pobliżu równika, nocne temperatury były nieco zbyt orzeźwiający dla zaaklimatyzowanego trana.

Kiedy Ethan usiłował ją dogonić, statek się znowu zatrząsł, tym razem gwałtownie. Marynarze porozkładali ręce, żeby zaprzecić się o ściany korytarza. Ethan potknął się, nim zdążył wylądować na podłodze podtrzymał go September.

– Jest źle i robi się gorzej. – Olbrzym ruszał do schodni z posepnym wyrazem twarzy. – Coś się dzieje na zewnątrz i do czorta, lepiej, żebyśmy się szybko dowiedzieli, co.

Wszystko jedno, czy zjawisko było naturalne, czy wręcz przeciwnie, córka Landgraфа Sofoldu była przygotowana. Pod – chodząc po schodni do góry wyciągnęła miecz. Żeglarze rozstępowali się, żeby przepuścić idących za nią podniebnych ludzi, a ci z tranów, którzy się wcześniej nie obudzili, sennie wylazili ze swoich łóżek i hamaków.

Elfa i Ethan wychynęli na pokład równocześnie, ramię w ramię. Obydwa księżyce Tran-ky-ky były na niebie, więc światła było aż nadto, żeby się mogli rozejrzeć. Łód połyskiwał, pusty i nagi w niemigotliwym świetle księżyców. Wiatr wiał miarowo, choć umiarkowanie, ze wschodu. Ethan oszacował jego prędkość na nie więcej niż dwadzieścia czy trzydzieści kilometrów na godzinę, co nawet w przybliżeniu nie starczyłoby, żeby potrząsnąć dobrze zakotwiczonym statkiem. Hunnar deptał im po piętach.

– W pierwszym rzędzie sprawdźcie kotwice. Ta-hoding nie pojawił się jeszcze, a to jego ocenę sytuacji

Ethan najbardziej chciał usłyszeć. Odsunęli się do włazu. Żołnierze i żeglarze wylewali się z otworu stałym strumieniem i rozpraszaali się na wszystkie strony.

– Na dziobie w porządku! – doszedł ich okrzyk.

– Na rufie w porządku!

– Na lewej w po... – Okrzyk urwał się nagle, kiedy coś, jak giętki pień sosny, sięgnęło nad poręcz *Slanderscree* i porwało nieszczęsnego marynarza z pokładu z równą łatwością, jak Ethan mógłby wyjąć oliwkę z martini. Za tym czymś pojawiła się druga gargantuiczna macka, potem trzecia.

– Shan-kossief! – wrzasnął jeden z żeglarzy, przyłączając się do swoich towarzyszy kierujących się w szalonym pędzie do otwartego włazu. Hunnarowi udało się pohamować panikę, kiedy zwrócił im uwagę, że te olbrzymie macki, czy co to było, nawet jeżeli wyciągną się na całą swoją długość, nie sięgną dalej niż na metr za poręcz. Żeglarze ostrożnie zaczęli się znowu rozpraszać, trzymając się środkowej części pokładu. Macki zniknęły, potem pojawiały się dalej, po lewej stronie, w nadziei, że złapią jeszcze jedną ofiarę, ale Hunnar miał rację: odległość, na jaką mogły się wyciągnąć, była ograniczona.

Ethan na swojej własnej skórze doświadczył, co to jest kossief-lodowij, drapieźnik o rurowatym ciele, który żył w pokrywie lodowej. Posuwał się do przodu wytapiając lód przed sobą, złościąc ciągły tunel, dopóki nie wyczuł na powierzchni jakiejś ofiary. Wtedy ukradkiem wytapiał drogę pod upatrzoną ofiarą, uderzał, chwycił ją długimi mackami i wciągał szarpiący się posiłek do jamy. Wydzielając wodę ze swojego własnego ciała odbudowywał taflę lodową nad sobą i zabierał się do

konsumowania posiłku w lodowym kokonie. Taki był kossief. Ale co to jest shan-kossief? Po trańsku „shan” miało kilka znaczeń: duży, olbrzymi i zbyt-wielki-by-sobie-wyobrazić. Kiedy usiłował zdecydować się, która interpretacja znalazłaby tu najlepsze zastosowanie, statek ponownie się zatrzęsł. Znowu ogarnęło ich uczucie, że osiadają.

Nie był im potrzebny znawca lokalnej fauny, żeby postawić hipotezę, co się dzieje. Jeżeli metoda jaką shan-kossief polował, była zbliżona do metody jego mniejszego imiennika, to... Ethana przeszedł dreszcz i to nie z powodu zimna. Co taki potwór mógł sobie pomyśleć o kliprze lodowym? Chyba jest trochę dezorientowany. Oto ofiara rozmiarów niewielkiego stawanera, jadalna ofiara, co mógł stwierdzić, jeżeli nieszczęsnego wartownika spotkał taki los, jak Ethan sobie wyobrażał. A jednak nieorganiczna i niejadalna. Prawdopodobnie drapieznik był w stanie wyczuć jakoś ciepłe, jadalne formy życia gdzieś tam wyżej. Nie mógł się do nich dostać, a statek prawdopodobnie był zbyt solidny, żeby mu się udało rozedrzeć go na kawałki. Co jeszcze mógł zrobić, poza próbami zastosowania swojej instynktownej metody zdobywania pożywienia? Za mało danych, żeby to odgadnąć. Zanim będą mogli podjąć jakieś działania obronne, muszą mieć pewność. Ruszył powoli w kierunku lewej poręczy. Elfa położyła mu na ramieniu łapę, żeby go powstrzymać.

– Nie możesz. Ciebie tak samo porwie.

– Nie porwie, jeżeli się pochylę i nie będę się wystawiał na widok – powiedział bez głębszego przekonania.

– Ethan ma rację. – Hunnar przyłączył się do nich. – Musimy wiedzieć, co się dzieje. Ja pójdę.

– Nie. Ja jestem dużo mniejszy i może kombinezon ochronny podziała jak ekran, osłaniając ciepło mojego ciała przed jego receptorami.

Hunnar przemyślał to, potem niechętnie skinął głową i cofnął się do reszty obserwatorów.

Ethan opadł na czworaki i ruszył w kierunku poręczy. W uszach brzęczały mu niespokojne pomruki tak tranów, jak i ludzi. Hwang i jej koledzy dołączyli do stojących na pokładzie i bombardowali Septembra i Hunnara pytaniami, na które żaden z nich nie potrafił udzielić odpowiedzi. Uderzył głową w coś drewnianego. Nic nie sięgnęło przez poręcz, żeby go złapać. Ostrożnie usiadł i zaczął się prostować. Jego okryte rękawicami dłonie wyciągnęły się ponad poręcz. W chwilę później patrzył już przez burtę.

W pierwszej chwili zdawało mu się, że wszystko jest w porządku. Potem wychylił się dalej i zobaczył, że płoza po lewej stronie niemal zniknęła. Woda omywała wiązanie, które mocowało ją do spodu kadłuba. Długa sadzawka powoli rozszerzała się pod *Slanderscree*. Jeżeli shan-kossief jest wystarczająco duży, wielce prawdopodobne, że uda mu się wciągnąć cały statek pod powierzchnię, a tam zajmie się wybieraniem ich pojedynczo, równie skutecznie jak mrówkojad czyszczący gniazdo termitów.

Nagle coś pod lodem zwróciło jego uwagę. Okazało się, że zafascynowany wpatruje się w parę gigantycznych, fosforyzujących ślepiów. Pod nimi znajdował się niewyraźny zarys pustej przestrzeni, wystarczająco wielkiej, żeby pomieścić się w niej lodolot. Tafla lodowa była oknem, przez które

mógł zajrzeć w zamarzną głęb. Ślepie były złożone, wzrok miały hipnotyczny i nie wyglądały na światłoczułe organy jakiegoś prymitywnego bezkręgowca. Niespodzianie z lodu wystrzeliła gumowata lina i oplotła się dookoła jego prawej ręki. Widać wychylił się troszkę za daleko, pozwolił sobie na nieco zbyt wielką beztróskę. Próbował zaprzeć się o poręcz, drewno zatrzeszczało. Miał wrażenie, że coś wrywa mu rękę z ramienia. Ciągąca go siła zdawała się nieodparta. Poczuł, że wlecze go w górę i za burtę. A potem opadł na pokład. Nad nim stał Skua September ściskając w rękę monstrualny topór, który swego czasu wykuł dla niego trański kowal.

– Lepszy od promiennika do tego rodzaju roboty.

Wolną ręką sięgnął w dół, złapał Ethan za kołnierz kombinezonu ochronnego i powlókł za sobą na śródpokładzie. Nie puścił, dopóki nie dotarli do reszty zebranych.

– Możesz stać?

– Nie w tym problem. – Ethan wyprostował się, skrzywił i pochylił na prawo, delikatnie obmacując miejsce, gdzie schodziły się mięśnie i kości, żeby razem utworzyć kończynę. – Wydaje mi się, że chyba wyrwał mi ramię ze stawu.

– Ciesz się, że ci nie urwał głowy, kiedy się tak wychylałeś nad tą poręczą.

Ethana otaczał krąg zatroskanych twarzy, w większości nieludzkich.

– Słuchajcie, on próbuje wytopić lód pod nami. To dlatego się trzęsiemy. Za każdym razem, kiedy wytopi następne parę centymetrów, osiadamy niżej. Lewa płoza już niemal się pogrzyżyła.

Hunnar zawarczał.

– Zabraknie mu sił, tak sędzę. Potrzebowałby kilku dni na wytopienie takiej ilości lodu, żeby zapadł się cały statek.

– Wyraźnie jednak – powiedział sucho September – to coś uważa, że warto się wysilić. Pewnie sądzi, że *Slanderscree* to gigantyczna bombonierka.

– Mamy więc trochę czasu, ale lepiej, żebyśmy coś wymyślili i to szybko – skomentował Ethan. – Wszystkie te przechyły i osiadanie mogą odłamać jedną z płóz, a do warsztatu naprawczego mamy kawał drogi.

– Co możemy zrobić? – zapytał Hunnar. – Jeżeli zbliżymy się do poręczy, nie mówiąc już o schodzeniu przez burtę, żeby zaatakować go na lodzie, powybiera nas po jednym. Ani kusze, ani włócznie pewnie nie zrobią mu krzywdy, nawet gdybyśmy zmusili go do wyjścia spod lodu. A nie mam pojęcia jak byśmy go do tego mogli sprowokować.

– A gdybyśmy tak wciągnęli kotwice i niech nas wiatr poniesie, gdzie zechce? – zastanawiał się trzeci oficer.

Hunnar z powątpiewaniem potrząsnął głową.

– Już na to za późno, jeżeli prawdą jest to, co mówi Ethan. Wystarczy, że tylko jedna płoza pograżyła się pod powierzchnią, a wiatr nie ruszy nas z miejsca. Gdybyśmy postawili żagle i złapali mocny wiatr z pewnością odłamałoby się zamocowanie płozy.

– Musimy zrobić rzecz następującą – powiedział September – po prostu przekonać go, że więcej będzie miał z nami kłopotów, niż to warte zachodu. – Zerknął na Blancharda. – Pewnie ani ty, ani nikt z twoich przyjaciół nie przemyśliście ze sobą żadnego promiennika czy igłaka?

– Zna pan restrykcje narzucone na import nowoczesnej broni na prymitywny świat. – W głosie Blancharda słychać było rozczarowanie. – Żałuję, że w tym przypadku przynajmniej jeden z nas tych restrykcji nie zlekceważył. – Przyglądał się poręczy, w pobliżu której jedna z macek shan-kossiefa macała po pokładzie w poszukiwaniu czegokolwiek, co warto by złapać. Krótki kawałek, który mu amputował September, leżał bez ruchu z boku. Ethan otrzepał cząstki lodu z kombinezonu.

– Powinniśmy byli tak czy tak zabrać ze sobą coś do strzelania. Do diabła z przepisami.

September poklepał go po ramieniu.

– Pewnie to i tak bez znaczenia, mój chłopcze. Zaczynam mieć uczucie, że aby nasz podpowierzchniowy braciszek się ruszył, trzeba by mieć ze sobą co najmniej armatę. A na dodatek żeby się do niego dostać, trzeba by wytopić lód, a to właśnie wytapianie chcemy powstrzymać.

Kliper znowu się zachwiał i osiadł jeszcze niżej.

– A może by mu zagrozić waszą przewagą moralną? Ethan popatrzył ostro na Grurwelk Seesfar, już chciał coś zjadliwego odpowiedzieć, ale tylko odwrócił się, żeby porozmawiać z Septembrem.

– Biadolenie, że nie mamy ze sobą pukawek, nie pomoże nam wydostać się z tej opresji. Musimy posłużyć się tym, co mamy. – Skubnął się w przegub. – Mamy swoje kombinezony ochronne. Co jeszcze? – Obejrzał się na Hwang. – Te aparaty, które ze sobą pozabieraliście. Jakie?

Naukowcy popatrzyli na siebie i wyliczyli długą listę przyrządów, które przepisy pozwalały im zabrać na wyprawę. Ethanowi nie dodało to ducha. Czujniki do określania szybkości posuwania się lodowców czy do pomiarów wilgotności nie na wiele mogły się przydać przeciw drapieżcy rozmiarów *Slanderscree*. Ekipa badaczy miała aparaty do pomiarów zmiennego natężenia pola magnetycznego Tran-ky-ky, do zapisu drgań, do analizowania silnej i ogarniającej cały świat zorzy polarnej, do natychmiastowej analizy chemicznej i do pobierania i katalogowania próbek zarówno organicznych, jak i nieorganicznych. Żaden się nie nadawał. Popatrzył na Millikena Williamsa, ale w tym akurat przypadku podstawowa wiedza nauczyciela nie mogła im pomóc.

– Już dwa razy produkowałem proch, ale tu nie ma go z czego zrobić: żadnych azotanów, żadnej siarki, nic. Tylko lód.

– Może w jakiś sposób moglibyśmy wykorzystać przeciw niemu lód.

– Pewnie, że jest taki sposób, mój chłopcze – powiedział September cierpko. – Moglibyśmy przyrządzić gigantyczną porcję koktajlu i upić go w trupa.

– Hej, świetny pomysł. Oczy olbrzyma rozszerzyły się.

– Jak na tumana to rzeczywiście. Nie wiem, czy wystarczyłby statek pełen alkoholu, żeby zwierzak tych rozmiarów miał lekko w czubie.

– Nie to miałem na myśli – powiedział Ethan wyężając umysł. – Zastanawiam się, czy mamy może coś, czym moglibyśmy go nakarmić, a co rozstroiłoby mu metabolizm. Po maszty jesteśmy napchani zapasami. Może mamy w ładowni coś, co by go otruło.

Pospiesznie przeprowadzono inwentaryzację zapasów, ale wynik nie był zachęcający. Większość jedzenia shan-kossief z wdzięcznością by skonsumował i czekał na więcej. Może dałoby się coś osiągnąć za pomocą niektórych mocnych przypraw, ale na składzie mieli tylko niewielkie porcje. Przydałoby im się parę baryłek pieprzu albo jakiegoś jego lokalnego odpowiednika.

– Zaraz, przecież nie zabieraliśmy samej aparatury – przypomniała Cheela Hwang swoim kolegom, kiedy tak rozważano pomysł nakarmienia kossiefa. – Oprócz kombinezonów mamy noże i inne narzędzia.

– A piecyk? – Jacalan powiedziała to z podnieceniem. – Może moglibyśmy go jakoś wykorzystać?

September wydał z siebie pogardliwe parsknięcie.

– Z łatwością. Wsadzimy kochanego staruszka do garnka i ugotujemy go.

– Nie. Pomysł Almery nie jest zły. – Hwang okazywała cały entuzjazm, na jaki ją było stać. – Ten piecyk działa na paliwowe ogniwo termoelektryczne, z którego wiele można wycisnąć. Zaprojektowano go tak, żeby dało się na nim ugotować dość jedzenia dla tuzina ludzi równocześnie. A gdybyśmy tak zablokowali go na maksymalnym nastawieniu, a potem jakoś nakłonili tego stwora, żeby go połknął?

Ethan usiłował znaleźć błąd w jej rozumowaniu.

– Ale czy wydziela on dość ciepła, żeby zrobić temu stworzeniu krzywdę, a co dopiero żeby je zabić?

– Nie musimy zrobić ani jednego, ani drugiego – argumentowała Hwang. – Chcemy tylko, żeby zostawiło nas w spokoju. Żeby się zniechęciło, jak to wcześniej powiedziałeś.

Statek zachybotał się na prawą stronę; z trudem utrzymali na nogach. Hunnar popatrzył na Ethana.

– Jak myślisz?

– To będzie zależało od ilości ciepła, jakie wydziela ta maszyna. Pamiętaj, że shan-kossief sam z siebie wydziela sporo ciepła. Może w ogóle nie odczuć różnicy.

– Powinien odczuć. – Hwang była nieugięta. – To mocne urządzenie, zaprojektowano je tak, żeby

funkcjonowało w różnych warunkach. Powinno przetrwać na tyle długo, żeby zwrócić na siebie uwagę nawet w czyimś brzuchu.

– Nie mamy lepszego pomysłu, możemy więc wypróbować twój, przyjaciółko Hwang. – Rycerz rzucił okiem w kierunku schodni. – A więc przynieście go i zobaczmy, co zdoła zdziałać.

Moware i Jacalan pospieszyli pod pokład. Tymczasem Ta-hoding polecił kucharzowi przynieść największą tuszę z zapasów. Piecyk był nie większy od bloku pamięciowego komputera, u góry miał szczelnie wpasowaną płytę grzewczą. Po krótkiej dyskusji Jacalan nastawiła kontrolki, a wątpliwości tranów rozwiało intensywne ciepło, jakie piecyk zaczął z siebie wydzielać. Przy maksymalnym nastawieniu nie można było przysunąć rąk bliżej, jak na pięć-sześć centymetrów do płyty, jeśli nie chciało się sparzyć. Wcisnęli piecyk do środka tuszy, a otwór zaszyli. Ethan, September i Hunnar powlekli ją do poręczy.

– Teraz ostrożnie, mój chłopcze – szepnął September, kiedy coś poruszyło się na lodzie. – Już!

Wydźwignęli tuszę nad poręcz. Uderzyła w zbliżającą się mackę i odbiła się od niej. Przez chwilę obawiali się, że tusza potoczy się po lodzie i potwór ją zignoruje. Ale zmysły shan-kossiefa były zbyt czułe. Wyczuł obecność czegoś jadalnego i zaczął wytapiać lód pod tuszą, który zniknęła w kałuży, jeszcze zanim Ethan i jego towarzysze spuścili ją z oka. Cofnęli się od skraju statku w obawie, że mogą w ślad za masakrowaną tuszą pograć się w zapomnieniu. Nikt się nie odzywał. Przez kilka twarzy przemknął wyraz rozpacz, kiedy minęła spora chwila i statek zatrzęsł się na nowo.

– Nie podziałało – wymamrotał Ethan. – Będziemy musieli wymyślić coś innego.

– Nie rozumiem. – Blanchard potrząsał w zakłopotaniu głową. – Na takim świecie jak ten różnicę kilkuset stopni powinno się odczuwać jak kilka tysięcy.

– Poczekajcie. – Ta-hoding nie patrzył na nich. Nadsłuchiwał, nadsłuchiwał, a może posługiwał się zmysłami, które mógł posiadać tylko ktoś, kto spędził całe życie na żeglowaniu po tafli lodowej. I znowu *Slanderscree* zadygotała.

– Ethan ma rację – powiedział Hunnar. – Nie działa.

– Coś się dzieje. Spokojnie, odprężcie się i wczuwajcie się w ruchy statku.

Hunnar zmarszczył się, potem lekko przygarbił. I znowu kliper lodowy się zatrzęsł. Ethan wpatrywał się to w jednego, to w drugiego, aż nie mógł już dłużej wytrzymać milczenia.

– Czy któryś z was mógłby mi, proszę, powiedzieć, co się dzieje?

– Te kilka ostatnich razy, kiedy statek się poruszył, to nic na skutek osiadania – powiedział Ta-hoding nie odrywając wzroku od lodu na dole. – Jestem tego pewien. Wyczuwam równowagę tego statku równie dobrze jak własną, a może nawet lepiej. – Kiedy skończył, *Slanderscree* szarpnęła się gwałtownie, ale w bok, a nie w dół.

Wszyscy zachowując ostrożność popędzili ku poręczy. Nie podniosły się żadne macki, żeby ich



zaatakować. Wystarczyło rzucić okiem, żeby przekonać się, że w polarnym powietrzu woda, która wsysała lewą dziobową płożę, już z powrotem zamarza, a naokoło duramiksę tworzy się znów lodowa tafla. Hal Semkin, asystent Hwang, wyciągnął niewielką latarkę i potężnym snopem światła oświetlił warstwę podpowierzchniową. Ona też już zamarzała. Nie było widać żadnych cieńszych miejsc, przez które mogłyby wydobyć się macki.

– Sukinsyn – wymamrotał Ethan z zaskoczeniem. – Ale udało się.

– Nie tak szybko. – Seesfar deptała im po piętach i wpatrywała się w lód na dole. – Shan-kossief to chytrus. Mógł po prostu zagłębić się bardziej w lód i teraz czeka tam, żebyśmy popełnili jakąś nieostrożność.

– Jeżeli usiłuje właśnie się pozbyć tego piecyka, to na pewno nie czeka – sprzeciwiła się Hwang. – Obojętne, jakiej to coś jest wielkości. Przez jakiś czas ten jego powolny mózdek nie będzie się w stanie zajmować niczym innym.

– Nic nie wiesz o shan-kossiefie – warknęła Seesfar.

– Może nie, ale znam się trochę na biochemii. Stworzenia z waszego świata nie bardziej różnią się budową niż ty i ja. Są z krwi i kości, nawet jeżeli we krwi mają pełno borygo.

– Nie możemy jednak wysłać ludzi za burtę, by uwolnili nas od lodu, dopóki nie będziemy mieli pewności, że shan-kossief się oddalił – powiedział Hunnar.

– Wy nie możecie. – Ethan wyciągnął urękawiczoną dłoń w kierunku Semkina. – Daj mi tę latarkę. – Meteorolog posłusznie mu ją wręczył. – Niech ktoś przyniesie linę. Jeżeli wpadnę tam w dole w tarapaty, ktoś z was poderwie mnie w górę.

September odgadł zamiary swego przyjaciela.

– Może być za mało czasu, żeby cię poderwać, mój chłopcze.

– Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Myślę, że Cheela ma rację. Nasza podpowierzchniowa nemezis oddaliła się w poszukiwaniu jakiego sympatycznego, zacisznego kącika, żeby tam puścić pawia. – Pokazał za burtę. – Wszystko już z powrotem zamarzło. Przecież gdyby ten shan-kossief był jeszcze w okolicy, nie dopuściłby do tego. Będzie musiał wszystko zaczynać od początku. Zamocujcie mi linę pod pachami i naokoło ramion i w ten sposób, jeżeli mnie złapie, to nie wyslizgnę się z kombinezonu.

– Jeżeli on wciąż jeszcze jest tam na dole, nie będzie to miało najmniejszego znaczenia – ostrzegł go September. – Nie starczy połączonych sił wszystkich tranów na pokładzie, żeby cię wyrwać z jego uścisku.

– Ktoś musi się upewnić, czy on sobie poszedł. Jestem lżejszy od was, a nasi jajogłowi przyjaciele nie mają mojego doświadczenia. Poza tym zawarłem już znajomość z kossiefem, chociaż nie znam jeszcze jego straszego braciszka. I wcale nie mam zamiaru spędzać całej nocy na rozważaniu tego. Jeżeli go tam nie ma, a my będziemy tu siedzieć i debatować, jakie on może mieć

zamiary, to gotów wrócić. September potrząsnął głową.

– Coś mi się zdaje, że twój zdrowy rozsądek uległ zamrożeniu, podobnie jak wszystko inne na tej gałce lodowej. – Kiedy Ethan próbował coś odpowiedzieć, September mu przerwał. – Oszczędź mi swoich dalszych wywodów logicznych. To ty nadstawiasz karku. I wszystko inne też.

– Prawda – powiedział Ethan. – W końcu to mój kark. Zamocowali linę i podwójnie ją zaciągnęli. Ethan był wdzięczny, że nikt mu nie życzy szczęścia. A przynajmniej nic na ten temat nie mówi. Ześlizgnął się za poręcz, i ruszył w dół po drabinie wciętej w burtę klipra. Kiedy dotarł na ostatni szczebel, zaczerpnął głęboko powietrza i opadł na lód.

Panowała absolutna cisza. Nie słyszał nawet cichego szeptu swoich towarzyszy na pokładzie. Rozejrzał się i zauważył, że tafla lodu jest popękana i połamana tam, gdzie wytopił ją shan-kossief i gdzie ponownie zamarzała pod nieobecność tego stworzenia. Jeżeli rzeczywiście jest ono nieobecne, przypomniał sobie. Usiłując niemal płynąć w powietrzu nad lodem Ethan skierował się w stronę dziobu. Pod lodową tafłą nic się nie poruszało. Napotkał kilka kałuż, które zamarzały mu pod stopami. Miejscami światło jego latarki przebijało lód na ponad metr; nic się w głębi nie pojawiło.

Prawa płoza dziobowa była nienaruszona. Na ile potrafił się zorientować, podobnie rzecz się miała z jej lewym odpowiednikiem, chociaż był on pogrążony do dwóch trzecich swojej wysokości w ponownie zamrożonym lodzie. Ekipie energicznych i muskularnych, wyposażonych w kilofy i włócznie tranów odłupanie lodu i uwolnienie tej płozy nie powinno zająć dużo czasu, dumał. A potem będą musieli wyrębać ukośny tunel, żeby bez szkody mogła wysliznąć się na wierzch, kiedy Ta-hoding rozkaże postawić żagle. Odchylił się do tyłu, zobaczył zatroskane twarze i osłony hełmów wpatrujące się w niego z góry.

– W porządku. Możemy się stąd wydostać bez żadnych kłopotów. Płozy i zamocowania są nienaruszone. Czeka nas tylko trochę solidnego kucia. Wracam na górę.

Odwrócił się i ruszył zwawo z powrotem w kierunku drabiny. Przeszedł już pół drogi, kiedy lód się pod nim załamał.

Na szczęście utrzymała go uprząż z liny i jakoś udało mu się nie wypuścić latarki. Jej światło tańczyło teraz jak szalone po gładkim lodzie, a on kręcił się jak bąk na końcu linki. Wciąż jeszcze usiłował uspokoić łomoczące mu w piersi serce, kiedy przekonał się, że nic nie sięga w górę, żeby go złapać i wciągnąć. Zrozumiał, że przebił cienką warstwę lodu i wpadł do sporych rozmiarów jaskini. Zaświtało mu w głowie, że wisi w środku groty, którą wcześniej zajmował shan-kossief. Czuł się jak przynęta na haczyku wędkę.

Kiedy zaczął się kręcić nieco wolniej, zapanował nad światłem i z olbrzymią ulgą stwierdził, że grot jest pusta. Osobliwe pofałdowania maciły całkowitą skądinąd gładkość ścian, przypominając mu zmarszczki od wody na równej, piaszczystej plaży. Strumień światła wydobył z mroku olbrzymi tunel biegnący gdzieś w dal. Szczątkowe ciepło uwięzione pod powierzchnią nie przestawało w kilku miejscach wciąż wytapiać wody. Poza jego własnym oddechem jedynym dźwiękiem w grocie było równomierne, metaliczne kapanie.

Wciąż jeszcze powoli się obracał, kiedy po jednej stronie zauważył duży stos białego prochu. Był to jednak inny odcień bieli, a łukowate wyrostki, które z niego wystawały, zdecydowanie nie były kryształami lodu. Ciekaw był, czy któreś z tych zmiądzonych szkieletów mogły należeć do tranów, ale nie na tyle, żeby upierać się przy oglądaniu ich z bliska. Jaskinia stanowczo za bardzo przypominała katakumby. Kiedy wyciągano go z dziury, nie mógł oderwać światła od tego pagórka wapiennych drzazg.

– Nic mi nie jest! – zawołał, kiedy wychynał nad lód. Lina zahuściła się, Ethan wszedł w bliski kontakt z burtą statku i udało mu się złapać za szczebel drabiny, w kierunku której wcześniej szedł. Wciąż jeszcze roztrzęsiony zmusił się do wdrapania na pokład. Pierwszą twarzą jaką zobaczył, była niespokojna twarz Septembra.

– Zniknąłeś nam z oczu, mój chłopcze. Myślałem, że już po tobie.

– Przeleciałem przez cienki lód do wielkiej jaskini. Do jamy shan-kossiefa, jak sądzę. – Wciągnął do płuc świeże powietrze. – Kiedy przyjdzie czas ruszać, lepiej będzie mieć pewność, że pojedziemy na prawo. To coś tam na dole to jest naprawdę duża dziura. Gdyby udało się wam oswoić jedno z tych stworzeń, mielibyście przy budowaniu podziemnych osiedli na tym świecie pomocnika jak wszyscy diabli.

September zerknął przez burtę, zobaczył ten ciemny dół, do którego wpadł Ethan.

– Może by się go udało wytresować, ale nie sądzę, żeby udało ci się znaleźć kogoś, kto by się zgodził go żywić.

Chętne dłonie pomogły Ethanowi wysliznąć się z uprzęży.

– Na północ od jego jamy ciągnie się wielki tunel. To tam uciekł. Założę się, że jeżeli piecyk go nie zabije, to zobaczymy go znowu.

– Nie zobaczymy – zapewnił Ethana Ta-hoding – ponieważ nas już tu nie będzie.

Kapitan odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy, a z jego oddechu utworzył się niewielki obłoczek. Ze strony załogi dawała się zauważyć pewna niechęć do wykonywania poleceń kapitańskich. Nikt się nie kwapił, żeby przeleźć za burtę i sprawdzić, czy istotnie człowiek dokładnie ocenił sytuację. W końcu dwóch żołnierzy, śmielszych niż ich towarzysze, ostrożnie zlazło na dół. Kilofami zaczęli odłupywać lód, który uwięził prawą dziobową płożę *Slanderscree*. Kiedy nie zmaterializował się żaden potwór, żeby ich porwać, dołączyło do nich ze dwa tuziny kolegów. Kilofy podnosiły się i opadały ze wzrastającą pewnością.

Tymczasem Suaxus dal-Jagger i trójka najodważniejszych żołnierzy Hunnara opuściła się do jamy shan-kossiefa i stanęła na warcie przed tunelem. Przynajmniej ci, którzy pracowali na odkrytym terenie, będą mieli czas uciec, jeżeli potwór powróci. Nikt jednak nie wrócił, żeby ponownie objąć jamę w posiadanie.

– Zajęty jest uśmierzaniem najgorszego przypadku zgagi, jaki kiedykolwiek mu się zdarzył. – W

ten sposób Blanchard opisał sytuację shan-kossiefa. – Jeżeli uda mu się przeżyć ten gorący, to wydali piecyk podobnie jak wydalają kości swoich ofiar. I wtedy go znowu zaczną pędzić głód.

Czy hipoteza jest słuszna, trudno było powiedzieć. Nikt nie miał zamiaru siedzieć w tej okolicy, żeby zobaczyć, czy się ona sprawdzi. Jak tylko kopacze uwolnili płozy i wycięli ścieżki w lodzie, sprowadzono ich z powrotem na pokład i wciągnięto kotwice. Wiatr wypełnił żagle klipra. Drewno zajęczało. Wielki statek zaczął poruszać się do przodu. Dygocąc i skrobiąc lód

*Slanderscree* wychynęła ze swego więzienia. W kilka chwil potem stanęła równo na powierzchni zamrożonego oceanu.

Żołnierze i żeglarze wydali triumfalny okrzyk, a potem powrócili do swoich zajęć. Chociaż wielu z nich przez całą noc odłupywało lód, żaden nie poszedł odpocząć, dopóki nie odjechali na taką odległość od jamy shan-kossiefa, że przestali czuć się zagrożeni. Kiedy oddalili się na bezpieczną ilość saczów, ktoś przypomniał sobie nieszczęsną nocną wartę i statek zatrzymał się na krótko, by mogli odprawić posępny obrządek. Wiatr musiał zadowolić się samymi słowami, ponieważ nie było ciała, które można by zwrócić lodowi.

Pomiędzy bardziej doświadczonymi marynarzami z Sofoldu i nowo przybyłymi, którzy dołączyli do wyprawy w Poyolavomaarze, istniało do tej pory pewne napięcie. Walka z shan-kossieffem położyła temu kres. Z dwóch nocnych strażników, których stracili, jeden był obywatelem Wannome, a drugi Poyo. Tragedia okazała się potężnym czynnikiem jednoczącym załogę.

W ciągu dnia kilka guttorbynów, powietrznych drapieżników przypominających włochate, latające smoki, zanurkowało w kierunku statku w nadziei, że uda im się porwać jakiś pojedynczy posiłek, za każdym razem jednak napotykały czujnych, uzbrojonych tranów, którzy je odpędzali. Odlatywały wrzaskiem demonstrując swoje rozczarowanie. Po shan-kossieffie gut-torbyny wydawały się niemal komiczne ze swoimi wydłużonymi, wąskimi pyskami i pełnymi oburzenia okrzykami. Zanim dojechali do równikowego wału ciśnieniowego, który tranowie zwali Wygiętym Oceanem, załoga była już całkiem rozpuszczona, jak chodzi o niebezpieczeństwa. Wał był jednak dużo poważniejszą przeszkodą w dalszej jeździe niż jakikolwiek drapieżnik, chociaż mniej groźną dla życia. Od czterdziestu tysięcy lat linia ta wyznaczała miejsce, gdzie skończył się poprzedni ciepły cykl. Lody polarne z północy zderzyły się tu z lodami polarnymi nadciągającymi z południa. Dwie tafle lodowe zetknęły się z chrzęstem, wypiętrzając się i tworząc lity mur bloków i płyt, który opasywał Tran-ky-ky wzdłuż równika.

Ta-hoding warknął coś do sternika i kliper lodowy powoli zatoczył łuk na wschód. Żeglowali równolegle do wału, mając za sobą wiatr, szukając wyrwy, którą załoga mogłaby poszerzyć, żeby utworzyć przejazd na drugą stronę.

Podczas swojej poprzedniej podróży do Moulokinu, daleko na zachód od tego miejsca, znaleźli taką przełęcz. Poszerzyli ją odciągając całe bloki lodowe, a potem wykorzystali moc burzowego Rifsa, żeby przepchnąć statek przez wyrwę. Nikt nie miał ochoty na ponowne zastosowanie takiej techniki, ponieważ w rezultacie można było równie dobrze rozbić kliper lodowy, jak przejechać bezpiecznie na południową taflę lodu.

Dni mijały, a nie pokazało się nic bardziej zachęcającego niż lekkie zmiany w wysokości wału. Ethan i jego towarzysze powoli zaczęli mieć tego dosyć.

– Przecież chyba – zdenerwowała się Cheela Hwang – musi istnieć jakieś takie miejsce, gdzie lód załamał się pod własnym ciężarem albo stopił się na tyle, żeby umożliwić nam przejazd?

– Niekoniecznie. Wszelkie zmiany, jakie dotąd zauważyliśmy, zostały spowodowane przez życie organiczne, na przykład przez tego całego shan-kossiefa. – Zina Snyek, ich glaciolog, był pośmiewiskiem wśród tranów, ponieważ spędzał tyle samo czasu grzebiąc się w lodzie, co kossief. – Wiemy, że wał okrąża całą planetę. Niewykluczone, że nie ma w nim żadnych przerw.

– Nie mamy ani czasu, ani środków, żeby okrążyć ten świat dookoła. – Hwang przyglądała się niewielkiej, elektronicznej mapie. – Już zajechaliśmy za daleko na wschód. Nie powinniśmy dłużej żeglować w tę stronę. – Zerknęła w górę na Ethana. – Mówiłeś mi, że kiedyś już przedostaliście się przez ten wał.

Ethan skinął głową i pokazał na rufę.

– Podczas podróży do Moulokinu. To była sprawa życia i śmierci. Przebić się albo dać się roznieść na strzępy Rifsowi.

– A może byśmy wrócili po własnych śladach i wykorzystali ten istniejący przejazd?

Milliken Williams już od jakiegoś czasu przysłuchiwał się, ale jak to miał w zwyczaju, nic nie mówił. Teraz jednak się odezwał.

– Nie, po pierwsze dlatego, że trzeba by jechać daleko na zachód. Po drugie, ponieważ z łatwością moglibyśmy ten przejazd przeoczyć i pożeglować dalej, a co najważniejsze, ponieważ ledwie że precyzyjnie się tamtędy ostatnim razem. Przy panujących warunkach, a mam na myśli z jednej strony pogodę, a z drugiej podpowierzchniowe przesunięcia, wyrwa mogła się już przynajmniej częściowo wypełnić. Jeżeli tak się stało, nigdy jej nie znajdziemy. Dużo lepiej byśmy na tym wyszli, gdyby udało się nam znaleźć odpowiedni przejazd tu, na miejscu. Mówisz o spędzeniu całych tygodni na poszukiwaniu wyrwy, która może być niezauważalna. – Wzruszył ramionami. – Co do jednego masz jednak rację: jeżeli wkrótce czegoś nie znajdziemy, nie będzie wyboru, trzeba będzie zawrócić.

To Ta-hoding położył kres poszukiwaniom. Podobnie jak większość z nich spędzał nie kończące się godziny badawczo wpatrując się w nieprzerwaną barierę biegnącą równoległe do prawej burty; wiatr mierzwił mu grzywę i futro na ramionach i na karku. Ta-hoding był bardzo cierpliwy, ale jego cierpliwość też miała swoje granice. Przyszedł dzień, kiedy zażądał, żeby się naradzili.

– Nadszedł czas, byśmy podjęli decyzję, w jaki sposób mamy zamiar przedostać się z tego regionu na południe. Nie możemy żeglować naokoło świata tylko po to, żeby spotkać samych siebie w miejscach, które już odwiedziliśmy.

– Nie ma innej drogi. – Hunnar był równie sfrustrowany jak reszta. – To już ustaliliśmy.

Pierwszy oficer Monslawic przytaknął.

– A przecież musimy ją znaleźć. Zastanówmy się porządnie nad tą sprawą, jadąc dalej tak jak do teraz przez dzień czy dwa. Jeżeli w tym czasie nie znajdziemy miejsca, przez które dałoby się przejechać, musimy zawrócić po swoich śladach. Lepiej po-żeglować całą drogę z powrotem do Moulokinu w poszukiwaniu przejazdu, o którym wiemy, że istnieje, niż trzymać się bez końca kursu, który nam żadnej korzyści nie przyniesie.

Było oczywiste, że pierwszy oficer poświęcił sytuacji *Slanderscree* wiele myśli.

– Nie możemy zawrócić – poinformował go Ta-hoding. – Musimy przejechać przez Wygięty Ocean w ciągu najbliższych paru dni.

– Skąd ten pośpiech? – chciał się dowiedzieć September. Zamiast odpowiedzieć Ta-hoding pokazał na dziób. Ethan razem z innymi spojrzął przed siebie. Kilka rozproszonych chmurk szpeciło skądinąd nieskazitelny horyzont. Nie były to oczywiście deszczowe chmury. Na Tran-ky-ky nigdy nie padał deszcz; większość wilgoci była na stałe zamrożona na powierzchni planety. Nawet opady śniegu były rzadkie, chociaż w cieplejszych regionach zdarzały się. Ale chmury nieczęsto widywało się nawet tutaj, w pobliżu równika. Ethan zastanawiał się, co pokazuje im Ta-hoding. Jak się okazało, było to coś widocznego wyłącznie dla oczu doświadczonego żeglarza.

– Przez kilka ostatnich dni wiatr wiał nieregularnie – tłumaczył kapitan. Ethan wiedział, że na Tran-ky-ky wiatry wiały niesłychanie konsekwentnie z zachodu na wschód. – To jest dziwna formacja, ale nie jest mi obca. – A więc jednak on mówi o chmurach, dumiał Ethan. – A poza tym ta pora.

– Pora na co? – zapytał Williams.

– Wkrótce nadciągnie Rifs. Nie dziś, nie jutro, ale wkrótce. Ze wschodu. Zwykle Rifsy nadlatują z północy lub z południa. Ten nadciąga ze wschodu. Będzie bardzo źle.

Tego nie trzeba nawet mówić, myślał Ethan, wpatrując się w niewinnie wyglądające kłębki cumulusów. Oznaczało to kompletne odwrócenie normalnego układu wiatrów. Potęga zjawiska atmosferycznego, zdolnego doprowadzić do czegoś takiego, musi być isticie demoniczna. A przecież głos Ta-hodinga brzmiał tak, jak gdyby kapitan był całkiem pewien.

– Co to jest Rifs? – zapytała Jacalan.

Hwang pozwoliła wyjaśnić to swojemu koledze Semkinowi.

– Lokalna superburza. Kilka zaczątków burzy gromadzi się w tym samym rejonie. Zaczynają się nawzajem napędzać, w taki sam sposób, jak burza ogniowa zasila się własnym ciepłem. Na Tran-ky-ky wiąże się z tym bardzo niewiele prawdziwej wilgoci. Wydaje się, że przez to burza robi się jeszcze gorsza. – Popatrywał z namysłem na chmury. – Oczywiście nigdy żadnego nie doświadczyłem na własnej skórze. Nikt z nas tego nie przeżył. One prawie nigdy nie zdarzają się poza obszarem równikowym. Ale Cheela i ja studiowaliśmy je poprzez zwiad satelitarny. Korona czoła burzy potrafi

wykipieć na wysokość dziesiątków tysięcy metrów, aż zawadzi o granice górnej atmosfery. Będą błyskawice, mnóstwo piorunów, a na powierzchni wiatry dochodzące do setek kilometrów na godzinę. Nie jest to dobra pogoda na puszczenie latawców. Każde zwierzę, które ma choć szczyptę rozumu, bezzwłocznie gdzieś się chowa i przeczekuje.

Zapanowała cisza, kiedy jego koledzy siedzieli i przyswajali sobie możliwe implikacje, oczywiście nawet dla nietranów i nie-żeglarzy. Nie da się halsować pod wiatr wiejący trzysta kilometrów na godzinę, nie da się też nigdzie bezpiecznie zakotwiczyć na nagiej tafli lodu. Jedyna rozsądna szansa uniknięcia niebezpieczeństwa leży w osłoniętym porcie. Na nagim lodzie nie było w ogóle żadnych portów. Statek, który na otwartym terenie dopadnie takie przetaczające się czoło Rifsa, ma jedną jedyną szansę na uratowanie. Polega ona na tym, żeby dostosować ilość żagli i zawrócić, tak by lecieć z wiatrem, modląc się, by nie rozleciały się żagle, maszty i załoga, zanim burza nie polecą dalej. *Slanderscree* dokonała tego kiedyś jeden raz i przeżyła, sponiewierana i poobijana. Podjęcie drugiej takiej próby oznaczałoby kuszenie losu, który dotychczas zdawał się nad nią czuwać. Zresztą nawet gdyby zaryzykowali i udało im się przetrzymać burzę, zepchnęłaby ona ich statek, prawdopodobnie uszkodzony i pozbawiony stabilności, daleko z obranego kursu. Chyba sama planeta robiła wszystko, by nie dotarli do celu.

W idealnej sytuacji przejechaliby przez wał ciśnieniowy, postawili wszystkie żagle i pomknęli na południe poza zasięg burzy. W idealnej sytuacji. Gdyby sytuacja była idealna, myślał Ethan, zignorowaliby przepisy i przeszmyglowali na pokład kilka wybuchowych urządzeń, za pomocą których wysadziliby zwały lodu i utorowali sobie drogę. Nie było już teraz czasu na żadne gdybanie.

Nie mieli środków wybuchowych, nie mieli promienników, żadnej odpowiedniej nowoczesnej technologii. Nie dysponowali niczym więcej, jak się okazało po przeglądzie inwentarza, niż wielkim zapasem sił fizycznych i determinacji. To mogło wystarczyć, żeby przekopać ścieżkę przez wał. W kilka tygodni. A oni musieli się przedostać w czterdzieści osiem godzin.

Skomplikowana aparatura naukowa, jaką mieli ze sobą, składała się w znacznej części z przyrządów przeznaczonych do mierzenia, do kalibrowania, do ważenia, a nie do skupiania brutalnej siły na jakimś nietypowym obiekcie. Przydałyby się wiertła, zaprojektowane do pobierania próbek rdzeniowych z lodu. Gdyby ich było ze sto, mogliby osiągnąć swój cel. Za pomocą wiertła nadtopiliby lód, ale to trwałoby na pewno za długo.

Rozwiązanie alternatywne nie przyszło na myśl żadnemu tranowi, ponieważ żaden tran nigdy by sobie czegoś takiego nie zdołał wyobrazić. Przynajmniej tym razem oczywisty wniosek ubrał w słowa September, a nie Williams.

– Tam do diabła, to chyba oczywiste, że ponieważ nie mamy rady przez to coś przejechać, musimy nad tym przelecieć.

Na to beztróskie oświadczenie zamurowało ze zdumienia wszystkich, nie wyłączając Ethana.

## ROZDZIAŁ 7

– Czyżbyś sugerował – wyjąkał w końcu Williams – że powinniśmy zmienić *Slanderscree* w samolot? September ani okiem nie mrugnął.

– Coś w tym sensie.

Ponieważ September powiedział to pół żartem, nauczyciel podchwycił jego ton.

– Boję się, że nawet gdybyśmy dali radę odpowiednio ją ożaglować, wiatr nie jest dość silny.

– Ale ubaw. – September zamyślił się. – Chociaż gdybyśmy mieli wystarczającą ilość żagli i Rifs za plecami, wcale bym się nie zdziwił, gdyby nam się udało wysłać tę naszą starą krypę w powietrze. Ale dopilnowanie, żeby nam się nie wymknęła spod kontroli, to całkiem inna sprawa. – Szukał kogoś wzrokiem za plecami Williamsa, aż znalazł Snyek. – Będą nam potrzebne wiertła, o których wspominałaś, te do pobierania rdzeni. Trzeba będzie stopić trochę lodu i z powrotem go zamrozić.

– Na litość boską, po co? – zażądała odpowiedzi Hwang. September wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu.

– Wasze wiertła nie są ani takie duże, ani takie silne, żeby wytopić chociaż kawałek ścieżki przez ten wał, ale możemy ich użyć do wygładzania ostrych krawędzi, jeżeli wiecie, co mam na myśli. Niektóre z tych wiekowych bloków lodu tworzących wał są całkiem duże i solidne. Gdyby udało nam się, że tak powiem, stopić je ze sobą i wyrównać, robiąc delikatną wykończeniówkę kilofami i toporami, może byśmy coś koniec końców uzyskali.

– Na przykład co?

W oczach olbrzyma błysnęła iskierka i tym razem uśmiechnął się promiennie do Williamsa.

– Na przykład rampę. – Pozwolił im pozastanawiać się nad tym pomysłem, a potem ciągnął. – Widzicie, za pomocą wiertel i narzędzi ręcznych uformujemy tę rampę, nadamy jej kształt i poprowadzimy ją prosto na grań wału ciśnieniowego. Potem cofniemy *Slanderscree* spory kawał – szerokimi wymachami i skrętami swoich długich ramion ilustrował manewry które będą musieli wykonać – tak daleko na zachód, jak będzie trzeba, postawimy wszystkie żagle i podprowadzimy ją do wału pod kątem, mając silny wiatr prosto w plecy. Wjedziemy do góry tą rampą – ciągnął dalej, przesuając ostro jedną dłonią po drugiej – i wylecimy nad grań. To wszystko. Będziemy po drugiej stronie. Nie musimy przekopywać się przez ten piekielny wał, wystarczy nad nim przelecieć. – Zakaszłał w stuloną dłoń. – No i jakoś w miarę łagodnie wylądować po drugiej stronie, oczywiście. Co do lodu, no cóż, może on mieć ostre krawędzie, być zimny i uciążliwy, ale jak długo trzyma mróz,



a człowiek ma jakieś narzędzia i dysponuje źródłem ciepła, można w nim rzeźbić równie łatwo, jak w kawałku mydła.

Pomysł nie wzbudził zbytniego entuzjazmu słuchaczy.

– Nie kryję, że wolałbym przekroczyć ten wał w jakiś inny sposób – powiedział ostrożnie Williams.

– Ja również. – To odezwał się pełen powątpiewań Ta-hoding. – Te twoje pomysły wydają mi się ciekawe, ale niepraktyczne, przyjacielu Skuo. Jak powiedziałaś, krytyczny jest tu problem szybkości.

– Żartujesz chyba! *Slanderscree* dopiero raz czy dwa razy postawiła swoje wszystkie żagle. Sam wiesz, jak szybko potrafi się ruszać.

– Po płaskim lodzie tak – przyznał kapitan – ale pod górę? Czegoś takiego nikt nigdy dużym statkiem nie robił. Takie manewry zostawia się sportowcom, szfiarzom albo bardzo małym, lekkim łódeczkom.

September popatrzył na Hwang.

– Weź no się do liczenia. Masa, szybkość, prędkość wiatru – przekonajmy się, czy jest to przynajmniej teoretycznie możliwe. Możemy wykonać rampę o tak niewielkim nachyleniu i na tyle długą, jak będzie trzeba.

– Byle nie za długą. – Ta-hoding, żeglarz, orientował się doskonale w podstawach geometrii, nie mówiąc już o fizycznych możliwościach swojego statku. – Mamy ograniczoną ilość czasu.

– Poradzimy sobie – powiedział September niecierpliwie. – Zrobimy wszystko, co trzeba zrobić. Jestem pewien, że uda nam się uzyskać konieczną prędkość i utrzymać się na rampie.

– To nie to mnie niepokoi. – Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Hunnara Rudobrodego. – Zobaczmy, czy ja dobrze rozumiem ten nowy pomysł podniebnych ludzi. – Za pomocą łap naśladował z grubsza aerodynamiczne gesty Septembra. – Cofamy się na pewną odległość, stawiamy żagle i łapiemy pełny wiatr.

– Tak jest, masz rację – powiedział z podnieceniem September.

– Żeglujemy w górę po tej rampie, której budowę proponujecie – Hunnar podniósł jedną łapę w kierunku nieba – i wylatujemy w powietrze nad grań Wygiętego Oceanu z wystarczającą siłą, żeby przeniosło nas na drugą stronę bariery i na żeglowny lód po południowej stronie.

September miał zadowoloną minę.

– Pokapowałaś się, Hunnarze.

– Nie mam wątpliwości, że uda nam się osiągnąć pożądaną szybkość, wierzę też, że może nam się udać nie utracić panowania nad statkiem i przy tej szybkości wjechać rampą do góry. A przecież się

martwię.

– Czym?

– *Slanderscree* to duży, ciężki statek. Został zaprojektowany do szifowania – tu wykonał prawą łapą posuwisty gest – po litym lodzie. To silny statek i już wiele razy przekonaliśmy się, jak wytrzymały jest ten cudowny metal, który wycięliśmy z waszego stateczku, żeby sporządzić wielkie płozy i ich zamocowania. Ale jednak, chociaż już tak wiele osiągnął i tak wiele przetrzymał, nie jest przystosowany do tego, żeby spadać ze znacznej wysokości. – Wpatrzył się w Septembra. – Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z waszym planem i przelecimy nad

Wygiętym Oceanem, co się stanie kiedy uderzymy w nieustępliwy lód po drugiej stronie? Ocean się nie może rozlecieć, ale o *Slanderscree* tego powiedzieć nie można. Jaką korzyść przyniesie nam przekroczenie bariery, jeżeli przy sposobności rozbijemy nasz statek?

– Tego jednego nie potrafię w żaden sposób przewidzieć – odpowiedział September mrocznie. – I nie sądzę również, żeby potrafili to zrobić Williams i jego przyjaciele, pomimo ich wiedzy i wszystkich instrumentów.

– Cały ciężar statku spadnie na dziobowe płozy, potem na rufowe i na sterową – zastanawiał się półgłosem Ethan. – Jeżeli podejmiemy taką próbę, a nie mam żadnego lepszego pomysłu, będziemy musieli powyciągać z magazynów wszystko, co nadaje się na wyściółkę. Zapasowe ubrania, dodatkowe olinowanie z pika-piny, wszystko co mamy. Możemy to powciskać pomiędzy płozy a ich zamocowania, żeby pomogło zamortyzować wstrząs.

– Dobrze myślisz, mój chłopcze!

– Te klamry wytrzymają wstrząs tylko w pewnych granicach – przypomniał im Ta-hoding.

– One są z duramixsu, z powłoki i trzewi szalupy ratunkowej – powiedział September. – Podobnie jak sworznie i zamocowania szkotów. Ciesielkę robili najwspanialszy stolarze i szkutnicy w Wannome. Nawet jak rozwalimy jedną czy dwie klamry, na pewno wykombinujemy jakieś tymczasowe zamocowania, żeby płozy utrzymały się na miejscu, zanim wrócimy ze statkiem do stoczni remontowej.

– Gdybyż to tylko było takie proste – Ta-hoding pokazał w kierunku dziobu. – Jeżeli połamiemy sobie więcej niż jedną płozę, będziemy musieli zakotwiczyć statek, żeby dokonać tych tymczasowych napraw, o których z takim lekceważeniem mówisz. Pamiętaj, że jeżeli utkniemy na południowym oceanie, Rifs może nas tam dopaść z równą łatwością jak po tej stronie. Mając uszkodzone płozy nie zdołamy uciekać nawet z wiatrem. Rifs może statek porozrywać na kawałki.

Przez jedną czy dwie chwile słychać było wyłącznie wiatr, potem cicho odezwał się Ethan:

– Nie wygląda na to, żebyśmy mieli jakiś wybór. Jesteśmy za daleko od Poyolavomaaru czy jakiegokolwiek innego znane – go schronienia i nie damy rady zdążyć się tam bezpiecznie ukryć, zanim uderzy burza. Jeżeli będziemy tu siedzieć i czekać na nią, wpadniemy w prawdziwe tarapaty. Z

kolei jeśli podejmiemy próbę ucieczki, a ona nas dogoni, zwieje nas tak daleko z kursu, że równie dobrze będziemy mogli wrócić do Poyo i zaczynać od początku.

– A może moglibyśmy znaleźć schronienie po zawietrznej jakiejś wyspy? – zastanawiała się Elfa.

Ta-hoding potrząsnął głową.

– Nie widzieliśmy dotąd żadnej, która by się nadawała.

– A więc Ethan i Skua mają rację. Musimy podjąć tę próbę.

Hunnar popatrzył ostro na swoją młodą małżonkę.

– Zawsze znałem cię jako konserwatystkę. Czyżbyśmy spędzili zbyt wiele czasu wśród podniebnych ludzi?

Elfa położyła mu dwa palce na wargach, pozwalając by poczuł jej pazury.

– To nie to. W twoim towarzystwie odważyłabym się na wszystko, mężczyzno mego życia.

Hunnar wydał z siebie pełne wyrazu syknięcie.

– Jeżeli córka Landgrafa gotowa jest zaryzykować, czyż ja mogę odważyć się na mniej?

Elfa cofnęła dłoń, odwróciła się do Ta-hodinga.

– To nie królewska krew rozkazuje na łodzie, to twoja domena, twój statek. Ostateczna decyzja należy do ciebie. Lepiej niż ktokolwiek inny orientujesz się, do czego zdolny jest kliper lodowy. Jakie mamy szansę, żeby przeżyć takie szalone przedsięwzięcie?

Ta-hoding westchnął głęboko i wykonał zawiły gest palcami prawej ręki. Pół na pół. Ethan liczył, że kapitan da im większe szansę.

– Jeden jest gotów ryzykować wszystko, drugi nic mi nie mówi – narzekał Hunnar. Jego kocie oczy zwróciły się na Ethana. – A co ty myślisz, mój przyjacielu?

– Czemu pytasz akurat mnie? Jestem tylko pasażerem na tej łodzi. Nie mam tu nic do gadania. Czemu nie zapytasz Millikena?

– Ponieważ ty nie jesteś ryzykantem, jak sam przyznajesz. Ponieważ to ty, a nie przyjaciel Milliken, stanowisz przeciwwagę dla opinii naszego ekstrawaganckiego Skuy. Stąpasz ostrożnie tam, gdzie on pędzi na oślep. Stosujesz rozważę tam, gdzie on śmiało ryzykuje.

– No cóż, skoro nie mamy lepszego wyboru... Muszę przyznać, że do niczego się w życiu nie dojdzie, jeśli człowiek od czasu do czasu nie zaryzykuje. Przyznaję, że w tym minionym roku wyczerpaliśmy już swój przydział ryzyka, ale nie zmienia to sytuacji, w jakiej się teraz znaleźliśmy. Tyle tylko, że łatwo mi to mówić, to nie mój statek.

– Nie, ale twoje życie – zwróciła mu uwagę Elfa.

– Zróbmy tak. – Ta-hoding mówił nic patrząc na nich i w myśli już rozpoczynając przygotowania.

– Ci, którzy nie należą do załogi wysiadają, przechodzą przez Wygięty Ocean na piechotę i czekają na nas po drugiej stronie. W ten sposób, jeżeli spotka nas katastrofa, nie wszyscy będą narażeni na ryzyko.

– A więc podjąłeś decyzję – powiedział półgłosem Hunnar.

– Nie jestem ryzykantem. Gram tylko tymi kośćmi, które dał mi los. Tutaj musimy je rzucić z całą umiejętnością i mieć nadzieję, że pokaże się dwunastka. Jeżeli nie będę mógł obdarzyć zaufaniem mojego statku i załogi, co mi pozostanie?

– A więc mamy podjąć próbę. – Hunnar nie potrafił się zdobyć na okazanie fałszywej pewności siebie. – Żałuję, że nie ma innego sposobu. Ale gdyby był, nie porywalibyśmy się na takie szaleństwo. – Odwrócił się do Hwang. – Moi żołnierze będą pracowali ramię w ramię z wami nad kształtowaniem lodu. Wybierzcie ką, pod jakim ma przebiegać rampa, i odpowiednio nas poinstruuje. – Podniósł się na nogi. – Teraz, kiedy podjęliśmy już decyzję co do sposobu postępowania, nie zwlekajmy. Im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy.

– A im ciężiej będziemy pracować – dodała Elfa – tym mniej czasu będziemy mieli na zastanawianie się nad tym, na co się naprawdę porywamy.

\* \* \*

Rampa nie była jeszcze gotowa, a na wschodzie niebieskie niebo ustąpiło miejsca kipiącej czerni. Pierwsze podmuchy wiatru od zbliżającego się czoła burzy uderzyły jak patrole zwiadowcze w zachodni wiatr, rozpraszając na wszystkie strony wiry powietrza. Demony lodowe, miniaturowe trąby powietrzne złożone z cząsteczek lodu, tańczyły obłąkańczy taniec na płaskiej powierzchni oceanu. Od czasu do czasu któryś z nich wpadał na pracujących i zmuszał ich do rzucenia narzędzi i skulenia się tuż przy ziemi. Jeden z nich dopadł Ethana, w chwili gdy miał akurat podniesioną do góry osłonę hełmu i wycisnął mu łzy z oczu. Ethan miał nieodparte wrażenie, że bije w niego zimny piach. Jacalan i Blanchard wyłączyli przeciążone wiertła i dołączyli do uciekinierów, którzy ześlizgiwali się w dół po południowym stoku wału ciśnieniowego. Ethan i September pozostali w tyle, usadowili się pod osłoną olbrzymiego, wywróconego, lodowego bloku. Ktoś musi to obserwować, powiedział sobie Ethan.

Wyrobali i wytopili w północnym stoku wału prawie idealnie gładką rampę, przypominającą podjazd pod zamek jakiegoś olbrzyma. Naukowcy i żołnierze Hunnara dobrze wykonali pracę. Na ile dobrze, tego nie da się powiedzieć, dopóki kliper lodowy nie będzie próbował na rampę wjechać. Wszyscy mieli świadomość, że jeżeli rampa się zarwie, kiedy *Slanderscree* będzie po niej wjeżdżała do góry, wielki statek wpadnie w lodową pułapkę. Wtedy już na dobre zostaną uwięzieni na tym samotnym terenie, daleko od cywilizacji czy to trańskiej, czy ludzkiej. Budowali więc jak najsolidniej, wzięwszy pod uwagę ograniczony czas i niewystarczające narzędzia, jakie mieli do dyspozycji. Semkin nadzorował prace prowadzone za pomocą wiertel, pilnując, żeby wszystkie dziury pomiędzy masywnymi blokami lodu zostały wypełnione i uszczelnione.

W końcu nie zostało do zrobienia nic więcej, poza samą jazdą.

Ethan zerknął w prawo i zobaczył postacie na południowej tafli lodu: wojownicy i członkowie ekipy badawczej. Tylko Hunnar i Elfa dołączyli do Ethana i Septembra stojących na grani wału. Hunnar, wysoki i wyprostowany, wyglądał jak jedna z otaczających ich lodowych wieżyczek, a wiatr chłostał jego futro. Osłonił oczy prawą dłonią.

– Ledwie widać statek.

Ethan przymrużył oczy i patrzył na północ, ale nie zobaczył ani śladu *Slanderscree*. Wiedział jednak, że za moment pojawi się ona na horyzoncie.

– Stawiają żagle. Ta-hoding każe reje ustawić do wiatru. Teraz je regulują. Żagle się wypełniają. Ruszyła – informował Hunnar.

Czekali. W kilka minut później obydwaj mężczyźni potrafili już rozpoznać lśniący, szpiczasty kształt klipra lodowego, który z dużą szybkością mknął w kierunku wału. Zaskoczony Ethan zdał sobie nagle sprawę, że właśnie po raz pierwszy widzi z pewnej odległości statek pod pełnymi żaglami. Jak na hybrydę zrodzoną ze wspomnień nauczyciela był całkiem urodziwy. Nie dostrzegł ani cienia niezdarności w jego ruchu.

– Wolałbym, żeby Ta-hoding ocenił naszą szansę wyżej niż jeden do jednego – wymamrotał Ethan.

September podniósł osłonę hełmu, żeby nie przeszkadzała mu patrzeć.

– Do czorta, mój chłopcze, większości z nas życie daje mniejsze szansę.

Ethan nerwowo spojrział na wschód. Błyskawica rozłupała chmury czarne jak miał węglowy.

– Kiedy nadejdzie Rifs?

Hunnar Rudobrody spojrział na niego, a potem odwrócił się w stronę nadciągającej burzy.

– Niedługo, ale nie tak prędko, jak można by się spodziewać. Straszna burza, bardzo straszna, ale sądzę, że chyba przesuwa się odrobinę na północny zachód, zamiast prosto na zachód. Darowano nam kilka dodatkowych cennych godzin dobrej pogody, przy której coś możemy zdziałać. Jeżeli burza nadal tak będzie zakręcała, może nas nawet ominąć. Byłby w tym pełny po brzegi havlak ironii!

– Ale może nas również nie ominąć – wtrąciła Elfa. – A jeżeli nam się nie uda przeskoczyć, sytuacja nadal będzie fatalna. Tak czy siak musimy dostać się na drugą stronę Wygiętego Oceanu. Nie czas teraz na wahanie.

– Nie wahałem się, kochana moja. Ethan pytał o moje myśli.

– Oto i ona! – ryknął September, pochylając się lekko i pokazując palcem. – Przysięgłbym, że Ta-hoding powywieszał na linkach swoje ubrania, starając się wydoić z zachodniego wiatru jeszcze o

jedną dziesiątą węzła więcej.

Ethan przekonał się, że musi podnieść osłonę hełmu, jeżeli chce porządnie widzieć. Chłód kłuł go w obnażoną skórę, szczypał w policzki. Kliper lodowy zdawał się przyspieszać z każdym metrem, jaki przejechał. Spod każdej z pięciu duramiksowych płóz rozcinających płaską taflę wyfruwał koguci ogon drobinek lodu. Kiedy statek znalazł się mniej więcej kilometr od wału ciśnieniowego, Ethan ocenił jego szybkość na jakieś sto pięćdziesiąt do stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Żagle wydymały się sztywno od masztów i olinowania. Cały statek wydawał się pochylać do przodu, naprężać, walczyć. Był już teraz wystarczająco blisko, żeby Ethan rozpoznał Ta-hodinga i jego sternika. Opierali się o wielkie drewniane koło, borykając się z utrzymaniem *Slanderscree* na kursie.

Kapitan musiał wykrzyknąć jakiś rozkaz, ponieważ na ich oczach ruchome reje nagle się obróciły. Wielki statek pochylił się na obie lewe płozy, jak łyżwiarz starający się ze wszech sił utrzymać równowagę i ostro zakręcił na południe. Ten manewr mógł go kosztować nieco szybkości. Instynkt kazał Ethanowi przycupnąć, gdyby kliper lodowy uderzył w rampę pod niewłaściwym kątem, mógłby się wzbąć w trudnym do określenia kierunku, włączając w to lot prosto na nich. Także Hunnar i Elfa poszukali sobie schronienia, tylko September nie ustąpił; w swoim srebrzystym kombinezonie ochronnym wyglądał jak jakaś statua zupełnie nie pasująca do otoczenia.

Na pokładzie *Slanderscree* ci z żeglarzy, którzy nie trzymali statku, wyciągnęli ręce, żeby się czegoś solidnego złapać i zacisnęli zęby. Ta-hoding i sternik dosłownie uczepili się koła. Gnany pełną potęgą zachodniego wiatru kliper dojechał do podstawy rampy lodowej i ruszył jak z bicza trząśł pod górę. Wyglądał jak jakaś pozaziemska wersja Latającego Holendra, który lada moment ma ulecieć pod wiatr w niebo. Wznosząc się po rampie kliper wyraźnie zwolnił. Ethan zdał sobie sprawę, że w myślach popędza go, jakby starał się popchnąć go jeszcze te trzydzieści, dwadzieścia, wreszcie ostatnie dziesięć metrów do grani. Na szczęście jego pomoc nie była konieczna. Mknąc wciąż z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę *Slanderscree* wystrzeliła z końca rampy i przeleciała nad granią wału ciśnieniowego. Przez moment zdawała się wisieć w powietrzu, tak jak gdyby zawiesił ją tam jakiś kosmiczny artysta. A potem zaczęła opadać powolnym, wdzięcznym łukiem.

Hunnar i Elfa podnieśli się, a na dole, na południowej tafli lodowej żołnierze i uczeni bez tchu przyglądali się, jak kliper nadlatuje w ich kierunku. Przez krótką chwilę był to nie statek lodowy, ale powietrzny gość z jakiejś dawno zapomnianej legendy. Te kilka sekund miało w sobie taki urok, że wszyscy świadkowie aż zamarli z wrażenia. I żaden z nich nie miał tego nigdy, do końca życia zapomnieć.

Ale za chwilę powrócili do rzeczywistości; statek grzmotnął w taflę lodową. Na dźwięk uderzenia nie tylko Ethan się skrzywił, większość obserwujących się skrzywiła. Kadłub wytrzymał, kliper lodowy podskoczył, uderzył znowu i zatoczył się na bok. Ostre, brzękliwe dźwięki wybiły się nad wycie wiatru, kiedy kilka rei grubych jak noga mężczyzny odłamało się i przeleciało przez dziób, unosząc ze sobą żagle. I okazało się to niezwykle pożyteczne, bo wyhamowało statek.

Hunnar i Elfa jako para łyżwiarskich mistrzów już szifowali w dół po drugiej stronie wału. Pozbawieni szifów ludzie szli w ich ślady nieco wolniej, ślizgając się i zjeżdżając na butach.

Żołnierze, którzy obserwowali wszystko z lodu wdrapywali się teraz na drabiny *Slanderscree*, żeby pomóc oszołomionym żołnierzom, z których wielu straciło przytomność na skutek uderzenia. Kiedy jednak Ethan stanął na pokładzie, oddziały Hunnara już doprowadzały chaos do porządku. Pokład zasypany był popękany olinowaniem i podartymi żaglami. Połamane reje, które kołysały się smętnie na bukszprycie, stanowiły poważniejszy problem, ale nawet bez nich kliper lodowy był w stanie żeglować. Dzięki dodatkowym kłamrom i olinowaniu, które kazał pozakładać Ta-hoding, trzy główne maszty wytrzymały, chociaż jeden z nich niebezpiecznie chwiał się w swoim zamocowaniu.

Kapitan powitał ich z błyszczącymi oczami. Przy nozdrzach trzymał jakiś gruby kawałek materiału. Szmata poplamiona była na czerwono, ale Ta-hoding chyba tego nie zauważył. Nie wspominał też nawet, że skręcił nogę.

– Czy takie ma się uczucie, latając na jednym z waszych podniebnych statków, przyjacielu Ethanie? Wspaniałe przeżycie, chociaż bolesne. Statek – i tu rozejrzał się z dumą dookoła – przetrzymał to lepiej niż jego załoga.

September przyglądać się z aprobatą.

– Wygląda na to, że zniósł zderzenie bardzo dobrze. Krew plamiła ściany kabin i deski pokładu. Paru żeglarzom potrzebny będzie odpoczynek i opatrunki, ale większość nie odniosła obrażeń poważniejszych, niż parę siniaków i stłuczeń.

Trzeci oficer Kilpitt zbliżył się do nich biegiem. Lewa ręka zwisała mu luźno u boku, ale prawą zwawo zasalutował.

– Prawa dziobowa płoza niemal kompletnie pękła przy zamocowaniu. Lewa dziobowa wydaje się w porządku, podobnie jak płozy rufowe i ster. Tak jak pan przewidywał, kapitanie, prawie cały impet wzięła na siebie przednia trzecia część statku.

– Na ile poważna jest sprawa z tym zamocowaniem?

– Żeby ją naprawić jak trzeba, konieczne byłyby usługi stoczni, ale – tu zawahał się – myślę, że tymczasowo da się ją zabezpieczyć linami. Chociaż nie radziłbym próbować żadnych ostrych manewrów na prawo.

– Nie będziemy – zapewnił Ta-hoding. – Zwołaj ekipę naprawczą i zabierajcie się do roboty. – Zerknął ponad wałem w kierunku nadchodzącej burzy. – Musimy znowu ruszyć jak najszybciej. Klamra wytrzyma. Nie przygotowujemy się do walki. Nie ma tu z czym walczyć, poza naszymi ranami i pogodą. Kiedy już oddalimy się na południe poza strefę zagrożenia, będziemy rozmawiać i wspominać tę chwilę, ale teraz nie.

Oficer zasalutował znowu i zeskoczył na główny pokład i pędząc na dziób zbierał po drodze ekipę roboczą.

– Zdawało mi się, kiedy patrzyłem ostatni raz, że Rifs skręca nieco na północ – powiedział Hunnar.

– Ja również to zauważyłem. Ale równie szybko może zawrócić na południe. – Spojrzenie Tahodinga i jego myśli wędrowały tam i z powrotem po uszkodzonym przednim maszcie.

\* \* \*

Wszyscy łącznie z grupą Hwang włączyli się do pomocy przy naprawianiu statku. Naukowcy nie nie wiedzieli o żeglowaniu, ale marynarze ochoczo przyjmowali każdego, kto mógł podawać i nosić, nawet jeżeli jego ręce pozbawione były futra. Statek ruszył ponownie w drogę dużo szybciej, niż ktokolwiek śmiał się spodziewać.

Nie udało im się całkowicie uniknąć Rifsu. Jego południowy skraj zawadził o nich, kiedy za rufą zniknął im już z oczu wał Ciśnieniowy. Uszkodzona prawa płoza dziobowa jakoś wytrzymała, owinięta taką ilością lin z pika-piny, że starczyłoby ich na Całe olinowanie mniejszego statku. Żeglarze, w bandażach i kulejący, wykorzystali pocałunek burzy, żeby zwiększyć szybkość w ucieczce na południe.

Siłę huraganowego oddechu przewyższała tylko gadatliwość marynarzy, którzy przeprowadzili *Slanderscree* przez Wygięty Ocean na drugą jego stronę. Wysokość, na jaką wzbił się statek i odległość, jaką przeleciał w powietrzu rosły z każdą minutą, kiedy o tym przeżyciu mówili. Przez kilka cudownych sekund latali zupełnie tak samo jak podniebni ludzie i to na statku przez siebie samych zrobionym. Ethan przysłuchiwał się tym entuzjastycznym opowieściom i uśmiechał się. Jeżeli ich unia będzie nadal się rozszerzała i umacniała, któregoś dnia tranowie Otrzymają pozwolenie na latanie swoimi własnymi lodolotami, a potem samolotami. Aż w końcu znajdą się na pokładach masywnych statków gwiazdnych o napędzie KK i będą podróżowali z jednego świata na drugi. Zastanawiał się, czy będzie to kres ich entuzjastycznego podchodzenia do życia. Wraz z zaawansowaniem technologicznym przychodzi nuda, powiedział sobie.

W końcu Rifs został za nimi, ale entuzjazm załogi, chcącej Wciąż na nowo przeżywać ten wspaniały lot nie osłabł ani trochę. Żołnierze, którzy przebyli wał ciśnieniowy na piechotę, zaczęli wreszcie gderać i wybuchło kilka bitek. Nikt na to jednak nie zwracał uwagi, tranowie bowiem z natury byli wojowniczy. A zawieranie zakładów, jaki będzie wynik poszczególnych bójek, pomagał im zabijać czas.

Dni stawały się tygodniami. Z początku zmiany w klimacie były niemal niedostrzegalne, ale wkrótce już wszyscy je obserwowali. Żeglowali wytrwale na południe od równika, a tu robiło im coraz cieplej, zamiast coraz zimniej. Stumetrowe urwiska kontynentalnego płaskowyżu wciąż jeszcze były niewidoczne, a już tranowie zaczęli zrzucać z siebie ubrania. Na pierwszy ogień poszły zewnętrzne futra, po nich zbroje ze skór hessavara, potem szorstkie kamizele z włókna pika-piny i bielizna. Wkrótce żeglującą *Slanderscree* obsługiwała załoga nagich tranów, których okrywała wyłącznie krótka brązowa lub szara sierść. Kiedy temperatura nie przestawała wzrastać, Ethan zaczął się zastanawiać, kiedy on i jego towarzysze pójdą w ich ślady. Oczywiście, chociaż klimat był oburzająco gorący dla tranów, termometry nadal wskazywały kilka kresek poniżej zera. Jeszcze nie czas, żeby chodzić tylko w szortach, ale w miarę jak posuwali się na południe, wskaźniki temperatury nieubłaganie pięły się w kierunku zera.

Tranom było nie tylko za gorąco, z każdą chwilą czuli się bardziej zmęczeni. Zaczęły się rozmowy



o przystrzyżeniu futra przy samej skórze, co było prawdziwym szaleństwem, wymuszonym przez gwałtownie idącą w górę temperaturę. Ale na razie nikt nie zdecydował się na takie upokorzenie. Ludzie współczuli im, chociaż sami byli zachwyceni ciepłem. Wreszcie można było chodzić wewnątrz statku w samej bieliźnie, a na pokładzie stać z odkrytą głową.

Ethan, Milliken i September zetknęli się już na Tran-ky-ky z podobną temperaturą. W krainie Złocistych Saia żyła odizolowana grupa tranów z epoki przedlodowcowej, których ciała nigdy nie zostały zmuszone do ponownej adaptacji po nadejściu lodu. Trzymali się kurczowo terytorium ogrzewanego przez stałe, ciepłe źródła. Być może teraz żeglują w kierunku podobnego regionu, pomyślał Ethan, ponieważ ekstensywna działalność wulkaniczna wciąż jeszcze była najbardziej wiarygodnym wyjaśnieniem zmian klimatycznych. Tego przynajmniej zdania byli Hwang i jej koledzy.

W pięć dni później trafili na coś, czego na Tran-ky-ky nie widziano od czterdziestu tysięcy lat.

Obserwatorka, która wykryła to zjawisko, popędziła w dół olinowania, bez słowa i z szeroko otwartymi oczami pokazała na dziób i zniknęła pod pokładem, zanim ktoś zdążył ją zapytać, co zobaczyła. Trzeci oficer Kilpit chciał jej dać reprimendę za niewłaściwie złożony raport, ale nie mógł jej znaleźć. Tymczasem to, co ją tak zaniepokoiło, stało się widoczne dla stojących na pokładzie; wielu z nich miało wielką ochotę także uciec, a Kilpit nie był żadnym chlubnym wyjątkiem. Pamiętał jednak, że oficerowi nie wolno poddawać się osobistym lękom. Dygocąc złożył raport kapitanowi.

Chociaż nie wszyscy zareagowali paniką. Niektórzy rzucali wyzywające spojrzenia, paru było wręcz zaintrygowanych. Mając u boku Millikena Williamsa, który podtrzymywał wszystkich na duchu, Ta-hoding z powodzeniem wyjaśniał sytuację swoim ludziom. Powoli uspokoili się i powracali na swoje stanowiska; mamrocząc nerwowo pod nosem patrzyli, jak ziszcza się koszmar sen z czasów ich dzieciństwa.

Otwarty ocean.

No, może nie całkiem, chociaż takie to robiło wrażenie na zaniepokojonych tranach. Powierzchnię tafli lodowej pokrywała warstwa wody, ciekłej wody, takiej, jaką na Tran-ky-ky spotykało się tylko w domach i kuchniach, gdzie palił się ogień. Chociaż pokrywała lód tylko centymetrową warstwą, wystarczyło to, by tranowie czuli się przerażeni. Ethan sprawdził jeden ze swoich czujników w kombinezonie; wskazywał temperaturę nieco powyżej zera. Pchany wiatrem statek rozcinał warstwę wody, a spod dziobowych płóz tryskały teraz zamiast cząsteczek lodu wodniste kogucie ogony. Niespodzianie *Slanderscree* zaczęła przypominać morski hydroplan. Kiedy marynarze upewnili się, że nie wpadną do środka świata, zaczęli się odprężać. Tymczasem głębokość wodnej warstwy nie ulegała zmianie. Williams i naukowcy dokładali wszelkich starań, żeby podtrzymać na duchu swoich trańskich towarzyszy i przekonać ich, że gruba na sto metrów warstwa lodu nie zniknie im nagle spod nóg. Ethan doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby tak się stało, byłoby bardzo źle. W końcu *Slanderscree* nie była łodzią. Szwy miała ogacone, aby nie przepuszczały wiatru, nie było to jednak zabezpieczenie przed wodą. Gdyby statek nagle trafił na głęboką wodę, uszczelnienie nie wytrzymałoby dłużej jak kilka minut. A wtedy ten wspaniały statek, tak solidny i stabilny na lodzie, poszedłby pod wodę jak kamień. Ethan nie był pewien, czy w trańskim języku istnieje słowo

określające pływanie.

Kiedy tak żeglowali na południe, oczy wszystkich bacznie wypatrywały jakichkolwiek oznak działalności wulkanicznej. Południowy horyzont zasnuwały ociążałe chmury, ale nigdzie nie było widać żadnych pióropuszy dymu czy wysoko wznoszących się stożków. Odczyty Blancharda wskazywały, że dno morskie leży na głębokości przeciętnie pięciuset metrów pod płozami klipra, tak więc wykluczono możliwość podpowierzchniowego ogrzewania skorupy lodowej. Poza tym oceaniczne wulkany topiłyby lód od spodu, a nie od wierzchu.

Niezmiennie trzymali kurs na południowo-południowy wschód, a temperatura nadal wzrastała, chociaż powoli. Miejscami statek pruć wodę głęboką na sześć centymetrów, ale była to maksymalna głębokość, na jaką natrafili.

– Ten efekt napędza sam siebie – tłumaczył Snyek. – Gdyby nie krążenie podpowierzchniowych prądów, powodowane wewnętrznym ciepłem planety i zewnętrznymi siłami grawitacji, morze zamarłoby na kość aż do równiny abisalnej. A ponieważ w tym rejonie temperatura powietrza wzrosła albo została podniesiona powyżej zera, to jeżeli kiedyś w pokrywie lodowej wytopi się dziura na wylot, wtedy topnienie ulegnie gwałtownemu przyspieszeniu. Ciepłe powietrze będzie oddziaływać z cieplejszą wodą spod lodu, poszerzając każdy otwór w tafli.

– Trup lodu – powiedział jeden z tranów, który przysłuchiwał się temu przetłumaczonemu wyjaśnieniu.

– To tylko lokalne zjawisko – wyjaśnił Ethan. – Nie ma co wpadać w panikę.

– Kto wpada w panikę? – Seesfar odwróciła się do przewyższających ją wzrostem żeglarzy. – Wróćcie do swojej roboty, czy mam ją za was zrobić?

Burcząc pod nosem grupa tranów odeszła, nie przestając rozmawiać między sobą.

– Dziękuję – powiedział jej Ethan. Seesfar rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Nie dziękuj mi. Znajdź tylko mojego małżonka.

Odeszła sztywno śladem pozostałych. W jej przypadku obojętnie, czy był to sztywny krok, tupanie, czy też marsz, zawsze wyczuwa się w tym napięcie, pomyślał Ethan. Bomba, gotowa eksplodować w każdej chwili. Miał nadzieję, że w momencie wybuchu nie znajdzie się w pobliżu.

– Coraz trudniejsze staje się utrzymanie dyscypliny nawet wśród najbardziej lojalnych marynarzy. – Hunnar szeptem poinformował Ethana, a potem kiwnął głową w stronę burty. – Czegoś takiego nikt jeszcze nigdy nie widział. Oni słuchają wyjaśnień przyjaciela Williamsa i jego kolegów, ale w głębi serca są przekonani, że ta woda to sprawka demonów.

– Przecież wiedzą, że ani *Slanderscree*, ani nasze narzędzia, nie są dziełem sił nadprzyrodzonych. Słyszeli o naukach ścisłych.

– Dla nich realny jest ten statek. A tu coś dzieje się ze światem. To topnienie lodów wpływa na

cały świat. Nie jest im łatwo przytakiwać, że rozumieją. Jak ty byś się czuł, gdyby lita ziemia pod twoimi stopami sięgnęła nagle w górę i złapała cię za kostkę? A to właśnie robi woda, jeżeli spróbujesz po niej szifować.

– Nie myślałem o tym w ten sposób.

Płozy *Slanderscree* potrafiły z łatwością pruć sześć centymetrów wody, ale gdyby jakiś tran chciał jeździć po takiej powierzchni, istotnie wpadłby w tarapaty. Można by to porównać z sytuacją, w której człowiek usiłowałby biec przez błoto. Próbował wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby na przykład szedł betonową ścieżką i nagle poczuł, że nogi zapadają mu się w grząski grunt.

– Wierz mi, działają tutaj tylko siły naturalne. Nie ma niebezpieczeństwa.

– Powiedz to załodze. – Hunnar pokazał na pełen krzątający pokład. – W końcu to tylko prości marynarze i wojownicy, zbieracze pika-piny, tranowie pracujący w drewnie i kamieniu. Najodważniejsi, jakich są w stanie wystawić Wannome i Poyolavomaar. Pomyśl więc, jak zareagowałyby zwyczajna ludność, gdyby to nienormalne zjawisko miało rozszerzyć się na ich kraje rodzinne. Wybuchłaby taka panika, jak gdyby słońce nie wzeszło.

– Nic im się nie stanie. – Ethan usiłował mówić z przekonaniem.

– Nie może im się nic stać – zgodził się rycerz.

## ROZDZIAŁ 8

Na horyzoncie wciąż jeszcze nie było widać urwisk południowego kontynentu, kiedy obserwator z głównego masztu wydał okrzyk: „Gutturbyny!”

Zmordowani żołnierze ruszyli pospiesznie przygotować kusze, inni chwyтали za włócznie i łuki. Mieli już do czynienia z atakami tych latających drapieżników tyle razy, że monotonia postępowania zaczęła ich nużyć. Włócznicy nie dopuszczali do statku żadnego z wielkich miesożerców, które podleciały bliżej, a kusznicy raz za razem ładowali kusze i jednego po drugim zestrzeliwali napastników. Biorąc pod uwagę, ile już w ciągu ostatniego roku zabili tych wielkich, latających drapieżników, należało tylko żałować, że ich mięso nie jest smaczniejsze, myślał Ethan podnosząc miecz. Dołączył do niego Skua September, w jednej garści trzymając od niechcienia swój kolosalny topór.

Kiedy obserwator uprzedził, że w stronę statku kieruje się tylko jedno z latających stworzeń, połowa obrońców odłożyła swoją broń i powróciła do pracy. Pozostali zaczęli się spierać, komu przypadnie pierwszy strzał. Takiej decyzji nie należało podejmować nierozważnie. Nie było mowy o strzelaniu na oślep. Bełty kusz okute były na końcach metalem, a metal był zbyt cenny, żeby go marnować.

– Ależ on wielki! – zawołał obserwator. – Jeszcze takiego wielkiego nie widziałem!

– Może to nie jest guttorbyn. – Ethan wysiłał wzrok, usiłując rozpoznać kropkę na niebie, która z prędkością strzały zbliżała się do nich. – Jestem pewien, że są całe setki gatunków, z którymi Hunnar i jego pobratymcy z Sofoldu nigdy się nie zetknęli.

– To jakiś dziwny rodzaj fruwającego stwora. – September wychylał się za poręcz, usiłując rozróżnić szczegóły. – Nie ma w jego locie nic z tego nurkowania i zataczania łuków, jakie charakteryzuje guttorbyny. I do tego nadlatuje dużo za nisko.

Jeżeli się żyło na Tran-ky-ky i miało się skrzydła, dobrze było podczas lotu trzymać się w solidnej odległości od tafli lodowej, poza zasięgiem shan-kossiefa i innych stworzeń, które mogły się czaić w zasadce pod jej powierzchnią.

– To nie jest guttorbyn – powiedział półgłosem, z napięciem olbrzym – ale poznaję go.

Dołączył do nich Hunnar.

– Czy nie jest to jedna z waszych latających łodzi?

– Bez wątpienia jest to lodolot. Co do diabła robi tutaj lodolot?

– Może Treli zostawił nam w spadku jakichś swoich partnerów, o których się nigdy nie dowiedzieliśmy – zastanawiał się Ethan; jego uwaga odnosiła się do byłego Stałego Komisarza, którego nikt zbytnio nie żałował.

– Mało prawdopodobne. – September usiłował rozpoznać twarze siedzących w pojeździe. – Już by się do tej pory oddali w nasze ręce. Ciało nie na wiele się przyda, kiedy obetnie się głowę. – Odwrócił się i ryknął w kierunku najbliższego wjazdu. Jakiś marynarz posłusznie odwrócił się i popędził na dół powiadomić uczonych.

Pierwsza na pokładzie znalazła się Cheela Hwang; Williams mówił im już kiedyś, że meteorolożka sypia niecałe cztery godziny na dobę. Ethan powstrzymał się wtedy i nie zadał nauczycielowi pytania, skąd zaczerpnął tak poufną informację. Tymczasem lodolot ustawił się już na kursie równoległym do klipra, tak blisko, że z pokładu można było rozpoznać poszczególne osoby.

– Nie może to być żaden z naszych – stwierdziła Hwang – bo my takich nie mamy. Lodoloty nie są dozwolone w Dętej Małpie. Zbyt nowoczesne, żeby można ich było używać wśród tubylców.

– Podobnie jak promienniki, a żałuję, że nimi nie dysponujemy. – September pokazał ręką. – Podjeżdżają bliżej. Pewnie robią to samo, co my. Sprawdzają, kim jesteśmy.

– A może to ludzie z rządu? – zapytał Ethan. – Czy twoim zdaniem jakiś wydział mógłby mieć lodolot i używać go ukradkiem?

Hwang niecierpliwie potrząsnęła głową.

– Dęta Małpa jest zbyt małą społecznością, żeby się coś takiego nie wydało. Gdyby ktoś rozporządzał lodolotem, wszyscy chcieliby z niego korzystać. Nie dałoby się utrzymać tajemnicy. Nie ma żadnego samolotu, niczego większego niż te skutery lodowe, które widziałeś.

– Czy Wspólnota mogłaby dysponować jeszcze jedną placówką na Tran-ky-ky i rozmyślnie utrzymywać jej istnienie w tajemnicy przed wszystkimi w Dętej Małpie?

– Rządy zdolne są do wszystkiego, mój chłopcze – zapewnił go September – ale w tym przypadku sądzę, że tutejszy jest niewinny. Tran-ky-ky to zbyt nieprzyjazne miejsce, żeby się tak bawić.

Lodolot nie był jednak jedyną niespodzianką. Kiedy podjechał już całkiem blisko do klipra, zebrani na pokładzie z zaskoczeniem zauważyli, że w niewielkim pojeździe nie ma żadnych ludzi; załogę stanowili wyłącznie tranowie. Wywołało to sporą ilość komentarzy wśród marynarzy *Slanderscree*, ale reakcja ludzi była nieporównanie ostrzejsza.

– Udzielenie tubylcom zezwolenia na korzystanie z tego typu technologii to przekroczenie zagrożone więzieniem. – Moware niemal wychodził z siebie. – Przystępstwem jest nawet to, że dopuszczono, żeby zobaczyli lodolot. A pozwalać im go prowadzić... – Oszołomiony potrząsał głową, nie potrafił znaleźć usprawiedliwienia tak skandalicznego lekceważenia przepisów.

– Ktoś ma do tych tranów mnóstwo zaufania! – September miał tylko tyle do powiedzenia.

Ethan zauważył stojącą w pobliżu Grurwelk i powiedział:

– To nie są demony. Oni są tacy jak wy. Grurwelk ledwo się na niego obejrzała.

– Demony występują pod różnymi postaciami, podniebny człowieku.

Tymczasem lodolot zbliżył się na tyle, że z pokładu widać już było szczegóły. Obsługa lodolotu miała na sobie kamizele z pasków skórzanych i podobne do nich luźne spodniczki.

Wszyscy nosili czapki albo hełmy z ciemnej skóry, ozdobione kawałeczkami drewna i metalowymi paskami. Właśnie te paski dużo ludziom powiedziały; nie wyglądały na metal prymitywnie obrobiony przez tranów. Zbyt jasno odbijało się w nich słońce, a to nasuwało myśl, że zostały poddane maszynowej obróbce. Cóż w tym dziwnego. Jeżeli jakiś odszczepieniec zdecydował się udostępnić tranom lodolot, nie miało większego znaczenia dostarczenie im skrawków metalu do celów zdobniczych.

Dwóch tranów z latającej maszyny przesunęło się na skraj lodolotu po stronie *Slanderscree* i coś zawołało. Ethan myślał, że nieźle już opanował język, ale te słowa były dla niego niezrozumiałe. Nawet Hunnar wydawał się mieć nieco kłopotów z ich akcentem. Załoga lodolotu gestykulowała i powtarzała, aż przekazała, co miała do przekazania.

– Chcą, żebyśmy zmienili kurs i pojechali za nimi – oznajmił Hunnar. – Nie, czekajcie, to nie całkiem jest prawda. Oni rozkazują nam polecieć za sobą. Na Siedmiu Demonów! – Odwrócił się i wrzasnął w kierunku steru. – Trzymaj kurs, kapitanie!

Uwaga okazała się niepotrzebna, ponieważ Ta-hoding sam z siebie już zdecydował, że tak właśnie postąpi. Tranowie na lodolocie wydawali się porozumiewać z kimś, kogo nie było widać. Zaczęli wymachiwać rękami i wykonywać gwałtowne gesty, a potem jeden z dyskutantów zniknął pod pokładem i po chwili pojawił się trzymając w ręku coś niewielkiego i błyszczącego. Jakiś przyrząd.

Ręczny promiennik.

Był to wiekowy, przestarzały model, ale wciąż aż nadto zdolny do skutecznego wypalenia dziurki w kadłubie *Slanderscree* albo w kimś, kto miałby pecha znaleźć się na jego drodze. Ponieważ trzymający promiennik tran postanowił zademonstrować jego skuteczność, wszyscy na tej części klipra lodowego, której dotyczyła demonstracja, rzucili się szukać jakiegoś schronienia.

– Promienniki. – September wyjrzał znad szafki na zapasy. – Skąd oni u czorta wzięli promienniki? I lodolot.

– Oburzające. – Hwang leżała plackiem na pokładzie. – Ten, kto się za tym kryje, kandyduje do przymusowej amnezji!

Skończywszy swój pokaz tran z promiennikiem machnął nim niedbale w kierunku żeglującego

pojazdu i powtórnie zażądał, żeby ten zawrócił i pojechał za lodolotem. Tran przy pulpicie sterowniczym kierował lodolotem gładko, utrzymując go w równej odległości od klipra i od zamrożonej tafli lodowej. Najwyraźniej nauczono go prowadzić ten nowoczesny pojazd.

– Co teraz mówią? – zapytał Ethan Hunnara.

– Osobliwy akcent. Mówią, że jeżeli natychmiast nie zawrócimy, żeby im towarzyszyć, to nas unieszkodliwią. – Rycerz zwrócił swoje kocie oczy na towarzysza-człowieka. – Czy mogą to zrobić tak niewielką bronią?

Wątpliwość nasunął Hunnarowi fakt, że dziurka, jaką obcy tran wypalił w burcie klipra, miała zaledwie centymetr średnicy. To, czego rycerz nie pojmował, to zakres rażenia promiennika. Ten, kto z niego strzelał, mógł się ustawić w bezpiecznej odległości i po jednym wystrzelać załogę lub zmusić ich do opuszczenia stanowiska przy sterze *Slanderscree*, albo pociąć olinowanie na kawałeczki, jak paczkę spaghetti. Na razie jednak lodolot wciąż unosił się w zasięgu kusz. A kusze nie zostały wymyślone przez tranów. To Milliken Williams pouczył mieszkańców Sofoldu, jak je skonstruować i jak się nimi posługiwać. Była szansa, że kusznik wyborowy będzie w stanie ustrzelić trana z ręcznym promiennikiem. Zwołano więc pospieszną radę, której uczestnicy leżeli plackiem na pokładzie. Wybrano trzech żołnierzy. W odpowiedzi na ultimatum Hunnar wygłosił rozwlekłą przemowę, zwodząc tranów w lodolocie, dopóki kusznicy nie byli gotowi. A potem dał nura w dół, a oni podnieśli się i wystrzelili.

Wszystkie trzy bełty trafiły w cel. Obsada lodolotu zareagowała niemal równie ostro jak wcześniej załoga statku na ich pojawienie się. Wojowniczy tran wymachujący promiennikiem złapał się za pierś w miejscu, gdzie potężny bełt przebił jego skórzaną zbroję, zrobił chwiejnie krok w bok i wypadł przez burtę, znikając jak liść na wodzie. Jego ciało podskoczyło kilka razy i zostało w tyle za obydwojema pojazdami. Drugi tran celował właśnie ze swojego promiennika, kiedy jeden bełt z dużą siłą wbił mu się w ramię, a następny przejechał po żebrach i wyrwał dziurę w danie. Tran upuścił broń i zwałił się do środka pojazdu. Lodolot podskakiwał i zataczał się jak szalony, wymknąwszy się chwilowo spod kontroli swojego kierowcy. Stracił wysokość, odbił się od lodu i wyrzucił w górę fontannę lodowo-wodnych cząsteczek, niemalże zderzył się z burtą *Slanderscree*, w końcu odzyskał wysokość operacyjną i pomknął na południowy zachód, zanim kusznicy ponownie zdążyli naładować swoje kusze i wystrzelić. Wyzywające warczenie dochodzące z olinowania i z pokładu zagrzewało go chyba jeszcze bardziej do ucieczki.

Za szybko umknął, pomyślał Ethan. Szkoda, że nie udało im się trafić pilota. Gdyby tak się stało, lodolot przestawiłby się na lot automatyczny, a wtedy może byliby w stanie wejść na pokład i opanować go. W zaistniałej sytuacji nadal nie mieli pojęcia, kim byli napastnicy, skąd przybyli i jak weszli w posiadanie nowoczesnej technologii Wspólnoty.

Na pokładzie szancowym ludzie i tranowie naradzali się i sprzeczali.

– Może gdzieś tutaj jest jakaś niezależna ekipa badawcza, która także bada te zmiany pogody – zasugerowała Jacalan.

– Zwariowany pomysł – obstawała przy swoim Hwang. – Nawet gdyby tak miało być, żaden

cieszący się jakim takim poważaniem obserwator nie udostępniłby nowoczesnej broni istotom rozumnym ze świata Klasy IVB. I po co miałyby wydawać takie rozkazy? Przyjaźnie nastawieni ludzie, którzy chcą porozmawiać, nie zaczynają od strzelania na chybił trafił.

– Sądzę, że powinniśmy zawrócić i wziąć kurs na Dętą Małpę – powiedział Ethan stanowczo. – Tak, wiem, że przejechaliśmy kawał drogi i przykro mi, że wszyscy będziecie wracali z pustymi rękami, ale to jest coś, czego nie przewidywaliśmy. Wiemy, że na pewno mają dwa promienniki. A może i więcej. Powiedziałbym, że w tej chwili ważniejsze jest utrzymanie się przy życiu niż czas. Właściwie to ono zawsze jest ważniejsze od czasu.

Z naszego spotkania należy wyciągnąć jeden oczywisty wniosek, a mianowicie taki, że na tym terenie działają niewątpliwie bez zezwolenia ludzie lub jakieś inne zaawansowane istoty. Zajmują się prawdopodobnie czymś nielegalnym. Zaopatrzyli tubylców w broń i środki transportu. Jestem pewien, że nie spodziewali się naszej wizyty, bo inaczej nie udałoby się nam zaskoczyć ich tymi kuszami, tak jak to się stało.

W tej chwili podszedł zdenerwowany Mousokka.

– Wybaczcie, że przerywam, ale wiązania mocujące naszą prawą płożę dziobową uległy osłabieniu. Płoza wyslizguje się z klamry. Sam to osobiście sprawdziłem, jeżeli nie naprawimy jej szybko, płoza oderwie się do reszty.

Ta-hoding wymamrotał pod nosem stare żeglarskie przekleństwo i popatrzył na wyczekującą grupkę ludzi.

– Nie damy rady dokonać koniecznych napraw w ruchu. Będziemy musieli się zatrzymać.

Nie było nad czym dyskutować. Zrefowano żagle i ustawiono reje przeciw wiatrowi. *Slanderscree* zwolniła, potem się zatrzymała. Zarzucono kotwice lodowe, by utrzymać ją na miejscu, a marynarze przeleźli przez burty i zaczęli prace nad okaleczoną płożą. Poodcinali zużyte części liny z pika-piny i zastąpili je świeżą liną. Nie uszkodzone liny odwinęli, a potem raz jeszcze nałożyli ciasniej.

Mieli już trzy czwarte roboty za sobą, kiedy lodolot wrócił i to w towarzystwie. Tym razem dwa małe, otwarte stateczki powietrzne zajęły miejsca po dwóch stronach unieruchomionego klipra. I znowu wystawiona na niebezpieczeństwo załoga rzuciła się szukać schronienia, podczas gdy kusznicy ładowali broń i przygotowywali się do obrony. Z jednego z wrogich statków padł strzał. Tym razem snop światła przybrał postać grubego, jaskrawopomarańczowego promienia, który na wylot przebił reję głównego masztu. Ciężki kawał drewna spadł na pokład jak odcięty konar, żeglarze rozproszyli się.

– Działo laserowe – September splunął na prawo. – To by było na tyle. Tym razem nasze kusze nie zrobią na nich większego wrażenia. – Przymrużył oczy w kierunku lodolotu. – Jesteś pewien, że na pokładzie nie ma ludzi?

– Na żadnej z tych łodzi nie ma podniebnych ludzi – zapewnił go Hunnar. – Widzę tylko tranów w



przedziwnych ubraniach...

Nie skończył, bo mniejszy z dwóch pojazdów podsunął się bliżej; jego większy towarzysz unosił się w powietrzu poza zasięgiem kusz. Po raz drugi tego dnia rozkazano im pojechać za lodolotem.

– Czy chcemy za nimi jechać? – zastanawiała się na głos Cheela Hwang.

– Czy mamy jakiś wybór? – powiedział September. Ta-hoding zastanawiał się w pośpiechu.

– Powiedz im, Sir Hunnarze, że nie możemy jechać, ponieważ nam to uniemożliwili. Odpowiedz im, jakie mamy kłopoty z prawą płożą dziobową. Wy tłumacz też, że jesteśmy Bogu ducha winnymi kupcami, którzy badają nowe tereny i chcielibyśmy tylko, żeby nas zostawili w spokoju, byśmy mogli pojechać dalej swoją drogą.

Hunnar z pewnym powątpiewaniem przekazał tę deklarację niewinności tranów na pokładzie lodolotu. Ten bezzwłocznie przesunął się w kierunku rufy *Slanderscree*, i tran za pomocą promiennika przeciął grubą linę z pika-piny, która łączyła płożę sterową z kołem na pokładzie szańcowym. Wielkie, drewniane koło natychmiast swobodnie się zakreśliło. Dopóki nie założą nowych lin albo nie naprawią starych, Ta-hoding nie będzie miał możliwości sterowania statkiem.

– Działo laserowe – mamrotał Moware niepokieszony. – Lodoloty. Jacyś podli ludzie maczali w tym palce.

Dla wszystkich sytuacja była już jasna. Mało prawdopodobne, żeby ktoś, kto tak pogwałcił politykę Wspólnoty dotyczącą rozwoju światów niezaawansowanych, miał jakiegokolwiek skrupuły i powstrzymał się od zlikwidowania kilku podróżujących naukowców i ich towarzyszy. Poza tym ten ktoś wcale nie musiał być człowiekiem.

Kiedy tak rozważali jego pochodzenie i motywy postępowania pierwszy lodolot przeleciał od rufy *Slanderscree* do jej dziobu. Ciężka, pleciona z włókna lina została przymocowana tuż pod bukszprytem. Okrzykami i gestami tranowie z lodolotu zasygnalizowali, że naprawę dziobowej płoży należy jak najszybciej ukończyć.

– Nie bardzo mamy wybór – September zwrócił się do Ta-hodinga, Elfy i pozostałych. – Nie w tej chwili, kiedy nam w oczy zagląda to coś. – Machnął głową w kierunku drugiego lodolotu i jego ciężkiej artylerii.

– Z żalem doszedłem do tego samego wniosku – powiedział Ta-hoding.

Późnym popołudniem praca została zakończona i lodolot wziął kliper lodowy na hol, kierując się na południe. Maszyna mogła być nowoczesna, ale ładunek wyraźnie stanowił duże obciążenie jej silnika; posuwali się powoli. Pierwszy lodolot ciągnął, a drugi leciał równoległe do klipra, z wąską lufą działa wycelowaną w śródkręcie.

– A może by tak postawić naszych najlepszych ludzi na rufie – zaproponował pierwszy oficer Monslawic – żeby naprawili te liny sterownicze?

– To jest pomysł – uznał Ta-hoding. Kiedy tak piorunował wzrokiem większy lodolot nie wyglądał już ani na tłustego, ani na leniwego. – Może udałoby się nam prześcignąć te podniebne łodzie.

Ethan potrząsnął głową.

– Potrzebny byłby ze dwa razy silniejszy wiatr, niż mamy teraz. Oni są bardziej zwrotni niż *Slanderscree* i do tego szybsi. Wystarczy jeden strzał z tego laserowego działka, żeby nas na dobre unieszkodliwić. A tak, jeżeli tylko trafi nam się okazja ucieczki, wystarczy naprawić liny. – Zmarszczył brwi. – Ciekaw jestem, dlaczego nie uszkodzili statku jeszcze bardziej.

– Może chcą go zachować jako łup – zasugerował Hunnar.

– Moja śliczna *Slanderscree* – jęczał Ta-hoding. – Wszyscy jej pożądamy. Zaprawdę wspanialszego łupu nie znajdzie się na całej Tran-ky-ky.

Kapitan, którego rozpierała duma, wyraźnie przesadzał, ale było to wybaczone, dumał Ethan. Nic nie zyska zwracając mu uwagę, że tranom, którzy mieli dostęp do dział laserowych i posiadali promienniki i lodoloty, niepotrzebne były łodzie lodowe, nawet największe i najzgrabniejsze.

Długie, powolne holowanie pozwoliło zebranych na kliprze aż nadto dokładnie przyjrzeć się tym, którzy ich pojмали. Chociaż obsługujący lodoloty tranowie mieli dostęp do nowoczesnej technologii, nie wyglądali na takich, którym się szczególnie dobrze powodzi. Niektórzy mieli na sobie zbroje i ubrania wyraźnie sponiewierane i znoszone, a ich osobliwe przykrycia głowy bardziej były cudaczne niż imponujące. Ta rozbieżność była równie zagadkowa, jak rzucająca się w oczy. Wyglądało to zupełnie tak, jak gdyby napotkali jakiegoś starodawnego rycerza, usadowionego na najwspanialszym rumaku, a przyjrzawszy się uważniej odkryli, że ubrany jest on w zardzewiałą, połamaną zbroję i podartą odzież spodnią.

Znajdowali się w dużo mniejszej odległości od południowego kontynentu, niż im się wydawało. Dawno już zobaczyliby oczekiwany płaskowyż kontynentalny z wysokimi na sto metrów urwiskami, gdyby nie jedno: urwiska nie istniały. A przynajmniej nie tutaj, gdzie tradycyjne, pionowe ściany ustąpiły miejsca pozapadającym, zniszczonym erozją zboczom. W górę sterczało kilka odosobnionych iglic granitowych, jak samotni wartownicy obserwujący trwający od tysiącleci rozpad.

Bliskość równika powodowała, że zbocza były też dużo gęściej porośnięte roślinnością niż zwykle. A jednak mimo to rośliny lądowe, które czepiały się swego mroźnego istnienia, wyglądały żałośnie, nawet w przybliżeniu nie robiły takiego wrażenia jak pika-pina i pika-pedan, które bujnie porastały samą taflę lodową.

Przez cały wieczór i noc żeglowali równolegle do zasypanych skalnymi odłamkami zboczy, wreszcie o poranku odholowano ich do głębokiego portu, bardzo przypominającego Moulokin, tyle tylko, że tutaj nad lodem nie górowały pionowe ściany; od skraju lodu w górę wznosiły się stopniowo łagodne zbocza.

Podczas poprzedniej podróży Ethan dowiedział się już, że takie porty w rzeczywistości były

podziemnymi kanionami rzek, które pogrążyły się pod wodą, kiedy podczas ciepłego okresu na Tran-ky-ky topniały lody. Za dwadzieścia tysięcy lat nad tą zatoczką będą szumiały fale. A może nawet szybciej. Ta nowa myśl była równie niepokojąca, jak obecność działa laserowego.

Wkrótce znaleźli się wśród innych, dużo mniejszych statków lodowych. Te marnie zbudowane, zniszczone i uszkodzone z powodu nadmiernego używania i złej pogody stateczki skupiły się naokoło *Slanderscree* jak szakale wokół lwa. Widoczni na ich pokładach marynarze prowadzili ożywione rozmowy z załogami lodolotów. Wyraźnie ich przyjazd nie był zaskoczeniem.

Kiedy podjeżdżali do końca portu, pokazały się pierwsze urwiska. Gęste chmury kryły skraj szelfu kontynentalnego. Hunnar i reszta załogi *Slanderscree* ziąjali teraz bez przerwy. Woda pod płozami klipra lodowego miała niemal dziesięć centymetrów głębokości, a dla istot przyzwyczajonych do przeciętnych temperatur strefy umiarkowanej, panująca wewnątrz portu pogoda była nie do zniesienia parna. Według Semkin w samo południe mogła dojść do zdumiewających dwóch stopni powyżej zera.

Na południowo-zachodnim skraju portu zapuściło korzenie miasto. Ethan nie spodziewał się go zupełnie, chociaż sama obecność tylu stateczków lodowych powinna była nasunąć mu myśl o jakiejś kwitnącej osadzie. Miejsce wyglądało nieciekawie; jednakowe kamienne budowle rozsypywały się bezładnie po linii brzegowej i dalej pomiędzy pagórkami. Naprzeciw po drugiej stronie portu dość strome zbocze pięło się na kilkaset metrów w górę, wypłaszczało się i znikało w chmurach. Widok chmur sprowokował Ethana do zadania pewnego pytania ich geolożce, Jacalan.

– Przykro mi. Wiem, że jest tu rozbudowana pokrywa chmur, Ethanie, ale przypatrywałam się czujnie wskazaniom mojej aparatury i nie ma żadnych dowodów na działalność wulkaniczną i to nigdzie w całej tej okolicy. – Pokazała głową na górę, która wznosiła się po północnej stronie portu. – Jeżeli to jest wulkan, to wygasły albo uśpiony.

– No to co powiesz o tej pokrywie chmur? To nie jest rifsowa burza. Coś musi wytwarzać tę całą wilgoć.

Jacalan wzruszyła ramionami.

– Zapytaj Hwang albo Semkin. Pogoda to ich wydział. Zapytał, ale żaden z meteorologów nie potrafił wyjaśnić obecności gęstej pokrywy chmur, wiszących nad tą częścią kontynentu. Bez wątplenia chmury wiązały się jakoś ze zjawiskiem, które tu przyjechali zbadać, ale jak dotąd ich obserwacje nie były szczególnie pouczające. Hal Semkin pomimo kontrargumentów Jacalan obstawała przy hipotezie gorących źródeł, a Hwang usiłowała zestawić jakąś spójną teorię, obejmującą podpowierzchniową emisję ciepła i wilgoci, która nie kłóciłaby się z tym, co odkryli geologowie.

Ethan przeszedł na pokład szańcowy. Ta-hoding wciąż stał przy swoim bezużytecznym sterze.

– Czy wiesz coś o tym miejscu? – zapytał go Ethan, pewien właściwie odpowiedzi kapitana.

– Nic. – Ogromne, drewniane koło wirowało nadaremno.

– A żeglarze z Poyolavomaaru?

– Już ich o to pytaliśmy. – W głosie Ta-hodinga słysząc było irytację, ale Ethan wiedział, że to tylko na skutek zdenerwowania odpowiedzi kapitana są lapidarne i ostre. – Ta kraina jest dla nich równie obca, jak dla Sofoldian. W czasie rozmów o tym końcu świata wspomniano tylko o Moulokinie, a jak wiesz i on też był traktowany jako bajka, dopóki nie pojecha – liśmy tam i nie uczyniliśmy jego ludu naszymi sojusznikami. – Wpatrzył się w nisko położone miasto, do którego właśnie się zbliżali. – Chciałbym, żeby byli tu teraz z nami moulokińscy żołnierze i żeby nam pomogli. – Pokazał w kierunku portu. – Jakież to nędzne miejsce. Patrz, wszędzie tu dookoła tyle kamienia, a ich domy i magazyny są tak nieudolnie pobudowane. Z handlu z taką społecznością nie wyciągnie się żadnych zysków. Najbardziej zadziwia mnie to, że w takim miejscu ktokolwiek żyje. Z kim oni handlują? Pomiędzy nimi a Poyolavomaarem niczego poza pustką nie spotkaliśmy.

I rzeczywiście, im bliżej podjeżdżali i im więcej mogli obserwować, tym bardziej Ethan zastanawiał się, co w ogóle to miasto robi w takim odosobnionym miejscu. Przy budowie domów z rzadka stosowano zaprawę czy cement; w szpary pomiędzy nieobrobionymi kamieniami mieszkańcy po prostu poutykali mniejsze kamyki i odłamki, albo napchali tam pika-piny. Dachy wykonane zostały z dużych, płaskich płyt, zamiast z obrobionego łupku, powszechnie stosowanego w rozwiniętych społecznościach, takich jak Wannome czy Asurdun. Poza jedną wielopiętrową budowlą górującą nad miastem, a wzniesioną na uboczu, po lewej stronie, przypominającą nadnaturalnych wymiarów chałupę przyozdobioną blankami, całe miasto sprawiało wrażenie czegoś przypadkowego, skleconego w pośpiechu.

– Nie ma też murów – zauważył fachowo Ta-hoding. – Nie ma bram. Widać nie obawiają się, że ich ktoś zaatakuje. No cóż, nie ma w pobliżu żadnych państw-miast, które mogłyby im zagrozić.

– A kto by im chciał zagrażać? – zauważył Hunnar pogardliwie. – Co by tu można złupić? Te budynki, które już się wałają? Obywateli poubieranych w strzępy i łachmany? Cały łup, jaki miałyby do zaoferowania to miejsce, nie byłby wart życia jednego wojownika.

A wszystko to, pomyślał Ethan, jakoś gryzie się z lodolotami i bronią energetyczną.

W tej chwili lodolot z działem podjechał bliżej. Hunnarowi i Septembrowi ledwo zdążyła przemknąć myśl, czyby nie rzucić się na jego załogę, ale już było za późno. Porywacze przygotowali się do odparcia abordażu nie za pomocą mieczy i tarcz, ale promienników. Lodolot unosił się w powietrzu przy burcie *Slanderscree* aż zdążyło zsiąść z niego dwóch tranów. Potem odsunął się znowu na bezpieczną odległość, z lufą działa wciąż wycelowaną w klipier.

Nikt nie niepokoił tych, którzy wsiedli na pokład. Musieli zresztą czuć się bezpieczni, w końcu chyba nie narażaliby się na atak ze strony załogi klipra, gdyby było inaczej. Wędrowali teraz po pokładzie, ignorując posępne spojrzenia żeglarzy, badawczo przyglądając się olinowaniu i ciesielce. Chociaż dysponowali promiennikami i lodolotami, wyraźnie klipier zrobił na nich wrażenie.

Inspekcją kierował wielki, potężny osobnik, ku zaskoczeniu Ethana wcale nie pierwszej młodości. Nie tak stary, jak Balavere Longax, ale starszy od wszystkich pozostałych na pokładzie *Slanderscree*. Jego giermek, a może ochroniarz, konwulsyjnie ścisnął swój miecz w prawej łapie i usiłował nie

okazywać, jaki jest zdenerwowany. Żaden z nich nie miał przy sobie promiennika. Logiczne, dumiał Ethan. Nie mieli zamiaru ryzykować, że ktoś mógłby im zabrać taką cenną broń. Ten, kto zorganizował pojmanie *Slanderscree* znał się na rzeczy.

Dotychczas zdobyta wiedza o Tran-ky-ky nie zgadzała się Ethanowi z tym, co tu widzieli – z tą bronią, z taktyką zastosowaną przez porywaczy. Powiedział to Hunnarowi, a ten przychylił się do jego opinii.

– Rzeczywiście wygląda na to, iż nasi wrogowie otrzymali od twoich pobratymców nie tylko broń, ale i dobre rady.

Przez krótką chwilę Ethan rozważał myśl, że tranowie zastawili pewnie pułapkę na jakąś nielegalną ekspedycję i ukradli jej wyposażenie, ale była to teoria, którą szybko odrzucił. Tranowie byli sprytni, ale spryt to za mało, żeby bez instruktazu wykombinować, jak prowadzi się coś tak skomplikowanego i nowoczesnego jak lodolot. Czy tej instrukcji udzielono im dobrowolnie, czy pod przymusem, nad tym trzeba się dopiero zastanowić, podobnie jak nad większością rzeczy, które wydarzyły się tego dnia. Ethan zostawił Ta-hodingowi pilnowanie bezużytecznego steru i dołączył do Hunnara, Elfy, Skuy i kilku innych, którzy stali twarzą w twarz z gościem. Osobliwy, ochrypły akcent łatwiej było zrozumieć z bliska, niż kiedy słowa wykrzykiwano z odległości dzielącej dwa poruszające się pojazdy.

– Jestem Corfu. Dawniej Corfu z Kerkoinharu.

– Nigdy o takim państwie nie słyszałem. – Wyznaniu Hunnara zawtórowali jego towarzysze.

– Niewielu słyszało. – Stary tran nie wydawał się zmartwiony tym afrontem. – To miejsce, gdzie dobrze było żyć i odnosić sukcesy. Wszystkim, tylko nie mnie, Corfu. Pojawiła się pewna niezgodność dotycząca etyki. Powiedziano, że oszukałem krewniaka Landgrafa. Wyjaśniłem, że tego nie zrobiłem. W takiej sytuacji mogłem tylko przegrać. Wygnano mnie. Jestem tylko kupcem, nie myśliwym. Wygnanie to ciężki los dla kupca, któremu skonfiskowano jego majątek. A jednak los na jaki skazali mnie moi wrogowie okazał się łaskawszy, przeżyłem i znalazłem miejsce dla siebie tutaj. – Zawracali właśnie w kierunku doku i holujący ich lodolot przyciągał ich bliżej; Corfu pokazał na miasto.

– Yingyapin. Nie ma w tej chwili za bardzo na co patrzeć, ale to się zmieni. Już się zmienia.

– Dużo się buduje, ale trudno powiedzieć, że budowle są imponujące – zauważył z namysłem September.

Corfu zerknął z zaskoczeniem na olbrzyma, badawczo przyglądając się jego twarzy.

– Mówisz naszym językiem bez przyrządów tłumaczących. Nie tylko gość był zaskoczony, ludzie również. Ci tranowie nie tylko znali promienniki i lodoloty, ale wiedzieli również, co to jest translator i mówili o nim tak, jak gdyby byli z nim dobrze obeznani. Czy istniała jakaś nowoczesna technologia, której im jeszcze nie udostępniono?

– Ludzie nie mówią po trańsku, chyba że przez takie przyrzędy.

– Czy to właśnie powiedzieli wam wasi człowieczy przyjaciele? – zapytał Ethan.

Corfu zwrócił teraz uwagę na niego.

– Jeszcze jeden, który mówi. – Przyglądał się zebranych naokoło niego ludziom. – Ilu z was mówi po trańsku?

Ethan był sam na siebie wściekły; po co się zdradził. Powinien pozwolić rozmawiać samemu Septembrowi. Lepiej było utrzymać w tajemnicy ich lingwistyczne talenty, teraz już za późno. Ten Corfu pewnie jest na tyle bystry, że sam dojdzie do tego, że ci z ludzi, którzy nie noszą translatorów, najprawdopodobniej mówią płynnie jego językiem. Na szczęście Williams milczał, a porywacz zachowywał się tak, jakby nie miało to znaczenia i zaczął wychwalać zalety swojego nowego domu.

– To prawda, że nie robi wielkiego wrażenia, ale któregoś dnia wszyscy będą bili pokłony przed jego Landgrafem. Patrzycie na najważniejsze miasto na tym świecie.

– Nie ma już ważnych miast – poinformował go Hunnar. – Jest tylko Unia.

– Unia? Cóż to za niemądre słowo? Wśród tranów nie istnieją żadne unie.

– Teraz są. Miasta-państwa Wannome, Moulokin, Poyolavomaar, Asurdun i wiele innych połączyły się, by utworzyć wielką Unię, żebyśmy mogli przyłączyć się do naszych człowieczych i innych przyjaciół w wielkiej unii nocnego nieba.

– Aha, mówicie o członkostwie we Wspólnocie. – Corfu uśmiechnął się.

Jeszcze przed chwilą Ethan sądził, że już nic go nie zaskoczy. Okazało się, że nie miał racji.

– Jak to się stało, że ty wiesz o Wspólnocie? Corfu wyglądał na zadowolonego z siebie.

– My również mamy swoich przyjaciół. Z pewną przyjemnością słucham o tej waszej Unii pomiędzy państwami-miastami. Ułatwi to w znacznym stopniu nasze zarządzanie Tran-ky-ky.

– Jeżeli sądzicie, że podbijecie ten świat za pomocą paru lodolotów, kilku promienników i jednego działa, to popełniacie gruby błąd – Ethan uśmiechnął się ironicznie.

Hunnar pokazał w kierunku niespokojnego ochroniarza kupca.

– Szczególnie jeżeli jako armię będziecie mieli takich, jak ten tutaj.

Corfu skłonił głowę przed rycerzem.

– Twoje zachowanie świadczy, że jesteś szlachcicem, a szlachty to ja mam już po dziurki w nosie, Rudobrody. Kiedy my z Yingyapinu przejmemy władzę, pozbedziemy się was. Nowy porządek powstanie na miejsce starego, porządek oparty na zdolnościach, a nie fałszywej arystokracji.

Hunnar zawarczał i pokazał swoje długie kły.

– Zapracowałem sobie na mój stan rycerski, podobnie jak każdy inny rycerz w Wannome.

Na kupcu nie zrobiło to wrażenia.

– Szkolenie rodzi się z wpływów; pierworództwo daje wykształcenie. Dziedziczność się liczy. A ty możesz mnie zabić, jeżeli chcesz.

Wydawało się, że nie dostrzega Grurwelk Seesfar, która w jednej łapie trzymała ukryty nóż i ukradkiem podsuwała się do niego od tyłu. Grurwelk zawahała się, a wtedy Corfu powiedział:

– Jeżeli nie powrócę zdrowy i cały do moich towarzyszy, zniszczą oni ten cudowny statek i wszystkich na pokładzie. Twoi człowieczy przyjaciele powiedzą ci, co jest w stanie zdziałać nasza broń.

– To już wiemy – Hunnar spiorunował wzrokiem Seesfar, która wycofała się, ale nie wypuściła noża z zaciśniętej dłoni. Potem pokazał na miasto za dokiem. – Nie widzę tu nic, czego trzeba by się obawiać, żadnej nieodpartej armii, żadnych nieustępliwych szeregów wojowników.

Corfu uśmiechnął się do jakiejś tajemnej myśli.

– Nie będzie nam potrzebna armia, żeby zwyciężyć. Nie musimy walczyć. Zwycięzimy nawet bez pomocy tej lekkiej broni.

– Jak wy wytrzymujecie ten upał? – Ethan chciał zaspokoić swą ciekawość. – Sądziłbym, że dla żadnego trana to miejsce nie będzie przyjemne do zamieszkania.

– Sądziysz, że jest tu za ciepło? Mnie się wydaje bardzo przyjemnie.

– A więc chory masz nie tylko umysł, ale i ciało – skomentowała Elfa.

Uśmiech Corfu trochę przybladł.

– Czy tak sądzisz? Wkrótce się przekonasz.

W tej chwili Milliken Williams dał krok do przodu.

– Słuchaj, w imieniu moich kolegów żądam, żebyś...

Bez uprzedzenia dużo silniej zbudowany tran wymierzył mu potężny cios w twarz tyłem dłoni, aż nauczyciel zatoczył się do tyłu. Krew sączyła mu się z kącika ust. Cheela Hwang natychmiast znalazła się u jego boku. Kilku żeglarzy ze *Slanderscree* zeszywniało w napięciu, ale Hunnar gestem nakazał im pozostanie na miejscach. Corfu zignorował groźną wymowę ich ciał i spiorunował wzrokiem Williamsa. Nie było wątpliwości, że kupiec świetnie się bawi

– Tutaj, człowieczku, niczego żądać nie będziesz. Nie jesteś moim przełożonym. Korzystamy z

waszej technologii, ale nie obawiamy się was. Nie jesteście bogami, tylko podobnie jak my zwykłymi istotami. Wasza cywilizacja jest starsza, tak więc macie nieco więcej wiedzy i dużo więcej metalu. My wykorzystujemy waszą wiedzę, wykorzystujemy wasz metal i wasze maszyny, ale nie oznacza to, że i wy zawsze będziecie nam potrzebni.

Odwrócił się i sztywno poszedł na pokład szanćcowy, obojętny na wrogie spojrzenia, które mu rzucono, że przejmując się tym, czy ktoś nie zdecyduje się przebić mu pleców włócznią. Ethan wychylił się za poręcz i wpatrzył w tłum, który zebrał się, żeby obejrzeć kliper lodowy. Z bliska nie robili lepszego wrażenia niż z daleka; zabiedzona, wymęczona grupa tułaczy. Nie wyglądali na zwycięzców. Wyglądali na pokonanych. Dołączył do niego Hunnar.

– Wiem, że to jest obce dla nas miejsce, ale coś mnie tu jeszcze dziwi, poza tą wszechobecną nieudolnością. Brak tu jakiejś jednolitości. – Pokazał głową na tłum. – Tak wiele różnych ubiorów, a jeżeli posłuchasz, jak oni mówią, usłyszysz nie jeden obcy akcent, a wiele.

Zakończywszy inspekcję pokładu szanćcowego Corfu dołączył do nich.

– Słusznie to zauważyłeś, szlachcicu. Powinieneś być świadom, że jeszcze niedawno Yingyapin był dużo uboższy, niż jest w tej chwili. Mogło być inaczej, gdybyśmy założyli miasto gdzie indziej. Istnieją lepsze porty, czekające na zagospodarowanie, żyzniejsza ziemia do uprawy. Tutaj jest tego niewiele. Ale to miasto zbudowaliśmy na czymś innym: na nadziei. Na takiej nadziei, jaka mnie podtrzymywała na duchu, kiedy miałem kłopoty. To nadzieja przyprowadziła mnie do tego miejsca i nadzieja mnie tu zatrzymała. – Wykonał wszechogarniający gest łapą. – Wszyscy, których tu widzicie, uciekli od kłopotów, jakie mieli w swoich stronach rodzinnych. Niektórzy z nich to banici, niektórzy to przestępcy, niektórzy po prostu byli biedni. To dlatego słyszysz tu tyle narzeczy, dlatego widzisz tyle rodzajów ubrania. Yingyapin to azyl dla tych, których wywłaszczono i wygnano, dla tych, którzy za sobą pozostawili biedę i rozczarowanie.

– Wydaje mi się, że po prostu zamienili dawną biedę i rozczarowanie na nowe.

– Nie zapominaj o nadziei, człowieku.

– Jakiej nadziei? – Hunnar pokazał na rozklekotane budynki. – Widzę tu tylko nędzę i brak wszelkiej celowości.

Corfu niespodziewanie wdał się w popis krasomówczy.

– Zdarza się, że nadzieja nie przypomina wspaniałych skór czy dobrego miecza. Nie zawsze jest to coś, co można wziąć w dłoń czy poczuć pod stopami. A mimo to, choć w naszym przypadku jest ona nieuchwytna, ma jednak swoją wagę. Nasza nadzieja jest równie realna i solidna – tu zachichotał na jakiś tylko dla niego zrozumiały żart – jak lody Tran-ky-ky. Zostanie wam wyjaśniona, byście ją mogli podziwiać, a wtedy zrozumiecie. Nie będziecie wtedy tak lekkomyślnie dyskredytować decyzji tych nieszczęśników, których widzicie przed sobą. Mądry tran podejmuje decyzje znając wszystkie fakty.

– Faktem jest, że zostaliśmy porwani przez piratów – warknął Hunnar.



– Jeżeli zdecydujecie się do nas przyłączyć, zostaną wam zwrócone wszystkie wasze towary i cała wasza własność – powiedział niespodziewanie Corfu. – Nawet ten wspaniały statek. Nie stanie się wam też żadna krzywda. Szukamy sojuszników, nie wrogów. – Podniósł łapę, żeby uprzedzić instynktowny protest Hunnara. – Wiem, co masz zamiar powiedzieć. To wszystko zostało już wcześniej powiedziane, przez innych, równie dumnych i niemądrych. Zaczekaj i przekonaj się, jaką otrzymasz propozycję, zanim odmówisz swojej współpracy. – Jego ton zrobił się bardziej posępny, kiedy się zwracał do Ethana. – Co do ciebie i tobie podobnych, wy nie możecie się do nas przyłączyć, ponieważ my już przyłączyliśmy się do was.

Ethan nie miał szansy, żeby zgłębić znaczenie tej zagadkowej uwagi, bo właśnie z doku w stronę pokładu klipra lodowego wysunęła się rampa towarowa. Obsługa rampy została zmuszona do improwizacji, jako że nigdy dotąd nie miała do czynienia ze statkiem o rozmiarach *Slanderscree*. Uwadze Ethana nie uszło, że uzbrojony w działo lodolot nie przestaje unosić się za burtą. Jego załoga ani trochę nie osłabiła czujności. Ucieczka z tego miejsca nie będzie łatwa. I co właściwie znaczyło to całe gadanie o przyłączaniu się? Co mogło tu takiego być, że miałyby zechcieć się to tego przyłączyć ktoś taki jak Hunnar Rudobrody czy Elfa Kurdagh-Vlata? Corfu powiedział im, że się dowiedzą.

Kupiec tymczasem poszifował po rampie w dół i po chwili wrócił z obdartym, źle wyćwiczonym wartownikiem, który miał eskortować dwunastu przedstawicieli statku do miasta.

Yingyapin nie zyskiwał na oględzinach z bliska, raczej w oczach Hunnara i innych tranów stracił jeszcze parę punktów. Nadal sprawiał wrażenie zagadkowego, odpychającego zbiorowiska walących się budowli, skleconych w pośpiechu z pokruszonych, nie obrobionych skał. W porównaniu z każdym z gmachów w Yingyapinie najpodlejszy nawet budynek w Wannome wyglądałby jak dzieło mistrza murarskiego. Tylko przysadkowaty, brzydki stos kamieni na południowym krańcu miasta robił wrażenie czegoś, co mogłoby być w stanie przetrzymać silniejszy wiatr. Corfu nazwał to coś pałacem.

Gości pilnowało tylko sześciu tranów, ale każdy z nich uzbrojony był w ręczny promiennik. Byli nieco lepiej ubrani niż ich miejscy kompatrioci i obchodzili się z tą nowoczesną bronią tak, jak gdyby wiedzieli dokładnie, jak jej używać. September był pewien, że mają za sobą coś więcej niż tylko kilkuminutowy, dorywczy instruktaż. Zostali doskonale wyćwiczeni; jakkolwiek próba pokonania ich i odebrania broni byłaby próbą samobójczą. Jeszcze dużo za wcześnie, żeby myśleć o tak krańcowych działaniach. Nawet były Stały Komisarz, renegat Jobius Trell, którego plany w tak wysokim stopniu zależne były od asurduńskich sojuszników, nie powierzał swoim przyjaciółom-tubylcom nowoczesnej broni. Tutaj wyraźnie mieli do czynienia z kimś o odmiennych poglądach.

Wejście do pałacu niczym szczególnym się nie wyróżniało. Po obu jego stronach stało dwóch wysokich tranów, dzierżących tradycyjną broń. Brak silnej straży już o czymś świadczył. Kazano im iść przez obskurną, źle oświetloną budowlę, aż weszli do większej komnaty, tylko trochę lepiej oświetlonej niż korytarz, którym dotąd szli. Dekoracje w pokoju nie robiły większego wrażenia, były odbiciem ogólnego ubóstwa tej społeczności – z jednym godnym zauważenia wyjątkiem. Na wysokości dwóch trzecich od sufitu zwieszała się lampa o średnicy metra, z własnym zasilaniem. Wyglądała jakby ją przeniesiono wprost z jakiegoś skromnego audytorium na dalekiej Ziemi. Jej obecność w tym rozpadającym się bastionie barbarzyńskiej nędzy by – ła równie niespodziewana,

jak tyrada obrońcy zwierząt w myśliwskim gronie.

Na tronie wyklepanym z blaszanego złomu siedział pokręcony, mały tran. W pierwszej chwili Ethan wziął go za niedorostka, ale kiedy mu się lepiej przyjrzał, zrozumiał, że to niezwykle niski dorosły.

– Pochylcie się wszyscy w ukłonie – uroczyście oznajmił Corfu – w obecności Massula fel-Stuovica, pierwszego cesarza Wszech Tran-ky-ky!

## ROZDZIAŁ 9

Ethan nie miał pojęcia, czy wartownicy zastrzeliliby Hunnara, Elfę lub innego trana z grupy przybyszów, gdyby któryś z nich wybuchnął śmiechem, na szczęście wszystkim jakoś udało się powstrzymać swoją instynktowną reakcję na to zdumiewające oświadczenie. Nawet zgryźliwa i wojownicza Seesfar ograniczyła się do pojedynczego, ostrego warknięcia rozbawienia. Jeżeli sądzić po wyglądzie, ten Massul fel-Stuovic nie mógł być cesarzem niczego. Każdy z nich, nie wyłączając towarzyszących im pań, byłby na tym stanowisku lepszy od niego i to bez najmniejszego wysiłku. Corfu zmarszczył brwi i lekko uniósł lufę swojego promiennika.

– Wszyscy pochylicie się w ukłonie. September obojętnie wzruszył ramionami.

– Tam do diabła. To tylko nic nie znaczący gest. Nie ma co dawać się zastrzelić za gest. – Pochylił się od pasa w dół. Ethan i Milliken poszli w jego ślady.

Ich trańscy towarzysze nie byli tacy chętni, żeby się podporządkować. Corfu wycelował swój promiennik pomiędzy nogi Hunnara i pojedynczym strzałem osmalił podłogę. Wyraz twarzy Hunnara stał się bardziej napięty, ale tran nie ustąpił. Kupiec miał właśnie wystrzelić ponownie, kiedy mały władca ze znużeniem machnął łapą.

– To bez znaczenia, Corfu. Zostaw ich. Co nam da zabicie potencjalnego neofity?

Corfu przymrużył oczy wpatrując się w Hunnara Rudobrodego.

– Z niego, jak sądzę, neofity nie będzie. Zbyt uparty, żeby się ocalić.

– Upór może ustąpić miejsca fanatyzmowi, a ten, jeżeli go dobrze ukierunkować, może być użyteczny. – Massul po raz drugi machnął łapą.

Kupiec zawahał się, jego spojrzenie zwarło się ze spojrzeniem Hunnara. Wzruszył ramionami, jak gdyby to nie miało znaczenia i schował broń.

– Jak rozkażesz, mój panie.

– Na Tran-ky-ky nie ma cesarzy. – Elfa nie prosiła o pozwolenie, żeby się odezwać. – Nigdy nic było i nigdy nie będzie.

– Nigdy to długi czas, kobieto.

– Poza tym myśmy już połączyli ze sobą cztery ważne państwa-miasta i przygotowujemy się na

przyjęcie następnych do unii założonej przez nas samych. Nie potrzeba nam żadnych cesarzy.

– Unia, tak powiadasz? Dobre wieści, jeżeli prawdziwe. To nam w znacznym stopniu ułatwi zadanie. – Cesarz nie wydawał się bardziej zaniepokojony tą wiadomością o konkurencyjnym, ogólnoplanetarnym rządzie niż wcześniej Corfu. Wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie, jakby ten rozwój sytuacji bardzo mu odpowiadał.

– A na czym właściwie polega twoje zadanie? – zapytał Ethan.

Massul przyglądał mu się bacznie małymi, bystrych oczkami.

– Dziwni jesteście, wy, ludzie. Zawsze zadajecie pytania. Jeżeli naturalnie nie wydajecie akurat rozkazów.

Suaxus dal-Jagger z przesadnym zainteresowaniem wyciągał szyję, żeby rozejrzeć się po sali.

– Gdzie są proporce, insygnia rodzinne? Cóż to jest za dwór?

– Dwór nowego rodzaju – poinformował go cesarz. – Opierający się na osiągnięciach, a nie na szlachcie. Ja nie uważam siebie za produkt jakiegoś starożytnego rodu. Tak się złożyło, że po prostu miałem szczęście i znalazłem się na właściwym miejscu we właściwym czasie. Podobnie jak wielu innych z nas. – Niedbale pokazał łapą w kierunku Corfu. Kupiec potwierdził ten gest skinieniem głowy.

– Słowa nie czynią władcy – warknął Hunnar.

– To prawda. Nie słowa, tylko uczynki. Nie można osiągnąć czegoś wielkiego bez odpowiednich przygotowań. Znajdujemy się teraz w fazie przygotowań. Nie minie wiele czasu, a efekty staną się oczywiste dla wszystkich tranów. – Utkwił wzrok gdzieś za plecami Hunnara. – Nie rozumiem jednego – powiedział zwracając się do niego i do Elfy – a mianowicie, z jakiej przyczyny tak wspaniały statek z załogą takich wojowników, jak wy, przewozi ludzi na tę część świata.

– Jesteśmy przyjaciółmi – powiedziała po prostu Elfa. Cheela Hwang wysunęła się do przodu i powiedziała przez translator:

– Przybyliśmy tutaj, żeby przeprowadzić obserwacje anomalnego zjawiska meteorologicznego. Powietrze jest tutaj dużo cieplejsze, niż powinno być. Z pewnością sami to zauważyliście.

– Czyżby tutejszy klimat ci się nie podobał? – Massul był wyraźnie rozbawiony. – Sądziłem, że wy, ludzie, wolicie cieplejszą pogodę.

To jest właściwie równoznaczne z wyznaniem, że cesarz i jego podwładni otrzymują bezpośrednią pomoc od nielegalnie działających na Tran-ky-ky ludzi, pomyślał Ethan.

– To prawda, wolimy. Wolimy dużo wyższe temperatury niż wy. Ale to nie tym się martwimy – wyjaśniała Hwang. – Temperatura tutaj nie powinna być tak wysoka. Pokrywa lodowa topi się od wierzchu w tych okolicach.

– Nie tylko od wierzchu – poinformował ją Massul, którego w najmniejszym stopniu nie wytrąciła z równowagi ta myśl – ale również od spodu.

– A więc musisz wiedzieć, co się tu dzieje – wykrztusił Williams – i wydaje się, że wcale ci to nie przeszkadza.

– Czemu miałyby mi to przeszkadzać. Wszystko się prędzej czy później zmienia.

– Tak, ale w przypadku twojego świata powinno to być później. O dziesięć czy dwadzieścia tysięcy lat później, zgodnie z naszymi obliczeniami. Coś tutaj jest bardzo nie w porządku.

– Nie! – Massul pochylił się do przodu. – Tutaj jest wszystko w porządku – wszystko poza wami. To was tutaj nie powinno być. I coś z tym trzeba będzie zrobić. Poza tym wszystko jest tutaj w najlepszym porządku.

Dal-Jagger pochylił się i szepnął Hunnarowi do ucha:

– Panie, nie obawiam się tej świetlnej broni. Nic nie znaczy nawet najbardziej skuteczna włócznia, jeżeli nie dzierży się jej z odwagą i śmiałością. Możemy poradzić sobie z tymi tu bez wielkich kłopotów.

Hunnar powstrzymał go.

– Mogą nas obserwować jeszcze inni, uzbrojeni w podobne przyrządy lub jakieś maszyny, o których nic nie wiemy. Jeszcze zbyt mało wiemy, żeby ryzykować. Wstrzymaj się.

Dal-Jagger cofnął się rozczarowany, ale posłuszny. Szept ich doszedł do Septembra i teraz on pochylił się nad gierkiem.

– Najpierw odpowiedzi, potem walka. Jeżeli mam się dać zastrzelić, nie chcę dostać w łeb pełen jeszcze znaków zapytania. Na wielkopańskie gesty przyjdzie później czas. Zanim je wykonamy, upewnijmy się, że wiemy, dlaczego to robimy.

Giermek niechętnie, ale przytaknął.

– Ciekawi mnie tu jeszcze jedno. – September zwracał się do Ethana, podczas gdy Hunnar i Elfa rozmawiali z Massulem. – Wciąż jeszcze nie jestem pewien, kto tu jest panem: cesarz czy kupiec. Corfu pozwala swojemu cesarzowi się wypowiadać, ale kiedy sam ma coś do powiedzenia, to mówi nie prosząc o pozwolenie. Nie wygląda mi to za bardzo na zwykły układ landgraf-szlachcic, nawet jeżeli zrezygnował z zastrzelenia Hunnara. Może ma swoje powody, żeby się trzymać w cieniu. Prawdziwą władzę mają czasami nie ci, których oglądamy na trójwymiarówce, tylko ci, dla których ważniejsza jest realna władza, niż zastrzyk pewności siebie. Trzymają się z tyłu i unikają rozgłosu. Pod tym względem, a mówię na podstawie tego, co widzieliśmy przez ostatni rok, tranowie nie różnią się zbytnio od nas.

Massul skubał sobie łapę.

– Co my mamy zrobić z wami, ludzie?

– Sądzę, że nasi przyjaciele będą mieli jakieś propozycje – powiedział Corfu.

– Tak, tak, oczywiście. No, to zajmij się tą sprawą. Mam za sobą długi dzień i czuję się znużony. Zabierz ich na górę do Sziwy i niech on decyduje.

September i Ethan nie zareagowali na to imię, ale Williams i większość naukowców byli wyraźnie poruszeni. Kiedy wyprowadzano ich z sali dworskiej, nauczyciel został z tyłu ze swoimi przyjaciółmi.

– To nie jest trańskie imię – poinformował ich.

– Tak sądziłem, że nie jest – powiedział September. – Nie ma odpowiedniego brzmienia.

– To imię człowiecze, z jednego ze starożytnych, pomieszanych języków. Preterangielskich. Pochodzi z dialektu znanego pod nazwą sanskrytu. W religii Sziwa był bogiem śmierci i zniszczenia.

– Cóż znaczy nazwa? – wymamrotał September. – Ja się urodziłem w lipcu.

– Czy chcesz powiedzieć, że oprócz tych wszystkich promienników, lodolotów i lamp mamy jeszcze uwierzyć, że przechadzają się tu po okolicy starożytni ziemscy bogowie?

– Jak mówi Skua, to tylko imię. Pomyślałem sobie jednak, że powinienem wam o tym powiedzieć.

Eskorta wyprowadziła ich z zamku, ale zamiast skręcić w stronę portu skierowała się na zachód, tam gdzie miasto się kończyło. Corfu gawędził ze swoimi własnymi ludźmi i bez powodzenia usiłował nawiązać swobodną rozmowę z Hunnarem. Lepiej, ku zaskoczeniu wszystkich, poszło mu z Grurwelk.

Skręcili na wydeptaną ścieżkę prowadzącą pomiędzy dwoma zrujnowanymi budynkami i zaczęli wspinać się ścieżką, która zygzakiem pięła się po stromym zboczu po drugiej stronie portu Yingyapin. Ethan odchylił głowę i niepewnie popatrzył na podejście. Na stok dawało się wspiąć do trzech czwartych jego wysokości. Wyżej osypisko i głązy ustępowały miejsca pionowej ścianie. Ani jeden ze strażników nie miał przy sobie liny, bosaków czy jakiegoś innego sprzętu do wspinaczki. Przecież chyba nikt się nie spodziewa, że się tam wdrapią. A w końcu, co by nie mówić, ludzie wspinali się dużo lepiej niż tranowie. Tymczasem u podstawy urwiska Corfu skręcił w lewo. Wzdłuż podnóża pionowej ściany skalnej wiała się na północ dużo węższa ścieżka. Ethan nie mógł się zdecydować, czy jest źle oczyszczona, czy też rozmyślnie zakamuflowana. Dla tranów wędrówka ta była rozpaczliwie trudna. Przyzwyczajeni byli do tego, że wiatr pędzi ich po lodzie bez żadnego wysiłku z ich strony, tutaj zaś, na wyboistej ziemi, ich wielkie, przypominające pazury szify bardziej były im zawadą niż pomocą. Corfu, który najwyraźniej obeznany był z tym podejściem, znosił trudności bez skargi. Hunnar, Elfa i cała reszta tranów krzywili się i usiłowali nie zwracać uwagi na ból w stopach. Musieli się czuć tak, pomyślał Ethan, jak gdyby szli w za ciasnych butach, mających na podszewkach sześciocentymetrowe kolce. Trzeba było się poruszać powoli i ostrożnie, żeby sobie nie skręcić kostki. W rezultacie nawet Millikenowi Williamsowi, który wcale nie miał atletycznej

budowy, udało się z łatwością dotrzymać kroku eskorcie.

Ethan poczuł tylko lekkie zdziwienie, kiedy Corfu wreszcie zatrzymał się przed czymś, co wyglądało na nagą ścianę i dotknął ukrytego wyłącznika, po czym duża płyta szarego łupku odchyliła się w bok i ukazał się za nią dobrze oświetlony tunel. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin tyle razy już ich coś zaskakiwało, że przekonany był, że więcej nic go zaskoczyć nie zdoła. I znowu się mylił.

Tunel, do którego weszli, nie został wykuty w skale za pomocą kilofów i łopat. Ściany miał gładkie i proste, sufit łagodnie zakrzywiony. Kiedy uszli niewielki kawałek od wejścia, skała ustąpiła miejsca metalowi, metal plastikowi, a przejście otworzyło się na bezkresną, pełną jakiejś maszynerii jaskinie o rozmiarach hangaru. Powietrze rozedrgane było od brzęku i poświstów, zewsząd wdzierał się do uszu elektroniczny Muzak. Unosił się smród smarów, jakby palących się przewodów elektrycznych, wyczuwali też parę.

Zarówno widok, jak i zapach, były czymś obcym na Tran-ky-ky. Rury i przewody pełzły jak węże gdzieś w dal. Nagle posiadanie przez tranów kilku promienników i lodolotów zaczęła wyglądać tylko na błahę przekroczenie przepisów. Jeżeli ten, kto zaopatrzył w nie sługusów Massula, był kandydatem do przymusowej amnezji, to autorzy tego, co tu mieli przed sobą, kwalifikowali się do śmierci fizycznej. Obojętne, do czego miała służyć ta instalacja, w oczywisty sposób nie zmontowano jej przez jedną noc. Założenie i skala projektu nasuwały myśl o latach przygotowań i budowy. A przecież, na co zwrócił im uwagę September, utrzymanie całej sprawy w tajemnicy nie nastęczałoby żadnych trudności.

– Ujechaliśmy cholerny kawał świata od Dętej Małpy, a przy panującej na tym świecie pogodzie można by o parę kilometrów od placówki zbudować całe miasto.

Tego czegoś miastem nie można było nazwać, chociaż zatrudniona tu była niewielka armia techników. Kiedy grupa jeń – ców przechodziła obok nich, żaden nie próbował nawiązać z gośćmi rozmowy. Ethanowi wydawało się to dziwaczne. Obecność nieznajomych w obrębie kompleksu powinna była wywołać więcej zaciekawienia. Przecież chyba nawet największy naiwniak musiał zdawać sobie sprawę, że bierze udział w czymś nielegalnym. Mogło to mieć coś wspólnego z ich powściągliwością.

– Wszystko to jest mi obce. – Cheela Hwang przyglądała się skomplikowanej maszynerii badawczo i z natężeniem. – Żałuję, że nie ma tu niektórych ludzi z naszego wydziału inżynierii.

– Raczej ciesz się, że ich tu nie ma – powiedział jej Ethan.

– Może to coś związane jest z górnictwem?

– Możliwe. – Przeznaczenie kompleksu intrygowało Septembra w równym stopniu co pozostałych. – Może odkryli tutaj duże złoża rudy i po kryjomu ją wydobywają. Musieliby to robić w ten sposób, bo żadnym cudem nie uzyskaliby pozwolenia od władz. Na świecie Klasy IVB wszystkie kopaliny należą do tubylców, należy pozostawić je nietknięte, jak gdyby znajdowały się pod zarządem powierniczym. Może ten, kto jest za to odpowiedzialny, a utopili niezłą ilość kredytów w

to przedsięwzięcie, płaci Massulowi i Corfu, i innym promiennikami, lodolotami i różnymi takimi urządzeniami.

Im głębiej wchodzili w kompleks, tym silniejsze stawało się ich przeświadczenie o ogromie instalacji. Temperatura podniosła się niemal do poziomu optymalnego dla człowieka. Corfu i jego oddział wydawali się na wpół zaaklimatyzowani, ale Elfa i inni tranowie z klipra lodowego wyraźnie cierpieli; powywieszali swoje długie języki i nieustannie ziajali, próbując w ten sposób pozbyć się nadmiaru ciepła z organizmu. Ethan i jego towarzysze powyłączyli kombinezony ochronne.

Corfu skierował ich do dużej windy. Z trudem się w niej wszyscy pomieścili; mogło to być dobre miejsce, żeby podjąć próbę ataku na porywaczy. I znowu September nie zgodził się z sugestią dal-Jaggera. Nawet źle wycelowany promiennik mógł z bliska wyrządzić straszliwe szkody istotom z ciała i kości.

Winda wznosiła się powoli i w końcu znaleźli się na opustoszałym korytarzu. Corfu poprowadził ich do drzwi, które rozchyliły się, i zobaczyli przed sobą przestronny, okrągły pokój. Różnorodnych kształtów okna, którymi upstrzona była przeciw – legła ściana, wychodziły na spowite mgłą piaskowcowe monolity. Kiedy opary rozstępowały się, Ethan dostrzegł łagodne stoki doliny, po której snuł się dym. Wyższe pióropusze tej mgły czy dymu układały się w smugi na skądinąd bezchmurnym niebie. Oto mieli przed sobą dowód na działalność wulkaniczną, o której istnieniu tak była przekonana Hwang i jej współpracownicy. Ale coś im się w tych masywnych pióropuszach nie podobało. Ich grubość i natężenie były niezmiennie, nie wykazywały też żadnych oznak fluktuacji mocy. Ethan już kilka razy w swoim życiu odwiedzał gorące źródła i nigdy ich wydajność nie była taka stabilna.

– Może ta instalacja, przez którą przeszliśmy, wykorzystując podziemne ciepło pochodzenia wulkanicznego do produkcji energii. – Pokazał głową na okna. – Ta wypuszczana na zewnątrz para mogłaby być produktem ubocznym przy generowaniu energii.

– I pewnie jest – zgodził się September – ale nie sądzę, żeby miały z tym coś wspólnego wulkany.

Wszelkie szansę na rozwinięcie tego, co miał September na myśli przepadły; wepchnięto ich do pokoju, który, gdy mu się bliżej przyjrzel, najbardziej przypominał salę konferencyjną połączoną z biurem. Wyposażeni w promienniki wartownicy rozdzielili się i stanęli po obu stronach wejścia. Corfu pomaszerował w kierunku okien i szepcząc coś pochylił się nad krzesłem o wysokim oparciu.

Z krzesła podniósł się niski człowieczek o ciemnej skórze (choć nie tak ciemnej jak u Williama). Stał odwrócony do nich plecami i wpatrywał się w dymiącą dolinę. Ethan zastanawiał się, jak ten pokój może wyglądać z zewnątrz. Można było na niego trafić tylko przypadkiem, bo był pewien, że wtapia się on bezbłędnie w swoje skaliste otoczenie. Nawet te różnorakiego kształtu okna trudno byłoby na odległość rozpoznać. Nie musiał długo zastanawiać się, czy jest to wynikiem kamuflażu, czy estetyki.

Człowieczek odwrócił się do nich twarzą, nadal jednak przysłuchiwał się temu, co mówi Corfu. Ethan nie dostrzegł w jego uchu niczego, co przypominałoby translator, wynikało z tego, że mówi



równie płynnie po trańsku, jak każdy z nich. Był jeszcze mniejszy niż Williams, zbudowany delikatnie, chociaż nie zniewieściały. Kiedy się odezwał, głos miał zatroskany i niemal skruszony.

– Siadajcie wszyscy, proszę. Przykro mi, że zostaliście tu doprowadzeni w taki sposób, ale przekonacie się wkrótce, że było to konieczne. Dopóki nie ustalę, w jaki sposób wasze cele i zamiary mogą wpłynąć na nasze poczynania, muszę być ostrożny.

– Bardziej jesteśmy zainteresowani tym, jakie są pańskie cele i zamiary – powiedział Williams.

Mężczyzna odwrócił się do niego, wargi miał zaciśnięte w wąską kreskę.

– Już mi się nie podobasz. Proszę, nie odzywaj się nie pytany.

Nie za wiele okazał pokory, dumął Ethan. Nie wszystkie ognie płoną tutaj pod powierzchnią dymiącej za oknami doliny. Williams najeżył się, ale milczał. Jeżeli sprowokują konflikt, zanim się czegoś dowiedzą, nic dobrego z tego dla nich nie wyniknie. September zrobił krok do przodu i przedstawił ludzi i tranów. Mężczyzna przysłuchiwał się uprzejmie, a stojący z tyłu Corfu uśmiechnął się z wyższością. Kiedy Skua przedstawił Hunnara i Elfę i wyjaśnił, kim są, mężczyzna powoli zaczął potrząsać głową wpatrując się w podłogę, co robiło takie wrażenie, jak gdyby zginął mu spinacz i jego jedynym pragnieniem było natychmiast go odnaleźć.

– Nigdy nie słyszałem o waszej unii – powiedział, kiedy w końcu podniósł na nich oczy. – Niestety, jesteśmy tutaj na południu tak odcięci od świata, że trudno nam orientować się na bieżąco w sprawach tubylców gdzie indziej. Mam zamiar wam uwierzyć, ponieważ chciałbym, żeby tak było. Wasza unia odpowiada naszym celom.

Ethan pokazał na Corfu.

– On też tak mówił.

– Tak. – Mężczyzna uśmiechnął się blado do kupca. – Corfu okazał mi wielką pomoc.

Ethan zauważył, że nikt nie wspomniał o Massulu fel-Stuovicu, cesarzu Wszech Tran-ky-ky.

– Musicie mi wybaczyć moje roztargnienie. Byłem bardzo zajęty, a minęło już sporo czasu od chwili, kiedy po raz ostatni sytuacja wymagała ode mnie przestrzegania form towarzyskich.

Nazywam się doktor Sziwa Bamaputra. To ja odpowiadam za instalację tutaj, w Yingyapinie.

– Nielicha fabryczka – skomentował September.

– Robi spore wrażenie, nieprawdaż?

– Nawet inspektorat Wspólnoty byłby pod wrażeniem. Czemu nie złożycie podania o pozwolenie na to coś, co tu robicie? Bardzo by wam to ułatwiło sprawę.

– Postanowił pan udawać niewykształconego tępaka, panie September, ale ja się na panu

poznałem. Myślę, że wie pan równie dobrze jak ja, dlaczego nie mogę tego zrobić. A pana zdaniem dlaczego budowaliśmy tutaj pod ziemią, jeżeli nie dlatego, by uniknąć wykrycia przez tych, którzy mogli nic zgadzać się z naszymi intencjami? Zresztą, tak czy tak musielibyśmy to zrobić dla zachowania ciepła. Widzicie, ciepło gra bardzo ważną rolę w tym, co robimy, a nawet reaktory jądrowe nie są nieograniczone w swojej wydajności.

A więc w grę nie wchodziła działalność wulkaniczna.

– A co wy właściwie tu robicie?

Bamaputra zapatrzył się gdzieś w dal za nim, za nimi wszystkimi.

– Coś, czego, jak sądzę, Wspólnota by nie zaaprobowwała. Jeszcze ostrzejsza byłaby reakcja Rady Zjednoczonego Kościoła. Wszyscy oni to tacy sztywni formalisci, tacy są skrupowani tradycją i tak konserwatywni, że nawet gdyby widzieli przed sobą szansę udzielenia pomocy komuś będącemu w potrzebie, nie zrobiliby tego, gdyby nie zgadzało się to z ich świętymi przepisami. W jednej chwili by nas wyłączyli, pomimo korzyści, jakie płyną stąd dla ludu tego świata. – Odwrócił się znowu twarzą do okna. – My transformujemy.

– W tej terminologii jest sprzeczność – powiedziała Hwang. – Ten świat już jest transformowany.

Sziwa zerknął na nią przez ramię.

– Na ile obeznana jest pani z fizjologią i historią tranów?

– Dokonaliśmy kilku interesujących odkryć – powiedział mu Ethan.

Bamaputra przyglądał mu się przez chwilę, potem skinął głową.

– Tak, zauważyłem, że kilku z was czuje się bardzo swobodnie w obecności tranów, jak również posługuje się swobodnie ich językiem. A więc założę, że podstawy są wam znane. Jeżeli będę się posuwał za szybko albo napomknę o czymś, co nie jest wam znane, proszę, przerwijcie mi, a ja wam to objaśnię.

W tym, co robimy tutaj, nie ma niczego skomplikowanego. Głęboko w tej części płaskowyżu kontynentalnego zostały zainstalowane trzy reaktory jądrowe. Wykorzystujemy ich moc nie tylko do napędzania naszej instalacji, ale do wytapiania pokrywy lodowej od spodu. Na pewno zainteresuje was wiadomość, że w tym regionie, w miejscach, gdzie lód czepia się szelfu, jego grubość wynosi miejscami dwadzieścia metrów. To jeden z powodów dla których wybraliśmy ten półwysep na naszą bazę. Ocieplenie atmosfery w tej okolicy i towarzyszące mu topnienie powierzchniowego lodu jest produktem ubocznym, a nie podstawowym celem naszego przedsięwzięcia.

– Dlaczego? – zapytał Blanchard.

– Ponieważ tej atmosferze brakuje dwóch rzeczy: pary wodnej i dwutlenku węgla. Oprócz tego, że topimy pokrywę lodową, pompujemy parę wodną z powrotem w powietrze. Żeby wyprodukować dwutlenek węgla, który jej towarzyszy, wydzielamy tlen z powietrza i dodajemy węgiel z wielkich

pokładów znajdujących się bezpośrednio pod tą stacją. Na tym obszarze występują pokaźne, prastare pokłady antracytu. Dziwne to dosyć, palić skamienielinowe paliwo tylko po to, żeby móc z rozmysłem wypompować je w atmosferę.

Z Ethana naukowiec był żaden, więc z trudem nadażał za rozmową; domyślając się tego Bamaputra starał się mówić jak najprościej.

– Efekt cieplarniany na Tran-ky-ky jest słaby. Mamy zamiar powiększyć go na tyle, żeby ilość zatrzymanego ciepła słonecznego wystarczyła do podniesienia temperatury na powierzchni nawet o całe osiemnaście stopni.

– Co znaczy ta cała mowa? – zapytał w końcu Hunnar swojego przyjaciela.

Ethan odpowiedział mu nie odrywając oczu od Bamaputry.

– On mówi o znacznym podniesieniu temperatury waszej planety, wysoko ponad tę wartość, przy której lód zmienia się w trupa.

– Mówi pan o długim odcinku czasu – odezwał się September do ich gospodarza. – Nie dożyje pan chwili, kiedy ten plan się ziści.

– O, i tu właśnie się mylisz, mój potężny przyjacielu. Tran-ky-ky ma tak chwiejną równowagę klimatyczną, że w rzeczywistości da się uzyskać potężny efekt przesunięcia temperatury w zdumiewająco krótkim czasie.

– A ja nie rozumiem – powiedział mu Ethan – dlaczego sobie tym zawracać głowę. Wszystko to zajdzie w sposób naturalny.

– Tak, ale ta zmiana zajmie dwadzieścia tysięcy lat. Planeta będzie cieszyła się krótkim okresem ciepła, a potem zawróci na swojej zaburzonej orbicie i znowu zamarznie. A wtedy znowu zacznie się okres, kiedy warunki życia będą się pogarszać. Oceany ponownie zamarzną, temperatura na stałe opadnie poniżej zera, a tranowie zostaną znowu zmuszeni do tłoczenia się w swoich jaskiniach i zamkach feudalnych. Zimno doprowadzi do tego, że rasa ta całą swoją energię będzie zużywała na samo przeżycie. Nie, myli się pan co do czasu, jaki jest konieczny, żeby to zmienić. Zapomina pan o podstawach fizyki.

Kilku naukowców skrzywiło się. Jeżeli Bamaputra był z tej reakcji zadowolony, nie pokazał tego po sobie.

– Kiedy wytopimy już dziurę w pokrywie lodowej, efekt rozmrażania ulegnie przyspieszeniu, nawet jeśli temperatura nie będzie dodatnia, ponieważ odsłonięta, ciemna woda będzie pochłaniała i rozpraszająca światło słoneczne, które wcześniej lód odbijał. Wynikiem tego będzie przyspieszone kurczenie się pokrywy lodowej i rozszerzanie się otwartego oceanu na północne i południowe strefy umiarkowane. Poziom mórz podniesie się o pięćdziesiąt metrów, a nawet więcej. Ci z tranów, którzy zamieszkują nisko położone tereny, będą zmuszeni porzucić je i przenieść się na wyższe obszary, co by i tak miało miejsce za te piętnaście czy ileś tam tysięcy lat. Nastąpi masowa migracja z niskich

wysepek na wyższy ląd na kontynentach. W miarę ogrzewania się powietrza kontynenty zaczną nadawać się do zamieszkania, podobnie jak działo się to już kiedyś, kiedy klimat stawał się umiarkowany. Ściśle rzecz biorąc wszyscy będą napływali na ten właśnie kontynent.

Nasze wstępne badania wykazały, że w cieplejszych czasach to właśnie tutaj, na południowym kontynencie, gęstość zaludnienia była najwyższa. Również w populacji zwierząt nastąpi taka sama migracja i zajdą liczne zmiany fizjologiczne. To prawda, nastąpi wzrost liczby zgonów wśród tranów, ponieważ ulegnie przyspieszeniu nieunikniona przemiana fizyczna ze stanu niskotemperaturowego w wysokotemperaturowy. – Wzruszył ramionami. – Ale tego się nie da uniknąć.

– Ile tych zgonów? – głos Septembra był bardzo cichy.

– Nie ma takiej możliwości, żeby to dokładnie przewidzieć. Bez wątpienia jest to godne ubolewania, ale weście może pod uwagę, że w dawnych czasach śmierć była naturalną konsekwencją długich, zmudnych podróży z wysp na kontynenty. Uchronimy ich przed takim niebezpieczeństwem.

– Jak? – zapytał go Blanchard.

– Kiedy dzięki przekaźnikowi z placówki Wspólnota dowie się, co się tu dzieje, będzie musiała odłożyć przepisy ad acta i zająć się ratowaniem jak największej części populacji tubylców. Te ich różne zawile ograniczenia nie stosują się w obliczu „naturalnej” katastrofy, mającej wpływ na wielkie ilości istot rozumnych. Tranowie z Yingyapin, którym potajemnie będziemy służyli pomocą i z którymi będziemy współpracowali, postąpią podobnie. Nie leży w naszym interesie, żeby ktokolwiek umierał bez potrzeby.

– Tym niemniej ochoczo zaakceptuje pan te zgony jako nieuniknioną konsekwencję swojego postępowania, jeżeli alternatywą miałyby być modyfikacja pana zamierzeń – powiedziała Jacalan.

– Musicie pamiętać o tym, jaki będzie wynik końcowy naszej pracy tutaj – powiedział z naciskiem Bamaputra. – W miarę podnoszenia się temperatury tranowie zaczną się zmieniać pod względem fizycznym. Utracą dany i szify i przejdą w stan Złocistych Saia o całe tysiąclecia wcześniej, niż by się to stało w innym przypadku. Dużo bardziej naturalny stan rzeczy. Staną się mieszkańcami ziemi, zamiast mieszkańcami lodu.

Czy nie rozumiecie, co to dla nich będzie znaczyło? Podniesiemy ich na wyższy poziom, a czegoś takiego nie doświadczyło żadne inne pokolenie tranów. W sprzyjającym im klimacie będą się mogli odpowiednio rozwijać, będą w stanie osiągnąć zaawansowany poziom cywilizacji, do jakiego są zdolni, cywilizacji, która zawsze marniała w zarodku z nastaniem tego brutal – nie zimnego klimatu. Po raz pierwszy w swojej historii będą w stanie osiągnąć na tyle wysoki poziom, że zdołają go zachować pomimo przyszłych epok lodowych. W rezultacie o tysiące lat wcześniej będą przygotowani do otrzymania pełnego, a nie stowarzyszonego członkostwa we Wspólnocie.

Co więcej, nieuniknionym następstwem udzielonej mi przez Wspólnotę awaryjnej pomocy będzie zdolność do zachowania swojej świeżo osiągniętej cywilizacji, niezależnie od tego, co będzie się działo z klimatem, gdyby nie udało nam się utrzymać tego sztucznie wzmocnionego efektu

cieplarnianego. Będzie to świt złotego wieku na Tran-ky-ky.

September, podobnie jak pozostali w milczeniu przysłuchiwał się wyjaśnieniom Bamaputry. Teraz zmarszczył brwi i podrapał się po karku.

– Wiesz pan co, jak się tak zastanowić, to chyba wszystkie podstawowe zalecenia Wspólnoty surowo zabraniają wszelkich machlojek z klimatem. W boga wolno bawić się tylko na niezamieszkanym świecie. Próby wprowadzania zasadniczych zmian na świecie zamieszkanym przez inteligentnych tubylców... no, jeżeli wieść o tym, co pan robi, dojdzie do właściwych czynników, nie dałbym ani pół kredytu za pana perspektywę.

– Ach, ale dla nas korzystne jest to, że działamy na tak odosobnionym świecie. Zanim te „właściwe czynniki” – Bamaputra wypowiedział te słowa z ledwo skrywaną pogardą – zwęszą, co my tu robimy, będzie za późno, proces stanie się nieodwracalny. Morza zaczną się już wtedy topić, tranowie zaczną się zmieniać fizycznie i powstrzymanie tej operacji przyniesie więcej szkody niż wyrażenie zgody na jej dalszy przebieg.

– Nie potrafię sobie tylko wyobrazić – powiedział Ethan – co oni z tego będą mieli. – Wskazał na Corfu, który wyglądał na nieco zaskoczonego, że tak nagle włączono go do rozmowy podniebnych ludzi. – Chodzi mi o to, że w oczywisty sposób udało się panu zapewnić sobie jego współpracę, oraz współpracę tego samozwańczego cesarza i lokalnej ludności. Nie rozumiem, do czego są oni panu potrzebni. Z równą łatwością mogliście się tu zamknąć sami we wnętrzu tej góry i ignorować ich.

– Rozumuje pan słusznie, panie Fortune. Oni nie są konieczni... ale to nam ułatwia życie. Koniec końców będzie nam potrzebna pomoc jakichś tranów. Zapewnią nam ją Corfu i jego współobywatele.

– Zostało mi to wszystko bardzo starannie wyjaśnione przez uczonego męża. – Corfu wskazał na małego Bamaputrę. – To bardzo proste. Nawet głupiec powinien to pojąć.

Nikt ze słuchaczy, nawet tranowie, nie podjął zaczepki. Nieco zawiedziony Corfu ciągnął dalej:

– Ja... oczywiście za pośrednictwem cesarza – tu uśmiechnął się na tyle, żeby stało się jasne, kto gdzie stoi w lokalnej trańskiej hierarchii – zająłem się tym, żeby podniebnym ludziom dostarczyć informacji i siły roboczej, mającej im pomóc w ich przedsięwzięciu. Oprócz tego służymy tu jako zwiadowcy, werbujemy nowych obywateli do naszego rosnącego miasta, kaptujemy zaciekawionych i pouczamy ich, jaka jest natura Boskiego Planu, oraz odpędzamy tych, którzy robią wrażenie niegodnych, by w nim uczestniczyć.

Kiedy powiedział te ostatnie słowa, Ethan zerknął na Grurwelk Seesfar. Z napięciem wpatrywała się w Corfu, ale milczała.

– Nie spodziewaliśmy się jednak, że uda nam się zdobyć taki wspaniały łup, jak ten wielki statek z załogą ludzi i tranów, ale sami widzieliście, że byliśmy odpowiednio wyposażeni, żeby uporać się z każdą ewentualnością.

Czy aby z każdą, zastanawiał się Ethan. Czy naprawdę jesteście świadomi, co stanie się z wami i

waszym światem, jeżeli pozwoli się temu małemu maniakowi na kontynuowanie jego pracy? Czy Bamaputra rzeczywiście to wszystko tak precyzyjnie rozpracował? Zabawa pogodą na skalę planetarną to nie to samo co zbudowanie nowego zamku czy zwalczanie konkurencyjnego klanu.

– Może uda ci się oszukać podniebnych ludzi – powiedziała Elfa ostro – ale naszych powiek tak łatwo nie zaciemnisz. Kryje się za tym coś więcej.

– Och, będą zmiany – zamruczał Corfu z uśmiechem. – Wiele zmian.

– Istotnie. – Tym razem Bamaputra nie wydawał się zainteresowany wyjaśnieniem tych spraw. – Kiedy poziom mórz zacznie się podnosić i tranowie porzucą swoje miasta-państwa, żeby się tu przenieść, początkowo będą zależni od tych tranów, którzy osiedlili się już na dobre na kontynencie. Wtedy właśnie wkroczą ludzie Massula. Moi następcy i ja nie będziemy mieli czasu, żeby zajmować się lokalnymi sprawami. Ktoś inny będzie musiał zająć się przydzielaniem ziemi, zakładaniem obozów dla uchodźców, administracją i ogólnie rzecz biorąc kierować nowym, zunifikowanym rządem. Cesarz Massul będzie wtedy już dobrze przygotowany, żeby poradzić sobie ze zwiększonym napływem migrującej na południowy kontynent ludności.

– A moja rodzina – powiedział Corfu – moja pogardzana i upokorzona rodzina będzie zawiadywała całym handlem, dostawami i ubraniem, narzędziami i zakwaterowaniem, domami i lokalnym transportem. Za pewną cenę. Może ja nie dożyję tego radosnego dnia, ale moje dzieci dożyją. Imię Corfu ren-Arhavega zostanie wskrzeszone, a wszyscy tranowie będą mu składali hołd!

– Moi finansowi sponsorzy już zgodzili się na długoterminową ugodę handlową z Massulem i Corfu. Pomoże ona w integracji tranów. W obliczu wspólnych problemów będą zmuszeni się połączyć. Ci, którzy będą obstawali przy utrzymaniu swojej feudalnej niezależności, potopią się albo umrą z głodu. Ci, którzy przeżyją i będą ze sobą współpracować, sprowadzą nową epokę na Tran-ky-ky. – Rozłożył ręce i na jego starannie opanowanym obliczu pojawił się cień autentycznej emocji. – Czy nie rozumiecie? Nie wdajemy się w nic nienaturalnego. Nie robimy nic poza przyspieszeniem czegoś, co i tak musi się stać. Dajemy tranom dziesięć tysięcy lat forów. Wszystko to, co usiłujemy osiągnąć, topnienie oceanów, ogrzanie klimatu, fizyczna transformacja... to wszystko i tak prędzej czy później nastąpi. Więc czemu by nie prędzej?

– Teraz już wiemy, co on z tego będzie miał. – September machnął ręką w kierunku Corfu. – Ale wciąż jeszcze nie wiemy, co z tego będziecie mieli pan i pana finansowi sponsorzy.

– Ja? – Bamaputra wyciągnął się na całą swoją wysokość. – Ja się w to zaangażowałem, ponieważ jestem naukowcem. Ponieważ chcę pomóc tym ludziom wykorzystać ich potencjał. Ponieważ chcę zobaczyć, jak ziszczają się pewne moje teorie. – Odprężył się nieco. – Oczywiście mój triumf będzie czysto osobisty. Żadnego publicznego uznania, żadnych zaszczytów czy dyplomów z wyróżnieniem. Ponieważ cała działalność jest wysoce nielegalna, moje imię, podobnie jak imiona wszystkich, którzy zaangażowali się w tę pracę, muszą zostać utrzymane w tajemnicy. – Miał minę pełną namysłu. – Kiedy Corfu mówił o swoim potomstwie, przyszło mi na myśl, że może po mojej śmierci także i moi krewni zechcą oddać cześć memu imieniu. Dopóki jednak żyję, muszę się zadowolić samą wewnętrzną satysfakcją.

– Nie rozumiem tego. – Ta-hoding popatrzył na swoich człowieczych przyjaciół. – To wszystko brzmi bardzo podobnie do tego, co wyście robili dla nas.

– Ale w ten sposób nie można się do tego zabierać, Ta-hodingu – zareagował Ethan. – Nie jednoczy się ludzi, grożąc im utopieniem lub śmiercią głodową. Nie przybliży się ich do siebie, zmuszając do opuszczenia swoich domów, niszcząc istniejącą kulturę, wtrącając się w naturalny bieg rzeczy.

Dolna warga Bamaputry wysunęła się na zewnątrz.

– Kiedy oceany topią się z naturalnych przyczyn, także wielu umiera. Może nawet więcej niż zginie z powodu tych zmian.

– Wspólnota będzie czuwała, żeby pomóc tranom za dziesięć tysięcy lat, inaczej nie warto byłoby się do niej przyłączać – odpalił Ethan.

– Dlaczego ci ludzie mieliby tak długo czekać? – Bamaputra popatrzył chytrze na Hunnara i Elfę.

Hunnar nie od razu odpowiedział. Przyglądał się temu małemu człowieczkowi nieufnie, zupełnie nie był zachwycony ani jego językiem, ani nastawieniem. Od niemal już dwóch lat podróżował po swoim świecie w towarzystwie Ethana, Skuy i Millikena Williamsa i dobrze przez ten czas poznał podniebnych ludzi. Pewne rzeczy wyjaśnili mu sami przyjaciele, pewnych rzeczy dowiedział się po prostu obserwując. Coś w tym całym Sziwie go niepokoiło. Nie sposób, w jaki traktował tranów, bo tę kreaturę Corfu traktował dobrze. Ale pomiędzy nim a tymi, z którymi rozmawiał została świadomie wzniesiona jakaś bariera. Nie pogarda. To było prawie tak, jak gdyby sądził, że jest sam w pokoju. Zamiast do ludzi i tranów, mógł równie dobrze mówić do swoich maszyn. Może dlatego, że traktował innych jak maszyny, a może dlatego, że sam był taki do maszyny podobny? Hunnar nie znał się bliżej na skomplikowanych urządzeniach technicznych, ale wystarczająco często przyglądał się im na człowieczej placówce w Dętej Małpie, żeby zyskać jakie takie pojęcie.

– O czym ty mówisz?

– Przybywając w to miejsce wykazaliście się odwagą i przedsiębiorczością wykraczającą daleko poza trańską normę. – Fałszywie jowialna mina Bamaputry w najmniejszym stopniu nie zwiódła Hunnara. – Teraz wiecie, co ma się stać z waszym światem. Nie jesteśmy jeszcze przygotowani na przyjmowanie wielkich ilości imigrantów, ale możecie przecież wrócić do domów i poinformować swoich pobratymców o zbliżających się wydarzeniach. Poza tymi, którzy już mieszkają w Yingyapinie, wy moglibyście być pierwsi. Moglibyście partycypować w istotnych korzyściach, przenosząc się tutaj i pomagając nam w pracy, zanim zaczną się rzeczywiste zmiany.

– Chwileczkę. – Corfu wyglądał na potężnie zaskoczonego ofertą, jaką niespodziewanie złożył jego człowieczy sojusznik. – Absolutnie nie bylibyśmy sobie w stanie poradzić...

Bamaputra przerwał mu.

– Są różne sposoby. Poradzilibyśmy sobie. Porozmawiam z moimi sponsorami. Kiedy im się

wszystko wyjaśni, jestem pewien, że zdołają znaleźć jakiś sposób, żeby zapewnić nam dodatkowe fundusze na zapoczątkowanie osiedlania się ludzi z zewnątrz, zwłaszcza tak energicznej i zaawansowanej grupy jak ta. Eksploatacja południowego kontynentu mogłaby rozpocząć się wcześniej, niż planowano. – Jego uwaga znów skierowała się na Hunnara. – Widzisz, mój przyjacielu, mógłbyś wraz ze swymi pobratymcami stanowić grupę dominującą. Za jakiś czas moglibyście rządzić całą Tran-ky-ky.

– A co z rodem waszego cesarza? – zapytała sarkastycznie Elfa.

– Rodzina Massula fel-Stuovica jest niewielka. Któż zdoła przewidzieć, która grupa okaże się po jakimś czasie najpotężniejsza? To już będzie zależało od was. Wasze wewnętrzne konflikty mnie nie interesują. Chętnie będę współpracował z każdym, kto w danej chwili będzie u władzy. Podobnie moi sponsorzy. – Popatrzył na wyraźnie wytrąconego z równowagi Corfu. – Nie denerwuj się, mój przyjacielu. Ty wciąż jeszcze będziesz kierował rozprawdaniem i sprzedażą wszystkich zapa – sów i wyposażenia, łącznie z wszelkimi nowymi przyrządami, których zdecydujemy się wam dostarczyć.

– A gdzie mieszkają ci ludzie? – zapytał Ethan.

– Jacy ludzie?

– Inżynierowie, technicy, którzy prowadzą obsługę tego miejsca.

– Dla ich wygody zbudowaliśmy rozległe podziemne pomieszczenia. – Wyraźnie było widać, że Bamaputrę zdenerwowało wtrącanie się Ethana; miał wrażenie, że robi postępy w rozmowie z Hunnarem i Elfa. – Przy takim klimacie mieszkanie pod ziemią jest dużo bardziej praktyczne. To jedna z rzeczy, którą oczywiście zmienimy. Dlaczego pytasz?

– Tak się zastanawiałem – mówił Ethan spokojnie – czy oni wszyscy wiedzą, jaki będzie końcowy efekt ich pracy tutaj.

– Nie byłoby rzeczą praktyczną ukrywać przed tymi, którzy dla nas pracują, jakie mamy zamiary. Każdy ma swoje własne powody, żeby być tutaj. Widzisz, mój przyjacielu-idealisto, wciąż jeszcze istnieje wystarczająco duży odsetek ludzi, którzy mniej troszczą się los obcych ras niż o poprawę własnych warunków bytowych... z wyłączeniem thranxów, oczywiście. My płacimy bardzo dobrze, a nasz sposób księgowania gwarantuje, że władze podatkowe mają problemy z wyśledzeniem takich płatności. A mimo to nie każdy wie wszystko. Bezpieczniej jest możliwie dużą część załogi utrzymywać w nieświadomości. Podobnie jak my, oni też wolą, żeby tak było. Gdyby ich zdemaskowano i postawiono w stan oskarżenia, uczciwie będą mogli powołać się na swoją niewiedzę przed wykrywaczem kłamstw. W takich okolicznościach nie jest trudno znaleźć kompetentnych ludzi, pod warunkiem, że odpowiednio sformułuje się ofertę pracy. Skutecznie działa również ilość zer na końcu wyciągów finansowych.

September rozglądał się po pokoju/sali konferencyjnej.

– Rację ma pan co do jednego. Ktoś wsadził w to kupę forsy. Tak sobie myślę, że pewnie



spodziewa się ją odzyskać, sprzedając wdzięcznym, pozostałym przy życiu tranom najistotniejsze towary i wyposażenie konieczne przy budowie nowej cywilizacji.

– Nie mnie to wiedzieć. Mnie samego handel niezbyt interesuje, chociaż żeby móc skutecznie porozumiewać się z moimi sponsorami, zmuszony byłem dowiedzieć się co nieco o świecie finansów. Rozumuje pan poprawnie, ale w swoim rozumowaniu nie posuwa się pan wystarczająco daleko. Jeśli chodzi o korzyści, to nie tylko tranowie będą zależni od moich sponsorów. Kiedy poziom mórz zacznie się podnosić, nisko położone porty, takie jak Dęta Małpa, zaleje woda. Także dużej części wyspy Asurdun nie da się uratować. Wspólnocie potrzebna będzie nowa lokalizacja dla placówki, żeby już nie wspominać o obozach dla uchodźców. Ponad wodą pozostanie zbyt mała część Asurdunu, żeby im mogła wystarczyć. Tutaj rząd znajdzie nie tylko gotową zabudowę, odpowiednią na mieszkania dla ludzi, ale i nowe centrum trańskiej cywilizacji. Wątpliwości, jak do tego wszystkiego doszło, znikną zupełnie wobec konieczności szybkiego założenia nowej bazy.

– Żeby pomóc migrującym tranom – wymamrotał Ethan.

– Dokładnie. Nie zdarza się, żeby w walce pomiędzy koniecznością a moralnością wygrała ta ostatnia.

– A ja wciąż twierdzę, że nie jest to odpowiedni sposób postępowania – upierał się Ethan.

– A co właściwie można jeszcze nazwać odpowiednim sposobem postępowania? – Wszyscy w zaskoczeniu odwrócili się do Mousoki, drugiego oficera ze *Slanderscree*. – Tyle się zmieniło, odkąd ci ludzie wylądowali na naszym świecie.

– Na lepsze – przypomniała mu Elfa – ponieważ wiemy, że Ethan, Skua i Milliken to nasi przyjaciele. Tego dowiedli nie słowami, tylko czynami.

– Oni nas zmieniają. Ci podniebni ludzie nas zmieniają. Dlaczego jedna grupa miałaby być lepsza niż inna? Ani jedni, ani drudzy nie są tranami!

– A może przedyskutujecie sobie moją ofertę? – zaproponował Bamaputra z uśmiechem. – Wróćcie teraz na wasz piękny statek lodowy i omówcie to między sobą. Będę bardzo zadowolony, jeżeli zdecydujecie się na współpracę ze mną, chociaż w ostatecznym rozrachunku to i tak nie będzie miało żadnego znaczenia.

– A jeżeli nie zechcemy współpracować?

– Wy, ludzie, w taki uroczy sposób obywacie się bez dyplomacji. – Bamaputra nie tracił dobrego humoru. – Możemy to przedyskutować, kiedy przyjdzie pora. Niech was nie martwią takie myśli. My tutaj nie jesteśmy barbarzyńcami.

– Nie – z dumą zawtórował mu Corfu – my tutaj nie jesteśmy barbarzyńcami.

– Nie lubię stawiać nikomu ultimatum. Ale nie zapominajcie, że tego przedsięwzięcia nic nie zatrzyma. Zbyt wiele już w nie zainwestowano. Możecie się do niego przyłączyć lub nie, jak będziecie chcieli. Idźcie i porozmawiajcie na osobności. Jeżeli będziecie mieli jeszcze jakieś

pytania, Corfu zajmie się tym, żeby mi je przekazano. Tymczasem ja muszę odbyć rozmowę na temat waszego niespodziewanego pojawienia się tutaj. – Mówiąc to wpatrywał się wprost w Ethana. – Devin Antal jest brygadzystą w tej fabryce. On również jest za to odpowiedzialny.

– Czy wpadł pan już na jakiś zaczątek pomysłu w tej sprawie? – zapytał swobodnie September.

Ich drobny porywacz odchylił głowę do tyłu, żeby popatrzeć niedbale na olbrzyma.

– Jeżeli coś przyjdzie mi na myśl, panie September, zapewniam pana, że ani chwili nie pozostawię pana i pana towarzyszy w nieświadomości.

## ROZDZIAŁ 10

Hunnar był tak zdenerwowany, że nie mógł usiedzieć na miejscu. Spacerował tam i z powrotem po jadalni *Slanderscree* strosząc dany i szcękając kłami. Ucieczka była wykluczona. Kotwice klipra lodowego owinięto wokół potężnych pali, a na pokładzie Corfu ustawił straż. Wróciwszy na statek wyjaśnili załodze, w jakiej znaleźli się sytuacji. Teraz marynarze i żołnierze naradzali się na pokładzie, a Hwang i jej towarzysze niespokojnie omawiali możliwości w kabinie, która została zarezerwowana dla nich. Byli tam oczywiście obecni Elfa, Ethan i Skua. Ta-hoding, Suaxus dal-Jagger i oficerowie *Slanderscree* siedzieli z boku.

– Nie rozumiem jednego, co takiego złego jest w ofercie, którą nam przedstawiono. – Drugi oficer Mousokka oparł się o ścianę i skrzyżował ramiona.

– Nie możesz dopuścić, żeby ktoś w taki sposób wywracał ci twój świat do góry nogami – usiłował wyjaśnić mu Ethan.

– Czemu nie? – Oficer spojrzał na niego ostro, a potem powiódł oczami po pokoju. – Nie wiem jak pozostałym z was, ale mnie podoba się ten pomysł, żeby zawsze było mi ciepło. To, że bez końca jest u nas zimno, nie znaczy, że mamy się z tego cieszyć. Nigdy mnie nie zachwycał północny wiatr. Jeżeli nasze ciała zaadaptują się do wyższych temperatur, czemu nie mielibyśmy powitać tej zmiany z radością?

– I moglibyśmy też – wtrącił trzeci oficer – zyskać przewagę nad wszystkimi innymi tranami, jak powiada ten człowiek. Żeglując pod opieką *Slanderscree* może się przeprowadzić tutaj całe Wannome.

– Oznaczałoby to zaczynanie od zera – argumentowała Elfa. – Czy porzucilibyście domy waszych praojców w zamian za przyrzeczenie?

– Jeżeli stanie się tak, jak mówi ten człowiek, któregoś dnia i tak będziemy zmuszeni je porzucić. Staniemy się jak Złociści Saia. – Kilpit popatrzył na Ethana. – Czy tak?

Ethan skinął głową.

– Ale mówimy o dziesięciu tysiącach lat a nawet więcej, zanim ta przemiana zajdzie w sposób naturalny.

– Czemu nie zacząć teraz? Ten człowiek twierdzi, że jego pobratymcy nam pomogą. Dostaniemy broń świetlną i łodzie podniebne do swojego własnego użytku.

– Przecież nie za darmo – warknął Hunnar. – Za cenę, jakiej nikt z nas nie zna.

Kilpit poszukał wzrokiem poparcia u Mousokki, potem wzruszył ramionami.

– Nic nie jest za darmo. Możemy zapłacić tym ludziom teraz albo światu później.

– A co z waszą unią? – zapytał September. – Co stało się z ideą, że wszyscy tranowie będą współpracować ze sobą dla wspólnego dobra?

– Zostaniemy wszyscy zjednoczeni, kiedy świat się ogrzeje, a morza umrą. Tyle, że niektórzy z nas mają szansę zjednoczyć się przed wszystkimi innymi.

– Takie myśli sprzeczne są z samą ideą unii. Albo będziemy pracowali razem, jak równy z równym, albo w ogóle nie będziemy mogli pracować wspólnie – mówił dobitnie Hunnar.

– Za dużo tego, żeby zdecydować w jeden dzień – wymamrotał Ta-hoding. – Za dużo. Oczywiście, że nie możemy przyjąć tej rozłamowej propozycji. To nie do pomyślenia.

– Może nie do pomyślenia dla ciebie – zawarczał Kilpit. – A co zrobisz, kiedy morze się stopi i nie będziesz mógł dowodzić żadnym lodowym statkiem?

– Nauczę się sterować którąś z tych podniebnych łodzi. Albo wyuczę się innego zawodu. Jednego nie zrobię na pewno, nie będę narażał na szwank ani moich ideałów, ani świata, gdzie się urodziłem, tylko dlatego, że jakieś wychudłe, wyłysiałe stworzenie skądś tam twierdzi, że tak będzie dla mnie najlepiej. – Popatrzył twardo spode łba na swojego trzeciego oficera. – To o tym wydajecie się zapominać i ty, i Mousokka. My, tranowie, decyzje podejmowaliśmy zawsze sami. Nie zawsze mieliśmy najlepsze powody czy motywy ku temu, ale przynajmniej były to nasze własne decyzje. Nie podoba mi się ten pomysł, żeby o przyszłości mojej i moich kociąt decydował ktoś inny, nawet gdyby miał mieć jak najlepsze intencje.

– Nie sędzę, żeby on miał takie dobre zamiary, jak mu się zdaje. – September dłubał w zębie. – Nigdy nie można mieć pewności, jak się sprawy mają z takimi fanatycznymi naukowcami. Żyją w swoich własnych, małych światach. Dopóki udaje im się od czasu do czasu dowieść jakiejś teorii, są szczęśliwi. Ale tak naprawdę dla nich reszta wszechświata może się powiesić. Może i mówi przekonująco, ale jego argumenty nie budzą zaufania.

– A więc postanowione – powiedział Hunnar stanowczo. – Odrzucamy jego ofertę.

– Ale nie tak od razu – ostrzegł Ethan. – Niech myśli, że się wahacie. Musimy zyskać trochę czasu, dopóki nie uda nam się wykombinować, jak się stąd wyrwać, żeby ostrzec władze. Jeżeli istotnie jest to takie korzystne dla tranów przedsięwzięcie i to oni właśnie mają odnieść największe korzyści, niech nad jego zaletami debatuje Ksenologiczne Stowarzyszenie Wspólnoty, a nie my.

– To nie ma znaczenia. – Kilpit podniósł się nagle i ruszył do drzwi. – Wy zdecydowaliście za siebie, a my za siebie.

– My? – Hunnarowi zjeżyło się futro.

Ta-hoding wstał i przymrużył oczy.

– Kilpit, byłeś dobrym i wiernym oficerem, ale teraz posuwasz się za daleko. Zapominasz się.

– Wręcz przeciwnie, mój kapitanie. – W głosie trzeciego oficera wciąż jeszcze dawał się słyszeć ślad dawnego poważania. – To właśnie o sobie nie wolno mi zapominać. – Mousokka wstał i dołączył do niego, stając po drugiej stronie wyjścia. – O sobie, o moich krewnych, których nie widziałem od ponad roku i o moich przyjaciółkach. – Powiódł niespokojnym spojrzeniem po pokoju. – Przysłuchajcie się temu, co sami mówicie! Przebywacie wśród tych podniebnych ludzi już tak długo, że zapomnieliście, co to znaczy być tranem. Ja nie zapominałem. To znaczy przetrwać w możliwie najlepszy sposób. To znaczy dążyć do zapewnienia korzyści dla siebie i swojej rodziny.

– Nie kwestionowaliśmy tej koncepcji większej unii – powiedział Mousokka – ponieważ w jej obrębie Sofold byłby pierwszym wśród równych sobie. Teraz wy jesteście gotowi odrzucić jeszcze lepszą okazję. My nie. – Otworzył drzwi.

Do sali gęsiego wsunęli się żołnierze. Chociaż silnie ściskali w łapach broń, niewielu z nich było w stanie podnieść wzrok i spojrzeć w oczy Hunnarowi czy Ta-hodingowi. To, że w ogóle posiadali broń wystarczająco wyjaśniało, co zaszło, ponieważ wcześniej oddziały Corfu rozbroiły załogę. Ethan wysilał wzrok, żeby zobaczyć, co dzieje się za nimi na korytarzu i przeliczyć buntowników.

– Sypnęliście mroczną ziemię na swoje dziedzictwo – powiedział Hunnar z napięciem. – Wyparliście się swej powinności względem miasta i Landgrafa i przeszliście na służbę u obcego króla.

– Nic takiego nie zrobiliśmy – Mousokka miał niewyraźną minę. – To wy przeszliście na obcą stronę. Na stronę tych podniebnych ludzi. – Oстрым ruchem pokazał głową na Ethana.

– A na czyją stronę wyście przeszli – zapytała Elfa z pogardą – czyżby nie na stronę podniebnych ludzi?

– Massul to tran. Corfu też. Ten Bamaputra myśli, że ich wykorzystuje; oni sądzą, że wykorzystują jego. To nie ma znaczenia. Ci podniebni ludzie mają świetlną broń i podniebne łodzie. Nie da się ich powstrzymać. Męczennicy to głupcy. Ja nie jestem męczennikiem.

– Da się ich powstrzymać – powiedział mu Ethan. – Jak tylko wyrwiemy się stąd i wrócimy do Asurdunu.

– Znikąd się nie wyrwiecie. – Corfu przepchnął się do pokoju. – Myśli o ucieczce są daremne. Przynajmniej ci prawidłowo myślący tranowie – pokazał na Mousokkę i Kilpita – wyczuli, w którą stronę wieje wiatr.

– Wiatr – powiedział Ta-hoding z godnością – wieje zawsze na wschód.

– Nie zawsze. – Corfu szeroko się uśmiechnął. – Ci podniebni ludzie mają maszyny, które potrafią nagiąć także wiatr i słońce dla swoich potrzeb. Potrafią to zrobić na rzecz tych, którzy są gotowi z nimi współpracować. – Pozwolił sobie na cichy chichot; w wydaniu trańskim bardziej brzmiało to

jak pogwizdywanie niż cokolwiek innego. – Czy naprawdę wierzy – liście, że pozwolimy wam się naradzać i może podjąć decyzję, która by nie odpowiadała naszym interesom, nie postarawszy się wcześniej, i to bez zwlekania, zdobyć sojuszników wśród waszych własnych ludzi? – Popatrzył na Ethana i Septembra, w stronę Hunnara i reszty tranów w pokoju. – No, bądźcie rozsądni, przyjaciele. Dołączcie do nas. To wasze miasto-państwo, czy unia, czy jak tam to chcecie nazywać może stanąć na czele całej Tran-ky-ky. Zróbcie coś rozsądnego dla waszych dzieci i wnuków, jeżeli już nie dla siebie samych. Bo jedno jest pewne, nastały dla nas nowe czasy.

– Koniecznością stało się zniszczenie świata, żeby go ocalić – zamruczał September, ale po terangielsku, tak że tylko ludzie mogli go zrozumieć.

Corfu rzucił w jego kierunku wściekłe spojrzenie i wykonał wyrazisty gest krótkim mieczem, który miał przy sobie.

– Żadnych rozmów w słowach podniebnych ludzi. W mojej obecności macie mówić jak należy.

Ethan zauważył, że nie wszyscy uzbrojeni tranowie, którzy weszli do pokoju, są członkami załogi *Slanderscree*. Corfu chciał mieć gwarancję, że Hunnar nie przeciągnie słowami na swoją stronę wahających się buntowników. To nie najlepszy moment na zmianę zdania, kiedy ma się w plecy wycelowany promiennik. Na ludzi kupca nie będzie miało wpływu oburzenie Hunnara, pogarda Elfy ani nic, co mógłby powiedzieć September.

Ta-hoding kajał się zdruzgotany.

– Moja wina. Wszystko moja wina. Kapitan, który nie potrafi sprawić, by załoga była lojalna, nie jest wart tege tytułu.

– Nie obwiniaj się – powiedział Kilpitt ze współczuciem. – Nie ma to nic wspólnego z tobą, czy twoimi zdolnościami, Ta-hodingu. To ma związek z tym, co my uważamy za najlepsze dla nas i naszej przyszłości.

– Nadmiernie już się ociągamy – Mousokka odstąpił o krok i pokazał mieczem na otwarte drzwi. – Już zbyt wiele czasu spędziliśmy, przysłuchując się słowom tych podniebnych ludzi, robiąc to, o co proszą i nie zadając żadnych pytań.

– A jak myślisz, kto pociąga za sznurki tej kukły? – Hunnar pokazał na Corfu.

– Nikt poza mną nie pociąga za moje sznurki! – Kupiec wymachiwał mieczem o centymetr od twarzy Hunnara.

Rycerz odpowiedział chłodnym uśmiechem.

– Tak, wyraźnie widać, jaki z ciebie śmiały wojownik, kiedy jesteś zdany na siebie samego.

Obydwaj patrzyli przez chwilę na siebie wściekłym wzrokiem. Ethan wstrzymał oddech. Potem Corfu głęboko zaczerpnął powietrza i cofnął się o krok.

– Związany jestem umową... umową, słyszycie, nie rozkazem... żeby nie zrobić żadnemu z was krzywdy. Wyraziłem na to zgodę, żeby zadowolić mojego przyjaciela, podniebnego człowieka Bamaputrę. – Rozejrzył się po pokoju. – Ci z was, którzy się do nas przyłączyli, zostaną na razie pod obserwacją, ale w końcu wszyscy otrzymają ważne stanowiska w nowej kaście rządzącej. Reszta będzie miała czas na zastanowienie i ufajmy, że dowie się, gdzie leży jej przeznaczenie. – Wykonał gest mieczem. – Chodźcie teraz.

– Zaczekaj no chwilę – powiedział Ethan. – Sądziłem, że będzie nam wolno pozostać na *Slanderscree*.

– Wolno wam było na nią wrócić, żeby się naradzić w swojskim otoczeniu. Nikt nic nie mówił, że będzie wam wolno tu pozostać na dłużej. – Na twarzy Corfu pokazał się wilczy uśmiech. – Gdyby wam pozwolono tu zostać, moglibyście tracić czas na rozmyślenia o ucieczce, zamiast zastanawiać się, jaki los was czeka. Bamaputra jest wielkodusznym człowiekiem, chciałby oszczędzić wam takiej do niczego nie prowadzącej rozterki. Jeśli chodzi o mnie, nie sądzę, żebyście zdołali wymknąć się wszystkim wartownikom i wyslizgnąć się stąd ze swoim statkiem, ale nauczyłem się już, że podniebni ludzie nie lubią ryzykować. Macie powrócić do domu podniebnych ludzi, żeby tam medytować nad błędami swojego postępowania.

Ethan zdał sobie sprawę, że sytuacja przybrała fatalny obrót. Jak długo pozostawali na statku, zawsze istniała szansa, że przetną liny kotwiczne, wyslizgną się z więzów i obezwładnią pacholków Corfu albo się im wymkną. Gdyby udało im się wyprowadzić *Slanderscree* na otwarty lód, gdzie wiał silny wiatr, może zdołaliby nawet prześcignąć lodolot. W obrębie podziemnego miasta najprawdopodobniej każdy ich oddech będą monitorowały nowoczesne urządzenia inwigilacyjne. Nawet do łazienki nie będą mogli pójść, żeby o tym nie wiedziano, a co dopiero wyłamać prawdziwe drzwi. Bamaputra nie podejmował najmniejszego ryzyka.

– A co z naszymi przyjaciółmi? – Pokazał na Elfę, Hunnara i innych. – Nie będą w stanie wytrzymać upału wewnątrz tych pomieszczeń.

– Ich zdrowie mnie nie interesuje – powiedział szorstko Corfu, kiedy wyganiano ich z mesy pod czujnym okiem dzierzących promienniki wartowników. Ci z członków załogi klipra lodowego, którzy przeszli na stronę wroga, zrobili miejsce dla idących. Niektórzy z nich wyglądali tak, jak gdyby już zaczynały ogarniać ich wątpliwości, ale nikt nie miał odwagi wyrazić takiej opinii, kiedy mierzono do nich z promienników. Ethan miał wrażenie, że większości z nich dałoby się wytłumaczyć, że popełnili błąd, ale nie spodziewał się, żeby jemu czy komukolwiek Innemu dano szansę przekonania marynarzy.

– Zrozumcie – mówił poważnie Kilpit, kiedy wyprowadzano ich na pokład – robimy to dla naszych rodzin i dla tradycji, o której wyście zapomnieli. Wannome na początku, na ostatku i na zawsze. Tak zawsze było wśród tranów z Sofoldu i tak będzie znowu.

– Nie musi być – mamrotał Hunnar pod nosem. – Nie musi być. Niekiedy sam czas musi ulec zmianie. – Nikt nie Zwracał na niego uwagi.

I znowu musieli wspinać się stromym podejściem od Yin-gyapinu do podziemnej osady. Zaczęła

już zapadać noc, więc ludzie z wdzięcznością weszli do wnętrza góry, gdzie panowały normalne, ziemskie temperatury.

Pospieszne przeliczenie obecnych pokazało, że mniej niż połowa załogi przyłączyła się do oswojonych tranów Bamaputry (tak zaczął ich w myśli nazywać Ethan). Buntownicy – nie dołączyli do wspinaczki, zostawiono ich na dole; objęli w posiadanie statek.

Tak duża grupa jeńców okazała się dużym problemem. Chociaż tranowie i ludzie nalegali, żeby pozostawić ich razem, zostali rozdzieleni. Bez wątpienia Bamaputra miał nadzieję, że przekona niechętnych, by się jednak do niego przyłączyli. Hunnara, Elfę i pozostałych tranów popędzono do obszernego, pustego magazynu na żywność, gdzie temperaturę można było utrzymywać na bardziej odpowiadającym im poziomie. Kiedy ekipa strażników Bamaputry poddawała ludzi szczegółowej rewizji. Ethan zauważył, że Skua ze szczególnym natężeniem przygląda się jednemu z nich. Potem zamyślony powiedział:

– To śmieszne, mój chłopcze. Lata lecą jak z bicia trasał, ale trudno jest zapomnieć niektóre twarze.

Ethan wytrzeszczył oczy na niego, a potem na wysokiego mężczyznę, który wydawał się odpowiadać za służby bezpieczeństwa w instalacji.

– Znasz tego tu?

– To jest ten Antal, o którym wspominał Bamaputra. Devin Antal. Pobyliśmy sobie trochę razem na wojnie, tyle tylko że po przeciwnych stronach. Jeżeli jest taki sam, jak był, nie ułatwi nam teraz życia. Bez reszty należy do ludzi typu rób-co-ci-każą, ale jak się go przycisnie do muru, to zatroszczy się przede wszystkim o siebie. Może uda nam się tę jego cechę jakoś wykorzystać, jeżeli tylko będziemy uważać.

I rzeczywiście, mężczyzna którego Skua nazywał Antalem, przedstawił się jako brygadzysta Bamaputry. Pokazał im ich nowy lokum, nie używaną jeszcze wieloosobową sypialnię dla robotników, którą można było szczelnie zamknąć od zewnątrz. Wygłosił do nich krótką przemowę, żeby siedzieli spokojnie i nie robili nikomu kłopotów, a potem oddalił się w nieznane rejony.

Razem na wojnie. Sporadycznie September napomykał coś o jakimś konflikcie, w którym jakoby miał odegrać ważną rolę. Nie ma to większego związku z ich obecnym kłopotliwym położeniem, dumał Ethan posepnie, siadając na swojej fleksi-pryczy. Była wygodniejsza niż wszystkie łóżka, w jakich sypiał od wyjazdu z Dętej Małpy, ale jednak nie sądził, żeby miał dobrze spać.

\* \* \*

– Nasi goście zostali rozlokowani. – Antal opadł na kanapę w naziemnym, widokowym pokoju-biurze Bamaputry. – Nie mieliśmy żadnych kłopotów z ludźmi z placówki. Ich tranowie byli nieco bardziej kłótniwi. Chłopcy Corfu musieli rozwalić parę głów.

Bamaputra odwrócił się od okna.



– Nie życzę sobie, żeby kogoś zabito. Potencjalnie każdy z nich może nam się przydać.

– Hej! – Antal uniósł obydwie ręce do góry. – Powiedziałem Corfu, że osobiście za to odpowiada. Wcale mu się to nic podobało, ale uspokoił ich wszystkich. Powinienem być zdjąć z roboty paru naszych ludzi, zamiast pozwalać, żeby zajmowały się tym sługusy Massula. Sam pan wie, jacy są ci tubylcy. Bamaputra wydał wargi.

– Krnąbrni, niezdyscyplinowani, wojowniczy, niezdolni do życia w pokoju ze swoim własnym gatunkiem. Niekiedy przypominają mi ludzkość sprzed czasów Amalgamacji. Ciemne Wieki.

Antal niedbale zapalił narkosa.

– Co ma pan zamiar z nimi zrobić?

Dyrektor instalacji zmarszczył brwi, kiedy pokój zaczął wypełniać się mdlącym dymem, ale nie zażądał, żeby brygadzysta zgasił narkosa. Zachowywali się w stosunku do siebie niemal jak równy z równym, jak dwaj bokserzy, którzy nigdy jeszcze ze sobą nie walczyli, zmagają się właśnie na trzeciego przeciwnika, ale są przekonani, że kiedyś staną ze sobą na ringu twarzą w twarz. Obydwaj chętnie wdaliby się w walkę, chociaż jej wynik z góry był przesądzony. Antal, wysoki, szeroki w barach, zbliżający się właśnie do czterdziestki, był szeregowym pracownikiem z dyplomem. Wagą przewyższał Bamaputrę o jakieś czterdzieści kilo, ale do głowy by mu nie przyszło, żeby zadać cios. Zbyt byli sobie potrzebni. Antal kierował bieżącym działaniem skomplikowanej instalacji, która stopniowo przekształcała atmosferę Tran-ky-ky i topiła lodową pokrywę. Jeżeli psuł się jakiś mechanizm, wiedział, jak go naprawić. Jeżeli psuło się coś innego, no cóż, to była domena Bamaputry. To on wiedział, dlaczego coś może się zepsuć. On również zajmował się tym, żeby nie przestały napływać kredyty. Ich stosunki nie były swobodne, ale jakoś się układały. Ilość awarii w instalacji pod ich dwuosobowym kierownictwem była minimalna. Ani jednego z potajemnych lądowań wahadłowców nie wykryli rządowi ludzie z Dętej Małpy. Nie było zresztą powodów, dla których mieliby je wykryć: Trank-ky-ky była dużym światem, łatwo wymykała się spod kontroli. Kiedy przychodziły dostawy, zawsze tak ustawiali je w czasie, żeby nie kolidowały z regularnymi liniowcami Wspólnoty.

Skoro tak, co robi tutaj ten trański statek, który zapuścił się na południowy szelf z pół tuzinem człowieczych naukowców na pokładzie?

– Spodziewałem się, że kogoś może zaciekawić występująca tutaj tendencja zwykła temperatura, ale nie liczyłem, że będą w stanie przeprowadzić inspekcję na miejscu.

– Nie byłoby to możliwe – powiedział półgłosem Bamaputra – gdyby nie ten niezwykle statek lodowy i współpraca jego trańskiej załogi. To i tych trzech ludzi, którzy, jak się zdaje, żyli przez jakiś czas wśród nich. Dziwna to historia. Gdyby nie ich interwencja, chociaż nie była ona zamierzona, ci tranowie wciąż tłoczyliby się w swoich własnych państwach-miastach i wdawali się w tradycyjne walki z sąsiadami i tymi plądrującymi hordami koczowników, które wędrują po planecie, a nie wybieraliby się nigdzie z misją zjednoczeniową, która pewnie przyniesie nam same kłopoty.

Antal zaciągnął się narkosem i odprężył się.

– Jakże można się tak nie liczyć z innymi. Bamaputra rzucił ostre spojrzenie na swojego brygadzystę.

– Czy kpi pan sobie ze mnie?

– Ależ skąd, gdzież bym śmiał, proszę pana. Administrator pominął to milczeniem. Nie czas teraz, żeby wdawać się w jedną z drobnych utarczek z brygadzystą.

– Na szczęście zauważyliśmy ich i zdołaliśmy tutaj ściągnąć. Gdyby udało im się zawrócić i uciec, zanim zdołał przybyć na miejsce lodolot z działem, wszystko mogło być stracone.

– Taa, ale nie uciekli i mamy ich.

– Miałem nadzieję, że i mnie, i pana dawno już nie będzie, zanim ktoś będzie się musiał zająć takim problemem.

– Ale na razie nie pomarliśmy. Co mam z nimi zrobić?

– Nad tymi tranami popracujemy trochę i spróbujemy ich przeciągnąć do naszego obozu. Co do tej reszty wścibskich ludzi, z największą chęcią wrzuciłbym ich do jakiejś lodowej dziury i niechby nad nimi zamarzła. I chociaż taki scenariusz przemawia do mnie, obawiam się, że nie jest on praktyczny. Jeżeli nie wrócą, ludzie zaniepokoją się, że ich nie ma. Co prawda ci biurokraci z Dętej Małpy nic nie będą mogli zrobić bez lodolo-tów, ale w przypadku zaginięcia dużej liczby osób może im się udać załatwienie uchylecia przepisów. A to może oznaczać, że pojawi się tutaj jeszcze więcej takich typów, żeby węszyć. Niepotrzebne nam tego typu niespodzianki. A więc nie zabijemy ich... na razie. Ale nie możemy też pozwolić im się oddalić. Tych tra – nów, którzy się będą dalej opierać, możemy oczywiście wykończyć.

– A co z tą trójką przybyszy z zewnątrz, z tym facetem Fortune, nauczycielem i z Septembrem, tym potężnym chłopiskiem? Nie sądzę, żeby ich ktoś miał szukać.

Bamaputra potrząsnął głową.

– Ich śmierć spowoduje tylko, że reszta będzie się jeszcze bardziej upierać.

– Czy myśli pan, że warto byłoby choć niektórych z nich przekonać, by dla nas pracowali?

– Przyszło mi to na myśl. Nie znam jeszcze żadnego z nich. Mamy fundusze na ten cel. Można za ich pomocą przeciągnąć na naszą stronę jednego czy dwóch, ale nie wszystkich. Obawiam się, że kilku z nich to idealisci. – Pociągnął nosem. – A w nauce nie ma miejsca na idealizm.

– A gdybyśmy zatrzymali kobiety jako zakładników?

– Zbyt ryzykowne. Wystarczy jeden, żeby nas wydać. Ci, którym pozwolilibyśmy powrócić na placówkę, mogą żywić ukrytą antypatię do tych, których tu zatrzymamy. Absolutnie nie możemy

pozwolić, żeby choć jeden wy dostał się z instalacji.

– No to co robimy? – Antal założył nogi na kanapę. Bamaputra popatrzył na niego z niesmakiem, ale nic nie powiedział.

– Jeżeli nie uda nam się przekonać ich, żeby się do nas przyłączyli, i skoro nie możemy się ich pozbyć, będziemy musieli ich po prostu utrzymywać tu przy życiu i bez głosu. Nie ma pośpiechu. Przez jakiś czas nikt się nie będzie spodziewał ich powrotu, a więc zdążymy się zastanowić. Po pewnym czasie wymyślimy właściwe rozwiązanie. Albo oni wymyślą. Tymczasem zrobmy, co następuje: możemy kazać im zrobić nagranie. Powiedzmy, że nasi rozmówcy w naukach goście natrafili na niespodziewanie zaawansowaną społeczność trańską, która może poszczycić się niezwykle porządkiem społecznym; chcą ją przebadać, równocześnie kontynuując badania nad lokalną anomalią meteorologiczną. Tranowie, o których mowa, zgodzili się dać im lokum, dopóki nie ukończą swoich badań. Wszystko to można nagrać na kostkę i wysłać przez któregoś z naszych tranów na niewielkim stateczku lodowym. Ufam, że ci ludzie przywieźli ze sobą sprzęt do nagrywania?

– Pewno. Przeczesałiśmy cały ich dobytek. Mierniki, przyrządy do pobierania próbek itd. To, czego można się spodziewać. Żadnej broni. – Wyszczrzył zęby. – Jak pan wie, nie mogą łamać przepisów. Za to mają dobrą polową kamerę.

Bamaputra z aprobatą skinął głową.

– Wszyscy na tym nagraniu będą promieniować radością i zadowoleniem. Dostarczenie tego materiału powinno usmierzyć wszelkie niepokoje, jakie mogłyby trafić naukową i rządową administrację na placówce. Jak rozumiem, przybyła już nowa pani Stały Komisarz. Będzie zbyt zajęta zagospodarowywaniem się, żeby miała interesować się grupą naukowców, którym zgodnie z ich własnym zeznaniem nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Jak pan sądzi? Czy zechcą podporządkować się i nagrać taki tekst?

– Nie sądzę, żeby miały z tym być jakieś problemy. Wetknę któremuś z nich promiennik do ucha i zagrozę, że pociągnę za cyngiel. Nie powinni się więc wahać. Nie robią na mnie wrażenia zbiorowiska szczególnie śmiałych czy ryzykanckich jednostek.

– Świetnie. My tymczasem będziemy kontynuowali naszą działalność, jak gdyby nigdy nic. Kiedy przyleci następny statek z zaopatrzeniem, przekażemy do kwatery głównej wiadomość o tym, jaki nieprzewidziany obrót przybrała sytuacja. Niech przetrawia ten problem i podejmą jakąś ostateczną decyzję. W ten sposób będziemy to mieli z głowy. Nie chcę tej odpowiedzialności. Naszym zadaniem jest dopilnowanie, żeby tutaj nie było żadnych przerw w pracy.

– Dla mnie brzmi to nieźle.

– Jaką wartość przy nich pan postawił?

– Wartość? – Antal zaciągnął się i wydmuchnął niewielką chmurkę dymu. – Są dobrze zabezpieczeni. Standardowe kamery inwigilacyjne. Chce pan, żebym przed ich pokojami wystawił wartość? Oni się nigdzie nie wybierają, a ja raczej nie mam personelu na zbyciu.

– Jeżeli jest pan pewien...

– Tranowie zostali szczelnie zamknięci w pustym magazynie produktów nietrwałych, a pozostali są bezpiecznie zamknięci w hotelu. Kazałem, żeby ich ktoś od czasu do czasu sprawdzał; jedzenie dostaną trzy razy na dzień. Tranowie nie mają na tyle rozumu, żeby zaczęli się rozglądać za drogą wyjścia, a ten hotel ma przy drzwiach magnetyczne zamknięcie. Brak zamków, które by można otworzyć wytrychem. Kamery przemiatają pokój co trzydzieści sekund. To nietłukący się, normalny sprzęt służb ochrony. Po co miałbym odciągać kogoś od roboty, żeby poszedł się przespać pod ich drzwiami z promiennikiem w ręce? To są mechanicy, programiści i inżynierowie jądrowi, a nie siły korpusu pokojowego. Jeżeli komuś w tym pokoju przyjdzie ochota grzebać przy drzwiach, kamery przekażą to do centrali służb ochrony. Wystarczy tym gmeraczom powiedzieć, żeby się uspokoili, albo będzie źle. Oni zdają sobie sprawę ze swojego kłopotliwego położenia, równie dobrze jak my. Wątpię, żeby mieli próbować jakichś sztuczek.

Bamaputra zawahał się, potem skinął głową.

– To nie jest dziedzina, na której bym się dobrze znał. Pan jest tu ekspertem.

– Nie jest to również moja specjalność, ale nie martwiłbym się. Nie mogą nawet pójść do łazienki, żebyśmy ich nie widzieli. W sypialni tranów nie ma kamery, ale oni nie umieliby poradzić sobie z zamkiem magnetycznym, nawet gdyby im powiedzieć, co to jest. – Z kieszeni kamizelki wyciągnął paczkę narkosów i poczęstował nimi administratora. – Czy jest pan pewien, że nie chce pan tego skosztować? Pomaga zapomnieć, gdzie się jest.

– Ja wolę wiedzieć, gdzie jestem. – Bamaputra pogardliwie pociągnął nosem. – Jaki cel ma zniekształcanie percepcji własnych zmysłów, jeżeli jest tyle ciekawych rzeczy do oglądania, kiedy funkcjonują poprawnie?

Antal wyprostował się na kanapie.

– No to może moje zmysły nie funkcjonują poprawnie, ale nich mnie diabli, jeżeli potrafię zrozumieć, jak ktoś potrafi znaleźć sobie coś ciekawego do oglądania na tej okrągłej bryle lodu. Nie interesuje mnie żadna obserwacja poza kwartalnym napływem kredytów. Muszę pójść sprawdzić Numer Trzy. Były jakieś problemy z przegrzewaniem. Nic poważnego, ale trzeba się tym zająć. Sam pan wie, jakie kapryśne potrafią być te magnetyczne pola zabezpieczające. – Podniósł się, ruszył w kierunku wyjścia. – A pan zostaje patrzeć na te opary? – zapytał z ciekawością.

Bamaputra odwrócił się twarzą do okien.

– Na jakiś czas.

– Jak pan sobie życzy.

Antal porzucił administratora na pastwę kontemplacji. Co za dziwadło. Już dawno zrezygnował z prób zrozumienia tego człowieczka. Przez jakiś czas sądził nawet, że może on być niesłychanie świetnie zbudowanym, sprytnie zaprogramowanym robotem, ale teoria ta szybko upadła. Spotkał już

wcześniej kilka humanoidalnych maszyn i każda z nich bez wyjątku była serdeczniejsza i bardziej przyjazna niż Bamaputra. Ten człowiek był zbyt daleki, zbyt zimny, żeby miał być robotem.

\* \* \*

September położył się na dwóch pryczach ustawionych jedna za drugą i założył sobie ręce pod głowę.

– No, mój chłopcze, i jak się z tego wykaraskamy?

– Nie wiem – powiedział Ethan, wpatrując się w jedne jedyne drzwi – ale nie ośmielę się nas zabić.

– Nie ośmielę się mówić, że się nie ośmielę. Jeżeli ktoś w trosce o dobro handlu gotów jest bez oporów poświęcić kilka dziesiątków tysięcy inteligentnych tubylców, to najmniejszych trudności nie sprawi mu wykończenie paru osobników własnego gatunku.

– Nie wątpię, że zrobiliby to natychmiast, gdyby sądzili, że ujdzie im to płazem. Ale muszą zdawać sobie sprawę, że w Dętej Małpie zauważą naszą nieobecność.

– Jestem pewien, że zdają sobie z tego sprawę, bo dawno byśmy już ssali lód. Im dłużej będziemy tu siedzieć i im dłużej się nie zameldujemy z powrotem, tym bardziej poczują się zaintrygowani koledzy Hwang tam na placówce. Tak więc obojętne, na co się zdecyduje ten facet Bamaputra, będzie to musiał zrobić dosyć szybko. Nie sądzę, żeby zgładzenie nas miało być jedną z pierwszych zagrażających nam z ich strony możliwości. Wiele cech tych naszych porywaczy może w nas budzić odrazę, ale nie robią oni na mnie wrażenia działających pochopnie. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby próbowali pozyskać Hwang i jej ludzi.

– Ależ to niemożliwe. – Ethan był zaszokowany tą sugestią.

– Zostało już dowiedzione, że jeżeli się nad kimś wystarcza – jęco długo popracuje, można zmienić jego nastawienie, nawet gdyby był najbardziej oddany sprawie. Ten Bamaputra jest bystry. I sam jest naukowcem. Potrafi rozmawiać z takimi ludźmi jak Blanchard i Semkin w ich własnym języku. Koniec końców może mu się uda przekonać niektórych naszych przyjaciół, że to, co robi, leży w najlepszym interesie tranów, pomimo nieznanego motywów jego sponsorów.

– Wiesz co, w całej tej sprawie coś mnie dręczy. September odwrócił się i popatrzył na niego.

– Co masz na myśli, mój chłopcze?

– No, zajmuję się przecież interesami tego samego rodzaju. Wiesz, handel, sprzedaż-kupno. Istnieją inne, mniej kosztowne metody zapewnienia sobie monopolu handlowego niż odwracanie o sto osiemdziesiąt stopni klimatu całej planety.

Na twarzy olbrzyma rozkwitł szeroki uśmiech.

– Ciekaw byłem, kiedy ci to przyjdzie na myśl. Ethan aż drgnął.

– Więc tobie też po głowie chodziły takie myśli?

– Trzeba by oczu nie mieć, żeby tego nie widzieć, mój chłopcze. Na przykład twoja kompania mogłaby po prostu złożyć podanie o taki monopol. Nawet jeżeli szansa na otrzymanie zgody jest słaba, to gdyby dać w łapę komu trzeba i zademonstrować swoje dobre intencje, można by takie pozwolenie dostać. A przynajmniej warto się o nie starać.

Ethan i September obracali w myśli te banały, a w drugim końcu pokoju Hwang i jej koledzy pogrążeni byli w ożywionej dyskusji. Kiedy się zakończyła, Williams i Cheela Hwang przyłączyli się do nich. Potwierdzili podejrzenia Ethana, ale nie w taki sposób, jak miał nadzieję.

Sytuacja była dużo gorsza niż wszystko, co dotąd wymyślił.

– Robiliśmy obliczenia.

– Czy kiedykolwiek się czym innym zajmowaliście? – zażartował September.

Cheela nawet okiem nie rzuciła w jego kierunku. Twarz miała poszarzała.

– Przegryźliśmy się przez to, co wiemy, przeprowadziliśmy taką ekstrapolację, jaka możliwa jest do przeprowadzenia pod nieobecność danych na temat rzeczywistej szybkości topnienia pokrywy lodowej i ogrzewania się atmosfery w tym regionie, i połączyliśmy jedno z drugim. Musieliśmy na chybił trafił przyjąć, jak długo działa już ta instalacja. Wiemy oczywiście, że nie może działać dłużej, niż znane jest istnienie Trank-ky-ky. Szansę, że ci ludzie odkryli ją wcześniej niż pierwsza oficjalna ekspedycja badawcza Wspólnoty, są bardzo niewielkie. – Patrzyła na swój wielofunkcyjny kalkulator na przegubie ręki; ekranik pełen był roztańczonych cyferek.

– Jesteśmy dosyć pewni otrzymanych rezultatów. A wolałabym, żebyśmy mieli choć cień wątpliwości.

Milliken Williams sprawiał wrażenie załamane.

– Wynika z nich, że ten Bamaputra jest niezwykle skromny mówiąc, że ma zamiar zmienić sytuację Tran-ky-ky dopiero za jakiś czas. Kiedy pokrywa lodowa zacznie ustępować, powierzchnia rzeczywiście będzie się gwałtownie nagrzewała. Problem w tym, że adaptacja fizjologiczna tranów nawet w przybliżeniu nie będzie miała tak szybkiego przebiegu. Przesunięcie klimatyczne nastąpi tak prędko, że nasi przyjaciele nie będą w stanie się do niego przystosować. Ci, którzy mieszkają w pobliżu równika, mają szansę przeżyć, jeśli udzieli się im pomocy i otoczy opieką. Ci ze strefy północnej, od umiarkowanej po polarną, umrą na udar cieplny na długo, zanim dotrą na południowy kontynent; nic nie da pomoc, chyba że władze Wspólnoty zdecydują się na szeroko zakrojoną interwencję. A nawet gdyby Wspólnota się na coś takiego zdecydowała, nie wydaje nam się, żeby działania ratunkowe na taką skalę dało się zorganizować na czas. – Wydał pełne niesmaku mruknięcie. – Polityka.

– Nie mówimy tu o tysiącach zgonów – szepnęła Hwang. – Mówimy o milionach. O ludobójstwie. Nie o wyginięciu całego gatunku, ale prawie. Ci tranowie, którzy się utrzymają przy życiu, staną się

podopiecznymi rządu, a nie dziećmi nowego złotego wieku.

Ethan był w stanie tylko wytrzeszczyć na nich oczy i zadać pytanie.

– Dlaczego?

– Powiem ci, dlaczego – odpowiedziała Hwang spokojnie. – Pamiętasz, Bamaputra powiedział, że ten Massul i Corfu mają kierować akcją ratunkową dla uchodźców. To na pewno uprości im robotę. W ten sposób Massul będzie cesarzem bez poddanych.

September ze zrozumieniem kiwał głową.

– Wszystko się zgadza, nie? – Popatrzył na Ethana. – Co będzie się działo, mój chłopcze, ze światem, który nagrzej się naprawdę szybko? Zbyt szybko, żeby tranowie zdołali się uporać z tą zmianą? Jaki będzie ostateczny rezultat, kiedy lody się stopią, a temperatura na stałe, przez całą dobę, będzie utrzymywała się powyżej zera?

– Nie nadążam za tobą, Skuo.

September postukał palcem wskazującym po skroni swojej siwowłosej głowy.

– Musisz nauczyć się rozumować w terminach globalnych, chłopcze. Widzisz, jeżeli stanie się za gorąco dla tranów, to zrobi się naprawdę przyjemnie dla ludzi. Koniec końców będziemy tu mieli sympatyczny świat o umiarkowanym klimacie, atrakcyjny, z dużą ilością wody, na którym resztki miejscowej populacji trzymać się będą jednego ładu i tak za obszernego, jak na ich potrzeby przeżycia. Populacji tak osłabionej i wątpliej, że nawet to, czy przeżyje, zależało będzie od szczodroliwości Wspólnoty.

– Dokładnie – powiedziała Hwang. – Ukryli tę instalację starannie, żeby zmiany klimatyczne mogły zostać przypisane czynnikom naturalnym. Uwzględniając ogrom niewiedzy o tym świecie, wciąż jeszcze może się to udać. Wspólnota będzie zmuszona wkroczyć, żeby zagwarantować przetrwanie tranów jako rasy. W powstałym zamieszaniu wiele organizacji pomocy istotom rozumnym zorganizuje sobie tu punkt zaczepienia. Ludzie Bamaputry będą tylko pierwszymi z wielu, na najlepszej pozycji, żeby wykorzystać tę katastrofę.

– Może Bamaputra zamydlił oczy wszystkim swoim ludziom. Może nie zdają sobie sprawy z tego, co naprawdę tu robią. – Ethan wiedział, że brzmi to naiwnie, ale trzeba to było powiedzieć.

Hwang potrząsnęła głową.

– Te wyniki są zbyt proste, zbyt oczywiste. Ludzie typu tego Antala nie są głupi. Muszą orientować się, jaki będzie efekt końcowy ich działalności. Niewykluczone jednak, że pracownicy niższego stopnia utrzymywani są w nieświadomości.

– Czy nie rozumiesz, mój chłopcze? Sponsorów Bamaputry nie interesuje handel. Nie interesuje ich monopol handlowy. Ich interesują nieruchomości. Warte tyle, co cały ten świat. Dozwolone jest zakładanie kolonii na niezamieszkanym świecie i na światach klasy I za zgodą dominującej rasy, ale

nie na żadnych światach między jednym a drugim. Tran-ky-ky jest dokładnie pośrodku. Pewnie nikt by nie miał ochoty osiedlać się na Tran-ky-ky takiej, jak jest teraz. Ale gdyby tak podnieść temperaturę o jakieś pięćdziesiąt stopni i roztopić lody, może zrobić się z niej jeszcze jedna Nowa Riwiera.

– Dla tranów stałaby się prawdziwym piekłem – powiedział Williams. – Dla tych w każdym razie, którym udałoby się przeżyć. Pozostałości tej rasy zmieniłyby się ostatecznie w Złocistych Saia, ale ich liczba byłaby zbyt niska, żeby mogli zaprotestować przeciwko napływowi osadników.

Przez chwilę panowała cisza, każdy z nich pogrążył się w swoich własnych rozmyślaniach na temat tego horroru, gorszego od wszystkiego, z czym się dotychczas zetknęli, a nawet z czym spodziewali się zetknąć.

– Czy jesteście pewni tych szybkości topnienia i ogrzewania? – zapytał w końcu półgłosem Ethan.

– Nawet jeżeli popełniamy błąd rzędu dziesięciu czy dwudziestu procent – powiedziała cicho Hwang – wciąż jeszcze oznacza to zagładę tranów jako rozwijającej się rasy. Nigdy nie będą mieli szansy zbudować tej rozwiniętej cywilizacji, o której mówi Bamaputra, ponieważ nie zostanie ich tyłu, żeby to mogli zrobić sami. Staną się całkowicie zależni od biur Wspólnoty dla uchodźców... albo od sponsorów tego projektu.

Williams uśmiechnął się ironicznie.

– Już widzę, jak ludzie Bamaputry okazują wielką troskę o pozostałych przy życiu tranów. Zrobi im to doskonałą reklamę.

September z przekonaniem kiwnął głową.

– Dopracowali to sobie do ostatniej śrubki. Od samego początku – tylko nas nie przewidzieli. Nas tutaj nie powinno być. Przynajmniej tyle osiągnęliśmy, że się zaczęli oglądać przez ramię. Nic dziwnego, że tak ostrożnie się z nami obchodzą. Wiedzą, że jak któreś z nas wróci do Dętej Małpy i zacznie gadać, całej Wspólnoty nie starczy, żeby się mieli gdzie ukryć.

– No, to lepiej, żeby już brali nogi za pas – powiedziała Cheela Hwang – bo my ruszamy w drogę.

– Bez namysłu. Mamy tylko jeden, a może dwa małe problemy. – Ethan pokazał głową na drzwi. – Siedzimy za metalowymi drzwiami z magnetycznym zamkiem, pod stałą inwigilacją wideo i głęboko w litej skale.

Jak gdyby dla podkreślenia jego słów rozległ się łagodny warkot silnika judasza, przedstawiającego kamerę. Cheela Hwang zareagowała tak, jak gdyby nie usłyszała ani jednego słowa z jego wypowiedzi.

– Wydostanie się stąd to jest ta łatwa część.

Ethan popatrzył na Septembra, który wzruszył ramionami.



– Powiedzmy, że zdarzy się cud i wydostaniemy się znowu na zewnątrz. To będzie dopiero początek naszych kłopotów. Jak mamy dostać się stąd do Dętej Małpy? Widzieliście, jak liczną straż ustawił Corfu przy *Slanderscree*... nie tyle ze względu na to, że moglibyśmy ją odbić, ile żeby nie ukradli jej jego własni współtowarzysze. I jeszcze jest kwestia tych trzydziestu czy iluś buntowników, którzy wciąż przebywają na pokładzie.

– Poradzimy sobie.

– Trzeba jej oddać sprawiedliwość, mój chłopcze – powiedział September. – Pewna siebie to ona jest.

– Zrobimy to, bo musimy zrobić. – Cheela pokazała na swoich towarzyszy, którzy siedzieli w pobliżu i głośno, swobodnie sobie rozmawiali, żeby przeciążyć czujniki nasłuchu, które niemal bez wątpienia razem z kamerą miały pokój pod obserwacją. – Myśleliśmy o tym, żeby ukraść jeden z lodolotów z instalacji, ale one z pewnością są pod ściślejszą strażą niż nasz statek. Jak się stąd wydostaniemy, musimy znaleźć jakiś sposób, żeby odbić *Slanderscree*.

September rozprostował i zacisnął swoje olbrzymie dłonie.

– Jak się już stąd wydostaniemy, może uda nam się zrobić całe mnóstwo różnych rzeczy. Problem w tym, jak mamy wynieść się z tego konkretnego pomieszczenia. Coś mi się zdaje, że wcale się tym za bardzo nie martwisz.

– Jedną tylko rzeczą dysponujemy aż w nadmiarze: potęgą umysłu. – Uśmiechnęła się do niego. – Omówiłam to z Orvilem i innymi. System inwigilacyjny, mający nas pod obserwacją, jest bardzo prosty. Ten pokój musiał być przeznaczony dla pracowników, którzy się obelżywie wyrażali albo upijali się, albo łamali przepisy i zarządzenia. Nie został zbudowany jako cela dla zatwardziałych przestępców czy – tu jej uśmiech stał się nieco szerszy – ludzi pełnych oddania, znających się na rzeczy, którzy zmuszeni są poszukać sobie drogi wyjścia na zewnątrz. Jest to coś, z czego Bamaputra albo jego brygadier mogą sobie wkrótce zdać sprawę. Jeżeli planują nas tu zatrzymać na jakiś dłuższy czas, jestem pewna, że podejmą działania, by to miejsce lepiej zabezpieczyć. Tym bardziej powinniśmy je jak najszybciej opuścić.

– Zdecydowaliśmy, że korzystnie będzie ruszyć nocą – wtrącił Williams – nawet jeżeli formalnie nie ma w tym miejscu nocy ani dnia. Na podstawie tego, co udało nam się zaobserwować po drodze, ustaliliśmy, że ta instalacja funkcjonuje zgodnie z rozkładem typowym dla dwudziestoczworgodzinnej doby. Prawdopodobnie podczas trańskiej nocy wszyscy poza wyznaczonym na noc personelem nadzorczym śpią. – Popatrzył na chronometr wbudowany w rękaw kombinezonu ochronnego. – Powinniśmy więc teraz trochę odpocząć. Zajmiemy się ucieczką stąd około północy.

– Służby ochrony nie będą spać – zwrócił mu uwagę Ethan.

– To nie będzie miało znaczenia, bo nas tu nie będzie – powiedziała mu Hwang.

– Nie, nie zrozumiałaś mnie. – Wykonał lekki ruch głową w kierunku równomiernie przesuwaną soczewki judasza na suficie. – Człowiek, który będzie miał na oku ten monitor,

natychmiast podniesie alarm.

– Nie podniesie, jeżeli nie będzie miał na co zwrócić uwagi. Ethan uśmiechnął się.

– Nie można zarzucić koca czy czegoś innego na soczewkę. To wywoła równie szybką reakcję, jak gdybyśmy zaczęli walić w drzwi. Z tego samego powodu nie można jej rozwalić. Jeżeli z monitora na stanowisku ochrony zniknie obraz, przylecą tu w kilka sekund, żeby go naprawić.

– Nie zrobimy ani jednego, ani drugiego – zapewnił go Williams. Popatrzył na Hwang i wyglądało na to, że oboje się czymś ubawili. – Ten, kto będzie patrzył na monitory, nie zobaczy w nocy niczego niezwykłego. A my tymczasem się stąd wyniesiemy.

Ethan potrząsnął głową.

– A więc wyznam wam, że nie mam zielonego pojęcia, o czym myślicie.

– Dobrze. – Naukowiec i nauczyciel stali na tym samym stanowisku. – To znaczy, że oni też nie będą mieli.

– No to jaki jest pierwszy krok? Co robimy teraz? Williams przeciągnął się leniwie, stojąca obok niego Hwang ziewnęła.

– Idziemy spać.

## ROZDZIAŁ 11

Chyba najtrudniejsze ze wszystkiego jest udawanie snu, kiedy człowiek jest tak napięty, że z trudem może uleżeć spokojnie. A właśnie to Ethan i wszyscy inni w pokoju musieli robić przez resztę tego dnia i jeszcze kawałek nocy. Kiedy nadeszła wyznaczona godzina, ledwie mógł wytrzymać, żeby się nie odezwać i nie otworzyć zaciśniętych powiek.

Od grupy zsuniętych razem przez naukowców pryczy dochodziły do niego słabe odgłosy. To pewnie poruszał się Blanchard. On i jego koledzy przeprowadzali przez całe popołudnie próby, ale jeżeli nawet wszystko pójdzie dobrze, niepowodzenie będzie o włos. Kamera przemiatła pokój co trzydzieści sekund. Drugiej szansy nie będą mieli. Musi się udać za pierwszym razem.

Jakaś ręka delikatnie dotknęła jego ramienia i Ethan w milczeniu wysunął się spod cienkich kocy. Wyczuwał, że w mroku poruszają się inne sylwetki. Z upływem minut, kiedy nie pojawił się żaden uzbrojony strażnik, żeby sprawdzić, skąd w nocy taki ruch, zaczęli nabierać pewności siebie. Antal pozwolił im zatrzymać kombinezony ochronne i wmontowane w nie nieszkodliwe wyposażenie. Wykorzystując własne ciała, żeby zasłonić swoje wysiłki przed niestrudzonym okiem judasza, Blanchard i jego przyjaciele przerobili część tego wyposażenia. Efektem ich pracy był mały nadajnik o zakresie ultrakrótkim.

Nie mogli unieszkodliwić kamery, bo na to natychmiast zareagowałyby służby ochrony, ale Blanchard obmyślił sposób pozwalający osiągnąć ten sam wynik. Nadajnik, który on i jego koledzy skonstruowali i wycelowali w soczewkę judasza, zablokował obwody zapisu. Zamiast co trzydzieści sekund pokazywać nowy zapis, kamera wyświetlała teraz w kółko to, co zaobserwowała przez pół minuty pomiędzy dwunastą piętnaście a dwunastą piętnaście i pół. Przez te trzydzieści sekund nie widziała niczego, poza pokojem pełnym śpiących ludzi. I miała raz za razem pokazywać tę sekwencję, dopóki albo ktoś w końcu nie zauważy oszustwa, albo jakość nagrania nie zacznie się pogarszać przez wielokrotne odtwarzanie. A w tym czasie oni mieli już nadzieję znaleźć się gdzie indziej.

Koniec końców to, że w sypialni-więzieniu nikt ani razu nie ziewnął, nie przewrócił się na drugi bok, czy nawet nie drgnął we śnie, nie powinno zbyt szybko zwrócić uwagi tego kogoś, kto miał patrzeć w monitory. Stawiali na nudę, nierozzerwalnie związaną z takim zajęciem. Najpewniej człowiek dyżurujący przy monitorach będzie tylko od czasu do czasu rzucał okiem na ekrany, a więc mało prawdopodobne, żeby szybko zauważył coś niezwykłego. Jeżeli szczęście im dopisze, nikt nie zorientuje się że zniknęli, dopóki nie przyjdzie pora na dostarczenie im porannego posiłku.

W porównaniu z wykiwaniem układu inwigilującego otwarcie zamka w drzwiach nie przedstawiało większych trudności. W drzwi wmontowane było pojedyncze okienko. Wyjrzeli przez

nie i upewnili się, że nie tylko tuż przed drzwiami nikogo nie ma, ale również że na noc instalację rzeczywiście wyłączano. Na korytarzu jarzyło się tylko kilka przyćmionych światełek.

Kiedy wszyscy po cichu wyslizgnęli się na zewnątrz, Blanchard wyjął wykonaną własnoręcznie prostą blokadę i słuchał, jak zamek z powrotem zaskakuje. Jeżeli ktoś przechodząc korytarzem naciśnie klamkę, przekona się, że drzwi są zamknięte. Jeżeli jeszcze rzuci okiem przez okienko, powinien zobaczyć nierówne, nieruchome kształty, leżące na niewyraźnie oświetlonych pryzkach; pod nadzorem Williamsa poukładano w artystyczny sposób koce i poduszki, mające udawać uspione postacie ludzi.

Dotąd pokładali nadzieję w Blanchardzie, teraz zaczęli polegać na Septembrze, który, jak się okazało, miał najlepszą pamięć do miejsc i przejść. Przemykając po korytarzach i schodach zachowywali pełną czujność, ale wyglądało na to, że nikomu nie muszą stawić czoła. Naokoło nich maszyna mruczą – ła i hałasowała, maskując odgłosy ich kroków na metalowych pomostach. Było jasne, że instalację obsługuje nieliczna zmiana nocna.

– Wydaje mi się, że to tędy – szepnął Williams.

September potrząsnął głową, nie zgadzał się z nim. W przyćmionym świetle jego siwe włosy świeciły jak podrygująca latarnia przewodnia, na której wszyscy mogli skupić wzrok.

– Tędy. Kiedy zostawiliśmy tranów, poprowadzili nas jeszcze jeden poziom do góry.

Ruszył w kierunku schodów, bezszelestnie jak duch. Po kilku minutach stali naprzeciw solidnych drzwi, które zamykały chłodzone pomieszczenie magazynowe, gdzie zamknięto ich trańskich współtowarzyszy. Williams musiał przyznać, że się mylił. September przyjął przeprosiny, jak coś, co mu się należało. Ten etap podjętej próby ucieczki miał być najtrudniejszy, bo naturalnie nawet nie myśleli uciekać nie uwolniwszy Hunnara, Elfy i reszty trańskich przyjaciół.

– Czy widzisz coś? – Ethan i inni patrzyli niespokojnie na Blancharda, który przytknął twarz do okienka w drzwiach i wpatrywał się w leżący za nim pokój.

– Dwa dołki w suficie. Mogą to być soczewki judasza, a może to być coś innego. Nie mogę się zorientować w szczegółach.

– Zraszacze – zasugerował z nadzieją Semkin. – Po co ktoś miałby montować podgląd w chłodni?

– Nie wiem – Blanchard cofnął się o krok i potarł oczy. – Będziemy musieli po prostu wślizgnąć się do środka i mieć nadzieję, że jeżeli to są kamery, to zdążę je zablokować, zanim ktoś się obudzi. Jeżeli po pokoju zaczniesz się nagle kłębić około pięćdziesięciu tranów, taki ruch przyciągnie natychmiast uwagę nawet najbardziej zaspanego ochroniarza, obserwującego monitory.

Zaczekali, aż geofizyk użyje własnoręcznie wykonanego przyrządu i przerwie pole magnetyczne blokujące drzwi. W ciemnościach cichuteńkie trzaski zabrzmiały nienaturalnie głośno. September objął ogromną klamkę jedną ze swoich olbrzymich łap, kiwnął głową Blanchardowi i powoli uchylił drzwi.

Kilku tranów poruszyło się. Jeden usiadł i nic nie mówiąc wpatrywał się w ciemności. Blanchard pospiesznie wycelował urządzenie blokujące w jedną z ciemnych plamek na suficie i odprężył się z westchnieniem ulgi. Wylot zraszacza. Rację miał Semkin, nie było żadnych powodów, żeby umieszczać kamery inwigilacyjne w czymś, co w zasadzie służyło jako większych rozmiarów lodówka. Ethan nie wątpił, że w końcu zainstalowanoby takie urządzenia, żeby mieć na oku zarówno tranów, jak i ludzi, chwilowo jednak ani Bamaputra, ani Antal nie uznali tego za sprawę największej wagi. Poza tym żaden prymitywny tubylec nie poradziłby sobie z magnetycznym zamkiem. Chłodnia była absolutnie bezpieczna. Równie bezpieczna jak sypialnia.

Rozsypali się po pomieszczeniu i zaczęli budzić tranów, zwracając im uwagę, że mają być cicho. Ciemne, futrzaste kształty zaczęły podnosić się i zbierać. Słabe światło przeświecało niesamowicie przez ich dany, nadając im wygląd przeogromnych nietoperzy. Nie minęło kilka minut, a już wszyscy zostali obudzeni. Uściski i powitania odłożyli na później, kiedy będzie można je wymienić w bardziej sprzyjających warunkach. Wciąż jeszcze musieli się wydostać na zewnątrz tej instalacji.

Kiedy zaczęli gęsiego wychodzić z pomieszczenia, korytarz był pusty jak świeżo wykopany grób. Tak duża ilość osób nie była niestety w stanie poruszać się bezszelestnie, odgłos ich kroków wybijał się ponad cichy pomruk maszynierii. A jednak sam hałas to było za mało, żeby podniósł się alarm. Ktoś go musiałby najpierw usłyszeć. Blanchard zatrzaskał ponownie drzwi do magazynu, a Ethan i reszta ludzi omawiali plany ze świeżo uwolnionymi tranami.

– Musimy podjąć próbę odbicia statku.

Hunnar przytaknął, taki dziwny gest głową w dół i w bok, który Ethan znał już równie dobrze, jak gest ludzki.

– Dobrze będzie znowu walczyć.

– Nawet gdyby miało nam się nie udać – szepnął Monslawic, pierwszy oficer Ta-hodinga – lepiej umrzeć walcząc niż gnijąc w klatce.

September klepnął trana w okryte futrem ramię.

– Tak już daleko doszliśmy, że na pewno nam się uda. Poszli za olbrzymem, który dokładał wszelkich starań, żeby przeprowadzić ich tą samą drogą, którą szli, kiedy wprowadzono ich do instalacji. Nie było sposobu, żeby stłumić klekotanie pazurzastych szifów na metalu, a brzmiało ono jak przemarsz armii owadów i to wielkości psów. Siedzący na nocnej zmianie samotny technik zostawił swoje zegary i przyrządy pomiarowe, żeby przekonać się, co tak hałasuje. Przekonał się. Oczy mu się rozszerzyły, kiedy skoczyło na niego z pół tuzina marynarzy ze *Slanderscree*. Byliby mu poderżnęli gardło, gdyby nie interwencja ludzi. Ethan zwrócił tranom uwagę, że ten nieszczęsny człowiek nie odpowiada ani za instalację, ani za przyczynę jej istnienia. Musiał użyć całego swojego daru przekonywania, żeby im to wyperswadować. Tranowie aż palili się do tego, żeby kogoś zabić. W końcu rozstrzygnęli sprawę obdarowując technika łagodnym wstrząsem mózgu. Cheela Hwang i jej koledzy rzucili się jak stado uczonych padlinożerców na jego pas z wyposażeniem i kieszenie i przywłaszczyli sobie wszystko, co im się ewentualnie mogło później przydać.

Przy wejściu do instalacji nie postawiono żadnego strażnika; byłoby to czyste marnowanie siły roboczej. Człowieczy mieszkańcy rzadko wychodzili na zewnątrz, a nie upoważnionych tranów nigdy nie wpuszczano do środka. Tym niemniej, zdaniem Ethana i Septembra, Blanchard i Moware stracili kilka bezcennych minut, żeby jak najdokładniej upewnić się, czy nie ma czujników alarmowych. Tranowie kłębili się bez celu za ludźmi, wyobrażając sobie, że zza tej masywnej przegrody już pachnie im lodowata wolność.

Geofizyk, Hwang i Semkin pracowali przez kilka minut nad mechanizmem drzwi, potem wszyscy dali krok w tył. Blanchard coś podłączył, jakiś motor ożył, drzwi podjechały do góry i odchyliły się cicho w tył. Wszyscy wstrzymali oddech, ale nie rozwrzeszczały się za nimi żadne syreny, żadne klaksony nie rozdarły ciszy nocnej. Na nagim zboczu na zewnątrz tylko nieustanny wiatr jęczał zachęcająco. Teraz nic już nie zdołałoby powstrzymać tranów. Marynarze i żołnierze wylali się przez otwór i zebrali na wymiecionym, płaskim obszarze, który wycięto z granitowego masywu. Wsypali świeże, zimne powietrze, rozpościerali dany i z czystej radości kręcili się jak frygi na spłachetkach lodu. Po lewej ich ręce znajdowała się ścieżka, która prowadziła w dół do uśpionego Yingyapinu. Dwa różne księżyce Tran-ky-ky oświetlały biegnącą zakosami, ciemną wstęgę, mi – gocącą na jaśniejszej skale. W niedosłej stolicy Tran-ky-ky paliło się jeszcze mimo tak późnej pory kilka świateł. Kiedy Blanchard zamykał za nimi drzwi, Ethan już ruszał w dół. Przytrzymała go pazurzasta dłoń. Ethan odwrócił się i zobaczył, że z wysoka jarzą się w jego stronę kocie oczy Hunnara Rudobrodego. Rycerz uśmiechał się radośnie.

– Można szybciej, mój przyjacielu. – Odwrócił się, pokazując szerokie plecy. – Włóż. Obejmij mnie nogami w pasie tuż pod miejscem, gdzie przyrośnięte są dany.

– Ja nie...

– Nie sprzeczasz się. W tamtym miejscu my polegaliśmy na waszej mądrości. Na zewnątrz, na prawdziwym świecie, wy musicie słuchać nas. – Pokazał łapą i Ethan zobaczył jak Hwang i pozostali naukowcy wspinają się na grzbiety krzepkich żeglarzy.

Drzwi się już zamykały, gdy wyturlał się spod nich Blanchard, o włos unikając zmiżdżenia. Podniósł się zadyszany, osłona hełmu mu się chwilowo zamglila. W jego głosie słychać było uniesienie.

– Niczego takiego nie robiłem od czasów uniwersyteckich. Trochę to przypomina jakąś skomplikowaną grę. – Odwrócił się twarzą do drzwi, które tymczasem stały się znowu częścią zbocza. – To trzydziestosekundowe nagranie wciąż jeszcze ich robi w balona.

– Miejmy nadzieję, że nie przestanie. – Ethan wdrapał się na grzbiet Hunnara i oplótł palcami pasy, którymi spięte były dwie części kamizeli ze skóry hessavara. Nogami objął rycerza w pasie. – Co teraz?

– A to.

Hunnar ciężkim krokiem podszedł na skraj czegoś, co na oko wyglądało Ethanowi na pionową ścianę. Po bliższym zbadaniu można było się zgodzić, że spadek nie jest całkiem pionowy. Nigdy za

bardzo nie lubił wysokości. W tym miejscu wylewano wodę, żeby utworzyła się gładka wstęga lodu w dół aż na nabrzeże. W świetle księżyca połyskiwała ona, jak zamrznięty wodospad.

Zaczął właśnie mówić: Nie możesz...! – kiedy Hunnar odepchnął się i poleciał w pustkę.

Spadali. Naokoło osłony jego hełmu porykiwał wiatr. Rycerz rozłożył swoje potężne ramiona, rozpostarł błoniaste dany na maksymalną szerokość – tym razem nie po to, żeby łapać wiatr, tylko żeby zmniejszyć szybkość zjazdu. Zdaniem Ethana wcale nie zwolnili. Wpijał więc palce w pasy z hessavara, a jego serce wyruszyło w pośpieszną wędrówkę w kierunku gardła. To w ten sposób miejscowi tranowie, Corfu i jemu podobni, wracali z instalacji z powrotem do Yingyapinu. Nie dla nich tracenie całych godzin na mozolne schodzenie zakosami po ścieżce. Przypominało to Ethanowi zjazd po skoczni narciarskiej, tylko że na dole nie czekało na nich żadne zakrzywienie toru do góry. Wyłącznie lita skała i kawałek czegoś, co wyglądało jak teren dużo za szczupły, żeby się na nim dało wyhamować.

Ośmielił się otworzyć oczy i zobaczył resztę tranów mknących w dół po lodowym jezorze. Niektórzy nieśli na plecach swoich człowieczych towarzyszy. Jeden mocarny żeglarz trzymał na grzbiecie Skuę Septembra. Kiedy Ethan spojrzał na przyjaciela, ten jak szalony zaczął machać w jego kierunku. Było jasne, że Skua wspaniale bawi się przy tym niemal samobójczym zjeździe.

Chyba cudem znaleźli się na dole stoku cali i zdrowi. Dygocąc Ethan ześlizgnął się z pleców Hunnara i usiłował doprowadzić swój oddech i bicie serca do normy. Odchylił przy tym głowę do tyłu i wpatrzył się w półkę skalną, która wyznaczała położenie wejścia do instalacji, skąd właśnie uciekli. Półka wyglądała jak cienka kreska na tle jaśniejszego kamienia, nieprawdopodobnie wysoko. September podszedł do niego wielkimi krokami i klepnął go po plecach.

– Ale jazda, no nie, mój chłopcze?

– Mógłbym żyć i bez takich wrażeń. – Ethan wciąż jeszcze gwałtownie łykał powietrze przez membranę osłony hełmu. Chociaż miał wielką ochotę odrzucić do tyłu kaptur i osłonę, nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby to zrobić teraz, podczas najzimniejszej części nocy.

Gdyby porywacze chociaż trochę pomyśleli, pozabieraliby im kombinezony i wymienili je na zwykłe dresy, czy jakąś inną tego typu odzież. To by z góry wykluczyło wszelkie możliwości ucieczki dużo bardziej skutecznie niż najmocniejsze nawet zamki czy najgrubsze drzwi. Antal jednak nie zawracał sobie tym głowy. Czemu miał się martwić? Więźniowie byli bezpiecznie zamknięci pod kluczem i stale pod okiem kamer inwigilacyjnych. Żadną miarą nie mogli uciec.

Po tym zapierającym dech w piersi zjeździe znaleźli się na skalistej półce tuż poza obrębem miasta. Ludzie dochodzili do siebie po locie prosto w przepaść, a tranowie naradzali się. Hunnar, Elfa, Grurwelk i Ta-hoding dołączyli do nich chwilę później.

– Sądziemy, że bezpieczniej będzie unikać miasta. Chociaż o tej porze na zewnątrz nikt nie powinien się kręcić, nigdy nie można być pewnym, kiedy się trafi nocny patrol. Naokoło portu biegną lodowe ścieżki. Im dalej będziemy się trzymać od zamieszkanym terenów, tym lepiej. Zajmie nam to trochę więcej czasu. – W świetle księżyca Hunnar naszkicował trasę na skale. Po drugiej stronie

portu, wciąż przycumowana do tego doku, do którego przybili, czekała ze zrefowanymi żaglami *Slanderscree*, jak pogrążona w marzeniach śpiąca królewna.

– Objedziemy dookoła tędy i tędy, a potem przejedziemy przez port.

September z namysłem przyglądał się proponowanej trasie.

– Strasznie będziemy odsłonięci tam na lodzie. W ogóle nie ma się gdzie ukryć.

– Strażnicy Corfu powinni się tłoczyć wokół ogniska albo jednego z waszych magicznych ogrzewaczy od strony miasta. Nie ma żadnego powodu, by mieli podejrzewać, że nie siedzimy szczelnie zamknięci wewnątrz tej góry. Co do zdrajców ze *Slanderscree*, no cóż, jeżeli sumienie będzie ich gryzło, tak jak powinno, ich odpoczynek będzie mniej spokojny, ale również nie powinni wystawiać warty na statku, który już jest pod strażą. Podjeżdżając więc od strony portu unikniemy oczu tych wszystkich, którzy mogą nie spać.

– Nie widzę, żebyśmy mieli jakąś inną szansę – ośmielił się wtrącić Ethan. – Poza tym im szybciej się ruszymy, tym będzie ona większa. Tempo bardzo dobrze nam na razie służyło.

Hunnar szeroko się do niego uśmiechnął.

– Gotów więc jesteś, przyjacielu Ethanie, na następną jazdę?

– Jak długo nie będzie ona odbywać się w pionie. Ruszyli, na przodzie tranowie, ludzie w środku, na tyłach znowu tranowie pod wodzą pierwszego oficera Monslawika. Tranowie jechali po lodowej ścieżce biegnącej równoległe do linii brzegowej, a ludzie musieli torować sobie drogę przez nagie skały w pobliżu. Od czasu do czasu musieli zwalniać i obchodzić jakąś stojącą na osobności szepę, czy kamienną chatę, ale w tych budowlach nie paliły się żadne światła. Jeżeli nawet ktoś tam mieszkał, pogrążony był we śnie i nie zdawał sobie sprawy, że z wielką ostrożnością obchodzi go dookoła kolumna zdesperowanych osób. Gdyby zaś doszło do jakiejś walki, mieli ją podjąć tranowie. Chociaż materiał, z jakiego wykonano kombinezony ochronne, był mocny i wytrzymały, nie nadawały się one na zbroje. Zgodnie ze swoim przeznaczeniem miały nie wypuszczać na zewnątrz ciepła czy chłodzenia, a nie służyć jako osłona przed sztychem miecza. Ukłucie czy cięcie pod odpowiednim kątem i z wystarczającą siłą mogło przebić wewnętrzną wyściółkę, a wtedy kombinezon stałby się bezużyteczny. Jeżeli mają uciec, kombinezony muszą być sprawne. Elfa uspokajała ich, tłumacząc, że nie było powodów, żeby na kliprze lodowym wystawiać wartę od strony portu. Nikt ich nie zauważy, jak będą podjeżdżać. A potem przyszła pora, żeby Ethan znowu dosiadł grzbietu Hunnara i w chwilę później cała grupa wyjechała na lód. Hunnar uniósł ramiona, jego rozpostarte dany wypełniły się wiatrem. Ethan czuł, jak nabierają szybkości, wytrwale przyspieszają, aż wreszcie szifowali w milczeniu przez port. Warstewka wytopionej wody, która pokrywała powierzchnię lodu, nieco hamowała ich w pędzie i Ethan przygotowany był na jeden czy dwa upadki, ale tranowie dobrze dostosowali się i nie mieli trudności z utrzymaniem równowagi.

Domysły Hunnara okazały się słuszne. Kiedy podjechali do klipra, nawet najbardziej krótkowzroczny z nich mógł się przekonać, że poręcze i kosze obserwatorów na topach masztów są opustoszałe. Statek spał równie mocno jak miasto. Jacalan i jej towarzysze rzucali nerwowe



spojrzenia w kierunku podziemnej instalacji, z której właśnie uciekli, ale ciągły brak błyskających świateł czy wrzasku syren dodawał im ducha. Wciąż jeszcze nie odkryto ich ucieczki, a minie wiele godzin, zanim ktoś będzie musiał osobiście sprawdzić sypialnie. Jeżeli na pokładzie klipra dopisze im szczęście, w porze śniadania zostawią już port za sobą i będą mknąć po otwartym lodzie. Im więcej kilometrów oddzieli ich od Yingyapinu, zanim ktoś się zorientuje, tym większe będą mieli szansę na przegonienie jednego z krótkodystansowych lodolotów.

Hunnar odwrócił się i pozwolił, by Ethan ześlizgnął mu się z pleców. Chodzenie po lodzie w butach od kombinezonu ochronnego było trudne, ale nie niemożliwe, chociaż warstewka wody wcale tego nie ułatwiała. Musieli się poruszać jeszcze ostrożniej niż zwykle. Odgłos tyłu chlupoczących naokoło stóp wydawał się Ethanowi ogłuszająco donośny. Połowa wiernych tranów zaczęła wspinać się po drabinach wciętych w burtę klipra lodowego, a reszta z nich poszifowała pod kadłub. Mieli wsiadać po prawej stronie. Trzecia grupa pod dowództwem Skuy Septembra skierowała się w stronę doku. Mieli uciszyć wszystkich strażników na brzegu, a potem dać sygnał, który miał być hasłem do rozpoczęcia końcowego ataku na kliper.

Niestety sługusy Corfu nie były ani tak leniwe, ani tak zaspane, jak wszyscy mieli nadzieję. W nocnym powietrzu zamiast nieprzerwanej ciszy rozległ się ochrypy wrzask. Ethan zeszywniał słysząc słaby, łatwy do rozpoznania, szepczący syk strzału z promiennika. Hunnar wymamrotał coś niezrozumiałego po trańsku i ruszył do góry po pobliskiej drabinie. Teraz nie było już na co czekać. Wpatrując się w ciemności Ethan widział żołnierzy i marynarzy *Slanderscree*, którzy wspinali się jak wariaci i wiedział, że po prawej burcie będzie się działo to samo. Mieli przewagę liczebną nad buntownikami, ale to nie gwarantowało sukcesu. W żaden sposób nie mogli wiedzieć, ilu wartowników zostawił Corfu na pokładzie statku, ani w co ci wartownicy byli uzbrojeni.

Ethan w pośpiechu sam wdrapał się na z grubsza ociosane stopnie i przelazł przez poręcz na oświetlony księżycowym światłem pokład. Z dołu, gdzie miała miejsce walka, dobiegały jakieś stłumione dźwięki. Natychmiast popędził do przeciwległej poręczy i wbił wzrok w miasto. Z niewielkiego budynku na drugim końcu doku, gdzie zabarykadowali się strażnicy, dobiegały krzyki i wrzaski. Sporadyczny błysk promiennika wydawał się w nocy szokująco jaskrawy. Już zaczynały pojawiać się światła w innych budynkach – to zbudzeni hałasem mieszkańcy po omacku znajdowali lampy. Niepokojnie rzucił okiem w kierunku góry, która dominowała nad drugim końcem portu, ale wciąż jeszcze nic nie wskazywało, żeby hałas zaniepokoił porywaczy.

Kłótnie i walka były czymś równie naturalnym dla tranów, jak jedzenie i spanie. Jeżeli będą mieli szczęście, ten, kto zauważy zamieszanie w mieście, uzna, że przyczyną tego są zwykłe tarcia między tranami. Nawet nie pomyśli, że może to mieć coś wspólnego z ostatnio wziętymi do niewoli jeńcami. Przecież monitor służb ochrony nadal pokazywał, że goście-jeńcy z Dętej Małpy śpią głębokim snem w swoich łóżkach.

Nie, nie będą mieli powodu sądzić, że przyczyną nocnej burdy jest coś niezwykłego. Nawet gdyby wiadomość doszła w końcu do Massula fel-Stuovica albo do Corfu, podniesienie alarmu w podziemnej instalacji zajęłoby im trochę czasu. Chyba żeby sojusznicy Bamaputry mieli dostęp do komunikatora. A nawet gdyby mieli, obudzenie kogoś takiego jak Antal, który władny był podejmować decyzje, też by trochę musiało potrwać.

Jego uwagę zwrócił jakiś obcy kształt, który tuż obok wynurzył się spod pokładu. Światło księżycy ześliznęło się po mokrym od krwi mieczu. Widząc wyraz twarzy Ethana, Elfa pospieszyła go pocieszyć.

– Dosyć niewiele było zabijania. Zaskoczyliśmy ich w hamakach. Zdrajcy Kilpit i Mousokka byli w kabinie Ta-hodinga. Ci, którzy pozostali nam wierni, byli zdania, że należy ich wszystkich zarżnąć, ale ten mioudusty czort Hunnar upierał się, że tych, którzy się zbuntowali, skłoniła do tego tyleż uciążliwość długiej podróży, co propozycja tego kupca Corfu i uznał, że można przywrócić im status członków załogi. Dopóki nie będziemy ich pewni, każdego będzie pilnował ktoś, czyja lojalność jest niepodważalna. Ci, którzy się nie opierali i wyrazili skruchę, dostaną taką szansę. Co do mnie, sędzę, że mój małżonek jest zbyt litościwy, ale potrzebna nam będzie każda para rąk. – Pokazała na główny maszt, gdzie żeglarze borykali się z lodowatym wiatrem, mozoląc się nad stawianiem żagli.

Inni wyteżali siły, żeby podnieść lodowe kotwice, podczas gdy Ta-hoding nadzorował pospieszne splatanie poprzecinanych lin sterowniczych. W chwilę później, dołączył do nich zdyszany September.

– Nie zaskoczyliście ich – powiedział oskarżycielsko Ethan.

– Zdarza się, że obiekt docelowy nie okazuje takiej chęci współpracy, jakby sobie człowiek wymarzył. To jest rzeczywisty świat, mój chłopcze. – Za osłoną hełmu jego oczy lśniły jak maleńkie repliki księżyców Tran-ky-ky. – Mieliśmy szczęście, że poszło nam tak dobrze, jak poszło. Te sukinsyny miały promienniki. Jeden z nich był w łazience i wydostał się, zanim go dopadliśmy. To on zobaczył, jak się zbliżamy i podniósł alarm. Reszta z nich rozdzieliła się na dwie grupy. Z pierwszą uporaliśmy się bez większych kłopotów, ale pozostali stawiali nielichy opór. Wciąż jeszcze nie jestem pewien, czy dostaliśmy ich wszystkich. Ale mamy to. Trzymaj. – Cisnął Ethanowi coś niewielkiego i srebrzystego. Promiennik. Ethan z radością chwycił nielegalną broń.

– Starszego typu. – September wyszczerzył zęby. – Bamaputra aż takiego wielkiego zaufania do swoich trańskich sojuszników to nie ma. Chociaż to też całkiem skuteczny zabójca. – Pokazał swoją własną zdobyczną broń. – Obydwa mniej więcej na wpół naładowane. Używaj go tylko w ostateczności.

Ethan energicznie skinął głową i przypiął broń do pasa. Nie był żołnierzem, ale w ciągu minionego roku sporo już walczył, a promiennik był tak prosty w obsłudze, że dziecko by go umiało użyć. Albo prymitywny tubylec, nie obeznany z nowoczesną technologią. Kierowało się go na cel i pociągało za spust tak często, jak trzeba, aż do wyczerpania ładunku. Będzie strzelał co najmniej tak celnie, jak każdy z żołnierzy Corfu.

Kliper lodowy zachwiał się, niemal zbijając go z nóg. Ta-hoding odwrócił się od steru i poszedł chwycić za koło sterowe.

– Jak sądzisz, kapitanie? – zapytał September. Ta-hoding nie miał czasu na odpowiedź. Sprawdzał koło, nadzorował składowanie kotwic lodowych i usiłował ustawić żagle w jakiś skuteczny układ. Zza rufy nie przestawały dochodzić wrzaski; przekazywał mu je jakiś inny marynarz, siedzący okrakiem na tylnej poręczy.

– Liny steru przez jakiś czas wytrzymają, przyjacielu Skuo, pod warunkiem, że nie będzie silnego wiatru i że szybkość nie będzie duża. Wyciśniemy z nich, ile się da, a jak znowu popękają, to będziemy musieli zatrzymać się i je posplatać, ale ani chwilę wcześniej.

– Ja się z tobą o to kłócić nie będę.

Potem oczy mu się rozszerzyły i wydał z siebie ostrzegawczy ryk. Ethanowi wydawało się, że strzelił mu prosto w twarz. Przed siatkówką roztańczyły mu się plamki. Odwrócił się i zobaczył yingyapińskiego żołnierza, który właśnie spadał z poręczy z poparzoną twarzą i futrem palącym się tam, gdzie trafił go promiennik. Kiedy Ethan pozbierał się z pokładu, September ciężko podszedł do poręczy i wyjrzał przez burtę, wydając pełne satysfakcji odgłosy.

– Cieszy cię zabijanie, nie, Skuo? – Ethan otrzepał swój kombinezon.

Olbrzym odwrócił się do niego.

– Nie, mój chłopcze, nic nie rozumiesz. W najmniejszym stopniu zabijanie mnie nie cieszy. Jestem zachwycony, jeżeli uda mi się pokrzyżować szyki nieprzyjacielowi. Zawsze miałem taki charakter i chyba już się to nie zmieni.

Klipper lodowy zajęczał i Ethan znowu się potknął. Postawiono wcześniej kilka głównych żagli, a teraz dwa fokki wydeły się na wietrze. Ta-hoding obchodził się z kołem sterowym tak delikatnie, jakby to była damska bransoletka na kostkę u nogi i wykorzystywał do maksimum ruchome reje, kiedy statek odsuwał się od doku. Pierwszy brzask poranka musnął top głównego masztu roztopionym złotem.

Ruszyli w drogę.

Ethanowi wydawało się, że każda deska, każdy gwóźdź i sworzeń trzeszcza i jęcza, kiedy kapitan kierował swój statek na lód. Ta-hoding próbował sterować wykorzystując wiatr i reje, żeby w miarę możliwości oszczędzać z grubsza tylko posplatanie liny sterowe. September skinął na Ethana, by ten dołączył do niego przy poręczy.

W doku zebrał się niewielki, uzbrojony tłumek. Nie było widać żadnych promienników. Strzały i włócznie, które tranowie miotali w wycofujący się statek, nie dolatywały nawet do celu; Ta-hoding obrócił dziób klipra lodowego i wziął kurs na wejście do portu.

Kilka oddziałów Massula poszifowało na lód, więcej na pokaz niż z chęci walki. Nie stanowili żadnego realnego zagrożenia dla *Slanderscree*. Rozpędzali się, ciskali włóczniami i niewielkimi toporkami, potem skręcali ostro w lewo albo w prawo, żeby nie dostać się w pole rażenia kuszników ze statku. Jeden łucznik ośmielił się zanadto przybliżyć i w nagrodę za to dostał parę bełtów. To położyło kres wszelkim myślom o pościgu, jakie mogły się lęgnąć w głowach ich byłych strażników.

Kierowali się już w stronę otwartego morza, a wciąż jeszcze zbocze góry w żaden sposób nie zareagowało. Ethan zastanawiał się, jaka byłaby reakcja Massula na szczegółowe wyjaśnienie prawdziwych zamiarów Bamaputry i jego ludzi. Czy uwierzyłby, że ludzie, którzy wzięli go pod

swoje skrzydło, nie tyle mieli zamiar mu pomóc, ile sprowadzić śmierć na tysiące jego współplemieńców po to, żeby móc ukraść ich świat? Że miał być cesarzem tylko z nazwy i władać smutnymi resztkami niegdyś dumnej i niezależnej rasy? A co z Corfu? Jaki pożytek mógł przynieść monopol na handel, kiedy wymrze większość potencjalnych klientów? Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Nawet gdyby udało im się przekonać obydwu tranów, jaka jest prawda, Bamaputra po prostu by ich wyrzucił, a na ich miejsce wziął bardziej chętnych do współpracy zastępców. Zawsze, w każdej rasie, znajdują się tacy, dla których obietnice znaczą więcej niż prawda. W każdym razie wątpił, czy będzie miał okazję to sprawdzić.

Ta-hoding kręcił teraz kołem nie zważając na możliwość spowodowania napięć w posplatanych linach i wielkim głosem rozkazując cofać się pod żaglami. Ethan zmarszczył brwi. Cofanie się pod żaglami było ostatnim rozkazem, jakiego się po kapitanie spodziewał. Popędził w kierunku dziobu. September zeskoczył z pokładu szańcowego, chcąc do niego dołączyć i wylądował z takim łomotem, że Ethanowi zdawało się, iż jego olbrzymi przyjaciel przebija się na wylot do kabin mieszkalnych. Mocne drewno wytrzymało. A potem stali ramię w ramię i patrzyli nad dziobem, a *Slanderscree*, która właśnie zaczynała przyspieszać, zwolniła i zatrzymała się.

Przed nimi, lśniąc w promieniach wschodzącego słońca i blokując całe wyjście z portu widoczna była metalowa bariera, składająca się z olbrzymich kształtek X, wykonanych z budowlanych dźwigarów. Były one przymocowane do grubej, metalowej rury i wyglądały jak szereg krzyży nawleczonych na słup. Każdy X stał na parze metalowych płóc całkiem podobnych do tych, na których wspierał się kliper lodowy. Cały ta masywna brama przyczepiona była na zawiasach do cypla ziemi tuż na zachód od miasta. Zza okien z prawdziwego szkła świeciło mocne światło, wskazując na niezależne źródło energii. Nawet z daleka Ethan widział masy uzbrojonych tranów, którzy zbierali się na skalistym półwyspie, żeby bronić stacji bramnej.

Bariera odcinała port od znajdującego się za nią otwartego morza. Nawet gdyby udało im się jakoś odciąć zasilanie silniczków poruszających bramę, nie znaczyłoby to jeszcze, że uda im się ruszyć ją z miejsca. Zwłaszcza gdyby ktoś zablokował zawiasy. Wierzchołki X-ów znajdowały się cztery metry nad lodem, łącząca je rura czy sztaba w połowie tej wysokości. Nie była to żadna wątpa konstrukcja, wyglądała na solidną i nie do ruszenia. Znaleźli się w pułapce.

Zerknęli w kierunku Yingyapinu i zobaczyli grupy tranów, które miały się we wszystkie strony jak roje mrówek. Prawdopodobnie akurat w tej chwili ktoś rozmawiał przez komunikator ze służbami bezpieczeństwa w instalacji. Być może to personel Antala ustawił w tej pozycji barierę portową za pomocą zdalnego sterowania. Wyjaśniałoby to brak reakcji z góry. Nie było pośpiechu. Uciekinierzy nigdzie nie pojadą. Mnóstwo czasu, żeby wyprowadzić lodolot z jego działem laserowym i pod eskortą poprowadzić znowu niedoszłych uciekinierów do ich cel. A Ethan wiedział, że drugi raz nie uda im się zrobić sztuczki z monitorem, odtwarzającym w kółko to samo nagranie.

Tymczasem *Slanderscree* spoczywała na lodzie pokrytym trzema centymetrami wody, a ci, którzy byli na pokładzie, z obłędem w oczach usiłowali zdecydować się, co teraz zrobić.

- Czy uda nam się utrzymać statek? – zastanawiał się na głos Suaxus dal-Jagger.
- Nie wobec ciężkiej broni energetycznej.

– Przypuśćmy – powiedział Budjir – że zagrozimy im spalaniem go? Nie będzie to miało znaczenia dla tutejszych podniebnych ludzi, ale ten Corfu rozpaczliwie pożąda *Slanderscree*. Przynajmniej usiłowałyby ich przekonać, że skoro i tak nie możemy uciec, mogą poczekać i wziąć nas głodem.

– To jest pomysł – powiedział półgłosem September. – Bamaputra nie należy do tych, którzy by cokolwiek chcieli marnować. I pamiętajcie, że zależy mu na życiu Hwang i jej koleżków, na wypadek, gdyby jakieś ciekawskie typy z placówki odwiedziły go z pytaniem, co się z nimi stało. Sądzę, że masz rację, Budjirze. Myślę, że wstrzymają się ze strzelaniem. Widzą przecież, żeśmy tu utknęli, więc czemu by nie poczekać, aż się sami poddamy? Dla niego będzie lepiej, jeżeli odbędzie się to bez hałasu. Tyle, że na razie jeszcze się nie poddajemy. Wyjeżdżamy.

Ethan spojrział na niego z ukosa.

– Właśnie powiedziałaś, że tu utknęliśmy.

– To *Slanderscree* utknęła, a nie my.

– Nie zrozum mnie źle, Skuo. Wcale nie chcę tam wracać bardziej niż ty. – Pokazał palcem w kierunku góry i jej podziemnego kompleksu. – Ale równocześnie nie sądzę, żeby udało nam się dojść do Dętej Małpy na piechotę.

– Ja sam nie jestem najlepszy na ślizgawce, mój chłopcze. To dlatego weźmiemy jedną z szalup ratunkowych.

– Czy ty na serio rozważasz możliwość powrotu na waszą placówkę na którymś z tych maleńkich stateczków? – zapytał go z niedowierzaniem Hunnar.

– Nie do Dętej Małpy, co to, to nie. Ale jeżeli uda nam się dotrzeć do południowych szlaków handlowych w pobliżu Poyolavomaaru, możemy zatrzymać jakiś statek handlowy i zapłacić za przewiezienie nas do końca trasy. Jeżeli uda nam się zajechać tak daleko, młody Landgraf da nam przyzwoity statek i załogę, z którą pozeglujemy z powrotem na placówkę.

– Ja też jadę – powiedział im Ta-hoding.

– Z załogą musi zostać ktoś, kto umie wydawać rozkazy – przekonywał Ethan.

– Monslawic poradzi sobie z dowodzeniem. Już tego dowiódł. Beze mnie nie będziecie mieli najmniejszych szans.

– Moglibyśmy o tym podyskutować – powiedział mu September – ale nie ma co się kłócić. Dobrze będzie cię mieć znowu przy sterze, kapitanie. Myślę, że powinniśmy też wziąć tę dziewczynę, Seesfar. Zna terytorium stąd do Poyolavomaaru lepiej niż ktokolwiek z nas.

– Ją wolałbym raczej zostawić – warknął Hunnar.

– Ja sam za nią nie przepadam, ale kiedy człowiek próbuje ratować swoją skórę i skórę swoich

przyjaciół, osobiste sympatie i antypatie tak jakby wylatują za burtę. Nie musisz się z nią żenić, tylko z nią żeglować. A może by wziąć przedstawiciela naszego kontyngentu uczonych?

– Powinien to być Milliken. – Ethan popatrzył w dół, na pokład. Williams pogrążony był w ożywionej dyskusji z Cheelą Hwang i Snyekem, glacjologiem. – On wie, jak wygląda taka podróż. Ci inni nie wiedzą.

Hwang i jej koledzy bez wahania zgodzili się, że nauczyciel najbardziej odpowiadał wymaganiom. I tego się Ethan spodziewał; trzeba im przyznać, że rozsądni to oni byli. Ale zupełnie nie spodziewał się dzikiej namiętności, z jaką Hwang pocałowała nauczyciela na do widzenia. To nie było ani spodziewane, ani rozsądne. Zdumiewające, do czego może doprowadzić dwoje ludzi kilka zwyczajnych rozmów, dumął.

– A więc sześcioro – powiedział Hunnar przypatrując się, jak załoga odczepia jedną z dwóch szalup klipra. – Trzech tranów, trzech ludzi.

– Jedź, mężu – powiedziała półgłosem, miękko Elfa. – Niech cię wiatr przyprowadzi z powrotem do mnie. Będę tutaj na ciebie czekała, kiedy wrócisz.

Manipulując linami i bloczkami żeglarze opuścili małą łódkę za burtę.

– Do następnego wieczora.

Hunnar wysunął prawą łapę dłonią w górę i spleł palce, potem się rozstali. September już był za burtą, łapiąc i chowając worki z zapasami. Za nim poszedł Williams, potem Grurwelk Seesfar, Hunnar, Ethan i w końcu Ta-hoding, który się zasapał i usiłował tego po sobie nie pokazać.

Było ich na pokładzie tylko sześcioro, więc mieli mnóstwo miejsca dla siebie. To była dużo mniejsza wersja *Slanderscree*, wyposażona w cztery płozy zamiast pięciu, rumpel zamiast koła sterowego i jeden składany maszt. Jedyłą ochronę przed nieustannym wiatrem zapewniała wzniesiona na środku kabina. Kiedy się rozlokowali i usadowili, żeglarze zaczęli popychać łódeczkę w kierunku metalowej zapory. Kabina z trudem przecisnęła się pomiędzy dwoma zespawanymi X-ami i łączącą je sztabą i nagle znaleźli się po drugiej stronie, za barierą. Ta-hoding, Hunnar i September borykali się z postawieniem masztu i zablokowaniem go na pozycji tuż przed kabiną. Postawili pojedynczy żagiel i zamocowali go do czubka bomu. Kiedy wiatr wydał tkaninę z pikapiny, natychmiast metalowa brama, góry i port Yingyapinu zaczęły zostawać w tyle za nimi. Bryła klipra lodowego uwięzionego po drugiej stronie bariery wciąż była wyraźnie widoczna. Nikt nie wiwatował, że udało im się uciec, żaden obserwator nie machał do nich z entuzjazmem ze swojego stanowiska na czubku masztu. Jeżeli będą mieli szczęście, wyslizgną się nie zauważeni przez tranów stojących na brzegu, których uwaga powinna być teraz skupiona na dużo większym statku.

Kiedy zaczęli się wynurzać zza osłony portu, żagle wydeły się od zachodniego wiatru i nabrali szybkości. Spod płozy dziobowej rozpryskiwała się w górę i do tyłu marznąca woda, ochlapując wszystkich na pokładzie. Na bomie, poręczach i dachu kabiny zaczęły się tworzyć sople. Żaden statek na Tran-ky-ky nie był przystosowany do tego, żeby stawić czoło czemuś takiemu jak woda.

Wykorzystali zapasowy żagiel znaleziony na szalupie i udało im się zmajstrować prowizoryczny parawan pomiędzy dziobem i masztem. Nieco to zmniejszyło prędkość, ale chroniło przed wodą. Od momentu kiedy ruszyli Williams nie odrywał wzroku od portu.

– Nie widać lodolotów. To znaczy, że Bamaputra i jego ludzie nie wiedzą, że wyjechaliśmy. Może jeszcze przez jakiś czas nie zauważą, że nas nie ma.

– Nie licz na to – powiedział September zdrapując kryształki lodu ze skraju osłony hełmu. – Pierwsze, co ten Antal zrobi, to wszystkich przeliczy. Mogą nie zauważać braku szalupy, ale jestem cholernie pewien, że zauważą braki w załodze. Bez wątpienia dama twego serca przytrzyma ich tak długo, jak tylko się da.

– Tak, Cheela powinna... – Williams przerwał w pół zdania i ostro na niego popatrzył. – Dama serca? Z jakiego powodu tak mówisz, Skuo?

– Och, z żadnego, absolutnie bez powodu, Millikenie. Tyle, że niewiele brakowało, a przy pożegnaniu powaliłaby cię na pokład.

Na szczęście nauczyciel, którego łatwo było wprowadzić w zakłopotanie, miał dużo za ciemną cerę, żeby udało się na niej dostrzec rumieniec.

## ROZDZIAŁ 12

Otaczał ich zamrznięty ocean Tran-ky-ky, za rufą błyskawicznie oddalał się skraj południowego kontynentu, a spodziewanej pogoni wciąż ani widu ani słychu. Ethan zaczynał już wierzyć, że im się powiodło. September stał po prawej ręce Ta-hodinga, ocieniał jedną dłonią osłonę hełmu i wpatrywał się bacznie we wschodzące słońce.

– Skręćmy nieco na wschód, kapitanie.

– Na wschód? Ale Poyolavomaar leży na północno-północny zachód.

Wiatr mierzwił gęste futro kapitana. Podobnie jak Hunnar i Grurwelk, kapitan wydawał się niepomny na panujący chłód.

– Będą pewni, że tam właśnie się udamy. Lepiej stracić kilka dni żeglując na wschód, zanim się skierujemy na północ. Jak już zyskamy pewność, że nam nie zagrażają, będziemy mogli stopniowo zawracać w kierunku Poyo. Nie zapominaj, że zasięg tych podniebnych łodzi jest ograniczony przez ilość paliwa, jakie są w stanie ze sobą zabrać. Im więcej go zmarnują na poszukiwania tam, gdzie nas nie ma, tym mniej prawdopodobne, że nas znajdą. Pewne to jak diabli, że szybciej od nich nie pojedziemy. Nie w takiej brei. – Pokazał ręką za burtę.

Ethanowi zdawało się, że przez czas, kiedy byli uwięzieni warstewka wody na powierzchni tafli lodowej pogłębiła się o całe pół centymetra. Oczywiście było to niemożliwe. Taki przyrost wymagałby kilku miesięcy ogrzewania, ale trudno było pozbyć się myśli, że w każdej chwili ich pojazd może zmienić się z lodowego statku w łódź.

Około południa miejsce łagodniejszych na ogół zboczy otaczających port, który zostawili za sobą, zajęły swojsko wyglądające urwiska, wyznaczające granicę kontynentalnego płaskowyżu. Słońce świeciło jasno i ostro, dla trzech tranów powietrze wciąż jeszcze było zbyt ciepłe, ale ludziom nawet przez myśl nie przeszło zrzucenie kombinezonów ochronnych. Mogli natomiast odrzucić do tyłu kaptury i osłony hełmów. Warto było trochę zmarznąć, żeby tylko pooddychać krystalicznym, pozbawionym zanieczyszczeń powietrzem Tran-ky-ky. Z kapturem odrzuconym do tyłu lepiej się też słyszało, więc wszyscy mniej więcej w tej samej chwili usłyszeli basowe, jękliwe buczenie. Było tak głośne, że słysząc je było przez poświst, z jakim wiatr przelatywał przez olinowanie stateczku. September pospieszył na rufę, gdzie zaczął wyklinać lód i drwiący z nich los.

– Jak oni nas znaleźli? Jak?

Zaciskał w olbrzymiej pięści ukradziony promiennik, chociaż miał świadomość, że nie na wiele



on mu się przyda przeciw wyposażonemu w ciężką broń lodolotowi. Ethan chwycił za drugi pistolet.

– Nie jestem pewien, czy tym razem pozwolą nam na zadawanie pytań. – Wykonał gest bronią. – Może podjadą na tyle blisko, żeby sprawdzić, czy to my, i wtedy ich powystrzelamy.

– Może. – Ton Septembra wyraźnie wskazywał, jak olbrzym ocenia ich szansę. – Zależy, kto jest na pokładzie: ludzie, tranowie, czy jedni i drudzy.

Grurwelk podeszła, stanęła obok nich i pokazała palcem.

– Tam jest.

Minęło jeszcze kilka minut zanim ślizgacz zbliżył się na taką odległość, żeby jego srebrzystą sylwetkę zauważyli mniej dalekowzroczni ludzie. Leciał rączo nad płaską powierzchnią, trzymając się trzy metry nad lodem.

– Muszą mieć dobrego, przenośnego tropiciela. – September mamrotał ze zgrzyotą. – Liczyłem, że takiego urządzenia nie będą mieli. Najwyraźniej się myliłem. A może po prostu trafili na oślepe?

– Teraz nasza kolej. – Ethan delikatnym ruchem usunął promiennik z pola widzenia. – Pewnie już wiedzą, że je zabraliśmy, ale nie mają pewności, czy mamy je przy sobie. Mogą sądzić, że zostały na pokładzie *Slanderscree*.

September zawahał się, potem wetknął broń do kieszeni w spodniach kombinezону.

– Możliwe. Mało prawdopodobne, ale możliwe. Przekonamy się już niedługo. – Oczy mu zaczęły łzawić, kiedy wpatrywał się pod wiatr. – A co z ciężką artylerią?

– Obawiam się, że broń, o której wspomniałeś, rzeczywiście została zamontowana na tej podniebnej łodzi. – Hunnar pokazał głową na ukryte teraz pistolety i zadał pytanie, w którym więcej było nadziei niż wiary: – Czy uda wam się dostrzelić do nich z tej mniejszej świetlnej broni?

– Jeżeli zdecydują się trzymać z daleka od nas, to nie – powiedział mu September. – Lepiej przygotujmy się do porzucenia statku, gdyby zaczęli strzelać. Ciężka broń energetyczna obróci tę łódkę w drzazgi. Powietrze w drewnie eksploduje, a reszta się spali.

– Porzucić statek? – Ta-hoding uczeplił się mechanizmu sterującego i niespokojnie spoglądał przez burtę na warstewkę zimnej wody, którą rozcinały ich kamienne płozy. – A jeżeli przelecimy przez lód do środka świata?

– O to się nie martw – powiedział posepnie Ethan. – Wcześniej zamarzniesz.

Pojęcie pływania było dla tranów czymś równie obcym, jak idea podróży przez próżnię kosmiczną. Chociaż i tak nikt przez dłuższy czas nie zdołałby się utrzymać przy życiu w tej lodowatej cieczy. W sześciu centymetrach wody trudno byłoby się utopić. Obawy kapitana zmusiły go jednak do zastanowienia się, jaka naprawdę jest grubość pokrywy lodowej tak blisko kontynentu. Wiedział, że była tu cieńsza niż gdzie indziej.

– Zwalniają. – September zamrugał, żeby usunąć łzy z oczu. – Cholera. Muszą podejrzewać, że mamy pistolety.

– Czy potrafisz się zorientować, ilu ich tam jest?

– Dwóch tranów z pewnością – powiedział Hunnar spokojnie. – I przynajmniej dwóch z waszego gatunku. Jeden steruje, a drugi siedzi przy dużej świetlnej broni.

– Nie podejmują żadnego ryzyka – grzmiał September. – No to na co czekają? Dlaczego nas nie wykończą?

– Może mają problemy z działem – powiedział z nadzieją Ethan. – O wyniku wielu bitew zadecydowała broń, która w krytycznym momencie nie zadziałała należycie.

– Bardziej prawdopodobne, że nas przeliczają.

Opóźnienie nie trwało długo, z działem laserowym też wszystko było w porządku. Kiedy broń wypaliła, intensywny błysk skondensowanej energii przez moment lśnił jaśniej niż samo słońce. Nie uderzył w szalupę, tylko w łód przed nią i wokół niej.

Płozy wjechały w pustkę i łódka wpadła w boczny przechył, a maszt zwałił się na nich, kiedy lód ustąpił pod intensywnym ciepłem. Szarpnęło ich gwałtownie na lewo. Hunnar ostro wciągnął powietrze i uczeplił się kolumny sterowej. Grurwelk klnąc przeturlała się po Ethanie, a Ta-hoding zaintonował pospieszną modlitwę.

Nie poszli pod wodę. Dookoła pokrywa lodowa była potrzaskana, ale nie stopiła się do końca. Szalupę częściowo podtrzymywał wielki kawał kry, który został pod prawą płozą. Kiedy położyli się na lewą burłę, przez ściśle zbity pokład zaczęła przesączać się woda. Zbierała się w kałużę naokoło stóp Ethana, kiedy ten próbował się podnieść na nogi. Kombinezon ochronny nie dopuścił jej do jego skóry.

– Co oni do diabła robią? – W tej samej chwili następny piorun z działa roztrzaskał lód po ich prawej stronie. September dał nura pod poręcz. Teraz podniósł głowę i wyjrzał na napastników.

– Czas na zabawę – zamruczał z napięciem. Następny błysk wytopił jeszcze więcej lodu przed nimi. – Mają nas zamiar przyszpilić na otwartej wodzie i poczekać, aż się potopimy.

– A jeżeli nie pójdziemy pod wodę?

– Jestem pewien, że znajdą jakiś sposób, żeby ten proces przyspieszyć. Odstrzelą nam rufę albo coś takiego.

Ethan wyciągnął promiennik.

– Musimy spróbować w nich trafić. Nie możemy tak tutaj siedzieć!

September położył mu dłoń na ramieniu, żeby go powstrzymać.

– Może o to im właśnie chodzi? Może starają się dowiedzieć, czy mamy te pistolety, czy też zostały one na poczciwej, starej *Slanderscree*. Oszczędzaj ładunek. Wciąż jeszcze są poza naszym zasięgiem. Jeżeli nie będziemy strzelać, może dojdą do wniosku, że ich nie mamy i podjadą trochę bliżej. – Oblizwał sobie wargi. – Są już dość blisko. No, chodźcie, chłopcy. Chodźcie, przyjrzyjcie nam się z bliska.

W tym momencie unosili się już na samym środku wodnego oczka o rozmiarach niewielkiego jeziora. Szalupa kołysała się na drobnych falach, ale uparcie utrzymywała się na powierzchni. Williams znalazł w centralnej kabine kilka garnków i wkrótce obaj z Ta-hodingiem jak szaleni wybierali wodę. Bez wątplenia dla osób na lodolocie ta w zasadzie czcza działalność była bardzo zabawna.

I nagle wszystkich ich rzuciło w tył; woda pod nimi wydeła się do góry.

To musiała być jakaś ryba. Ethan nie umiał nazwać inaczej tego stworzenia, ponieważ nie zdążył się mu lepiej przyjrzeć. Williams widział je dokładniej i osądził, że to *Holothuroidea*, największa strzykwa ze wszystkich istniejących osobników tego gatunku. Miała plamistą, skórzastą powłokę, z której wystawały podobne do macek, fioletowe i czerwone wypustki, siorbnęła i pochłonęła unoszący się lodolot z taką łatwością, jak pstrąg chwytą muchę. Na moment zamarła w bezruchu na tle nieba, taka kolorowa smuga wbita w czysty błękit, z jej rogowych warg zwisała tylna część lodolotu. Gdy z powrotem wślizgiwała się pod powierzchnię, z pojazdu zdążyło wyskoczyć dwóch tranów, siedzących w tylnej jego części. Opadając do wody wywołała wielką falę, która rozkruszyła jeszcze więcej lodu; szalupa gwałtownie się rozkołysała. Ethan i jego towarzysze spotkali już kiedyś jedną z tych monstrualnych form życia, które mieszkały pod lodem, w ciemnych głębinach wciąż jeszcze płynnych oceanów Tran-ky-ky. Należało przypuszczać, że również i ta zjawka, która ich niechcący – chociaż może tylko chwilowo – ocaliła, ma w ciepłych czasach jakąś tropikalną odmianę, podobnie jak tranowie i każdy inny mieszkaniec tego zamrożonego świata. I może tamta jej odmiana miała jakieś oczy. U tej Ethan ich nie zauważył. W ciemnych głębinach, gdzie nie było światła, ważniejsze stawały się inne zmysły. Prawdopodobnie ten pływający lewiatan wyczuł ruch lodolotu.

A co mógł sobie pomyśleć o unoszącej się na krze szalupie?

Ethan zmusił się do zachowania spokoju. Kształtem i ruchem szalupa niezbyt odbiegała od unoszących się naokoło kawałków kry. Podniósł się na kolana i z nogami zanurzonymi w lodowatej wodzie wyjrzał za burtę. Po lodolocie nie było śladu; przed chwilą unosił się jeszcze na czystym niebie i dręczył ich, a teraz zniknął, a razem z nim nowoczesna broń, urządzenia łączności i załoga. No, nie cała załoga. Ethan przyglądał się, jak jeden z tranów, którzy w ostatniej chwili zeskoczyli z lodolotu, znikają pod wzburzoną powierzchnią. Drugi przywarł do niewielkiej kry i jakoś udało mu się wypełznąć z wody. Leżał tam, ciężko dysząc, przemoczony do suchej nitki i wpatrywał się w otaczającego go trupa lodu. Ethan zastanawiał się, jak długo wytrzyma. Tranowie potrafili znieść nawet tęgi mróz, ale wilgoć była czymś, do czego ich organizmy nie były przyzwyczajone. Ta-hoding uczeplił się wiosła sterowego.

– Teraz przyjdzie po nas. Jesteśmy skończeni, skazani na zagładę.

– Wciąż jeszcze utrzymujemy się na powierzchni – warknął September. – I nie wrzeszcz tak. To coś może mieć uszy równie wielkie jak paszczę.

Czekali, podskakując na wodzie wśród odłamków lodu, w każdej chwili spodziewając się, że to coś ich schwyci od dołu. Nic ich nie pochłonęło. Ani po pięciu, ani po dziesięciu minutach. W pół godziny później wciąż jeszcze bez celu unosili się na powierzchni wody.

September szepnął.

– Czy ktoś z was widział oczy tego stwora? – Na jego pytanie podniósł się cichy chórek zaprzeczeń. – No to ono nie widzi, a jeżeli widzi, to nie najlepiej. Pewnie to coś reaguje na wysokie tony albo na ciśnienie, jakie wytwarzają inne stworzenia poruszając się w wodzie, albo po prostu na ruch. Może znęciły je wibracje, jakie wytwarzał silnik lodolotu. Może ono nawet nie wie, że my tu jesteśmy.

– Może już być o całe kilometry stąd – podsunął z nadzieją Williams.

– No i pewnie będzie potrafiło błyskawicznie tu wrócić. Więc lepiej siedźmy cicho i nie wykonujmy żadnych gwałtownych ruchów.

– Legenda – wymamrotał Hunnar. – Stworzenie z samego piekła rodem. – Wyrzwał ostrożnie za burtę, ale w ciemnej wodzie nie był w stanie zobaczyć nic. – Coś z otchłani pamięci. Mam nadzieję, że tam zostanie. Jeżeli to z takimi stworzeniami będziemy musieli mieć do czynienia, kiedy nasz świat się ogrzeje, a lód się stopi, to mam nadzieję, że morza zostaną na wieki zamrożone.

– Co mamy teraz zrobić? – zastanawiał się Ta-hoding. – Dlaczego nie zapadliśmy się do środka świata?

– Pływamy – Hunnar miał kłopoty z tym rzadko używanym słowem. – W taki sam sposób, jak mały mieszek chiafu unosi się w kubku z zupą. – Przyglądał się z natężeniem temu, co ich otaczało. – W jakiś sposób musimy dostać się z powrotem na lód.

– A co z tamtym? – Williams pokazał na wyczerpanego trana, jedyne, który się uratował z lodolotu i który leżał teraz na krze lodowej.

– Co z nim? – szydził Hunnar. – Niech sobie zamarza; niech zdycha z głodu. To już tylko zwłoki.

Odwrócił się i ruszył w stronę dziobu. Grurwelk ociągała się na rufie i patrzyła szeroko otwartymi oczami.

– Moglibyśmy powiosłować – poddał Ethan – tylko że nie mamy czym.

– I nie chcemy wywoływać żadnych wibracji w wodzie – przypomniał mu September.

Przeszukiwał szafki na zapasy, aż znalazł to, czego szukał i przywiązał jeden koniec liny z pikapiny do zakręconego haka na dziobie. W pierwszej chwili Ethanowi zdawało się, że Skua usiłuje coś zrobić z kotwicą lodową, ale kotwica pozostała w swoim nosidle.

– Co masz zamiar zrobić, Skuo? September wyszczerzył do niego zęby.

– Już ponad rok nie miałem okazji popływać sobie. Ale chyba wciąż jeszcze pamiętam, jak się to robi.

Ethan wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Jak wleziesz do tej wody, to zamarzniesz. Kombinezon ochronny to nie skafander kosmiczny. Zaprojektowano go tak, żeby działał w powietrzu. Poza tym nie wiesz, co tu naokoło pływa pod wodą.

– Chyba najwyższy już czas, żeby się tego dowiedzieć. Jedno jest całkiem pewne: nie możemy tak po prostu tu siedzieć. Nie minie wiele czasu, a to drewno nasiąknie wodą. A wtedy wszyscy będziemy pływać. – Owinął sobie luźny koniec liny naokoło pasa, potem pokazał na lewo od dziobu.

– Z tamtej strony jest mnóstwo wielkich kawałów lodu. Jeżeli uda mi się znaleźć jakieś szorstkie miejsce i wyleźć z wody, postaram się przyciągnąć łódź. Jak się wszyscy dobrze przyłożymy do tej liny, może uda nam się ją wyciągnąć z wody. W końcu to tylko tratwa z płozami i masztem. Nawet w przybliżeniu nie taka ciężka jak zwykła łódź. – Przełożył nogę przez burtę i wsadził stopę do wody.

– Przeciążysz układy w kombinezonie – uprzedzał Williams. – Woda oblepi ci go naokoło ciała. Stracisz izolującą warstwę powietrza. Pomiędzy twoim ciałem a materiałem nie będzie niczego, co można by ogrzać. A jeżeli przy szyi wleje ci się do środka woda...

Nie musiał kończyć. Jeżeli lodowata woda dostanie się do wnętrza kombinezonu, zakłóci zdolność materiału do rozróżniania tego, co w środku, od tego, co na zewnątrz. Zmylone termoczuJNIki przyjmą temperaturę wody za temperaturę ciała i odpowiednio się dostosują. Ogrzewanie w zasadzie się wyłączy, a nie chroniony niczym człowiek zginie z wychłodzenia po kilku minutach.

– Nie martw się, mój chłopcze. Jak już mowa o trzymaniu głowy nad wodą, to w te klocki ja zawsze byłem dobry. – Opuścił drugą nogę przez burtę i wśliznął się do morza, wciąż jeszcze nie puszczając poręczy. Zanurzony był teraz po pierś.

– No i jak? – zapytał Ethan niespokojnie. September uśmiechnął się w odpowiedzi, ale widać było, że uśmiech jest wymuszony.

– Obawiam się, że zaczyna się robić ciut chłodno. Zobaczymy.

Resztę liny z pika-piny miał zwiniętą na ramieniu. Lina była lekka i silna, ale mimo to ważyła dość, żeby mu ciążyć. September głęboko zaczerpnął powietrza, puścił poręcz i opadł do wody, okręcił się i zaczął żabką płynąć w kierunku litego lodu rozciągającego się ze dwanaście metrów przed szalupą. Pozostali na pokładzie ponaglali go w milczeniu, obdzielając taką samą uwagą pływaka i ciemną wodę naokoło niego. Czy nagła obecność światła przyciągnie zaciekawionych mieszkańców głębin? September nadal posuwał się do przodu, płynął cicho i energicznie, nie marnując ani jednego ruchu. Dopłynął do skraju pokrywy lodowej i nic się z głębin nie wynurzyło. I

wtedy pojawił się następny problem. September nie był foką, nie był w stanie tak przyspieszyć w wodzie, żeby wyskoczyć na lód. A na skraju tafli lodowej ze świecą by szukać jakiegoś uchwytu. Podejmował kilka prób, ale ześlizgiwał się z powrotem do wody. Był to paradoks, ale Hunnar, który nie potrafił pływać, byłby się wdrapał na lód z łatwością, wbijając w niego swoje silne, długie pazury. September nie miał nawet długich paznokci, a i tak dłonie osłonięte były rękawicami kombinezonu. Przyglądali się zmartwieni, jak sięga do wody i wyciąga przepływający obok kawałek lodu. Zaczął nim walić w pęknięcie na powierzchni tafli; wychylał się częściowo z wody, opierając lewą rękę i ramię o lód i równocześnie ubijając wodę stopami. Jakoś udało mu się wyrąbać kilka płytkich dziur w lodzie. Potem obiema rękami podciągał się, aż wypełził na lód. Jak bardzo był wyczerpany, świadczyło to, że leżał przez długi czas, nic odwracając się, by odpowiedzieć na okrzyki gratulacji towarzyszy. Na zewnętrznej stronie jego kombinezonu tworzyła się powoli skorupa lodowa, wewnątrz czujniki przywróciły jego ciało normalną temperaturę.

W miejscach, gdzie broń energetyczna nie tknęła lodu, wydawał się on wprawdzie solidnie gruby, mimo to September odczołgał się na brzuchu jeszcze ze trzy metry od skraju wody, aż zyskał pewność, że kiedy się podniesie na nogi, tafla się pod nim nie załamie. Koniec liny miał wciąż owinięty wokół pasa; zaparł się stopami o szczelinę w lodzie i odchylił do tyłu. Nieskończenie powoli unosząca się na wodzie szalupa ruszyła. September nawijał linę na swoje ciało jak na bloczek i nie przestawał ciągnąć nasiąkniętej wodą łodzi i jej niespokojnych pasażerów w swoją stronę. Minęła prawie godzina, zanim dziób łodzi trącił o brzeg.

– Pójdę pierwszy – powiedział Williams. – Jestem najlżejszy.

– Racja. Jeżeli się zapadniesz, chwytaj za linę i podciągaj się w kierunku Skuy – doradził mu Ethan.

Williams kiwnął głową, potem niepewnie przekroczył dziób i postawił na lodzie najpierw jedną stopę, potem drugą. Lód wytrzymał.

– Solidny – powiedział nauczyciel z satysfakcją. Przeszedł do Septembra i przyłożył się do liny; chociaż nie grzeszył siłą, jego pomoc była mile widziana. Następny był Ethan, potem Hunnar, Ta-hoding i na końcu Grurwelk, która wciąż oglądała się na jedynego trana z lodolotu, który przeżył, a teraz z trudem trzymał się swojej kry.

Pozbawiona ich ciężaru szalupa uniosła się wyżej na wodzie. Pod kierunkiem Septembra wszyscy wyczerpani siły i ciągnęli za linę, aż Ethan miał wrażenie, że ręce mu wyskoczą ze stawów. Kiedy wreszcie udało im się wyciągnąć dziób tratwy na lód, poszło łatwiej. Nie ustawiali jednak, aż odciągnęli swój stateczek na rozsądną odległość od otwartego jeziora. Nie zwracając uwagi na kilka centymetrów wody, która wciąż chlupała im pod stopami, pooblamywali sople zwisające z boków i dna szalupy. Hunnar i Ta-hoding mozolili się, żeby postawić wywrócony maszt, a Williams prostował żagiel.

Ethan zmarszczył brwi i podszedł do Grurwelk, która stała wpatrując się w wodę. Kiedy spojrzał tam, zobaczył, że nie ma już śladu po ostatnim tranie, który przeżył pechowy lot.

– W końcu poszedł pod wodę, co?

Grurwelk nieznacznie skinęła głową, odwróciła się. Ku swojemu zdumieniu Ethan zobaczył w jej oczach łzy. Niezwykle rzadko zdarzało się tranom płakać.

– Nie rozumiem – powiedział wpatrując się w nią. – Był jednym z tych, którzy próbowali nas zabić.

– Wiem. Jednym z tych, którzy zawarli sojusz z szumowinami takimi jak ten Corfu i ten zasmarkany, niedoszły cesarz. Był też moim mężem. Proszę cię, zrób coś dla mnie. Nie mów innym. Teraz to już nic nie znaczy, a mogłoby mi tylko zaszkodzić.

Ethan z trudem przełknął ślinę.

– Rozumiem. Nie powiem słowa. Udało jej się słabiutko uśmiechnąć.

– Dziękuję ci za ten drobiazg. Wygląda na to, że pozory i przyzwoitość nie zawsze chodzą w parze.

Ethan nie spuszczał z niej oczu, kiedy szła, żeby pomóc przygotować szalupę do podróży. Zauważył, że nie spojrzała już w kierunku miejsca, gdzie znajdowała się otwarta woda.

\* \* \*

Maszt wytrzymał, żagle wytrzymały. Ruszyli do Poyolavomaaru. We wnętrzu kabinki trzech ludzi skupiło się naokoło kamiennego trańskiego piecyka do gotowania. Ponieważ woda nie zalała kabiny, piecyk nie zamókł, nie zamokła też jego wysokopalna zawartość. Teraz w jego wnętrzu potrzaskiwał niewielki, ale intensywny ogienek, a dym wypływał przez wąską rurę sporządzoną z pojedynczej kości, z której usunięto szpik. Płomienie rozgrzewały kamienne ścianki piecyka, a one z kolei wypromieniowywały rozkoszne ciepło na całąabinę. Taki gorąc doprowadziłby tranów do rozstroju nerwowego, ale trzem ludziom przypominało to dom. September zdjął z siebie kombinezon i rozłożył go, żeby wysechł. Siedział teraz prawie nagi, nogi miał okryte kilkoma błamami ciepłego futra i podobnie jak jego towarzysze przysuwał dłonie w kierunku ognia tak blisko, że mało brakowało, a skóra by mu się przypiekła na krucho.

– Coś wspaniałego te kombinezony – powiedział pokazując głowę na swój, który zwisał teraz z haka jak zrzucana skóra – ale i one nie są nie do pokonania. Pod koniec to już myślałem, że wszystko stracone, bo nie mogłem się wygrzebać na ten przeklęty lód. Miałam wrażenie, że przestaję mieć czucie w nogach, a może to jest sprzeczność w terminologii?

– Gdybyś się nie wybrał popływać – powiedział mu Williams – to wciąż jeszcze sterczelibyśmy na tamtej krze i czekali, kiedy pójdziemy pod wodę.

– Albo kiedy coś nas połknie – dodał Ethan. – Myślisz, że wyślą ten drugi lodolot, żeby nas szukał?

– Wątpię. – September odsunął ręce od piecyka i wepchnął je pod futra, a na twarzy pojawił mu się wyraz błogości. – Kiedy ten lodolot nie wróci, podniesie się wrzask. Ale mamy jeszcze czas. Antal i jego ludzie na pewno zakładają, że może mu to zająć dzień czy dwa, zanim nas wyniucha. Gdy

zorientują się, że ich strzelcy zniknęli na dobre, my będziemy już zbyt daleko, żeby nas mogli znaleźć. Nie przypuszczam, by mieli tropiciela dalekiego zasięgu.

– Czemu nie?

– Po pierwsze do niczego by im to nie było potrzebne. A nawet gdyby takie urządzenie mieli, nie mogliby go używać. Wydzielane przez nie promieniowanie odebrałyby satelita badawczy albo i urządzenia w Dętej Małpie. Mogą tylko założyć, że ich ludzie nas dopadli, a potem w drodze powrotnej rozbili się, czy coś w tym rodzaju. – Szeroko uśmiechnął się na samą tę myśl. – Przez jakiś czas Bamaputra nie będzie sypiał najlepiej, zastanawiając się, co się naprawdę zdarzyło. – Wyciągnął się na kombinowanej łóżko-ławie. – A teraz, jeżeli wam to nie będzie przeszkadzać, chłopcy, to odrobinę jestem zmęczony.

Ethan wiedział, że wszyscy byli wyczerpani, ale nie było powodu do zmartwień, kiedy Ta-hoding prowadził łódź. Położył się w pobliżu rozkosznego ognia i zamknął oczy.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył tuż przed zapadnięciem w sen, była Grurwelk Seesfar, która stała tuż przy Ta-hodingu ze wzrokiem wbitym w ślad, jaki zostawiali za sobą na lodzie. Ethan nie potrafił przeniknąć zasłony, za którą kryła swoje emocje, ale cieszył się, że z nimi pojechała. Całą energię poświęcała teraz na powtórzenie kursu, którym jechali w podróży na południe. Kiedy zawiodły zdolności nawigacyjne Ta-hodinga i zakłóceniu uległo instynktowne wyczucie kierunku Hunnara, była gotowa i chętna, żeby obierać drogę w oparciu o to, co pamiętała ze swoich poprzednich podróży po tym terenie. Stopniowo pozostali zaczęli traktować ją jak pełnoprawnego członka wyprawy i polegać na jej wiedzy. Ta-hoding uznał jej zuchwałość za wyzwanie i bez słów stawał z nią w zawody. Pięć dni później mieli okazję przekonać się raz jeszcze, jak odważny jest ich kapitan.

Zaskoczyła ich Wyrsta; nie była tak gwałtowna jak Rifs, ale zagrożenie było równie duże, wichura bowiem niosła wirujące cząsteczki lodu. Tworzyły one nieprzenikloną, białą zasłonę. Ten, kto siedział przy sterze, nie widział dalej niż do stojącej na środku kabiny.

Mniej pewny siebie kapitan skierowałby natychmiast dziób pod wiatr, wyrzucił kotwice lodowe i czekał, aż burza, przejdzie. Ale nie Ta-hoding. Kiedy Seesfar zapewniła go, że pomiędzy ich obecnym położeniem a celem nie znajdują się żadne przeszkody, nie zrefował żagla i utrzymał szybkość. Wydostanie się z burzy zajęło im pół dnia, po czym kapitan dał się przekonać i oddał koło Hunnarowi. Na zamarznętym futrze i brodzie kapitana osiadły lodowe drobinki i wyglądem zaczął przypominać kocio-niedźwiedzią wersję Dziadka Mroza. Williams obejrzał się na szalejącą za nimi burzę.

– Wyobrażam sobie, że tak właśnie musi wyglądać burza piaskowa, tylko że tu zamiast piasku mamy lód.

– W tym momencie nic nie miałbym przeciwko sympatycznej, gorącej burzy piaskowej. – September opierał się oabinę i badawczo przyglądał się południowemu horyzontowi. – Cokolwiek, żeby się tylko ogrzać.

– Wciąż ani śladu pogoni. – Hunnar wyciągnął łapę i zawiązał ciaśniej poluzowany sztag. – Czy



wasze urządzenia, podniebni ludzie, potrafią wytropić pojazd nawet poprzez wyrstę?

– Zależy od tego, jakich się instrumentów użyje – powiedział mu Ethan. – Sądzę, że ten lód potrafiłby rozproszyć radar wysokiej rozdzielczości i nie mam pojęcia, co zrobiłby z podczerwienią. Zaczynam wierzyć, że w końcu może wygramy.

– Pod warunkiem, że znajdziemy to miejsce, w którym przeprowadziliśmy *Slanderscree* przez równikowy wał lodowy i pod warunkiem, że uda nam się przepchnąć, przeciągnąć czy jakoś inaczej nakłonić tę łódkę, żeby tą trasą przejechała – przypomniał mu September.

Ethanowi mina zrzędła.

– Zapomniałem o tym.

– Nie martw się – powiedział Williams, usiłując mu dodać ducha. – Znajdziemy to miejsce i przedostaniemy się na drugą stronę, nawet gdybyśmy mieli przenieść łódź na własnych plecach. W każdym razie taki wysiłek pomoże nam się rozgrzać.

– Wolałbym piecyk indukcyjny – wymamrotał Ethan, krzyżując ręce na piersi.

\* \* \*

Z przeprawą sobie poradzili – chociaż Ethan pewien był, że grzbiet mu pęknie i nogi się pod nim załamają – i dojechali do samego szerokiego, gościnnego portu Poyolavomaaru. Chociaż byli ogromnie wyczerpani, Landgraf obstawał przy tym, że chce się z nimi natychmiast zobaczyć, tak więc wszyscy udali się do prywatnej sali przyjęć, by uniknąć gapienia się i plotkarskich spekulacji dworu. Kiedy T’hosjer T’hos spokojnie przysłuchiwał się ich opowieści, przerywając tylko od czasu do czasu zwięzłym, celowym pytaniem, Ethan zdał sobie sprawę, że chociaż wielką sympatią darzy Hunnara Rudobrodego, to właśnie Landgraf Poyolavomaaru będzie najbardziej odpowiednim reprezentantem świata tranów na radach Wspólnoty. Niewczesne myśli, powiedział sobie. Może jeszcze nie zostać nic, co by można reprezentować. Kiedy skończyli, T’hosjer kazał przynieść tacę z gorącymi napitkami. W milczeniu przyglądał się, jak jego goście wysączają puchary, a wdzięczni ludzie nawet nie pytali, co właściwie im podano. Odezwał się znowu, kiedy służący ponownie napełnił naczynia.

– Nie rozumiem waszego gatunku, przyjacielu Ethanie. To, co ci ludzie próbują zrobić, nie mieści się w głowie.

– Nie pozwól, żeby ci to spędzało sen z oczu. – September rozparł się na swoim krześle, przystawił gorący puchar do czoła i założył nogi na wspaniale rzeźbiony stół. – My, ludzie, zajmujemy się sprawą inteligencji od jakichś dziesięciu tysiącleci, a sami siebie też nie rozumiemy.

– Ale po co robić coś takiego? Dlaczego skazywać na śmierć dziesiątki tysięcy niewinnych kociąt i starców? Z radością dzielilibyśmy nasz świat ze wszystkimi, którzy chcieliby wśród nas zamieszkać.

September sardonicznie pogroził młodemu Landgrafowi palcem.

– Ach, ale w tym przypadku musielibyśmy wam płacić. Prawa Wspólnoty tego żądają. Jak tylko uzna się istoty rozumne wyłącznie za dane statystyczne, wpływające na kolumny zysku i strat, w ostatecznym rozliczeniu pierwszą ofiarą staje się zawsze moralność.

– Jest oczywiste, że tych ludzi trzeba powstrzymać i położyć kres ich niegodziwemu przedsięwzięciu. – T’hosjer wypowiadał się spokojnie, z namysłem. – Ale jak można to zrobić, jeżeli są oni w posiadaniu tej magicznej broni świetlnej, o której mówiliście?

– Mamy nadzieję, że mieli tylko jeden egzemplarz tej najbardziej potężnej świetlnej broni, a na własne oczy widzieliśmy, jak zniknął on w brzuchu czegoś, czego nie należałoby opisywać ze szczegółami, chcąc zachować się kulturalnie podczas kolacji. – September podał swój własny mały promiennik zafascynowanemu Landgrafowi. – Jeżeli nie zostało im nic poza większą ilością czegoś takiego, to mamy szansę. Nie żeby ich pokonać, ale żeby ich czymś zająć, dopóki nie będzie mogła przybyć poważna pomoc z Dętej Małpy.

Ethan kiwnął głową.

– Milliken pojedzie do placówki i stanie twarzą w twarz z panią Stały Komisarz, wyjaśni, co się dzieje, i dowie się, czy nie można by przysłać statku korpusu pokoju z najbliższej bazy, pozamykać tych ludzi i wyłączyć na stałe ich instalacji. – Zerknął na nauczyciela. – On jest lepszy, jeśli chodzi o wyjaśnianie, a my ze Skuą, jeśli chodzi o walkę.

– Najszybszy statek w Poyolavomaarze lotem strzały zanieś waszego uczonego do waszej placówki, żeby tam podniósł alarm – zapewnił ich T’hosjer wstając. – Nie będą też wasi odważni przyjaciele wracali sami. Zmobilizuję flotę. Ale zajmie to trochę czasu.

– Sama wiadomość, że się wybieracie, podniesie na duchu tych, których zostawiliśmy za sobą – zapewnił go Hunnar.

– Przepraszam was – powiedział Williams – nie chciałbym niczego ujmować twojej szczodrej propozycji, panie, ale nie sądzę, żeby to był bardzo dobry pomysł. – Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy.

– Jeżeli wrócimy sami, może uda nam się wślizgnąć do portu i na pokład *Slanderscree*, nie zwracając niczyjej uwagi. Jeżeli pojawimy się z całą armią Poyolavomaaru, Bamaputra dowie się, że co najmniej tak daleko zajechaliśmy. Będzie zmuszony zaatakować, chociażby po to, żeby dowiedzieć się, co się dzieje. Pozwólmy im wierzyć, że zginęliśmy razem z ich zaginionym lodolotem. W ten sposób nie będzie ich kusilo, żeby ciskać w nas wszystkim, co tylko mają pod ręką, byle zająć statek. Niech nadal wierzą, że sytuacja jest patowa, nie gorzej. Oszczędzi to życie wielu osób.

September się podniecił.

– Niech to wszyscy diabli, to nam da nawet dużo więcej. Jeżeli zobaczą, jak kuśtykamy z powrotem na *Slanderscree*, pierwszą rzeczą, jaka przyjdzie im na myśl będzie, że nigdzie nie

dojechaliśmy. Bo gdybyśmy dojechali, to po co mielibyśmy wracać? Nie mamy zamiaru nikomu udzielać wywiadów, a oni nie będą mieli okazji – chyba że udało im się zdobyć statek, w co wątpię – żeby nas dokładnie przeliczyć, no może z daleka przez lunety. Sześciu odjechało, pięciu wraca, myślę, że uda nam się ich nabrać. – Odwrócił się znowu do T’hosjera. – Ile potrwa, zanim twój najszybszy statek dojedzie do Dętej Małpy i wróci?

Landgraf przedyskutował liczby z Williamsem, który przetransponował je na układ dziesiętny. Na otrzymane wyniki Ethan pokiwał z satysfakcją głową.

– Nie jest tak źle, jak myślałem. Tymczasem, panie, jeżeli chcesz postawić w stan pogotowia swoje siły, zrób tak. Nie wiemy, jak Bamaputra zareaguje na nasz powrót i na wszelki wypadek powinieneś być gotów do obrony.

– A więc wszystko postanowione. – Wstali, żeby się rozejść.

September stanął przed nauczycielem. Wzrostem przewyższał większość ludzi; Williams przy nim wyglądał jak karzełek.

– Przez jakiś czas będziesz całkiem sam, mój przyjacielu. Tylko ty i tranowie.

Williams uśmiechnął się.

– Nie czuję się źle w towarzystwie tranów. Żyjemy już z nimi od niemal dwóch lat. A co do towarzystwa ludzi... no cóż, większą część mojego życia spędziłem tylko we własnym towarzystwie. Nic mi nie będzie.

– No, żebyś mi nie marnował po drodze czasu, nie zatrzymywał się i nie gapił na widoczki.

– Nie mam zamiaru zatrzymywać się z jakiegokolwiek powodu.

Cała trójka była już razem od tak długiego czasu, że czymś dziwnym wydawało im się stanąć na końcu doku i machać Williamsowi na pożegnanie. A to właśnie Ethan i September robili następnego ranka, kiedy gładki statek lodowy o smukłym kadłubie, z załogą najlepszych żeglarzy w Poyolavomaarze, wysuwał się z portu i kierował na północ. Nie żeby któryś z nich żywił złudzenia, że są może jakimiś archaicznymi trzema muszkieterami. Przypadek rzucił ich na ten świat, a razem utrzymały okoliczności, a nie własne decyzje. Ale taki towarzysz jak nauczyciel to było czyste błogosławieństwo; przemawiał łagodnie, rozsądnie i milczał, jeżeli nie miał nic istotnego do powiedzenia. Brak im będzie jego dobrych rad.

Skua September niecierpliwił się już, chciał ruszyć w drogę powrotną do Yingyapinu. Pragnął tego chyba równie gorąco jak Hunnar, który chociaż nie chciał się do tego przyznać, wyraźnie szalał z niecierpliwości, żeby wreszcie wrócić do swojej Elfy. Ethan zapewniał rycerza, że nawet gdyby ich przeciwnikom udało się jakoś znowu opanować *Slanderscree*, było mało prawdopodobne, żeby zdecydowali się na wymordowanie jeńców.

Jakby się umówili, nie rozmawiali ani słowem o tym, co zrobią, jeżeli z jakiegoś powodu Williamsowi nie uda się wrócić na placówkę. Sama planeta potrafiła wystawić na ciężką próbę

kogoś, kto wybierał się w daleką podróż, nawet jeżeli nie utrudniali tego ludzie podobni tym zaprzańcom. Stawanery, wędrowni barbarzyńcy, droomy, burze o zmiennej nagłości i porażającej mocy – wszystko to mogło zmieść z powierzchni lodu statek wraz z załogą. T’hosjer usiłował ich uspokoić. Williams jechał na najlepszym ze wszystkich możliwych statków, jaki mogła zaproponować ta część planety, asystowała mu i troszczyła się o niego najwspanialsza załoga, jaką mogło skompletować jakiekolwiek jeżdżące po lodach państwo-miasto. Dojedzie do Dętej Małpy zdrowy i przed terminem.

– Mam taką niepłonną nadzieję – skomentował September – albo w porcie Yingyapin będzie leżało mnóstwo trupów i to nie trupów lodu.

Ethan popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Sądziłem, że ty lubisz walczyć, Skuo.

– Kiedy to służy jakiemuś celowi. Wojenka pomiędzy naszymi pobratymcami a obywatelami Yingyapinu nikomu nie wyjdzie na korzyść. To tranowie będą przelewać prawdziwą krew i za co? Wiesz co, to my podobno jesteśmy tą zaawansowaną rasą na tym świecie. Przyniosłoby nam chlubę, gdybyśmy rozwiązali ten problem bez przelewu większej ilości tubylczej krwi, niż to absolutnie konieczne.

## ROZDZIAŁ 13

Spojrzenia, jakie Williamsowi rzucali mijający go ludzie, kiedy tak ociężałe maszerował w kierunku centrum administracyjnego, upewniły go, że chyba swoim wyglądem przypomina raczej trana. Kilka tygodni pobytu na lodowym oceanie wystarczyło, by taki właśnie był skutek. Kombinezon ochronny miał sponiewierany i wypłowiały, a widoczna pod osłoną hełmu twarz była wymizerowana i nie ogolona. Jego towarzysze z Poyolavomaaru, poubierani w swoje dziwne stroje, również przyciągali zaciekawione spojrzenia lokalnych tranów. Ze swojej strony żeglarze Poyo starali się dzielnie, chociaż bez większego sukcesu, gapić w jak najmniej ostentacyjny sposób na osobliwe budowle obcych. Zafascynowani byli dalekim portem wahadłowców i gładkimi, wydającymi się nie mieć spoin budynkami.

Pierwszą rzeczą, jaką Williams zauważył po przybyciu, była obecność wahadłowca na lodowym lądowisku. Właśnie opuszczano go w dół do podziemnego hangaru. Bardzo go korciło, by natychmiast wypaplać wszystko pilotowi, który mógłby następnego dnia przekazać szczegóły na leżący gdzieś w górze, na orbicie, międzygwiazdny statek, ale zdecydował się postępować zgodnie z protokołem i porozmawiać najpierw z panią Komisarz. Wystarczająco szybko nawiąza kontakt z odpowiednimi władzami.

Największe prawo do informacji o tym, co się dzieje mieli członkowie wydziału naukowego placówki, ale akurat teraz to, co właściwe i to, co konieczne, nie pokrywało się ze sobą. Musiał się spotkać z panią Komisarz, żeby umożliwić jej nadanie tej niezwykle ważnej informacji poprzez pasmo dalekiego zasięgu kosmicznego. Przyjaciele zaczekają na wieści o swoich towarzyszach, dopóki nie zostanie wprawiona w ruch machina prawa.

W przeciwieństwie do tego, o czym przekonany był Ethan, Williams wcale nie sądził, żeby do wypędzenia Bamaputry i jego drużyny z planety miał być potrzebny korpus pokoju. Powinna wystarczyć sama świadomość, że o ich zamiarach i działalności dowiedziała się reszta Wspólnoty, by niedoszli sprawcy potopu zwinęli manatki. Oczami duszy widział jak Bamaputra i Antal prześcigają się w niszczeniu kompromitujących ich dokumentów, równocześnie z obłędem w oczach wzywając statek, żeby przeprowadzić ewakuację instalacji. Rozkoszował się tym obrazem. Mimo to chętnie obejdzie się bez przyjemności ponownego oglądania ich twarzy. Dobrze było znaleźć się w miejscu, które tu uchodziło za cywilizowane, dobrze odprężyć się wiedząc, że od tej chwili, co by się nie stało, Tran-ky-ky i jej ludność były bezpieczne.

Samotny strażnik, który siedział przed windami, nie bardzo wiedział, co ma myśleć o Williamsie, kiedy ten chwiejnie wszedł do budynku i odrzucił kaptur kombinezonu. Chociaż temperaturę wewnątrz budynku utrzymywano na poziomie optymalnym dla ludzi, nauczycielowi wydawało się nie do zniesienia gorąco. Może upodobił się do trana nie tylko wyglądem? Podszedł do niewielkiego

biurka, oplecionego charakterystyczną girlandą nowoczesnej elektroniki, położył obydwie pięści na syntetycznym drewnie i pochylił się do przodu.

– Domagam się natychmiastowego spotkania z panią Komisarz. To sprawa życia i śmierci.

Strażnik patrzył na niego jak na jakieś osobliwe żyjątko, które przywędrowało tu z lodu. I aż tak bardzo się nie mylił, pomyślał Williams.

– Zobaczę, czy pani Stanhope jest wolna.

– No to do roboty.

Williams cofnął się o krok od biurka, nieco zaskoczony własną, obcą mu gwałtownością. To wynik kilkunastu miesięcy spędzonych w towarzystwie niejakiego Skuy Septembra, powiedział sobie. Kiedy się to wszystko skończy, będzie się musiał od początku uczyć, jak zachowywać się w cywilizowany sposób.

Strażnik powiedział coś do mikrofonu, posłuchał przez chwilę w milczeniu, potem odłożył słuchawkę.

– Marquel mówi, żeby pan szedł prosto na górę.

– Marquel? Kto to jest Marquel?

– Sekretarz pani Komisarz. Ona jest teraz w Dziale Gościnnym. Zadzwoił do niej i powiedziała mu, żeby pan od razu szedł na górę.

– Dziękuję.

Odwrócił się i skierował do windy, czując na plecach spojrzenie strażnika. Pewnie wyglądam jak jakieś nie wiadomo co, powiedział sobie, kiedy kabina jechała do góry. Jeszcze zanim dojechał na wierzchołek budynku w kształcie piramidy zaczął żałować, że nie może liczyć na poparcie Skuy i Ethana; Skuy z jego okazałą posturą i Ethana z jego gładką mową. Nie czuł się najlepiej w towarzystwie takich ludzi jak Stanhope, biurokratów i wykonawców władzy. Dużo bardziej swojsko czuł się z Cheelą, Blanchardem i innymi naukowcami. Traktowali go jak równego sobie, chociaż jego stopień naukowy był dużo mniej imponujący niż ich. Dobrzy ludzie. Polegali na nim, a on tu traci czas, jak się to często zdarzało w przeszłości, na bezużyteczne rozmyślania. Wystarczy, żebyś mówił, powiedział sobie. Opowieść się sama o siebie zatroszczy. Był nauczycielem, czy nie? Czas na indywidualną lekcję. Czas pouczyć panią Komisarz. Nie będzie jej się podobało to, co usłyszy. Trudno. Wyprostował się nieco bardziej i wkroczył do sali przyjęć.

Poza jednym mężczyzną, niewiele wyższym niż on sam, sala była pusta. Zamiast czekać za biurkiem, Marquel najwyraźniej spacerował w oczekiwaniu na przybycie Williama. Teraz rzucił się ochoczo do przodu, pytania sypały się jedno za drugim jak z rękawa.

– Pani Stanhope niedługo tu będzie. Co się tam stało? Gdzie są pana towarzysze? Co się dzieje?

Chociaż Williamsowi tak zależało na spotkaniu z panią Komisarz, nie widział nic złego w tym, żeby pokrótce opowiedzieć sekretarzowi o swoich przeżyciach, kończąc wyjaśnieniem, że Ethan i Skua pojechali z powrotem z Hunnarem i Ta-hodingiem, żeby pomóc obrońcom *Slanderscree* odpierać ewentualne ataki ludzi-odszczępieńców i ich trańskich sojuszników.

– Rozumie pan, że koniecznie trzeba tę informację przekazać bezzwłocznie do najbliższej bazy militarnej, żeby zapewnili nam jak najszybciej zbrojną pomoc.

– Oczywiście, oczywiście. – Sekretarz głęboko się zamyślił – - Straszna sytuacja. Nikt tutaj nie miał najmniejszego pojęcia, że coś takiego się dzieje. Wie pan, kiedy odjechaliście na tym statku tubylców, wielu z nas sądziło, że nigdy was już nie zobaczymy, a ci, którzy sądzili, że wrócicie, nie spodziewali się, żebyście cokolwiek znaleźli.

Williams skinął głową w kierunku drzwi prowadzących do biura pani Komisarz.

– Czy nie przeszkadzałoby panu, gdybyśmy zaczekali tam? Pamiętam, że były tam wyścielane fotele, a z ochotą bym poczekał na siedząco.

– Nie, oczywiście, że nie. Proszę mi wybaczyć. – Marquel otworzył podwójne drzwi i wprowadził Williamsa do środka. – Tylko że całą moją uwagę przykuło pana opowiadanie. – Drzwi się za nimi zamknęły.

– Kiedy już powiem pani Komisarz wszystko, co właśnie panu powiedziałem, będę się musiał zobaczyć z kierownikami różnych działów naukowych, żeby poinformować ich, co się dzieje. A potem sądzę, że przez jakieś dwa dni będę spał.

Marquel ze współczuciem pokiwał głową.

– Wygląda pan, jakby potrzebny był panu dłuższy odpoczynek. – Popchnął mniejsze drzwi prowadzące do bocznego pokoju. – Proszę się rozgościć. Zaraz wracam.

Williams usadowił się w jednym z foteli, które stały przodem do biurka komisarza. Grube, izolowane okna wychodziły na placówkę. Za nią leżał port Dętej Małpy razem ze społecznością trańską i lodowymi statkami, poprzywiązywanymi do trzech doków. Nieobecność Marquela nie trwała długo. Kiedy pojawił się znowu w biurze, zaskoczony Williams ujrzał, że sekretarz się przebrał. Oczy mu się rozszerzyły. Nowy strój mówił sam za siebie. Odwrócił się gwałtownie i rzucił do drzwi. Były zamknięte. Zaczął walić w nie i krzyczeć na całe gardło.

– Przecież pan wie, że nic to nie da – powiedział Marquel. Williams odwrócił się i odsunął ostrożnie od drzwi, opierając się cały czas plecami o ścianę i nie spuszczać z oczu przeciwnika.

– W jaki sposób pan je zamknął?

– Zdalne sterowanie z biurka – postać uśmiechnęła się chłodno. – Nie pokażę panu gdzie.

Wiedział, że za tym czarno-szkarłatnym kapturem jest Marquel. Poznał ten głos, chociaż większość twarzy była teraz ukryta. Reszta dopasowanego, czarnego ubrania pokrywała go od stóp

do głów. Było to odrobinę teatralne, ale wcale nie śmieszyło Williamsa. Nie było nic śmiesznego w tym, co się za tym przebraniem kryło. Poza tym ten gładki, czarny materiał miał praktyczne zastosowania. Był w wysokim stopniu wodoodporny. Nie wsiąkała też w niego krew.

– Wie pan – odezwał się Marquel, jak gdyby była to zwykła, towarzyska rozmowa, podczas gdy Williams gorączkowo usiłował znaleźć jakieś wyjście z sytuacji – kiedy pan i pana przyjaciele pozbyliście się Jobiusa Trella, była to cudowna okazja dla moich mocodawców, żeby umieścić na stanowisku kogoś takiego jak ja, by pilnował ich interesów. Aż do tej chwili jednak nie miałem nic do roboty, poza odgrywaniem roli sekretarza. Liczyłem, że życie będzie tak dalej płynąć, ale – tu wzruszył ramionami – czasami nie wszystko układa się zgodnie z naszymi planami. Jednak nasz trening obejmuje również cierpliwość. Nie spodziewałem się, bym miał okazję w trakcie mojego pobytu na tym świecie zacząć działać zgodnie z moim prawdziwym powołaniem.

Williams nigdy jeszcze dotąd nie widział Qwarma, członka cechu zabójców, ale jak większość ludzi słyszał o nich. Jako czarne charaktery pojawiali się tak często w masowej rozrywce, że mit pomieszał się z rzeczywistością. Jak to się często zdarza, ich wyczyny w wysokim stopniu ubarwiano, do czego Qwarmowie sami zresztą zachęcali. Im mniej poważnie traktowali ich ludzie, tym łatwiej było im uprawiać swoją sztukę. Ich usługi słono kosztowały, cech liczył niewielu członków, do tego rozproszonych po niezmierzonej przestrzeni Wspólnoty; przez dwieście lat rząd i Kościół nie potrafiły ich wyplenić. Trudno było zmobilizować opinię publiczną przeciw złoczyńcom, którzy pojawiali się tylko z rzadka, a potem znikali.

I oto jeden z nich zmaterializował się teraz stając tuż przed Williamsem.

– Wszedłem na pokład, można by tak powiedzieć, razem z nową panią Komisarz. Bardzo była zadowolona z mojej pracy.

Mogłem zabić pana i pana towarzyszy, zanim wyjechaliście, ale gdybyście nie odnaleźli Yingyapinu, nie było powodu komplikować spraw, a gdybyście go znaleźli, spodziewałem się, że Antal i jego ludzie zajmą się wami. Pana powrót to tylko drobna komplikacja, którą łatwo będzie rozwiązać. Bardzo to ładnie z pana strony, że przyszedł pan prosto tutaj, nie opowiadając nikomu po drodze tej historii.

– Strażnik na dole widział, jak wchodziłem.

– I nic więcej do jego obowiązków nie należy.

– Tranowie, którzy mnie tutaj przywieźli, będą się domagali, żeby mnie znowu zobaczyć.

– Czy jest pan zdania, że pani Komisarz zawezwie kogoś z korpusu bezpieczeństwa za namową kilku pobudliwych tubylców? – Ponownie się szeroko, zjadliwie uśmiechnął. – Jak pan sądzi, dlaczego Antal nie wysłał za wami drugiego lodolotu i wszystkich statków lodowych, jakie tylko mógł skrzyknąć, kiedy jego pierwszy lodolot nie powrócił? Wiedział po prostu, że ja jestem tutaj i wszystkim się zajmę.

– Zabicie mnie nie ocali przedsięwzięcia Bamaputry.



– Ależ oczywiście, że ocali. Jeżeli pana przyjaciele tu wrócą, ich też pozabijam. Chwilowo wyszedłem nieco z wprawy, ale zabijanie nie jest czymś, co się zapomina. Zostaje człowiekowi, jak jazda na rowerze. – Strzelił stawami u rąk; trzask rozległ się donośnie w pokoju. – Pana obecność tutaj pozwala mi trochę poćwiczyć. Gdyby to nie był pan, tylko ten facet September, mógłbym być nieco niespokojny, że od tak dawna nie pracowałem, ale z panem nie będzie żadnych kłopotów, nauczycielu.

Bez wątpienia, pomyślał Williams dziko, była to najbardziej zwariowana rozmowa, w jakiej kiedykolwiek uczestniczył. Równocześnie był lodowato świadom, że może być ona ostatnia. Ale dopóki rozmawia, nie umiera. Może ktoś się tu do nich dostanie. Stanhope się nie spodziewał. To w oczywisty sposób był podstęp.

– A co z resztą tutejszych naukowców? Będą się martwili, kiedy Cheela Hwang i jej koledzy nie wrócą.

– To problem Antala, nie mój. Jest bardzo pomysłowym nadzorcą. Już coś wymyśli. – Marquel zaczął wysuwać się zza biurka, ruchy miał niedbałe, pewne. – Nieszczęśliwe wypadki są czymś dobrze znanym na tym świecie. Tutejszy personel naukowy przyjmie rozsądne wyjaśnienie, trochę sobie popłacze, a potem weźmie się znowu do roboty.

– Jeżeli pracuje pan dla Bamaputry, to musi pan się z grubsza orientować, o co w tym wszystkim chodzi. Ale i tak nie sądzę, żeby na cokolwiek zdało się odwoływanie do pana poczucia moralności, zakładając, że w ogóle pan coś takiego posiada.

– Ależ Qwarmowie są wysoce moralni, mój wścibski przyjacielu. Jednak moralność, jak i wszystko inne w życiu, daje się naginać.

– Nie tam, skąd ja pochodzę. A więc nie obchodzi pana to, że dziesiątki tysięcy tranów umrą, jeżeli plan Bamaputry się ziści?

Marquel wzruszył ramionami.

– Moim fachem jest śmierć. Liczby mnie nie przerażają. No cóż, mówiąc tylko między nami, nie podoba mi się ten pomysł, nie. Ale ponieważ sam jestem zabójcą, dosyć trudno mi kwestionować motyw, które mogą innych skłaniać do zabijania. Jeśli chodzi o tranów, którym nie uda się przeżyć gwałtownej zmiany klimatu, nigdy nie będą oni łączyli swoich zgonów z jakimś konkretnym zabójcą. Nie będzie wchodził w grę żaden kontakt osobisty, nie będzie trzeba wobec nikogo przyjąć odpowiedzialności. Będzie to wyglądało jak zrzączenie natury, a to już wstyd. Powinno się wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za czyj zgon. W tym działaniu nie ma nic osobistego. Jako fachowiec czuję się tym zasmucony.

Z panem i ze mną sprawy mają się całkiem inaczej. Będzie pan wiedział, jak pan umrze i z czyich rąk. Żadne pytania nie będą pana łaskotały po duszy, kiedy będzie pan szedł do grobu. Czy nie sądzi pan, że to najlepszy sposób? Dużo lepszy, niż rozwiać się jak jakaś melodyjka w obojętnym na wszystko szpitalnym łóżku, albo zostać powalonym przez jakiś atak w drodze z pracy do domu. Zabójstwo twarzą w twarz jest jak stanowcze oznajmienie. Każdy z nas idzie na śmierć z

wystarczającym balastem pytań, na które nie udzielono odpowiedzi lub na które odpowiedzi nie ma.

– Jak pan ma zamiar to zrobić? – Williams przesunął się wzdłuż ściany. Jeżeli już nic innego, to przynajmniej będzie ruchomym celem.

– Jest wiele sposobów. Chciałbym się wykazać jak największą inwencją, ale uniemożliwia mi to fakt, że pokazał się pan niespodzianie. Poza tym sytuacja jest zupełnie niedwuznaczna. Naprawdę nie ma jej co komplikować bardziej, niż to konieczne. Dla mnie oczywiście najlepiej byłoby nadać pana śmierci pozory nieszczęśliwego wypadku, gdybym miał mieć jakieś problemy z przemyceniem pana ciała z Administracji do spalarki.

Zanurzył dłoń w wąskiej kieszonce wszytej w jedną z nogawek swojego obcisłego stroju. Kiedy dłoń pojawiła się ponownie, Williams zobaczył maleńki, składany sztylet wystający pomiędzy obejmujących go palców. Podobnie jak cały ubiór Marquela, ostrze i rękojeść były czarne jak obsydian.

– To mi nie za bardzo wygląda na wypadek. Marquel z aprobatą skinął głową.

– Z przyjemnością widzę, że przyjmuje pan to z właściwym nastawieniem. Tak wielu ludzi tego nie potrafi. Padają na ziemię i płaczą, i zawodzą, i błagają, chociaż wiedzą, że to wszystko strata czasu. Dobrze będzie na odmianę zabić kogoś, kto umie jak dorosły potraktować to, czego się unikać nie da. – Podniósł sztylet pod światło, podziwiając go. – Ma pan rację. To nie bardzo wyglądałoby na przypadkową śmierć. Ale jest to tradycyjna metoda. Chociaż tak bardzo pragnąłbym go użyć, łatwiej będzie dla nas obydwóch, jeżeli pan to połknie. – Na wyciągniętej dłoni leżała pigułka. Dla odmiany była ona jaskrawo-niebieska, a nie czarna, czy czerwona.

– Dlaczego miałbym panu cokolwiek ułatwiać?

– Ponieważ zabija ona w niecałą minutę, cicho i bez rozlewu krwi. To będzie tak, jakby pan zapadał w sen. Żadnego bólu. Skutecznie. Jeżeli pan jej nie zażyje, będę musiał pana zranić. Będzie to dłużej trwało, będzie brudne i nieprzyjemne dla pana. A końcowy rezultat i tak będzie taki sam. Biuro jest dźwiękoszczelne, ale mimo to musiałbym się zabezpieczyć przez podcięcie panu najpierw strun głosowych. Są ludzie, którzy potrafią zachowywać się bardzo głośno.

Przesunął się teraz zdecydowanie w kierunku nauczyciela, sunąc raczej, niż idąc po podłodze.

– Opór z pana strony jest bezcelowy. Jestem znacznie silniejszy niż wyglądam, dużo silniejszy od pana i o wiele, wiele szybszy. Zabijanie to mój fach. Wie pan, jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło mi się zabić nauczyciela. Nie jestem pewien, czy w ogóle jakiś Qwarm miał okazję jakiegoś zabić. Nie ma na to wielkiego popytu.

– Czy jest pan pewien, że nie mogę powiedzieć nic takiego, co by spowodowało, żeby zmienił pan zdanie? Nie tyle chodzi mi o moje życie, co o tych wszystkich innych, których życie jest tutaj stawką.

– Szlachetnie. Podoba mi się to. W dzisiejszych czasach to też się nieczęsto zdarza. Nie, obawiam

się, że nic takiego nie może pan powiedzieć. Zadanie to zadanie. Obojętne, jakie są moje osobiste odczucia, muszę stosować się do przepisów cechu.

– Może to dziwne, ale rozumiem pana sytuację – westchnął Williams. – No cóż, przez ten ostatni rok kilka razy niewiele brakowało, a byłbym umarł tam daleko na lodzie. – Wyciągnął rękę. – Niech mi pan da tę pastylkę. Nie lubię bólu. Jest pan pewien, że nie będzie bolało?

– Ani trochę. – Marquel przekazał pastylkę. – Tak naprawdę, to nawet panu zazdrościć. To jest tronafina, bardzo silny narkotyk. Ma pan przed sobą chwile największej w pana życiu ekstazy, chociaż nie potrwa ona bardzo długo. Nie tylko nie poczuje pan żadnego bólu, ale zatonie pan w rozkoszy. Widzi pan, my jesteśmy bardzo praktyczni, wcale nie okrutni – chyba no, że ktoś za to płaci, oczywiście. Usiłujemy dokładać wszelkich starań, żeby...

Na twarzy Marqueła pojawił się wyraz zaskoczenia. Czarny sztylet uniósł się do góry i uderzył. Williams uchylił się i odturlał, a ostrze zagłębiło się w regał z książkami i ścianę za nim. Kiedy nauczyciel mozolnie podnosił się na nogi, Qwarm odwrócił się i chwiejnie ruszył w jego kierunku.

Biuro komisarza udekorowane było licznymi artefaktami i narzędziami wykonanymi przez tranów. Bardzo to było atrakcyjne, bardzo malownicze. Jednym z eksponatów był trański miotacz strzałek, maleńki, niepozorny przyrząd wykonany z kości i rogu. Do miotania drugiej na piętnaście centymetrów strzałki zastosowano w nim niewielką sprężynkę z czegoś zbliżonego do fiszbinu. Przez cały czas towarzyskiej pogawędki z Marquelem Williams osłaniał go własnym ciałem i uzbrajał. Kąt strzału nie był dobry, ale nauczyciel wiedział, że nie będzie miał czasu zdjąć przyrządu z haczyka i wycelować. Kiedy odchylił do tyłu głowę i podniósł pigułkę, jakby chciał ją połknąć, uwaga Marqueła skupiła się na jego prawej ręce. W tym momencie nauczyciel odwrócił się w prawo, odsłonił miotacz strzałek i za pomocą drugiej dłoni zwolnił spust.

Marquel stał o wyciągnięcie ręki od niego. Ostra jak igła drzazga kości, z której wycięta była strzałka, przeszła na wylot przez jego ubranie i pograżyła się w ciele pomiędzy pępkiem a kroczem. Strzał nie był śmiertelny, ale od gwałtownego uderzenia zabójca się zachwiał. Pomimo niespodziewanego bólu zareagował szybko i zadał cios nożem. Ból jednak na tyle spowolnił jego reakcje, że Williamsowi udało się uchylić.

– Nauczyciel.

Qwarm szedł w jego kierunku, a krew zaczynała mu kapać z rany i plamić podłogę. Williams cofał się, usiłując pomiędzy sobą a rannym zabójcą zostawić jak największą ilość mebli.

Tak, był nauczycielem. Nauczycielem, który spędził niemal dwa lata wśród niekiedy wrogich tubylców, na jałowej, zabójczej powierzchni niegościnnego świata zwanego Tran-ky-ky. I przeżył. Dwa lata walki ze śmiertcionośnymi żywiołami i mięsożerną fauną. Dwa lata na *Slanderscree*, będącej niekiedy okrętem wojennym. Dwa lata walk z barbarzyńcami, zdrazieckimi ludźmi i ich przyjaciółmi. Tak, był nauczycielem. To, co przeżył, spowodowało, że stał się silniejszy, szybszy i jak tranowie bardziej przebiegły.

Mimo sterczącego z brzucha długiego kolca, Marquel nie przestawał się na Williamsa czaić ze

sztyletem wciąż silnie zaciśniętym w prawej dłoni. Strzałka spowodowała jednak, że Qwarm nie miał pełnej władzy nad mięśniami nóg. Posuwał się do przodu czystą siłą woli. Trwało to przez kilka minut, aż Marquel zdał sobie sprawę, że Williams okrążył z nim pokój i znowu znalazł się przy pokrytej artefaktami ścianie. Trański miecz, który nauczyciel zdjął z zamocowania, został wystrugany z kości stawanera. Ujął go w obydwie dłonie i czekał. Dość już tego gonienia się w kółko dookoła biurka.

– A więc chodź. – Usiłował wyważyć broń w ręce, jak to robił Hunnar Rudobrody, ale rycerz dzierżył taki miecz w jednej łapie, dla Williamsa był on za ciężki. Twarz Marquela była wykrzywiona, malował się na niej wyraz bólu.

– To robi się interesujące. Dużo lepiej. – Williams zauważył, że jego słowa stają się niewyraźne. – Lepiej.

Pchnął.

Żeby uniknąć ciosu, Williams dał krok w bok i ciął w dół. Marquel, chociaż ból w trzewiach był ostry, wciąż jeszcze poruszał się na tyle szybko, że wyciągnął lewą rękę i chwycił nauczyciela za przeguby, przygważdżając obie jego ręce do miecza. Wstrząs błyskawicznie rozszedł się po przedramionach Williamsa. Czuł się tak, jak gdyby uderzyła go żelazna sztaba. Siła palców tego niewielkiego mężczyzny była niewiarygodna. Prawa ręka Marquela uniosła się do góry i światło ześlizgnęło się po ostrzu sztyletu. Tym razem Williams pewien był, że napastnik się uśmiecha. Oczy połyskiwały mu przez otwory kaptura.

– Bardzo dobrze, nauczycielu, bardzo dobrze. Dużo więcej, niż miałem się prawo spodziewać.

Williams usiłował wyrwać rękę, ale uścisk Qwarma był jak stal. Wtedy zdesperowany nauczyciel podniósł prawe kolano i wbił je w podbrzusze zabójcy, tuż nad miejscem, gdzie wystawała strzałka. Rannego zabójcę przeszedł dreszcz. Jakoś jeszcze udało mu się zadać słaby cios. Nóż przebił kombinezon ochronny Williamsa, niewiarygodnie ostry brzeszczot utkwził w jego ramieniu. Uderzenie poszło jednak za wysoko. Marquel miał zamiar przeciągnąć szpicem noża po piersi Williamsa, a potem wbić go w serce ofiary, ale utrata krwi i ciągły ból w końcu go pokonały. Wciąż jeszcze trzymając nadgarstki nauczyciela w śmiertelnym uścisku, Qwarm opadł na kolana, a potem na plecy, pociągając swoją ofiarę na siebie. Jego prawa dłoń opadła rozluźniona na podłogę. Sztylet pozostał wbity w ramię Williamsa. Zabójca zamrugał; nie patrzył na leżącego na nim nauczyciela, ale na światła na suficie.

– Diabli mnie wezmą.

Williams musiał użyć nogi, żeby w końcu udało mu się wyrwać rękę z uścisku zabójcy. Podniósł się i chwiejnie cofnął. Zaciął zęby, objął palcami rękojeść sztyletu i konwulsyjnie szarpnął. Ból, kiedy ostrze wysuwało się z jego ciała, był przeogromny. Zachwiał się, ale nie upadł. Pod zmarłym rozlewała się coraz większa kałuża krwi. Marquel nie przestawał wpatrywać się w sufit, na twarzy miał raczej wyraz zaskoczenia i zdziwienia niż bólu.

Williams chwiejnie podszedł do biurka pani komisarz. W szufladzie znalazł wysuwaną konsolę z

przełącznikami. Który z nich uruchamiał zamknięte drzwi, którym można było zaalarmować strażników budynku? Wciąż jeszcze szukał, kiedy drzwi niespodziewanie rozsunęły się, żeby przepuścić nie sojusznika Marquela, tylko elegancko ubraną panią Komisarz. Przez chwilę wpatrywała się w niego, zanim jej wzrok przyciągnęło ciało leżące na środku podłogi. Na jej twarzy pojawił się wyraz napięcia, cofnęła się o krok.

– Co u diabła pan tutaj robi? Kim... zaraz, pamiętam pana. Jest pan jednym z tych trzech, którzy...

– Williams. Milliken Williams. – Skrzywił się i złapał za pulsujące ramię. Gdyby Marquel traktował go bardziej serio, nie miał najmniejszych wątpliwości, że sztylet byłby zatruty. – Czy mógłbym prosić, żeby pani zadzwoniła po lekarza? – Wskazał na skomplikowaną tablicę z przyciskami. – Nie wiem, które z tego co oznacza.

Pani Komisarz podeszła. Jej palce lotem błyskawicy przeleciały nad kilkoma kontrolkami. Williams niejasno był świadom, że gdzieś w głębi budynku rozdzwonił się alarm. Usiadł na fotelu, nagle nie był w stanie dłużej utrzymać się na nogach.

– Qwarm. Czytałam o nich, ale nigdy się nie spodziewałam, że naprawdę któregoś z nich zobaczę. Nie jestem taka ważna – powiedziała nie kryjąc zdumienia pani Komisarz.

– A jak pani myśli, jak ja się czuję?

– Niech pan tu siedzi. – Włączyła inny panel. – Infirmieria? Gdzie jest ten doktor, po którego dzwoniłam? Niech no tu ktoś przyjdzie na górę i to już. Mam u siebie na fotelu człowieka z raną od noża. – Kiwnęła głową w kierunku rozciągniętego ciała Marquela. – Zawsze był słaby w transkrypcji, ale nie miałam serca go zwolnić. Nigdy nie robił na mnie wrażenia człowieka o jakichkolwiek skłonnościach do przemocy. Nikomu nie można wierzyć. Czy on nie żyje?

– Mam taką nadzieję.

– O co tu w ogóle w tym wszystkim chodzi?

– Na skraju południowego kontynentu działa wielka, nielegalna instalacja ludzi. Wzięli nas do niewoli; uciekliśmy. Ethan, Skua i inni wrócili, żeby pomóc tym, którzy uciec nie mogli. Ja przyjechałem z powrotem, żeby powiedzieć pani... powiedzieć pani... – Nagle zaczął mieć trudności z mową.

Pani Komisarz pochyliła się nad intercomem.

– Gdzie jest ten medyk, do cholery. Coś trzasnęło a potem odezwał się głos.

– Tu Infirmieria. Jaki medyk, pani Stanhope?

– Ten medyk, po którego ja właśnie... chwileczkę, z kim mówię?

– Mariannę Sanchez, pani komisarz. Czy dzwoniła pani po medyka?

– Masz cholerną rację, dzwoniłam. Kto odebrał telefon? Kto tam był przed chwilą?

– Żaden z lekarzy. Myślę, że to Josef. Josef Nilachek. Pracuje dla Administracji. Jeden z pani ludzi.

– Jeden z... – popatrzyła w dół na Williamsa. Nauczyciel odczuwał niemal chorobliwy lęk przed przeklinaniem, ale teraz był zbyt wściekły.

– Szlag by to trafił. Marquel nie był sam.

\* \* \*

Wahadłowiec rozładowano i zaparkowano do konserwacji. Nilachek trzymał się z tyłu, w cieniu, dopóki ostatni członek obsługi serwisowej nie wychynął ze statku i nie oddalił się pogadać z kolegami. Wiedział, co musi zrobić.

Marquel powinien ogłosić odwołanie alarmu i zadzwonić po torbę na ciało swojej ofiary. Fakt, że zamiast tego zadzwoniła pani Komisarz, sugerował cały szereg możliwości, z których żadna nie była dobra. To było niemal nie do wiary, że Qwarm zawiódł, ale też ostatnio wyglądało na to, że wszystko idzie na opak. W jakiś sposób musi skontaktować się albo z kompanią, albo z Bamaputą. Ale najpierw musi się upewnić, że rewelacje tego nauczyciela pozostaną na Tran-ky-ky. Oznaczało to unieszkodliwienie zarówno nadajnika dalekiego zasięgu kosmicznego, jak i łączności wahadłowca ze statkiem. Nadajnik nigdzie się nie wybierał, więc postanowił najpierw zająć się wahadłowcem. Nie powinno to być trudne. Kiedy niewielki pakiecik ze stężonym środkiem wybuchowym rozerwie się wewnątrz tego małego pojazdu, powinien ściągnąć na siebie tyle uwagi, że Nilachek bez przeszkód upora się z nadajnikiem. Musiał działać szybko. Najpierw unieszkodliwić łączność, potem dobrać się do tego wścibskiego nauczyciela i jego też unieszkodliwić, zanim zdąży wyrecytować szczegóły swojej opowieści. Bez szczegółowych współrzędnych ludzie odizolowani tutaj, w Dętej Małpie nigdy nie znajdą instalacji.

Nikt nie widział, jak wślizguje się na pokład. Rozejrzał się pośpiesznie i zobaczył, że wahadłowiec jest pusty. Pospieszył przejściem pomiędzy rzędami foteli. Drzwi do pomieszczenia bagażowego nie były zamknięte na klucz. Wsunął się do tej przepastnej komory, gotów rozprawić się z każdym dokerem, który mógł kręcić się jeszcze po pokładzie. Rozładunek na szczęście przeprowadzano w większości za pomocą maszyn, które nadzorowano skądinąd. Właśnie przyczepiał ładunek wybuchowy, kiedy jakiś głos powiedział:

– A co pan tu robi?

Jego ręka skierowała się do promiennika, który miał na szelkach pod pachą. Odprężył się, widząc intruza. Kobieta. Sądząc po ubraniu jedna z pasażerek.

– Mógłbym pani zadać to samo pytanie. – Upewnił się, czy zakrywa sobą pakiet. – Co do mnie, należę do personelu. Drobne naprawy. – Kiwnął głową w kierunku drzwi, które prowadziły do przedziału pasażerskiego. – Nie powinna pani tutaj być.

– Ci idioci zarzucili gdzieś jedną sztukę mojego bagażu. Pomyślałam sobie, że przyjdę i sama jej poszukam. Jak do diabła można zgubić bagaż w przestrzeni kosmicznej?

– Nie wiem, ale będzie pani musiała stąd wyjść. – Nilachek zaczynał się denerwować. Lada chwila mógł się pokazać ktoś z ekipy naprawczej. Ruszył w jej kierunku. – Proszę pozwolić ze mną. Jestem pewien, że uda nam się znaleźć pani zagubiony bagaż. Może już go ktoś tymczasem odnalazł. – Wziął ją pod rękę i skierował do drzwi.

Strząsnęła jego dłoń poirytowana.

– Te gamonie nie potrafiłyby znaleźć własnego tyłka. Jak pan myśli, dlaczego sama przyszłam tego szukać? – Odwróciła się znowu w stronę przedziału, zmarszczyła brwi. – Co to jest, to tam?

– Co jest co? – Zaczął przesuwając rękę w kierunku ukrytego promiennika, który miał przy sobie.

– Ten plastycynowy pakiet tam, pomiędzy tymi dwoma przewodami?

– Po prostu łąta na niewielkim przecieku. Czy chciałaby pani, żebym wyjaśnił, jak ona działa? Z radością pani pokażę.

– Taak, założę się, że z radością. Zwłaszcza to, dlaczego łąta na przecieku musi być wyposażona w zapalnik czasowy.

Zaczął wyciągać promiennik. Z nieoczekiwaną szybkością kobieta rąbnęła go skrajem lewej dłoni w łokieć, równocześnie zatoczyła prawą nogą szeroki łuk, uderzyła go potężnie na wysokości kostek i podcięła mu nogi. Nilachek wylądował twardo na metalowym pokładzie, wciąż starając się wyciągnąć promiennik. Kobieta skoczyła na niego i kompletnie pozbawiła go tchu. Gwiazdy roztańczyły mu się przed oczami, kiedy usiłował zaczerpnąć powietrza. Na opak, wszystko szło na opak. Słyszał, jak kobieta na całe gardło wrzeszczy o pomoc i rozpaczliwie usiłował się spod niej wyszłizgnąć, ale ważyła więcej niż on. Dużo, dużo więcej.

\* \* \*

Williams siedział cierpliwie, kiedy doktor spryskiwał mu ramię środkiem koagulacyjnym i utrwalaczem epidermicznym, a potem przykładał kwadrat szybkoprzylepnej sztucznej skóry na ranę. W pobliżu Millicent Stanhope rozmawiała ze swoimi strażnikami, a ciało jej byłego sekretarza ładowano na nosze, żeby je wynieść. Kiedy Marquel opuszczał biuro po raz ostatni, pani Komisarz odwróciła się do zajmującego jej fotel gościa.

– Jak pan to zrobił? – Wskazała gestem na otwarte drzwi. – To znaczy, jak pan sobie z nim poradził? To są zawodowcy. Kim pan jest?

– Nauczycielem, jak już pani mówiłam. Nigdy nie byłem nikim innym, tylko nauczycielem. Ale dobry nauczyciel nigdy nie przestaje być dobrym uczniem. Tam, na zewnątrz, wiele się można nauczyć. – Skinął głową w kierunku zamarzniętego krajobrazu widocznego przez wysokie okna. – Uratowała mnie pani kolekcja, czy może powinienem powiedzieć kolekcja Jobiusa Trella. Marquel wiedział wszystko na temat współczesnej broni, ale nie wiedział nic o Tran-ky-ky. Wiedziałem, że

nie dopuści mnie do niczego tak oczywistego jak miecz czy topór bojowy. Ale ten miotacz strzałek jest mały i wygląda bardziej na jakieś narzędzie niż broń. Gdyby nie był zawodowym zabójcą, to sądzę, że nie zdołałbym tego dokonać. Nieprofesjonalista nie byłby dość odprężony czy pewny siebie.

Stanhope powoli pokiwała głową. Od biurka doszedł ją odgłos brzęczyka. Pełniący chwilowo obowiązki sekretarza człowiek wydawał się lekko wstrząśnięty.

– Ktoś tu chciałby się z panią zobaczyć. Ona bardzo nalega. Ona... hej, nie wolno pani tego robić.

Drzwi, które przed chwilą zamknęły się za ekipą koronera, teraz rozsunęły się, żeby wpuścić do środka dwóch mężczyzn. Mieli przy boku broń i z miejsca przeszukali wzrokiem każdy centymetr biura. Jeden z nich na wpół prowadził, na wpół włókł za sobą niewielkiego człowieczka. Prawe ramię ten osobnik miał zabandażowane, a twarz opuchniętą od siniaków. Tuż za nimi weszła swobodnym krokiem tęga, niesłychanie elegancko ubrana kobieta i zatrzymała się pomiędzy ochroniarzami. Pokazała na sponiewieranego Nilacheka pogardliwym machnięciem ręki.

– Jak rozumiem, to coś należy do pani. – Wpatrywała się wprost w panią Komisarz.

Kiedy drzwi się zamykały za plecami nowo przybyłej, Milliken Williams wyprostował się w fotelu z wysokim oparciem i zagapił się na nią. W tej samej chwili ona go też zauważyła. Przestała patrzeć w twarz pani Komisarz, a po jej twarzy rozlał się sardoniczny uśmiech.

– Cześć, Millikenie. Kawał czasu cię nie widziałam. Czego uczysz w tym roku?



## ROZDZIAŁ 14

Cesarz Wszech-Tran-ky-ky wyglądał nad murami swojego zamku. Nie był zadowolony. Przyjął radę swoich człowieczych sojuszników i czekał, aż załoga wielkiego lodowego statku przyczołga się do jego stóp, błagając o jedzenie i schronienie. Minęło już wiele tygodni, za wiele, a od statku nie doszedł do nich ani jeden jęk.

W końcu podjął decyzję, żeby już dłużej nie czekać, tylko atakować. Przez ostatnie kilka dni jego imperialne siły wielokrotnie napadały na tych buntowników, zamkniętych w pułapce portu. Żołnierze daremnie usiłowali podpalić statek, zasypywali go gradem strzał i musieli patrzeć, jak w odpowiedzi obrońcy chronią się za solidnymi, drewnianymi ścianami. Wypróbowali nawet tę niewielkich rozmiarów magiczną broń świetlną podniebnych ludzi, przekonali się jednak, że co najmniej dwóch z obecnych na pokładzie ludzi ma przyrządy podobne do ich własnych, a obchodzą się z nimi dużo bardziej umiejętnie niż oddziały cesarskie.

Jakby to wszystko było jeszcze nie dość irytujące, ci obrzydliwi tranowie, stanowiący załogę klipra lodowego, posiadali dziwne, poziome łuki, które miały krótkie, ciężkie bełty z taką siłą, że przebijały one na wylot najgrubszą nawet zbroję ze skóry. W tej chwili mógł tylko z wściekłością przypatrywać się, jak odpierają kolejny atak, a jego własne oddziały gwałtownie tracą chęć do walki i wycofują się po lodzie. Obrócił się z furią do dwóch podniebnych ludzi, którzy obiecywali mu tak wiele, a dali tak mało. Corfu ren-Arhaveg stał w milczeniu obok nich.

Chociaż za każdym razem, kiedy się spotykali, wypowiadał się głównie ten wyższy z podniebnych ludzi, Massul wiedział, kto tak naprawdę tu rządzi. Skierował całą swoją furię na niższego człowieka o ciemnej skórze, którego twarz wyraźnie było widać za osłoną hełmu ochronnego.

– Gdzie jest to wielkie zwycięstwo, które mi przyrzekałeś? Jak niby rozpocznie się moje panowanie nad światem? Nawet port w mojej własnej stolicy wymyka mi się spod kontroli.

– Czym się martwisz? – powiedział Bamaputra przez swój translator. – Znaleźli się tutaj w pułapce. Wydaje się, że z tych, którzy uciekli, wszyscy zmuszeni byli wrócić. Jeżeli nawet któryś z nich nie wrócił, zorganizowaliśmy wszystko tak, żeby zajęto się nim, jak tylko dojedzie do tego drugiego domu podniebnych ludzi. Bardziej prawdopodobne, że się potopili.

Załoga lodolotu złożyła meldunek, że szalupa ratunkowa zwała się do otwartej wody, zanim komunikator w tajemniczy sposób zamilkł. Bamaputra żałował prawdopodobnej straty lodolotu i wielkiej broni energetycznej, która była na jego pokładzie, ale tego należało się spodziewać, kiedy miało się do czynienia z wojowniczymi dzikusami w rodzaju tranów. Ważniejsze było to, że większość, jeśli nie wszyscy niedoszli uciekinierzy, zmuszeni byli wrócić do Yingyapin. Podczas

kompletowania wyposażenia dla instalacji uznano, że wystarczy jedno działo energetyczne, teraz ta decyzja okazała się błędna. Chociaż pewnie jakoś da się ten problem przezwyciężyć. Nieustające tyrady i ataki wściekłości tego ich cesarza zaczynały być nużące.

– Jeżeli mam rozkazywać moim własnym poddanym, nie mówiąc już o tych, którzy przyjdą później, muszę pokazać, że władam przynajmniej moim własnym państwem. – Wykonał gwałtowny gest w tę stronę, gdzie *Slanderscree* przycupnęła tuż przy portowej barierze. – Dlaczego nie jesteśmy w stanie pokonać tych, którzy ze mnie drwią?

– Ponieważ są oni dobrze dowodzeni, dobrze zorganizowani, zdeterminowani, posiadają parę ukradzionych ręcznych promienników, a ich ludzie są lepszymi wojownikami niż twoi.

Massul odwrócił się gniewnie i wpatrzył w dal za parapetem.

– Powiedziałaś, że wyćwiczysz moich żołnierzy, że uformujesz z nich siłę bojową nie do pobicia.

– Takie sprawy wymagają wiele czasu i czegoś więcej niż lepszej jakości broń. – Antal pokazał głową na kliper lodowy. – Ten, kto dowodzi obroną tego statku, zna się na rzeczy. Podejrzewam, że ma z tym coś wspólnego ten olbrzym. Nie podobał mi się od chwili, kiedy go zobaczyliśmy. Powinienem był go z miejsca zastrzelić. Naukowcy nie stanowią problemu. Ale jest jeszcze jeden, takie ni to, ni sio. Ten, który powiedział, że jest komiwojażerem. Śmieszny facet. Skomplikowany. Też mi się nie podoba. Jak on się nazywa?

– Fortune – powiedział półgłosem Bamaputra. – Tak mi się zdaje, że Ethan Fortune.

– Tak, on. Nie mogę go rozgryźć. Człowiekowi się zdaje, że właśnie go przyszpilił, a tu masz, wyskakuje z czymś niespodziewanym. Też powinienem go być zastrzelić.

– Dlaczego nie możecie polecieć do nich w swoich podniebnych łodziach i powystrzelać ich od góry?

– Po pierwsze dlatego, że został nam tylko jeden lodolot – powiedział Antal. – Po drugie, ich ręczne promienniki mają ten sam zasięg, co nasze. Nie będę narażał lodolotu na ryzyko, dopóki nie będę pewien, że warto go narażać.

– To jest obraza mojej królewskiej osoby – Massul nie krył oburzenia. – Jakiego więcej powodu ci trzeba?

Antal odwrócił się do administratora i przeszedł na terangielski.

– Dziewięćdziesiąt procent tego, co ta ofiara gada, to bełkot, a dziesięć to jego próżność.

– Mnie martwi to – powiedział Bamaputra – że jedna lub kilka z osób, które wyjechały w tej mniejszej łódce, mogły przedostać się jakoś do Dętej Małpy. Chciałbym znaleźć sposób, żeby się o tym przekonać.

– To bez znaczenia. Jeśli ktoś się przedostał, zajmą się nim Marquel i Nilachek.

– Nie podzielam pana wiary w takie lekarstwa na ostatnią chwilę.

– No to co chce pan zrobić?

– Zastanawiałem się, czyby nie zwiększyć wydajności instalacji do punktu, w którym ocieplenie atmosfery i topnienie morskiego lodu wzrośnie dziesięcio-, a nawet dwunastokrotnie. Choćby podnieśli alarm, utrzymamy się tu przez jakiś czas. Jeżeli udałoby się nam wytopić dość pokrywy lodowej, topnienie przeszłoby w proces samopodtrzymujący, a otwarta woda pochłaniałaby wystarczającą ilość słonecznego światła, by lód się dalej topił.

Antal oblizał wargi.

– Wolałbym tego nie próbować. Jak nastawi pan reaktory na takie wartości, pojawi się zagrożenie, że pole ograniczające zaniknie. Nie mieliśmy tego w planach.

Bamaputra pokazał na *Slanderscree*.

– Tego też nie. Musimy postępować tak, jak gdyby najgorsze się już stało, dopóki nie dowiemy się, że jest inaczej.

– Nigdy pan nie namówi personelu technicznego, żeby się na to zgodził.

– Nie mają wyboru. Nie mają gdzie pójść, zabrnęli w to już teraz równie głęboko jak pan, czy ja. Nawet gdyby ktoś z tej szalupy dostał się do Dętej Małpy i nawet gdyby jakoś udało mu się tam uniknąć naszych ludzi, władze będą potrzebowały trochę czasu, żeby zareagować. Najpierw postarają się o potwierdzenie opowieści tego cywila, potem trzeba będzie odbyć zebrania, podjąć decyzje grupowe. Konieczne będą głosowania. Trzeba będzie pozatwierdzać upoważnienia. Oni się będą grzebali, a my tymczasem możemy tutaj umocnić nasze fortyfikacje, lepiej się okopać i sprowadzić sobie odpowiednie uzbrojenie obronne.

Antal ledwie się opanował, by nie parsknąć śmiechem w twarz Bamaputry.

– To nie jest wojskowa instalacja, Sziwo, a nasz personel to nie żołnierze. Ktoś z korpusu pokojowego mógłby nas razem z tą górą wysadzić w powietrze, a my byśmy nawet tego nic zauważyli.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale oni najpierw podejmą rozmowy, będą próbowali unikać rozlewu krwi. Zanim się tu w końcu zjawią, a my zgodzimy się poddać, być może uda nam się sprawy posunąć tak daleko, że dla władz prościej będzie dostosować się do zmienionego klimatu, niż podjąć próby anulowania tej zmiany. W każdym razie musimy spróbować. – Odwrócił się do Massula i wyjaśnił, co mają zamiar robić.

Cesarz nie zareagował tak, jak się spodziewali.

– Nie, mylisz się co do jednej rzeczy. Mamy wybór. Wy może nie, ale my, tranowie, mamy. Podejmę walkę z moimi pobratymcami, ale nie mogę walczyć z podniebnymi łodziami i świetlnymi mieczami. Żądasz zbyt wiele.

– Chcesz być tym cesarzem, czy nie? – zapytał Bamaputra poirytowany.

– Lepszy żywy landgraf niż martwy cesarz. Będę walczył z tranami, ale nie będę walczył z podniebnymi ludźmi, mającymi broń energetyczną. Poddamy się.

– Słucham? – powiedział Bamaputra uprzejmie. – Jak to, poddamy się?

– Czy masz mnie za głupca? Jeżeli ci podniebni ludzie – i tu pokazał głową w kierunku klipra lodowego – są potężniejsi niż ty, dlaczego nie miałbym sprzymierzyć się z nimi? Myślisz, że oni mnie nie zaakceptują? Ja sądzę, że tak. Yingyapin jest dzisiaj mały, ale z wiosek często wyrastały wielkie miasta. Nadal możemy służyć jako schronienie dla rozczarowanych i pozbawionych praw obywatelskich tranów. – Machnął łapą. – Wyrzekam się was. Rób, co chcesz w środku swojej góry, ale od tej chwili możesz to robić bez mojej pomocy.

Antal stawiał mu czoło.

– Słuchaj no, ty futrzasty kretynie, nie masz ani umiejętności, ani wiedzy, ani zdolności, żeby cokolwiek władać bez naszej pomocy! Czy zapomniałeś już „wasza wysokość”, kto osadził cię na tym twoim lichutkim tronie?

– Nie jesteście jedynymi podniebnymi ludźmi, którzy wykazują chęci, żeby pomóc tranom. Teraz to rozumiem. Może nawet nie jesteście najlepsi. Już nie wierzę w wasze opowieści. – I znowu pokazał na kliper lodowy. – Ci, którzy walczą u boku tych innych podniebnych ludzi, nie zachowują się jak tranowie wykorzystani czy oszukani. Zaczynam się zastanawiać nad tym, co usiłowali mi powiedzieć o twoich zamiarach. Tak, zaczynam się zastanawiać. Zdecydowałem. Poddamy się im. Wciąż jeszcze jestem tutaj cesarzem.

– To prawda, jesteś.

Antal dał krok w tył i wykonał ostry gest. Corfu skinął głową, szepnął coś do dwóch żołnierzy, którzy służyli jako gwardia honorowa. Cała trójka złapała Massula fel-Stuovika i poniosła go na skraj parapetu.

– Puśćcie mnie! Puśćcie mnie w tej chwili! – Wiatr napełnił cesarskie dany, które naprężone wyduły się wokół niego. – Jestem tutaj cesarzem. Jestem cesarzem Wszech-Tran-ky-ky, Landgrafem Yingyapinu! Rozkazuję wam...

W chwilę później Antal podszedł na skraj kamiennego muru i wyrztał na zewnątrz. Poniżej, naokoło plamy na lodzie, zebrało się paru zaciekawionych przechodniów. Po jakimś czasie odchyłili głowy w tył, żeby popatrzeć do góry. Potem odwrócili się i poszifowali w różnych kierunkach. Brygadzysta odstąpił od parapetu.

– To tyle, jeśli chodzi o ten problem.

– Pragnąłbym, żeby wszystkie nasze problemy tak łatwo dawały się rozwiązać. – Bamaputra zwrócił się do kupca. – Corfu ren-Arhavogu, niniejszym mianuję cię Landgrafem Yingyapinu i Cesarzem Wszech-Tran-ky-ky. Niech ci to tylko nie uderzy do głowy.

– Do usług, panowie. – Corfu wykonał dziwaczny, ukośny trański ukłon. – Możemy napotkać na pewien opór wśród członków dworu Massula.

– Zajmiemy się tym – zapewnił go Bamaputra. – Czy rozumiesz, co my tu mamy zamiar zrobić? Mamy zamiar przyspieszyć proces ogrzewania.

– Rozumiem, panie. Myślę, że tak będzie lepiej. Po cóż czekać ze smakowaniem sukcesu, aż człowiek będzie stary i pochylony?

– Rzeczywiście, po cóż? – powiedział półgłosem Bamaputra.

Antal położył dłoń na ramieniu Corfu.

– Podejmuj dalsze próby zajęcia tego statku. Nie narażaj na ryzyko zbyt wielu swoich oddziałów. Chcemy, żeby tamci mieli zajęcie, żeby nie mieli szansy wyślizgnąć się na zewnątrz. W końcu zgłodnieją i zrezygnują. Tymczasem my wracamy do naszej roboty. Zostawimy ci komunikator, jeden z tych, które posyłają słowa z wiatrem, żebyś mógł się z nami porozumieć, gdyby się wydarzyło coś nieprzewidzianego.

Corfu wyprostował się.

– Przyjacielu Antal, nie martw się. Możesz na mnie polegać.

– Taa, wiem. To dlatego zrobiliśmy z ciebie cesarza. Powinniśmy to byli zrobić już parę miesięcy temu, zamiast trzymać się tego nieszczęsnego, zwariowanego gnojka. – Odwrócił się, żeby wyjść.

– Chwileczkę – odezwał się Bamaputra..

Antal zmarszczył się i odwrócił twarzą do swojego szefa.

– Coś nie w porządku?

– Bardzo nie w porządku. Słuchaj.

Wyteżali słuch, w końcu Corfu zdecydował się zapytać:

– Wiatr?

– Nie. Nie, nie wiatr. – Wargi Bamaputry ściągnęły się, twarz mu skamieniała. – Nie żaden cholerny wiatr.

\* \* \*

– Jak długo możemy się jeszcze utrzymać? – Cheela Hwang opierała się o poręcz i wpatrywała w dalekie, wietrzne miasto. Ethan stał obok niej.

– Tydzień – powiedział. – Hunnar sądzi, że może dwa lub trzy.

– A potem co?

– A potem będziemy usiłowali dobić jakiegoś targu z naszymi „przyjaciółmi”. – Machnął głową w kierunku portu.

– Nie da się dobić targu z takimi ludźmi.

– Nie możemy się zagłodzić na śmierć. Poza tym zaczynają nam się kończyć bełty do kusz i wyczerpywać ładunki w promiennikach.

Cheela westchnęła i odwróciła się, żeby mu się baczniej przyjrzeć.

– A więc Milliken się nie przebił.

– Tego nie wiemy. Jeszcze nie. Milliken jest bardzo zaradny. Wręcz zwodniczo zaradny. Wciąż jeszcze jest nadzieja.

– Tak, jest kompetentny, choć o tym nie mówi.

Teraz przyszła kolej na Ethana, żeby odwrócić się, popatrzeć na nią z namysłem.

– Lubisz chyba trochę tego naszego przyjaciela Millikena, nie?

Cheela popatrzyła w dal, w kierunku mechanicznej zapory, która zagradzała *Slanderscree* wyjazd z portu.

– Chyba trochę.

Ethan odwrócił się, żeby nie zauważyła jego uśmiechu. Nagle zmarszczył brwi.

– Słyszysz coś, Cheelo? Cheela zapatrzyła się na dziób.

– Czy coś słyszę? Tylko wiatr.

– Nie, coś oprócz wiatru. Taki wyższy dźwięk.

Inni też go usłyszeli. Żołnierze i marynarze, którzy nie obsadzali stanowisk obronnych, jak jeden rzucili się na dziób. Ethan i Hwang poszli w ich ślady razem z całym człowieczym kontyngentem klipra lodowego.

– Lodolot! – wrzasnął w końcu, kiedy już był pewien. – To musi być lodolot!

– Twoje podniecenie jest przedwczesne, mój chłopcze. – September podszedł do nich od tyłu. Dysząc ciężko usiłował wyjrzeć za bramę. – Niewątpliwie jest to lodolot, ale czyj?

W ręku trzymał olbrzymi trański topór bojowy, który swego czasu otrzymał w podarunku od

Landgrafa Wannome. Skraj topora opierał się o pokład, lewą nogę September skrzyżował niedbale w kostce z prawą, oparł się o rękojeść; w tej pozycji wyglądał zupełnie jak jakiś na srebrno ubrany duch, który gdzieś na Ziemi czy na Nowym Paryżu opiera się niedbale o parasol w modnej, „dobrej” dzielnicy. Taki bulwarowy barbarzyńca, dumiał Ethan.

– Czy ci niegodziwi podniebni ludzie mogli skądś wezwać jeszcze jedną podniebną łódź, żeby pomogła im nas pojmać? – zastanawiał się zatroskany Hunnar.

– Niewykluczone. – Ethan po trosze już tracił entuzjazm, który ogarnął go na widok zbliżającego się lodolotu. – Jeżeli tak jest, to niewiele możemy na to poradzić. Może lodolot zaopatruje ich w regularnych odstępach czasu. Sprawą największej wagi jest to, czy jest on uzbrojony? Nie wyobrażam sobie, żeby mogli mieć więcej niż jedno działo. Może wysłali jeszcze jeden lodolot na rekonesans, a teraz odwołali go, kiedy nie wrócił ten, który nas tropił. Jak sądzisz, Skuo?

– Sam nie wiem, co myśleć, mój chłopcze. Gdyby nasz przyjaciel Antal miał dostęp do ciężkiej artylerii, sądzę, że już dawno zaprezentowałby ją nam. Tak więc nie potrafię wyjaśnić, skąd się ten tak nagle wziął i co tu robi. – Zerknął w kierunku miasta. – Jeżeli to miałyby być atak, uderzyliby w nas z obydwu stron.

– Co więcej, nie mógł on przylecieć z Dętej Małpy – powiedziała im Hwang. – W Dętej Małpie nie ma lodolotów. Tylko skutery lodowe. Obecność lodolotów pogwałciłaby...

– Wiemy, wiemy – powiedział ze zniecierpliwieniem

Ethan. – Korzystanie z nowoczesnego sprzętu transportowego w zacofanych regionach lub na zacofanych światach jest wbrew przepisom. Za duży wstrząs dla tubylców. Niedobrze mi się zaczyna robić od tego zarządzenia.

Warkot stawał się coraz głośniejszy.

– Nie sądzę, żeby to miał być ten, na który nadzialiśmy się na lodzie na samym początku, do którego załogi strzelaliśmy, a który wrócił potem holując ze sobą armatę – oznajmił z wahaniem September. – Dźwięczy jak coś dużo większego, jak transporter towarowy.

Kiedy wpatrywał się w dal, jego faliste, siwe włosy trzepotały się na wietrze naokoło głowy tworząc jarzący się nimb. Potem wyciągnął ramię.

– Tam jest!

– Czy zdołasz zobaczyć, kto jest na pokładzie? September nie zdołał, ale tranowie zdołali.

– Wielu waszych pobratymców – poinformował ich Hunnar. – To rzeczywiście jest łódź podniebna większa niż ta, która próbowała zatopić naszą szalupę.

– Działa, armaty – warczał September z niepokojem. – Co widzisz?

– Nie widzę żadnej wielkiej broni, żadnego miotacza piorunów. – Hunnar wychylił się przez

poręcz. – Widzę... na brodę mojego dziada!

– Co, co widzisz? – naciskał go Ethan.

– Mąż uczony!

– Uczony?

– Williams, on widzi Williamsa – powiedział September rozradowany. – Nasz uczony.

– Tak jest. Czcigodny mąż powrócił z pomocą.

– Ależ to niemożliwe. – Hwang musiała wspiąć się na palce, żeby wyrzeć zza pleców mężczyzn. Rozróżniali już poszczególne kształty na pokładzie olbrzymiego poduszkiowca, ale nie twarze. – W Dętej Małpie nie ma żadnych lodolotów.

– Jeśli chodzi o mnie, mógł ten mały mól książkowy wyciągnąć go sobie nawet z buta! – September tańczył i kręcił piruety jak opętany, roztrącając na wszystkie strony ludzi i tranów. – Wrócił nauczyciel i zaczyna się szkoła!

– Nie rozumiem. – Ethanowi udało się zareagować na powrót Williamsa w sposób nieco bardziej opanowany. – Skąd on wziął ten lodolot?

– Już niedługo się dowiemy – powiedział Hunnar – ponieważ podniebna łódź leci prosto na nas.

September nie mylił się co do jej rozmiarów. Był to duży, przemysłowy transportowiec, o jedną trzecią większy niż *Slanderscree*. Odziane w kombinezony ochronne postacie, które stały wzdłuż jego poręczy, dzierżyły pobłyskującą w słońcu broń. Nie było działa, ale mnóstwo strzelb, a każda z nich miała większy zasięg rażenia i większą moc niż najnowocześniejszy promiennik ręczny i była niewątpliwie bardziej śmiertelna niż wszystko, co miał w swojej ograniczonej zbrojowni Bamaputra.

Patrzyli, a lodolot przepłynął bez wysiłku nad bramą portową w ich stronę i zawisł w powietrzu w pobliżu klipra lodowego. Na pewno Williams udzielił kierowcy wytycznych, w którym miejscu ma zaparkować. A potem mały nauczyciel ostrożnie przeszedł po trapie, który żeglarze ze *Slanderscree* wysunęli nad burtą w kierunku podniebnej łodzi. Williams przetrzymał trudności podróży w obie strony w dobrym stanie, ale teraz niewiele brakowało, żeby w czasie wylewnych powitań i gratulacji stłamsili go ci, których pozostawił. Sama Cheela Hwang niemal go własnoręcznie udusiła.

– Trochę to potrwa, zanim on będzie odpowiadał na pytania. – September szeroko się uśmiechnął, oceniając przedłużające się zwanie. – Chodź, idziemy zobaczyć, skąd on wziął tych ludzi.

Ethan poszedł za swoim przyjacielem.

– Może po upływie pewnego czasu każdej placówce zaczyna automatycznie przysługiwać niewielki kontyngent militarny. Może przybyli pod naszą nieobecność akurat w samą porę, żeby



Milliken mógł poprosić o ich usługi i pomoc. Mogli zostać dostarczeni na planetę jako część którejś z ostatnich, comiesięcznych przesyłek.

– Może.

September zeskoczył z trapu na pokład lodolotu, a Ethan za nim. Kobiety i mężczyźni w różnym wieku przyglądali im się spokojnie. Wielu z nich gawędziło między sobą i nie zwracało uwagi na nowo przybyłych. Wszyscy wyglądali na zawodowców. To nie była grupa ochotników, których Williams zwerbował w Dętej Małpie. Ci ludzie wyraźnie czuli się swobodnie z bronią u boku.

Ethan obstawał przy swojej teorii, że z jakiegoś powodu placówce zaczął przysługiwać niewielki oddział wojska, dopóki spod pokładu nie wychynął ktoś jeszcze. W pierwszej chwili nie był w stanie rozpoznać twarzy, ponieważ odbijające się światło chwilowo go oślepiło, ale głos rozpoznał natychmiast. W chwilę potem ona też go zobaczyła.

– Hej, Ethanie. Miło cię znowu zobaczyć. Nie sądziłam, że będę miała kiedyś okazję powiedzieć te słowa.

September burknął:

– No, to już szczyt wszystkiego.

Wykazał się większą elokwencją, niż był to w stanie zrobić Ethan, który po prostu oniemiał. Colette wyduła wdzięcznie wargi.

– Może byś coś powiedział? Ja rzucam wszystko, żeby wrócić w to lodowate miejsce, w samą porę, żeby uratować twój podmarznięty tyłek, a ty mnie nawet nie pocałujesz na dzień dobry?

Potężna dłoń popchnęła Ethana w jej stronę. Spiorunował wzrokiem Septembra, który wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Słyszałeś, co dama powiedziała, mój chłopcze. Pocałuj ją. Ethan niepewnie dotknął wargami ust kobiety, która wychynęła z wnętrza lodolotu. Colette cofnęła się i zmarszczyła brwi.

– Jeżeli nie stać cię na nic więcej, zabieram moich ludzi i wracam prosto do Dętej Małpy. Możesz sobie tu siedzieć i grać w lodowe kości, aż ci palce zsinieją.

– Przepraszam, Colette. Wciąż jeszcze nie wyszedłem z szoku.

Objął obiema rękami taką jej część, jaką zdołał i pocałował porządnie i mocno. Zareagowała namiętnie, a żołnierze na lodolocie przyglądali się temu z zainteresowaniem. September podsunął się do wysokiego, chudego faceta, mniej więcej w swoim wieku, który wyglądał na Osobę Odpowiedzialną.

– Ethan i panna du Kane to starzy znajomi.

– Co pan nie powie. – Żołnierz przyglądał się niedbale wciąż jeszcze trwającemu uściskowi. –

Ciekaw byłem, dlaczego udajemy się w tego typu miejsce. Panna du Kane powiedziała, że ma tu nie dokończone interesy. Zawsze chodzi o jakieś nie dokończone interesy, ale nikt z nas nie podejrzewał, co ona ma na myśli. – Rzucił okiem na Septembra. – A więc pan też ją zna?

– Słyszał pan o tym okresie, kiedy ona i jej ojczulo zostali porwani?

– Och. Więc pan musi być Skua September. Wszyscy o tym słyszeli. Zrobili z tego serial na trójwymiarówce; jakaś filmowa kompania sądziła, że jej się to upiecze, ale nasza panna im na to nie pozwala, a ma po swojej stronie silną machinę prawną. Więc to wszystko prawda?

– No. Co do joty.

– Nikt z nas nie dziwi się, że ona to przetrwała. – Kiwnął głową w kierunku obejmującej się pary. – Jestem z rodziną du Kane'ów od dwudziestu lat. Ona jest twarda jak duramiks, ale nie jest zła jako szef. – Wyciągnął rękę w rękawicy. – Nazywam się Iriole, Roger Iriole. Odpowiadam za oddziały domowe, chociaż większość ludzi nazwałaby nas ochroniarzami.

September objął swoją olbrzymią łapą jego nieco mniejszą dłoń.

– Tak sądziłem, że to pewnie jest coś takiego. Nie mogliście się pokazać w bardziej odpowiednim momencie. Jak przedostaliście się przez kontrolę celną? – Pokazał na strzelby energetyczne.

Iriole wzruszył ramionami.

– Panna du Kane zwykle dostaje to, czego chce. Wygląda na to, że wie, jaki jest ten świat, i chciała mieć pewność, że przyjedzie tu przygotowana. – Odwrócił się i zapatrzył na miasto. – Mógłby mi pan powiedzieć, co się tu dzieje? Co wy tu wszyscy robicie i dlaczego tak was ucieszył widok paru pukawek? Wasz przyjaciel-nauczyciel pokrótce nam to wyjaśniał po drodze, ale wyznam, że niewiele zrozumiałem.

– Nie jest to tak naprawdę skomplikowane. Taki nie odbiegający od normy przypadek ludobójstwa dla zysku.

Wdał się w wyjaśnienia, starając się streszczać. Tymczasem Ethan i Colette podeszli do burty lodolotu po stronie *Slanderscree*.

– Pocziwy statek wygląda mniej więcej tak, jak go zapamiętałam.

– Niewiele się zmieniło. Nie byłaś nieobecna aż tak długo.

– Mam wrażenie, że całe lata. To jest Hunnar Rudobrody, prawda? A Elfa Kudrag...

– Kurdagh-Vlata – poprawił ją Ethan. – Pobrali się.

– A co z tą unią, dla której tu zostałeś, żeby pomóc ją zapoczątkować?

– Jest nieźle. Kilka ważnych państw-miast już się oficjalnie sprzymierzyło, a inne rozważają taką możliwość.

– Brzmi obiecująco. – Nagle w jej głosie pojawił się bardziej mroczny ton. – Milliken opowiadał mi o tym, co się tu dzieje. Nie zwlekając położymy temu kres.

– To nie twój problem. Dlaczego nie pozwolić, żeby zajęły się tym władze?

– Millikena martwi czas, jaki by to zajęło i szkody, jakie ci, że się nie wyrażę, mogliby w tym czasie wyrządzić. Ja żyję nie tylko z handlu, Ethanie. Są sprawy, które uznaję za najważniejsze. Zamierzamy zastosować w stosunku do tych ludzi areszt obywatelski i zaciągnąć przywódców gangu na placówkę. A wtedy sprawę może przejąć rząd. – Pokazała na tranów tłoczących się przy barierze. – Oni wyświadczyli przysługę mojemu ojcu i mnie. Jesteśmy ich dłużnikami.

– Jak się ma twój ojciec?

– Hellespont du Kane umarł cztery miesiące temu. Jeżeli pamiętasz, tata już od lat nie był zdrow. Umysł nie był jedyną częścią jego ciała, która szwankowała, a to, że musiał przelecieć się po Tran-ky-ky, wcale mu nie pomogło. Zbyt był już wyniszczony, by można myśleć o jakiegokolwiek transplantacji, ale i tak nie sądzę, żeby chciał wysunąć swoją kandydaturę. Był zmęczony. Jego odejście nie było niespodziewane. A codziennymi operacjami już od lat i tak kierowałam ja. Mówiłam ci o tym.

– Pamiętam. Pociągałaś za sznurki zza kulis.

– Teraz już wszystko odbywa się jawnie. Od czterech miesięcy. Chociaż wolałam poprzedni układ. Dużo łatwiej było, kiedy staruszek mógł to sobą firmować. Był bardziej taktowny niż ja. To prawdopodobnie też pamiętasz.

Ethan usiłował powstrzymać uśmiech.

– Pamiętam, że zawsze mówiłaś to, co myślisz.

– Dokładnie. Ale w ten sposób nie należy prowadzić poważnego koncernu handlowego. Potrzebny mi jest ktoś, kto mówiłby za mnie, ktoś, kto ma doświadczenie w postępowaniu z biznesmenami i kto jest w stanie łagodzić wzburzone uczucia.

Ethan przełknął.

– Ty się nie... nie połączyłaś z nikim?

– „Połączyłam”? W twoich ustach brzmi to tak, jak gdyby potrzebny był mi klej. – Rzuciła na siebie okiem. – Gdybym zrzuciła ze sto funtów, potrzebowałabym każdego z tych żołnierzy, żeby trzymali mężczyzn z daleka ode mnie. Ale w tej sytuacji... mnóstwo do mnie startuje, ale wiem, że interesują ich wyłącznie pieniądze. Pieniądze i władza. To potężne afrodyzjaki, Ethanie, ale nie kupią uczciwości. – Wbiła w niego swoje przenikliwe, zielone spojrzenie i nie pozwalała mu oderwać od siebie oczu. – Nigdy nie mogłabym być żadnego z nich pewna. Nie w taki sposób, jak jestem pewna

ciebie. Z powodu tego, co przeżyliśmy razem. Powiedziałeś mi wtedy, że nie możesz ożenić się ze mną, Ethanie. Powiedziałaś, że trzeba ci czasu. Czasu, żeby to rozważyć, żeby pomyśleć. To dlatego wróciłam. Miałaś mnóstwo czasu na myślenie.

– Prawdę rzekłszy, to w zeszłym roku z powodu walki, jednoczenia i badań nie było czasu na dłuższe kontemplacje.

– Nie mów mi, że niepotrzebnie podjęłam tę podróż, Ethanie. To znaczy cieszę się, że pojawiłam się tu w porę, żeby pomóc wyratować was i uratować planetę, i w ogóle, ale to nie dlatego jestem tutaj. Stoję teraz oficjalnie na czele rodziny du Kane. Nie muszę nikogo prosić o pozwolenie na nic. Wiem, czego chcę.

– Zawsze wiedziałaś, czego chcesz, Colette. – Uśmiechnął się do niej z sympatią. – Jestem pewien, że w dziesięć minut po tym, jak się urodziłaś, mówiłaś już lekarzom, jak się mają z tobą obchodzić.

Oczy Colette zabłyśły.

– Nie było innego wyjścia. Prawdopodobnie musieli mnie nieść we dwóch. Ethanie, potrzebuję kogoś, kto dzieliłby ze mną moje życie. Jesteś jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam, który zaakceptował mnie taką, jaka jestem. Obojętne, czy z powodu zaistniałej sytuacji, czy z innego. Polubiłaś mnie dla mnie samej. Jest mi potrzebny towarzysz i pomocnik. Jesteś... jesteś mi potrzebny ty. Nigdy w życiu niczego innego nie potrzebowałam. Tak więc zawiesiłam moje wszystkie interesy na kołku i przeleciałam parę setek parseków, żeby ci zadać to samo pytanie, na które rok temu odpowiedziałeś „nie”. Pomyślałam sobie, że może spędziwszy na tym świecie jeszcze jeden rok, gotów będziesz spędzić nieco czasu w luksusie i spokoju. Nie będę od ciebie zbyt wiele żądała. – Spuściła oczy i po raz pierwszy musiał wysilać słuch, żeby zrozumieć co mówi. – Wciąż jeszcze cię kocham, nawet jeżeli ty mnie nie kochasz. Ale jeżeli dasz mi szansę, obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nam się dobrze ułożyło. Jeżeli potrzebna ci jest uległa kobieta, czy nawet równorzędna partnerka, to nie ma na to szans. Nie zostałam w ten sposób wychowana. Możesz winić za to moją rodzinę, mojego ojca, jeżeli chcesz. – Podniosła twarz i znowu wpatrzyła się w niego. – Ale jeżeli powiesz „tak”, gwarantuję ci, że nigdy już nie będziesz musiał sprzedać nawet jednego kieszonkowego komunikatora i będziesz prowadził życie, o jakim większość ludzi może tylko marzyć.

– Colette, ja...

– Czego byś nie chciał powiedzieć, zaczekaj jeszcze minutkę. Mnóstwo mnie to kosztuje, tak finansowo, jak i emocjonalnie. Nie będę żebrała. Jeżeli tym razem powiesz „nie”, przyrzekam, że mnie już nigdy więcej nie zobaczysz. Ale jeżeli powiesz „tak”, chłopcze, jeżeli powiesz „tak”, lepiej żebyś to powiedział na serio. Nie potrafię znieść czegoś słabego, połowicznego. Wszystko albo nic, Ethanie. Żadnych częściowych zobowiązań.

Ethan odwrócił się od niej i zapatrzył w dal za *Slanderscree*, jego spojrzenie powędrowało za portową bramę na przestronny lodowy ocean. Czy było coś więcej, co mógł tutaj zrobić? Coś, co mógłby osiągnąć dla tranów? Jeżeli się zgodzi, straci wolność, ale tym zajął się już Maxim Malaika,

który uwięził go na posadzie w Dętej Małpie. Więc jeżeli tak martwi się o swoją wolność, dlaczego przyjął to stanowisko? Dlatego, że dawało mu to możliwość przejścia na emeryturę za dziesięć lat, a nie za dwadzieścia czy trzydzieści? Do diabła, to, co proponowała mu Colette, pozwoli mu kupować i sprzedawać ludzi takich jak Malaika. Czy nie lepiej będzie mógł czuwać nad tranami i ich rozwojem z pozycji tytularnego dyrektora jednej z najbardziej potężnych rodzin handlowych Wspólnoty?

No dobrze, i co z tego, że z Colette nie jest żadna szałowa piękność? Co z tego, że jest jej tyle, że starczyłoby na dwie? Może jest obfita, ale nie jest nieatrakcyjna. A ile ma wspólnego piękno fizyczne z przeżyciem z drugą osobą całego życia? Sam nie przypominał w niczym gwiazdora trójwymiarówki. Życie to jest to, co się z niego ze swoją partnerką robi i nie można, nie wolno z góry go osądzać zgodnie z tym, jak inni postrzegają to, co dobre i co złe, co ładne, a co brzydkie.

Kiedy odwrócił się znowu do niej, zobaczył, że te niezwykle oczy czekają. Colette może i nie potrafiła błagać, ale one błagały. Zerknął na Septembra, zobaczył, że olbrzym po ojcowsku się uśmiecha i powoli kiwa głową.

– Tam, do diabła. Oczywiście, że się z tobą ożenię. Colette rzuciła mu się w ramiona. Od zderzenia niemal wylecieli oboje za burtę lodolotu.

– Bardzo rozsądnie – powiedziała. Potem go pospiesznie, energicznie pocałowała i objęła z taką siłą, że myślał, iż mu żebra popękają.

Kilku żołnierzy uśmiechnęło się i skromnie odwróciło wzrok. Na tranów na kliprze lodowym nie działały żadne takie kulturowe hamulce. Wydali z siebie mieszaninę aprobujących powarkowań i ryków. W końcu Colette puściła Ethana wciąż jeszcze całego i zdrowego i odwróciła się w kierunku Yingyapinu.

– A więc załatwione.

– Jest tylko jedno zastrzeżenie. Odwróciła się i spojrzała na niego ostro.

– Jakie?

– Nie chcę, żeby to była uroczystość na trańską modłę. Colette nie rozumiejąc zrobiła zaintrygowaną minę, a September ryknął śmiechem.

– Zrobione. A teraz zajmijmy się tymi zgniłkami, którym wydaje się, że mogą z zamieszkannej planety zrobić własną parcelę. Czy chcesz, żeby z nami ktoś jeszcze poszedł?

– Powinniśmy zabrać Cheelę Hwang, jako przedstawicielkę personelu naukowego. A także Hunnara i Elfę. I młodą tranę o nazwisku Seesfar której, jak sędzę, należy się to, żeby się przekonała, że nie każdym z nas powoduje interes własny. – Odczepił promiennik od pasa. – Zostawię to u Ta-hodinga. Nie będzie mi potrzebny przy takiej sile ognia, jaką ze sobą sprowadziłaś.

– W porządku. – Popatrzyła na niego. – Roger! Iriole podszedł i zasalutował.

– Wiesz, co się tutaj dzieje?

Żołnierz ostrym ruchem głowy pokazał w kierunku Septembra.

– Zostałem poinformowany.

– Co sądzisz o tym?

– Jeżeli wolno mi tak powiedzieć, proszę pani, śmierdzi mi to.

– Wolno ci tak powiedzieć i masz zupełną rację. Dokonamy kilku obywatelskich aresztowań. Zamkniemy tę instalację. Widziałam, że w końcu zainstalowali w Dętej Małpie urządzenie łącznościowe dalekiego zasięgu kosmicznego. Kiedy tam wrócimy, mam zamiar zacząć dzwonić. Znam radcę na cały ten sektor przestrzeni kosmicznej. Sprowadzimy tu korpus pokojowy, żeby odholował resztę tych larw z planety i to w wygodnych celach. – Podniosła w powietrze zaciśniętą pięść. – Tran-ky-ky dla tranów! – A potem dodała spokojniejszym tonem: – Wprawia to człowieka w dobry nastrój. W interesach nie zawsze można mieć pewność, że robi się to, co się powinno robić. Tutaj takiej niepewności nie ma. Miłe uczucie.

Przyprowadzono na pokład Hunnara, Elfę, Seesfar i Cheelę Hwang. Tranowie zdumiewali się, że będą lecieli nie po lodzie, tylko w powietrzu.

– Roger i jego ludzie zajmą się wszystkim tam na górze – poinformowała ich Colette. – Może zeszlubycie pod pokład, dopóki się nie przestaną spierać?

– Wolałbym zostać na zewnątrz – powiedział Ethan.

– Mowy nie ma. Nie zgadzam się, żeby mojemu przyszłemu mężowi odstrzelili głowę w chwilę potem, jak przyjął moje oświadczenia.

– Nic mi nie będzie. Oni tam mają tylko kilka ręcznych promienników. Przypuszczam, że kiedy zorientują się, o ile więcej mamy od nich broni, walka nie potrwa długo. Możecie mieć więcej kłopotów z ich trańskimi sojusznikami. Są uparci.

– Tyle to pamiętam, bez urazy – powiedziała do Hunnara i Elfy przez translator.

– Bez najmniejszej urazy – odparł Hunnar. – Jesteśmy uparci. – Uśmiechnął się, pokazując ostre kły.

## ROZDZIAŁ 15

Bamaputra nie obejrzał się nawet w kierunku portu, kiedy skręcał na następny zakos prowadzący stromo pod górę od Yingyapinu. Nie musiał. Lornetka Antala ujawniła już niespodziewaną obecność długiej broni na pokładzie tego nieoznakowanego lodolotu. Nowo przybyli niewątpliwie byli w zмовie z jego wrogami z lodowego statku. Brygadzysta zapewnił go, że żadną miarą nie będą w stanie wygrać walnej bitwy ze zdyscyplinowanymi, uzbrojonymi w broń palną ludźmi. Wszystko, co chwilowo mogą zrobić, to wycofać się do instalacji i zamknąć we wnętrzu góry. Corfu towarzyszył im, zawodząc i wściekając się na los stający im na przeszkodzie i zastanawiając się, dlaczego nie zostaną i nie podejmą walki.

– Lepiej zginąć za to, w co się wierzy, niż uciekać i kryć się w jakiejś dziurze w ziemi!

Miał kłopoty z dotrzymaniem kroku ludziom, których stopy dużo lepiej były przystosowane do wspinaczki.

– Niemądry i prymitywny pomysł.

– Biją nas na głowę jeśli chodzi o broń – powiedział Antal i machnął swoim promiennikiem. – Wyjaśnię ci to jeszcze raz. Nasza świetlna broń nie ma takiej mocy jak ich broń.

– A więc co mamy zrobić?

– Po pierwsze, musimy zyskać pewność, że się do nas nie dobiorą. – Brygadzysta pokazał głowę na wejście do instalacji, które leżało za następnym zakrętem ścieżki. – Zamkniemy się tam, gdzie nas nie będą mogli dosięgnąć. A potem będziemy się targować. Pewnie mogliby wysadzić drzwi, ale to pociągnęłoby za sobą ofiary po obu stronach. Sądzę, że raczej zdecydują się na rozmowy.

– Rozmowy. – Bamaputra wcale się nie zasapał. – O czym tu rozmawiać? To nie są przedstawiciele rządu. Nie wiem, kim są, ale tym na pewno nie. Zresztą to obojętne. Wystarczy, że są przyjaciółmi ludzi, których los mieliśmy kiedyś w swoim ręku. Ich przeznaczenie było naszym przeznaczeniem, władza nad nimi przeciekła nam przez palce.

– Wciąż jeszcze moglibyśmy próbować z nimi dobić targu – obstawał przy swoim Antal. – możemy się tu utrzymać, dopóki nie przyleci statek dostawczy.

– Niech pan nie będzie głupi. – Doszli do oczyszczonego miejsca, tuż przed wejściem do instalacji. Olbrzymie wrota podjechały do góry i droga do wewnątrz stanęła przed nimi otworem. – Jesteśmy skończeni. Nasz projekt jest skończony. Oni nawiążą kontakt z władzami. Nie dadzą nam czasu, żebyśmy mogli dolecieć do naszego własnego statku zastępczego. Gdyby tak można było w

jakiś sposób unieszkodliwić ten ich lodolot...

– Mowy nie ma. Oni tam na dole mają strzelby. Nie ruszając się z miejsca mogą powystrzelać po jednym wszystkich ludzi czy tranów, którzy chcieliby podejść bliżej.

– Tego się obawiałem.

Znawali się już wewnątrz kompleksu. Zaciekawieni inżynierowie i technicy podnosili oczy znad swojej pracy, kiedy kierownictwo ich mijalo. Corfu już zaczynało robić się gorąco, ale szedł za nimi. Nie miał przecież dokąd pójść.

– Musi być coś, co moglibyśmy zrobić – mamrotał Antal pod nosem. – Jeżeli zabiorą nas z powrotem, będzie to oznaczało co najmniej przymusową amnezję.

– Lepiej stracić życie. Ciało żyje, ale ginie dusza. Antal spojrział na niego z ukosa.

– Co ma pan na myśli mówiąc „dusza”? Przymusowa amnezja usuwa tylko to, co psychotechnicy zidentyfikują jako skłonności przestępcze. Kiedy skończą, jest się wciąż tą samą osobą, jaką było się na wejściu.

Bamaputra potrząsnął głową.

– Tak ufnie podchodzi pan do rządowej propagandy? Zostawiają człowiekowi tyle, żeby mógł z tym funkcjonować, ale przestaje się być tą samą osobą. Odbierają człowiekowi coś istotnego.

– Pewnie. Tę przestępczą część. Tylko tę przestępczą część.

– Ale pan i ja nie jesteśmy przestępcami. Jesteśmy wizjonerami. Nie sądzę, żebym potrafił to znieść, gdyby pozbawili mnie tej wizjonerskiej części mojej osoby.

Brygadzysta zmarszczył się, ale Bramaputra wydawał się całkowicie opanowany.

– Taak, no to zajmę się zabezpieczeniem stacji, nadam komunikat, co się stało i czego możemy się spodziewać. Pozamykać musimy tylko wejście dla pieszych i dok towarowy. Obojętne, jaką siłę ognia mogą na nas skierować, wciąż jeszcze sądzę, że zdołamy ich powstrzymać na tyle długo, żeby dobić jakiegoś targu. Tymczasem pan może zacząć wszystko wyłączać.

– Wyłączać, tak, oczywiście – zamruczał cicho Bamaputra. – Trzeba niszczyć raporty, wymazywać dyskiety, chronić ludzi. – Odwrócił się do Antala tak ostro, że brygadzysta mimo woli aż podskoczył. – Cokolwiek zrobisz, nie wdawaj się w negocjacje z tym facetem, Septembrem. Próbuje rozmawiać z uczonymi. Jeżeli będziemy mieli szczęście, może się wśród nich znaleźć jakiś oficjel rządowy. Takie typy skłonne są posunąć się do każdej niemal ostateczności, żeby uniknąć rozlewu krwi. Zajmę się pompami i reaktorami, kiedy ty będziesz informował personel.

– Zrobione.

Rozdzielili się, zostawiając za sobą Corfu ren-Arhavega, dezorientowanego i ziającego z



wywieszonym językiem. Dopiero dużo później Antal zastanowił się nad słowami swojego kierownika. Zajęcie się pompami i reaktorami niekoniecznie oznaczało wyłączenie układów.

\* \* \*

Hałastra z cesarskich sił zbrojnych Yingyapinu stawiała chaotyczny opór, ale nie trwał on długo. Włócznie i miecze nie bardzo mogły równać się z promiennikami i strzelbami energetycznymi. Pomimo błagań Hunnara i Elfy, Colette rozkazała swoim oddziałom ranić, ale nie zabijać. Hwang wyjaśniła jej, że obywatele Yingyapinu są w tym samym stopniu ofiarami oszustwa odwiedzających ich ludzi, co wszyscy na pokładzie *Slanderscree*. Kiedy będzie już można im wyjaśnić, jak się naprawdę rzeczy mają, powinni stać się użytecznymi członkami rozrastającej się unii tranów. Kiedy ostatni żołnierz rzucił broń i uciekł, na pokładzie lodolotu zaczęły się rozważania, co zrobić teraz. Iriole za pomocą lornetki studiował wejście do podziemnej instalacji.

– Drzwi wyglądają na dosyć solidne. Nie jestem pewien, czy uda nam się je wysadzić.

– Nie powinniśmy być do tego zmuszeniu – powiedział September. – Wiedzą, że leży to w ich najlepszym interesie, żeby się pokojowo poddać. Donikąd nie mogą odjechać. Powinna wystarczyć groźba, że je rozwalimy, żeby przynajmniej niższe szarże wyszły na zewnątrz z rękami w powietrzu. Czy lodolot podoła tej wspinaczce?

Lodoloty zaprojektowane były do podróżowania nie więcej niż trzydzieści metrów nad stałą powierzchnią. Nie przewidywano, że będą zmuszone do pokonywania stromych wzniesień; nie miały latać swobodnie w powietrzu. Iriole sądził jednak, że jeżeli będą się poruszali powoli, powinni jakoś dojechać do płaskiego terenu tuż przed wejściem. Popatrzył na swoją pracodawczynię w oczekiwaniu na polecenia.

– Spróbujmy.

Ethan objął Colette ramieniem. Jakoś wydawało mu się, że tak właśnie powinien postąpić. I całkiem to było miłe.

– Proszę usiąść i zapiąć pasy – powiedział im Iriole. – Będziemy mieli trochę przechyłu, a wolałbym, żeby nikt nie wypadł.

Kiedy skończyli ten niezdarny podjazd w górę i wylądowali przed masywnymi wrotami, Grurwelk Seesfar gotowa, była wrócić na dół i od początku powtórzyć tę upajającą wspinaczkę.

\* \* \*

– Przepraszam pana, panie brygadzisto?

Antal odwrócił się do młodej techniczki, która mu się wpakowała do pokoju.

– O co chodzi? Jestem zajęty.

– Myślę, że powinien pan ze mną pójść.

– Nie mogę. Usiłuję w tej chwili robić z tuzin rzeczy naraz. Czy nie słyszała pani mojego komunikatu? Czy nie wie pani, co się dzieje?

– Tak, proszę pana. A jednak sądzę, że lepiej, żeby pan ze mną poszedł. Chodzi o pana Bamaputrę.

Antal odsunął dłoń od ekranu z czujnikami i odwrócił się do niej.

– Co z panem Bamaputrą? – zapytał cicho.

– Lepiej, żeby pan przyszedł nie zwlekając.

Antal dopiero w tym momencie zauważył, że techniczka jest tak przerażona, że cała się trzęsie. Na zewnątrz sterowni centralnej zebrał się tłum. W sterowni znajdowały się główne panele do programowania wydajności reaktorów, a zamykało ją ze wszystkich czterech stron zbrojone szkło, standardowa ochrona wrażliwego serca instalacji. Poza Bamaputrą wewnątrz nie znajdował się nikt. Drzwi zamknięto od środka. Obok na przezroczystej ścianie osadzony był w szkle pojedynczy głośnik.

– Sziwo, co pan wyprawia?

Dyrektor odwrócił się i odpowiedział Antalowi uśmiechem.

– Być może ocalam moją wizję. Z pewnością przypomina pan sobie naszą dyskusję, kiedy omawialiśmy wielkie przyspieszenie topienia lodu?

Techniczka, która poszła po Antala, pokazała na sterownię. Kiedy brygadzysta wodził oczami po zegarach, włoski z tyłu na karku zaczęły mu się jeżyć. Liczby, które odczytywał, miały prawo znajdować się tylko w podręcznikach, a nie na zielonych ekranach. A wskaźniki te na jego oczach jeszcze rosły.

– Sziwo, przeciąży pan cały układ! Prawdopodobnie już przekroczył pan kilka krytycznych wartości. Musi nas pan wpuścić, żebyśmy mogli przejść na sterowanie awaryjne i wyłączyć cały system.

– Jeżeli tak teraz postąpimy, nie uda nam się jeszcze raz zacząć od początku – wyjaśniał Bamaputra spokojnie. – Mam tu ze sobą pod dostatkiem wody i jedzenia. Naprawdę na tym etapie nie mogę pozwolić wam przejść na sterowanie awaryjne i zamknąć systemu. Kolidowałoby to z moją wizją. Jestem zdania, że nie doceniacie integralności tego systemu. Wytrzyma takie obciążenie i pracę pięćdziesięciu lat wykonamy w kilka miesięcy. Liczę na to, że wytargujecie dla mnie tyle czasu.

– Wsadzi pan wszystko w powietrze!

– Ależ nie. Niech pan porozmawia z inżynierami. Brygadzysta rzucił się jak szalony na poszukiwanie jednego z głównych techników instalacji i poprosił ją o obiektywną opinię.

– On ma rację – powiedziała kobieta. – Nic nie wybuchnie. Za to się stopi. Nie tylko rdzenie reaktorów, wszystko. Jeżeli układ izolujący zawiedzie, nastąpi krótkie, intensywne wydzielanie ciepła, które się gwałtownie będzie rozprasało.

– Ile ciepła?

Ani mrugnęła okiem.

– Miliony stopni.

– Jak myślisz, jakie są szansę, żeby utrzymać pola izolujące?

Kobieta odwróciła się do stojącego za nią starszego mężczyzny. Na jego szczęce i szyi widoczne były liczne ślady ukłuć, dowody uzależnienia.

– Powiedziałabym, jak jeden do dziesięciu. Antal zakręcił się jak fryga w kierunku głośnika.

– Słyszał pan? Szansę na powodzenie są jak jeden do dziesięciu.

– To lepsza szansa, niż dałby nam sąd Wspólnoty.

– Ale drugą stroną tego medalu jest dziewięćdziesięcioprocentowa szansa – krzyknął brygadzysta, który teraz już przekroczył granice frustracji – że obrócisz pan wewnątrz tej góry w szklisty żużel.

– No to powinien się pan pospieszyć i odejść, czyż nie? – Ton Bamaputry był lodowaty.

– Zwariował. – Antal odsunął się o krok od głośnika i przezroczystej ściany. – Wziął i zwariował. – Odwrócił się do inżynierów. – Jak myślicie, co powinniśmy zrobić?

Starszy mężczyzna pocił się obficie.

– Myślę, że powinniśmy się stąd jak najszybciej wynieść. Brygadzysta wahał się jeszcze przez chwilę, a potem gwałtownie wcisnął znajdujący się w pobliżu czerwony guzik alarmu.

Bamaputra przyglądał się spokojnie ze swojego dyrektorskiego fotela, jak rozpoczyna się pełen paniki exodus. Nie był zaskoczony. Nie potrafił ich winić. Żaden z nich, nawet Antal, nie był prawdziwym wizjonerem. Wieki historii mogły zaświadczyć, że ci, którzy dokonywali wielkich odkryć, czy realizowali doniosłe osiągnięcia naukowe, nigdy nie mieli szans większych niż jeden do dziesięciu. Innej drogi nie było. Obliczenia należało odpowiednio dostosować, żeby uwzględnić zredukowany w wy – sokim stopniu czynnik czasowy. Odwrócił się do różnorodnych zegarów. Pokrywa lodowa zaczęła się teraz gwałtownie topić. Bardzo gwałtownie. Równocześnie wypompowywana do atmosfery ilość pary wodnej i dwutlenku węgla zwiększy się dwudziestokrotnie. Układ wytrzyma. Pole izolujące fuzję magnetyczną nie przypomina kamiennej, czy metalowej ściany. Niech oni sobie idą. Wytrzyma sam, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Pomimo przeszkód osiągnie to, do czego zmierzał. Jeżeli ma się wizję, trzeba czasami zaryzykować. Obracanie marzeń w rzeczywistość zawsze pociąga za sobą pewne ryzyko. Lepiej polegać na maszynach. Aparatura funkcjonowała w milczeniu i bez skarg wykonywała swoją robotę w sposób

przewidywalny i niezawodny. Nigdy za bardzo nie lubił ludzi. Skoro już o tym mowa, to siebie też nigdy za bardzo nie lubił. Lepiej zaryzykować życiem w pogoni za idealną abstrakcją, niż poddać się doczesnym pokusom. Może umrze, ale jego wizja przeżyje w postaci przekształconej Tran-ky-ky. Pieniądze nigdy nic dla niego nie znaczyły. Rewelacyjne mogły być tylko osiągnięcia.

\* \* \*

Kiedy oddział ochroniarzy Colette przechodził przez burtę, lodolot unosił się tuż nad ziemią. Ci, którzy pozostali na pokładzie, nie spuszczały z celowników wejścia do instalacji. Ethan zaczął się bacznie przyglądać ścianom po obydwu stronach drzwi.

– Powinien tu gdzieś być głośnik. Przecież chyba umieścili coś, co umożliwiłoby im porozumiewanie się z każdym tranem, który by się tu wdrapał.

Zanim zdążyli się rozejrzeć, dobrze zamaskowane drzwi zaczęły się otwierać.

– Wracać do lodolotu – warknął Iriole.

Oddział cofnął się. Palce z napięciem spoczywały na cynglach.

Nie było żadnej walki. Z tunelu, w kombinezonach ochronnych, wypadali potykając się technicy i inżynierowie, personel pomocniczy i konserwatorzy. Nikt z nich nie był uzbrojony. Wychodzili z rękami opuszczonymi lub podniesionymi nad głowami. Kiedy zebrani na lodolocie ludzie przypatrywali się im, uciekinierzy zaczęli chwiejnie schodzić po ścieżce prowadzącej w dół do portu. Nie było śladu po Sziwie Bamaputrze, ale Hwang natychmiast rozpoznała w tłumie Antała. Tym razem w jego pozie nie było nawet cienia groźby. Wyparowała z niego cała pewność siebie.

– Musimy stąd uciekać! – powiedział dziko.

– Dlaczego? Skąd ten pośpiech? – September założył ręce i stanął w pozycji człowieka, który ma nieskończenie wiele czasu. – Mamy coś do zrobienia.

– Róbcie, co chcecie, ale nie róbcie tego tutaj. Bamaputra zwariował. – Pokazał do tyłu, na ciemny tunel. – Z rozmysłem przeciążył cały układ, daleko poza projektowane maksimum. Zamknął się w centralnej sterowni. Nie wydłubiecie go stamtąd, nawet za pomocą strzelb. Panele są z pięciocentymetrowego pleksostopu, spawane molekularnie.

– A czemuż miałby coś takiego robić?

– Usiłuje przyspieszyć proces teraformowania. Omawialiśmy to mnóstwo razy, ale nie na taką skalę. Ma niewielkie szanse. Bardzo niewielkie.

– Co się stanie, jeżeli układ zawiedzie? – zapytał Williams.

– Wszystko zacznie się topić. – Odezwała się młoda techniczka. – Topnienie na wielką skalę. Pole ograniczające w reaktorach zaniknie.

– Ma pani na myśli, że stopi się ta instalacja? – zapytał ją Ethan.

Techniczka wytrzeszczyła na niego oczy.

– Mam na myśli, że stopi się ta góra. Może coś więcej, nie wiem. I nie mam zamiaru siedzieć tu i dokonywać obliczeń. Wam też nie radzę.

– W porządku. Na stanowiska – powiedział im Iriole. Wycofali się na pokład czekającego lodolotu.

– Chwileczkę! – Antal rzucił się w kierunku pojazdu i wyhamował, kiedy w jego kierunku zwróciła się lufa strzelby. – A co z nami?

– Macie kombinezony ochronne – powiedział September, kiedy lodolot powoli przepływał nad skrajem stromego zbocza i zaczynał lot w dół. Pokazał na biegnącą zakosami ścieżkę. Część personelu instalacji była już w połowie drogi w dół. – Lepiej nie biegnijcie za szybko, bo łatwo się tu wyrócić i je rozedrzyć.

Antal wpatrywał się w zjeżdżający w dół pojazd, potem odwrócił się i dołączył do swoich byłych podwładnych w szaleńczym galopie na dół. Lodolot ruszył śladem dzikiej ucieczki byłych przeciwników, podążając bezpiecznie w kierunku portu.

– Jak myślisz? – zapytał September nauczyciela.

– Nie wiem. Nie mamy zielonego pojęcia, do czego zdolna jest ta ich instalacja, ani jakie może mieć ograniczenia. Najwyraźniej Bamaputra uważa, że ich nie przekroczył.

– Wydaje się, że jest w tym osamotniony – skomentował Ethan.

– Nie znaczy to, że nie ma racji.

– Nie podoba mi się ten pomysł, żeby odjechać i zostawić go tam, jak lisa w jamie – mamrotał September. – Niewiele pomoże odwiezienie tych wszystkich ludzi do Dętej Małpy, jeżeli nie wyłączymy tego, co zostawiają za sobą.

– Wróćmy na statek i wtedy podejmiemy decyzję – zasugerował Ethan. – Roger, jak sądzisz, jakie mamy szansę, żeby wysadzić drzwi do tej sterowni i pojmać go?

– Niewielkie, jeżeli ten tam mówił prawdę. Pleksistop jest mocny.

– Ten brygadzysta poruszył jedną ważną sprawę – przypomniał im Williams. – Co my teraz z nimi zrobimy, kiedy złożą broń?

– Niech się trochę płaczą po Yingyapinie – powiedział September. – Niech tranowie zobaczą, jacy są naprawdę ci ich wszechmocni przyjaciele. Jak się wreszcie dotelepią do portu, to nie sądzę, żebyśmy musieli trzymać ich pod strażą. Może powiążemy ze sobą kilka statków lodowych i pohołujemy całą tę bandę łotrów do Dętej Małpy. Będzie im zbyt zimno, żeby nam mieli sprawiać

jakikolwiek kłopoty. Droga powrotna może nie zmusi ich wszystkich do spowiedzi, ale mamy to jak w banku, że zrobią się potulni.

Jechali przez lodowy port kierując się w stronę *Slanderscree*, kiedy Ethan pokazał na górę, w której znajdowała się stacja terraformowania.

– Coś się tam na górze dzieje. Coś się rusza. September przymrużył oczy i zaklął pod nosem.

– Nie widzę. Oczy mi się starzeją, podobnie jak cała reszta. Hunnar! Czy ty potrafisz coś tam na górze wypatrzeć?

Rycerz dołączył do nich.

– Zaprawdę potrafię, przyjacielu Skuo. Z góry wydobywają się chmury. Tak to wygląda, jakby wasz szalony pobratymiec robił Rifs.

Nad najwyższym szczytem tworzył się nie Rifs w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, ale ogromny masywny front burzowy. W kipiącej masie cumulonimbusów zaczęły połyskiwać błyskawice, a przez port przetoczył się grzmot. Warstwa chmur robiła się coraz grubsza, aż zdominowała widoczną część nieba. A potem stało się coś jeszcze, coś tak niezwykłego, że pobudziło do ożywionej dyskusji naukowców, a tranów napełniło pełną grozy czcią. Po raz pierwszy od czterdziestu tysięcy lat na Tran-ky-ky zaczął padać deszcz.

– Ciekły lód. – Ciepłe krople bębniły w lodolot. – Woda. Elfa patrzyła ze zdumieniem na małą kałużę, która zebrała się w jej złożonych łapach.

– Kto by pomyślał, że coś takiego zobaczymy?

Ich uwagę zwrócił okrzyk obserwatora z głównego masztu. Ciężka, metalowa brama, która zagrażała kliprowi lodowemu drogę ucieczki, powoli otwierała się i odjeżdżała z drogi na swoich licznych płozach. Na pokładzie *Slanderscree* Ta-hoding zagapił się na cofającą się barierę, a potem zaczął ryczeć rozkazy. Rozwijano żagle, ustawiano reje, napinano wanty.

– A co z ludźmi, którzy wyszli z góry? – zapytał Ethan Hunnara.

– Oni... – Rycerz przerwał na chwilę, żeby upewnić się, czy dobrze widzi. – Biegną przez miasto. Miastowi wytrzeszczają na nich oczy. Teraz kilku zaczyna rzucać kamieniami.

Rozległ się jakiś nowy dźwięk, głębszy i groźniejszy niż grzmot. Był tak potężny, że odpowiedziały mu krzyki i wrzaski zebranych, tak na pokładzie klipra, jak i w mieście. To dudnienie podnosiło się z głębi litej skały szelfu kontynentalnego niczym jakiś gigantyczny syk. Zupełnie jak gdyby coś monstrualnego budziło się we wnętrzu planety.

– Spójrzcie na to. Nawet ja to widzę. – September pokazał głową w kierunku doków.

W pośpiechu i zamęcie personel instalacji wylewał się na lód. I natychmiast każdemu z nich nogi się zaczynały rozjeżdżać na wszystkie strony. Powtarzające się niepowodzenia były dla nich tylko

bodźcem do podwojenia szalonych wysiłków.

– Broń? – zapytała Colette du Kane.

Iriole patrzył bacznie przez wojskową lornetkę.

– Żadnej nie widać, proszę pani.

– Do diabła. Pewnie ich trzeba będzie pozbierać i powsadzać na ten duży statek. Prokuratura będzie potrzebowała jak najwięcej świadków. – Odwróciła się skromnie do Ethana. – Jeżeli też jesteś tego zdania, kochany?

Ethan ani przez chwilę nie wątpił, że pytanie jest retoryczne, tym niemniej doceniał, że je zadała.

– Wyrażam zgodę – odpowiedział po wielkopańsku.

– Dziękuję. – Naprawdę zatrzepotała do niego rzęsami. Wymienili szerokie uśmiechy.

I w tym momencie Ethan uznał, że może to być wcale udane małżeństwo. Mimo wszystko.

Lodolot musiał odbyć kilka kursów, żeby przetrzucić wszystkich uciekinierów z lodu na *Slanderscree*, na której na szczęście miejsca było pod dostatkiem, jako że od wyjazdu z Poyolavomaaru podróżowała z minimalną załogą. Rewizja osobista pokazała, że technicy i inżynierowie puciekali ze stacji nieuzbrojeni. Większość z nich była zresztą zbyt wyczerpana, żeby stawić jakikolwiek opór, nawet gdyby przyszło im to na myśl. Brygadzysta znajdował się w drugiej grupie. Kiedy z obłędem w oczach wdrapował się na pokład lodolotu, nie wyglądał na kogoś, kto panuje nad czymkolwiek, włączając w to siebie samego.

– Ruszać, ruszać, musimy się stąd wydostać!

– Jeszcze nie – powiedział mu Ethan.

– Co jest, na co czekacie? – Brygadzysta wpatrywał się zatroskany w szalejącą nad górą nawałnicę.

Ethan pokazał na lód. Grupa marynarzy z klipra lodowego pod przywództwem Hunnara i Elfy szifowała z maksymalną szybkością w kierunku Yingyapinu.

– Wciąż jeszcze musimy ostrzec ludzi, których chcieliście wykorzystać. – Patrzył na Antala oskarżycielsko. – Mogliście to zrobić po drodze, uciekając.

– Nie ma czasu, nie mamy ani odrobiny czasu. Czy nie rozumiecie?

– Doskonale rozumiemy – odpowiedział Ethan spokojnie. – Rozmawialiśmy z waszymi ludźmi z inżynierii. Jeżeli instalacja się stopi, nie będzie to miało dla nas żadnego znaczenia.

– Nie instalacja, nie to. – Brygadzysta był na skraju hysterii. – Nie potraficie sobie wyobrazić, ile

to całkowite i nagle stopienie instalacji tam na górze uwolni ciepła. We wnętrzu tej góry działają trzy przeciążone, przemysłowe reaktory termojądrowe, na litość boską!

– Wiemy.

– Nie, nie wiecie. Jeżeli zaniknie pole izolujące, stopi się coś więcej niż instalacja. Stopi się skała. – Przerwał dla większego wrażenia. – Lód będzie się topił dużo szybciej.

– O, do diabła – zamruczała pod nosem Colette. *Slanderscree* kierowała się ku wyjściu z portu, obładowana swoimi tranami, naukowcami oraz ludźmi-uciekierami. Powoli przyspieszała pod umiejętnym dowództwem Ta-hodinga, ale czy takie tempo wystarczy?

– Zdążą – powiedział Ethan półgłosem. – My zaczekamy tutaj na Hunnara i resztę. – Obdarzył Antala spojrzeniem pełnym obrzydzenia. – Czym ty się martwisz? Ty jesteś bezpieczny. Lodolot jest równie stabilny w czasie podróży po wodzie, jak po stałej powierzchni. A tymczasem pewien jestem, że uda nam się znaleźć jakiś przenośny sprzęt do nagrywania. Może byś coś poopowiadał? Tak do akt.

Brygadzista zawahał się, oblizał sobie wargi.

– A może – powiedziała Colette słodko – wolałbyś wracać na piechotę?

– Albo popłynąć, zależnie od okoliczności. – September wpatrywał się w niego twardo. – Bądź rozsądny, człowieku, jest tylko jeden jedyny sposób, który pozwoli ci przetrwać wściekłość twojego byłego pracodawcy – areszt. Opowiedz teraz to wszystko bez przymusu, a może nawet uda ci się uniknąć przymusowej amnezji.

Antal spojrział na niego i skinął głową w stronę Ethana. Iriole podał sprzęt do nagrywania, przydzielił strażnika i wskazał cichy kącik pod pokładem.

– Ludzie dla pieniędzy wszystko robią. – Colette du Kane opierała się o poręcz, zaciskając szczęki. – Ja to wiem. Mój ojciec taki był. Ale on miał szczęście. Przed śmiercią wyrósł z tego. – Pokazała na miasto, kiedy z wnętrza góry dobiegło następne gwałtowne dudnienie. – Lepiej, żeby Hunnar i jego ludzie szybko tu wrócili. Potrafią szifować jak wszyscy diabli, ale wątpię, czy znajdzie się wśród nich chociaż jeden, który potrafi pływać.

Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach zorganizowanie masowej ewakuacji w ciągu kilku minut nie jest rzeczą łatwą. Na szczęście paniczna ucieczka Antala i jego ekipy pomogła Hunnarowi i Elfie przekonać obywateli Yingyapinu, że przynajmniej chwilowo bezpieczniej będzie porzucić domy i wyruszyć na lód. Kiedy już ich przekonali, ludzie zebrali się szybko. Yingyapin był tak biedny, że niewiele było dóbr materialnych, które musieli ze sobą zabierać.

Z chwilą gdy na lód wyszło już kilka wybitniejszych rodzin, reszta w pośpiechu poszła za nimi. Mężczyźni i kobiety podtrzymywali między sobą kocięta. Tworzyli długą, szeroką kolumnę, szifującą w kierunku wyjścia z portu. Na samym końcu z miasta wyjechał skruszony trzeci oficer, Kilpit Vyo-Aqar.



– Jeżeli istnieje jakieś niebezpieczeństwo, ja powinienem mu stawić czoło – powiedział Elfie. – Nie mam żadnego wytłumaczenia dla tego, co Mousokka i ja zrobiliśmy, poza stwierdzeniem, że poganiały nas bliźniacze demony nostalgii i samotności.

– Człowiek nie dlatego buntuje się, że jest samotny – odpaliła Elfa, kiedy mknęli razem po tafli lodowej, żeby dogonić *Slanderscree*. – Jeżeli zostanie za nami chociaż jeden obywatel, zapłacisz mi za to życiem. Później może znajdziemy sposób, żeby zapomnieć o twojej zdradzie.

– Tak, księżniczko. – Na twarzy mata malowała się bezgraniczna radość i ulga.

Z wnętrza góry nie przestawało dobiegać dudnienie; kliper lodowy i lodolot wyprowadzały wszystkich mieszkańców Yingyapinu na morze.

– Będziemy musieli gdzieś na brzegu znaleźć jakąś wyspę czy boczną zatoczkę i chwilowo ich tam osiedlić – oznajmił Hunnar. – Będą mogli spać, rozmawiać i czekać na pomoc z Poyolavomaaru.

– Możemy przewozić dostawy – powiedziała mu Colette przez translator. – Dostarczać przenośne schrony, jedzenie, leki i tego typu rzeczy. Później będziemy mogli...

Przerwał jej nie tyle wybuch, co tytaniczny wytrysk przegrzanej pary ze zbocza góry wychodzącego na ocean. Ciśnienie miotało skałami i gruzem na kilometr w niebo. Głazy tak wielkie jak lodolot rozrzucone były niczym kamyki. Ta-hoding usiłował znaleźć jakieś miejsce, gdzie dałoby się postawić żagiel. Po pierwszej erupcji nastąpiła druga, która wyrwała dziurę w urwisku wyznaczającym skraj szelfu kontynentalnego. Potężna nawałnica zaczęła się rozpraszać równie szybko, jak się przedtem tworzyła. Deszcz ustał.

– Widzicie – zamruczał Hunnar, kiedy znowu wszedł na pokład lodolotu – ziemia krwawi.

Wyglądało to tak, jak gdyby od panującego wewnątrz gorąca połowa góry rozżarzyła się na bladoszkarlatny kolor. Okresowe dudnienie zastąpił szept, bezustannie dobiegający gdzieś z głębin skalnych.

Byli już teraz daleko na lodzie, *Slanderscree* wciąż wytrwale przyspieszała pod pełnymi żaglami, ale Ta-hoding ograniczał jej szybkość, żeby ludność Yingyapinu nie zostawała w tyle. Miasto i port zniknęły z pola widzenia, chociaż wciąż jeszcze widać było kreskę urwiska, oznaczającą skraj kontynentalnego płaskowyżu. Na ich oczach urwisko to zaczęło się zapadać. Ethan i Colette czekali na ostateczną eksplozję, która jednak nie nastąpiła.

Kiedy ogromne ilości ciepła uwolnione z trzech reaktorów termojądrowych falami rozchodziły się na wszystkie strony, od spalonej instalacji płaskowyż implodował powoli, zapadał się w sobie jak ciasto z zakalcem. Topiąc się skała pochłaniała to ciepło.

Grurwelk Seesfar, nazwana Bystrooką, wykazywała im wciąż na nowo, że nie bez przyczyny nadano jej takie imię. Z kosza obserwacyjnego na głównym maszcie zawołała w dół, w stronę pokładu:

– Łód się topi! Nadchodzi jego trup!

– Fale – powiedział półgłosem Ethan. W całym języku trańskim nie istniało słowo „fale”.

Kiedy rozległ się donośny trzask, wszyscy rzucili się do poręczy lodolotu i dużo większego klipra. Pod prawą płożą *Slanderscree* pojawiła się rysa, w pierwszej chwili niewielka. Rozgałęziła się na kilka mniejszych szczelin, nie przestając się jednak poszerzać. Z odwiecznych głębin z bulgotem wypłynęła ciemna woda.

Wśród szifujących obywateli Yingyapinu podniosły się wrzaski i okrzyki strachu. Przed nadciągającą od strony kontynentu grozą nie chronił ich żaden lity pokład. Było to dużo bardziej przerażające niż trzęsienie ziemi.

Oceany Tran-ky-ky usiłowały powrócić na scenę świata.

Ale *Slanderscree* nie zapadła się aż do ciekłego środka planety, nie pozapadali się też przerażeni uciekinierzy. Mieszanina wody i odłamków lodu, która początkowo pojawiła się tuż za nimi, najpierw rozszerzała się, a potem zatrzymała. Ethan, który przyglądał się jej przez jedną z lornetek lodolotu zobaczył, że na jego oczach zaczyna znowu zamarzać. Stopniowo rozpełzające się na wszystkie strony szczeliny zostały za nimi. Kliper lodowy przechylił się raz na lewą burtę, ustabilizował się i utrzymał na powierzchni.

Energia z przeciążonej instalacji wyczerpała się. Czy Bamaputra naprawdę wierzył, że ma jedną szansę na dziesięć, żeby przeżyć to przeciążenie, czy też wiedział przez cały czas, że pod takim obciążeniem pole ograniczające musi zaniknąć? Nie dowiedzą się tego nigdy, przedtem też zresztą niewiele wiedzieli na temat tego człowieczka o stalowej woli. Jego ciało zostało teraz nieodwracalnie wymieszane z minerałami świata, który chciał zmienić. Pragnął zrealizować swoją osobistą wizję, a teraz razem z nią został pogrzebany.

Zwolnili wreszcie, żeby kocięta miały szansę odpocząć. Żagle zwinięto i pozwolono dzieciom i chorym wejść na pokład i tak już zatłoczonej *Slanderscree*. Nie było dość miejsca dla wszystkich, ale Ta-hoding nie miał wcale zamiaru pełznąć do Poyolavomaaru.

Za rufę zrzucono mocne, nie do zerwania liny tkane z pika-piny. Obywatele Yingyapinu chwycili za nie i rozluźnili wszystkie mięśnie, poza mięśniami w rękach, a wielki statek lodowy pohołował ich bez wysiłku po zamrożonym oceanie, jak żywy ogon na końcu latawca. Poza obszernym polem wytworzonej przez człowieka lawy, która stygła teraz gwałtownie za nimi, nic nie wskazywało, że instalacja kiedykolwiek istniała.

Wreszcie dostrzeżono odpowiednią bezludną wyspę i mieszkańcy już nieistniejącego Yingyapinu osiedlili się tam w miarę możliwości wygodnie, a *Slanderscree* podjęła kurs w kierunku domu, zostawiając rozbitkom obietnicę, że przyślą im pomoc, jak tylko dotrą do Poyolavomaaru.

T’hosjer T’hos, Landgraf tego wspaniałego miasta-państwa, wysłuchał z zainteresowaniem ich opowieści i bezzwłocznie wysłał z pół tuzina dużych, lodowych statków z zapasami, żeby pomóc bezdomnym z Yingyapinu. A jeszcze niedawno byłby pewnie zamiast tego wysłał żołnierzy-grabieżców.

Podczas długiej podróży pomiędzy Poyolavomaarem a Asurdunem Colette du Kane dowiodła Ethanowi, że reaktory termojądrowe nie były jedyną rzeczą na Tran-ky-ky zdolną do generowania kolosalnych ilości ciepła.

\* \* \*

Millicent Stanhope, Stały Komisarz Tran-ky-ky, stała opatulona w swój kombinezon ochronny i przyglądała się, jak około stu więźniów z instalacji w Yingyapinie zaganiano do pustego, naziemnego magazynu. Będzie się ich trzymać w oddzielonej od reszty budynków placówki, ogrzewanej budowlą, ubranych tylko w minimalną ilość odzieży. Dzięki temu nie powinni sprawiać kłopotów siłom porządkowym placówki, które składały się dokładnie z pięciu osób.

Złożyła już tego ranka przez przekaźnik dalekiego zasięgu kosmicznego prośbę, żeby przyjechał ktoś z korpusu pokoju i zabrał tę zawadę w postaci grupy przestępców. Trochę to potrwa, zanim nawet bardzo szybki statek zdoła przemierzyć pustkę pomiędzy swoją bazą, a odległą Tran-ky-ky. Tymczasem więźniów trzeba będzie karmić i dbać o nich, i pilnować. Ich przybycie rozwalilo na kawałki jej starannie ułożony plan na czas sześciomiesięcznej służby na posterunku. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Ethanem i Septembrem.

– Chyba uprzedzałam panów, iż nie życzę sobie, by mi zwracano głowę czymś niezwykłym?

– No cóż, ostatecznie mogliśmy im pozwolić dalej niszczyć tę planetę – odparł September. – Wtedy byłby spokój.

– Aż przejdę na emeryturę. Do mojej emerytury. – Głęboko westchnęła. – Oczywiście, że zrobiliście jedyną rzecz, jaką mogliście zrobić. Mam nadzieję, że nie ma już więcej niespodzianek.

– Tylko jedna – powiedział Ethan niepewnie. Spiorunowała go wzrokiem. – Może to nie jest właściwe miejsce ani czas po temu, ale nie widzę powodu, dla którego musielibyśmy to zrobić w pani biurze.

– Dlaczego coś musielibyśmy robić w moim biurze, młody człowieku?

Hunnar popatrzył na Ethana, który skinął głową i odstąpił na bok. Rycerz ujął Elfę za łapę i oboje podeszli uroczyście do pani komisarz. Górowali nad nią wzrostem, ale nie cofnęła się ani o krok.

Elfa odchrząknęła, co samo w sobie było groźnym dźwiękiem i wyrecytowała słowa, które pomogli jej przygotować Ethan i September.

– Jako wysokiej rangi przedstawiciele Unii Lodostanów Tran-ky-ky pragniemy niniejszym oficjalnie zwrócić się do pani, jako Stałego Komisarza, w imieniu wszystkich naszych pobratymców z prośbą o wystąpienie o status członkostwa stowarzyszonego w rządzie ludów i systemów gwiazdnych znanych pod nazwą Wspólnoty.

Kiedy Elfa skończyła, Colette zaczęła uprzejmie klaskać, chociaż rękawice jej kombinezonu tłumili dźwięk. Za osłoną hełmu September szeroko się uśmiechał.

– No, no – powiedziała w końcu Stanhope – czy dzisiaj nie będzie końca tym niespodziankom? Zdajecie sobie sprawę, jakim wymaganiom musicie sprostać? Jeżeli chcecie, żeby uznano was za rząd planetarny, musicie być w stanie dowieść swojego zwierzchnictwa nad znaczną częścią populacji.

– Teraz, kiedy Wannome, Asurdun, Poyolavomaar, Moulokin i wiele innych mniejszych państw-miast zjednoczyły się zgodnie ze wspólnym statutem o współpracy, jestem przekonana, że my, z Tran-ky-ky, możemy zadośćuczynić waszym przepisom.

– Bez trudu się zakwalifikują – powiedział September – a zanim rząd tego sektora przejdzie do wykańczania roboty papierkowej, ta oto Unia podwoi swoje rozmiary.

– Czy mogę być pewna, że wszystko, co oni mi tu mówią, to prawda? Ostatecznie ja wciąż jeszcze jestem tutaj nowa. Nie byłabym zadowolona, gdyby mnie nabrano.

– Milliken Williams zna Tran-ky-ky równie dobrze jak Ethan, czy ja. Czemu by nie mianować go pani osobistym doradcą do spraw tubylców? Może pani liczyć na jego rzetelność.

Stanhope zastanowiła się.

– Ten nauczyciel? A on nie wyjeżdża z wami? September i Ethan wymienili szerokie uśmiechy. Tym razem odpowiedział Ethan.

– Nasz przyjaciel i jedna z osób tutejszego personelu naukowego, Cheela Hwang, przywiązali się dosyć mocno do siebie. Niech się pani nie poczuje zaskoczona, jeżeli w niedalekiej przyszłości zwrócą się do pani z prośbą o udzielenie im ślubu. Jak mi się zdaje, Stały Komisarz ma takie uprawnienia.

– Tak. Boże mój! – Potrząsnęła głową ze zmęczeniem. – Czy będzie mi kiedyś dane odpocząć? Z pewnością wykorzystam jedyny w swoim rodzaju zasób wiedzy pana Williamsa. To był świetny pomysł, młody człowieku. – Przeniosła znowu uwagę na cierpliwie czekających tranów. – Jeśli chodzi o wasz wniosek, wezmę go pod rozwagę i przekażę tym specjalistom, którzy lepiej obeznani są z waszą sytuacją. Jeżeli wyrażą oni aprobatę, zajmę się tym, by rekomendacja pozytywnego przyjęcia wniosku została przekazana Radzie Sektora. – I tu, ku zaskoczeniu Ethana, puściła do niego oko.

W tym samym momencie Ethan zdał sobie sprawę, że nie istnieli specjaliści zajmujący się sytuacją na Tran-ky-ky poza trzema podróżnikami o nazwiskach Fortune, September i Williams. Odpowiedział jej mrugnięciem. Prosiła ich, żeby wyrazili aprobatę dla swojej własnej prośby.

– Będzie nam potrzebna broń – mówiła Elfa z podnieceniem – i podniebne łodzie, i przesyłacze słów, i inne cudowne przyrządy, jakie widzieliśmy, i...

– Spokojnie, spokojnie – upomniła ją Stanhope. – Najpierw trzeba waszą prośbę zredagować i przekazać dalej. Potem trzeba ją przeczytać i poddać drobiazgowej analizie, omówić i przedyskutować, poddać pod głosowanie... Panie Boże, ile papierkowej roboty, ile formularzy! –

Potrząsnęła głową, już wyczerpana na samą myśl o czekającej ją pracy. – A ja myślałam, że to będzie kilka miesięcy przeżytych na luzie.

– Niech pani jednak zwróci uwagę na jedno – powiedziała Colette. – Nim pani przejdzie na emeryturę, wprowadzi pani cały nowy świat do rodziny Wspólnoty, nową rozumną rasę. O kierowaniu tak chlubnym przedsięwzięciem niewielu dyplomatów może nawet marzyć.

– To prawda. Tak, to prawda. – Stanhope wyraźnie się wyprostowała. – Wygląda na to, że zamiast cichutko pogрузić się w zapomnieniu, moim przeznaczeniem jest odejście w blasku chwały. Tyle tylko, że będę się musiała zmusić, by to doprowadzić do końca. No cóż, jeżeli to już wszystko, to mam dużo do zrobienia, a chciałabym zacząć od schronienia się przed tym piekielnym wiatrem.

– Piekielnym wiatrem? – September szeroko rozłożył ręce. – Przecież na Tran-ky-ky to nic więcej, jak lekki zefirek.

– Odstąpię go panu. Albo mojemu następcy, kiedy skończy się okres mojej służby. – Głos jej ucichł i zaczęła mamrotać pod nosem. – Zanim to nastąpi, musimy oczywiście zorganizować oficjalną uroczystość dla uczczenia włączenia Tran-ky-ky do Wspólnoty. Tak, mnóstwo papierkowej roboty do zrobienia. Odwróciła się i skierowała do najbliższego wejścia do kompleksu administracyjnego, niewielka a jednak imponująca postać, oddalająca się w niesiony wiatrem lód. Ethan przyglądał się jej wiedząc, że bezpośrednia przyszłość Tran-ky-ky jest w dobrych, zdolnych dłoniach.

– Teraz musimy się zająć naszym statkiem. – Hunnar położył łapę na jego ramieniu. – Czy nie mógłbyś zejść na dół, żeby się z nami pożegnać?

Ethan podniósł oczy na rycerza i po raz ostatni zobaczył trzepoczące się na wietrze dany, ostre zęby, duże, kocie oczy i gęste, rudobrazowe futro. Nieliche będzie poruszenie, kiedy pierwszy przedstawiciel tranów pojawi się na radzie. Oczywiście ich wygląd zostanie nieco złagodzony przez specjalne kombinezony, które dla dobrego samopoczucia będą zmuszeni nosić. Kombinezony ochronne zaprojektowane tak, by chłodziły, a nie grzały. Jak widać wśród istot inteligentnych wygoda była pojęciem bardzo względnym.

– Obawiam się, że nie możemy – powiedział September. – Ethan i ja, no cóż, pora wreszcie posmakować dostatków, zakosztować uciech ciała.

Grurwelk Seesfar wytrzeszczyła na niego oczy. Teraz jechała z Sofoldianami do Wannome, potem miała wrócić do Poyolavomaaru, jako oficjalny przedstawiciel międzypaństwowy. Ta funkcja pozwoli jej bardzo wiele podróżować, a to uwielbiała ponad wszystko.

– Na waszym świecie rodzinnym praktykujecie kanibalizm? September przełknął ślinę, rozkaszał się. Były takie wyrażenia, których po prostu nie dawało się właściwie przełożyć.

– Zrozumcie – powiedział im – nie żałujemy ani jednej minuty spędzonej wśród was. No, może jednej albo dwóch, ale ogólnie rzecz biorąc, było to pouczające, tak, pouczające. I niech mnie, jeżeli nie mam racji.

– Ta-hodingowi będzie przykro – powiedziała Elfa; w tej chwili głos miała taki, jakby i jej było się trudno opanować.

– Może przyjedziemy was odwiedzić któregoś dnia – obiecał Ethan. – Kiedy tam, gdzie będziemy, będzie zbyt gorące lato. A może spotkamy was na jakimś innym świecie.

– Na innym świecie. – Elfa przechyliła głowę w tył i wpatrzyła się szeroko rozstawionymi, żółtymi oczami w idealnie niebieskie niebo. – Dziwna myśl.

Wyciągnęła łapy i objęła go tak mocno, że czuł, jak jej pazury wbijają mu się w kombinezon na plecach. Najpierw Elfa, a potem Colette du Kane. Co w nim było takiego, że nie potrafiły mu się oprzeć te amazonki dwóch ras?

A potem nie było się już z kim żegnać, ani komu mówić do widzenia. Tranowie zakręcili się na pięcie i poszifowali po ścieżce lodowej prowadzącej do portu i do klipra lodowego o wysokich masztach, który w końcu miał ich ponieść z powrotem do domu.

– Jeżeli będziesz tak płakał z podniesioną osłoną hełmu, mój chłopcze – ostrzegł Ethana September – zrobi ci się lód na policzkach.

Colette du Kane objęła swego przyszłego męża ramieniem, jak gdyby go chciała osłonić.

– Pozwól mu płakać. Co z ciebie za facet, jakiś taki nieuczuciowy, czy co?

– Nie żeby nieuczuciowy – odpowiedział September swobodnie – raczej po prostu jakiś taki.

I cała trójka zawróciła i skierowała się w stronę najbliższego, odizolowanego korytarza, gdzie było ciepło.

**KONIEC tomu 3 (ostatniego)**